

Wszystko
dla pań

ELIZABETH
ADLER



WSZYSTKO
ALBO NIC



Najnowsza
powieść

Adler Elizabeth

Wszystko Albo Nic

Prywatny detektyw Al Giraud siedział w barze hotelu „Ritz-Carlton” w Laguna Niguel. Pogryzał miniaturowe precle, pił ciemne piwo i snuł rozważania nad sprawami tego świata. Przede wszystkim myślał o tym, że musi okazać silną wolę i nie poddać się chęci zapalenia papierosa, chociaż cze kanie na zawsze spóźnioną kobietę jego życia bardzo mu się dłużyło.

Ostatniego papierosa wypalił dziewięć miesięcy temu. Dość, by zdążyła się narodzić nowiutka paczka cameli, pomyślał z rezygnacją, chrupiąc następnego precla. A wszystko przez Marłę. Jak to się stało, że wywiera taki wpływ na jego życie? Spojrzał na swoje ubranie: stare, wypłowiałe džinsy, kraciasta koszula z krótkimi rękawami, znoszone buty i pasek z wężowej

skórki z niemal antyczną srebrną klamrą ze stającym dęba mustangiem.

Klamrę kupił dawno temu w rodzinnym Nowym Orleanie. Uśmiechnął się. Przynajmniej na razie Marla nie kazała mu zmienić stylu ubierania. Al przeszedł długą drogę, zanim został prywatnym detektywem. O wiele mniej by się męczył, gdyby został przestępcą. Jego matka wychowywała sześciu synów w gorszej dzielnicy miasta. Ale jakoś udało jej się uchronić ich przed kłopotami. Al nigdy nie potrafił zrozumieć, jak tego dokonała. Tacy chłopcy jak on niemal nieuchronnie dryfowali ku „łatwemu życiu”, którym kusili kumple. Al miał kilka zatargów z prawem, jednak zdołał skończyć szkołę średnią. Zaraz potem poszedł do pracy, żeby pomóc rodzinie. I właśnie wtedy jeden z jego braci został zastrzelony na autostradzie z jadącego samochodu. Al chciał zabić faceta, który to zrobił. Ból

domagał się zemsty. Ale matka go powstrzymała.

— Synu, ze zsumowania dwóch złych rzeczy nigdy nie powstanie jedna dobra — powiedziała przez łzy. — Daj temu spokój i postaraj się zrobić coś dobrego.

Jedynym sposobem, jaki przychodził Alowi do głowy, było zostać pastorem albo policjantem. Znacznie bardziej odpowiadała mu rola policjanta. Był silny, mocno zbudowany i ambitny. Miał spryt ulicznika i zżerała go złość. Umiał się odgryzać i odpowiadać ciosem. Awansował do wydziału zabójstw, ożenił się i rozwiódł.

Nadszedł dzień, kiedy miał dosyć życia policjanta: nie kończących się godzin pracy, udziału w awanturach, ciągłego oglądania najgorszej strony życia, tragedii i rozpacz. Przeszedł na wcześniejszą emeryturę, spakował skromny dobytek do worka, urządził pożegnalne przyjęcie dla swoich braci i ich żon, ucałował matkę i wyjechał do Los Angeles, „krajny możliwości”.

Wynajął biuro na drugim piętrze budynku przy Sunset. Na szklanych drzwiach widniała tabliczka z wypisanym złotymi literami jego nazwiskiem, słowami PRYWATNY DETEKTYW i dopiskiem drobnym drukiem: „Dyskrecja gwarantowana”. Z balkonu, z

którego zwieszały się purpurowe bugenwille, mógł obserwować ożywiony ruch uliczny: sprytnych biznesmenów, transwestytów, prostytutki, elegancików ze wschodnich stanów i piękne kalifornijskie dziewczyny.

Nawiązał kontakty w komendach policji, w prokuraturze, kilku kancelariach prawniczych i praca zaczęła się toczyć swoim trybem: rozwody, malwersacje, oszustwa, kobiety podejrzewające mężów o zdradę, mężczyźni, którzy chcieli wiedzieć, czy są śledzeni i kto zamierza ich zabić. Potem miał szczęście ze sprawą polityka oskarżonego o próbę zabicia żony. Zdołał udowodnić, że wyliczenie czasu się nie zgadza i polityk się wybronił. Od tamtej pory klienci napływali bez ustanku.

Praca była ryzykowna, często niebezpieczna, ale Al od dziecka znał życie ulicy i zadawał się z takimi ludźmi, jakich teraz śledził. Do chwili, kiedy zabito jego brata, uważał ich nawet za przyjaciół. Potem jednak przeszedł na drugą stronę.

Ciężko pracował dla swoich klientów. Jedni byli winni, inni nie. On wykonywał swoją robotę i przedstawiał dowody.

Mieszkał sam w niewielkim domu na Hollywood Hilis, ale często bywał w apartamencie na Wilshire Bouleyard, u kobiety, którą kochał. Marla Cwitowitz była blondynką około trzydziestki, elegancką, seksowną, przystojną. Wyglądała jak aktorka filmowa, a wykładała prawo na Pepperdine.

Poznali się na wielkim hollywoodzkim przyjęciu, wydanym dla uczczenia uniewinniającego wyroku w procesie znanego aktora oskarżonego o uduszenie byłej dziewczyny. Al przeszedł przeszłość aktora i zamordowanej. Uparty jak Sherlock Holmes, pojechał do ich rodzinnych miast. Dowiedział się wszystkiego, co było można. W rejestrach sądownych natknął się na wyrok przeciw ojczymowi dziewczyny, który ją gwałcił, gdy była dzieckiem. Zdobył

również dowód, że ojczym przebywał w Los Angeles w noc morderstwa i znalazł świadka, który twierdził, że facet był chorobliwie zazdrosny.

Obrona podjęła ten wątek i posiekała na strzępy argumenty prokuratora, wykazując, że zbrodnię popełnił ojczym. Wobec takich dowodów, przysięgli bez wahania uniewinnili aktora.

Al miał być gwiazdą przyjęcia. Na tę okazję do wytartych dżinsów i koszuli w kratkę włożył marynarkę, ale itak czuł się niezręcznie w marmurowym pałacu filmowego królestwa.

Stał przy oknie i przyglądał się pięknie oświetlonym fontanom i wypielęgnowanym tarasowym ogrodom. Przytulał czule drugą już szklaneczkę wysokogatunkowej whisky i zastanawiał się, jak szybko będzie mógł stąd wyjść, kiedy zza pleców usłyszał aksamitny głos:

— Cześć!

Odwrócił się i zobaczył najbardziej uroczą kobietę, jaką kiedykolwiek miał okazję widzieć.

— Czekałam, żeby mnie ktoś przedstawił, ale nie miałam szczęścia, więc przedstawię się sama. Jestem Marla Cwitowitz, wykładam prawo na Pepperdine. Przedtem pracowałam w biurze prokuratora okręgowego. Jestem pańską wielbicieleką.

Ubrana była w czerwoną, głęboko wydekoltowaną sukienkę. Niska, szczupła, seksowna i — jeżeli się nie mylił — bogata. Złociste, opadające na ramiona włosy zakołysały się

łagodnie, gdy przechyliła głowę i przyglądała mu się wesołymi szarzielonymi oczami. Usta miała wprost cudowne, pełne i miękkie.

- Co? Zdałam egzamin?

Al uświadomił sobie, że niegrzecznie się na nią gapi.

— Przepraszam, zaskoczyła mnie pani. — Wyciągnął rękę. Objęła ją obiema dłońmi.

— Pan mnie również — szepnęła.

Od tego czasu było im ze sobą wspaniale. Czasem tylko się sprzecznali, gdy ona powtarzała z uporem się, że chce zostać jego partnerką w pracy. Myśl o Marli jako prywatnym detektywie bawiła go. Nikt nie potraktowałby jej poważnie. Była zbyt cudowna, a poza tym urodziła się we właściwej dzielnicy. Bogaci rodzice, najlepsze szkoły. Na pewno nie wychowywała się na ulicy. Chociaż przez kilka lat pracowała w biurze prokuratora okręgowego, a tam chcąc nie chcąc człowiek poznaje najgorsze strony życia, Al wolał trzymać ją z daleka od tego wszystkiego.

— Do licha, co ty we mnie widzisz? Jestem niedouczonego byłym gliną, detektywem za trzy grosze. Co może we mnie zobaczyć kobieta taka jak ty? - spytał jąktóregoś wieczoru, gdy skończyli się kochać.

Marla westchnęła i spojrzała na niego w zamyśleniu.

7

Ostre rysy twarzy, nastroszone czarne brwi, głęboko osadzone, przenildiwe niebieskie oczy, stanowczy podbródek. Typowy detektyw z komiksów. Dać mu kapelusz i krawat, a będziecie mieć Dicka Tracy. W koszuli w kratkę i dżinsach mógł wejść do każdego taniego baru. W garniturze mógłby się starać o pracę w biurze.

Kameleon, pomyślała Marla.

— Podniecasz mnie szepnęła, całując go w ucho. — Jesteś inny. Jesteś moim całkowitym przeciwieństwem. Ja się zajmuję teoria, a ty praktyką. Lubię kontrasty i chcę ci pomóc.

— Pomóc mi? — powtórzył zdumiony.

— No wiesz, rozwiązywać sprawy. Uważam, że byłabym w tym całkiem dobra.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

Marla, są łatwiejsze sposoby na zdobycie pracy niż sypianie z facetem. Uśmiechnęła się.

— Poza tym — szepnęła, gryząc go lekko w wargę — tak dobrze się z tobą bawię z łóżku...

Jeśli o niego chodziło, Marla mogłaby dostać każdą pracę, jakiej by pragnęła.

Rozdział II

Al przyglądał się doświadczonego bkiem byłego policjanta facetowi, który siedział przy stoliku naprzeciwko niego w barze hotelu „Ritz” w Laguna Niguel. Facet czytał „Timesa”,

sączył Krwawą Mary i pogryzał łydygę selera. Al zazdrościł mu tego selera. Mocno burczało mu już w brzuchu i miał dosyć precli. Dlaczego Marla zawsze musi się spóźniać? Planowali wczesną kolację.

Facet spojrział w kierunku drzwi, potem na zegarek i wrócił do lektury. Najwyraźniej też na kogoś czekał.

Al założyłby się, że chodzi o kobietę. Z kim innym mężczyzna mógłby się umówić o takiej porze? Pijąc powoli piwo, szacował ubranie tamtego: konserwatywny, szary garnitur biznesmena, elegancka biała koszula, niebieski jedwabny krawat. Buty wypolerowane do połysku, kręcone ciemne włosy pórządnie uczesane, twarz świeżo ogolona. Przystojny gość. Na kogo może czekać? Nosi obrączkę, ale nie wygląda jak mężczyzna czekający na żonę... Nie jest wystarczająco znudzony. Pewnie umówił się ze swoją dziewczyną. Żeby zabić czas, Al zgadywał, jak wygiąda ta kobieta. Wysoka, ciemnowłosa, seksowna? Albo może nieduża Kalifornijka blondynka okrągłutka i banalna? Długonogi rudzielec? Azjatycka piękność?

Właśnie zdecydował, że prawdopodobnie to ostatnie, gdy zobaczył idącą w jego kierunku Marłę. Wszystkie głowy odwróciły się, a z wszystkich męskich piersi wyrwało się westchnienie zachwytu.

Marla mogła wyglądać na kogo tylko chciała. „Kameleon”, mawiał Al z sardonicznym uśmiechem, za który miała czasami ochotę dać mu kuksańca.

Po swoich rodzicach, imigrantach z Europy, Marla odziedziczyła wydatne kości policzkowe i gęste jasne włosy. Przypominała trochę Grace Kelly, trochę Madonnę, i z upodobaniem wcielała się w różne role: pedantycznej wykładowczyni prawa w ciemnym kostiumie, nie za krótkiej spódniczce, złotym łańcuszku na szyi, na koturnach; kalifornijskiej dziewczyny w obcisłych lycrach i znoszonych tenisówkach; damy z towarzystwa, w eleganckiej koronkowej sukni; dziewczyny uwielbiającej przyjęcia, w krótkiej sukience od Versace. Jedyna rola, jakiej Marla nie mogła grać, to rola kogoś, kogo nikt nie zauważa. Nawet w porozciągającym podkoszulku i starych pantoflach, z włosami niedbale związanymi z tyłu i nieumalowana zwracała powszechną uwagę.

— To przez to, jak się poruszasz — mówił z rezygnacją Al. — A poza tym lubisz flirtować. Miał rację i Marla o tym wiedziała. Flirtowanie było jej sposobem na życie, najulubieńszą rozrywką. Nie potrafiła mu się oprzeć. Flirt rozjaśniał jej dni, wywoływał uśmiech.

Al wstał, żeby pocałować ją w policzek, ale Marli to nie wystarczyło. Zarzuciła mu rękę na szyję i namiętnie pocałowała w usta.

— Cześć, kochanie — powiedziała, odsuwając się odrobinę. Jej szarozielone oczy uśmiechały się. Wyglądała jak psotny kot.

— Wiesz, że nie lubię publicznych przedstawień — powiedział, zdejmując jej rękę z karku i uprzejmie czekając, aż usiądzie.

Marla westchnęła tak gwałtownie, że aż zafalowały jej piersi pod wydekoltowaną, jedwabną bluzką.

— Kto uwierzy, że w łóżku jesteś taki szalony? — Wypiła łyk jego piwa i zaczęła beztrąsko chrupać precel.

— Nikt inny nie musi o tym wiedzieć.

— To dobrze, bo mogłabym podejrzewać, że masz kogoś.

Pochylił się i pocałował ją w ucho.

— Marlo, nie ma żadnej innej kobiety. Nie mam czasu, nie mówiąc już o siłach.

Zapominasz, że skończyłem aż czterdzieści pięć lat...

— To wiosna życia — weszła mu w słowo, ale spojrzenie Ala powędrowało gdzieś ponad jej lewym ramieniem. Szybko się odwróciła.

Młoda kobieta, którą się zainteresował, była wysoka, miała długie, proste, jasne włosy, kalifornijską opaleniznę. Wyglądała zdecydowanie atrakcyjnie w kremowej jedwabnej sukience i złotych sandałkach na wysokich obcasach.

9

Pod pachą trzymała aktówkę i wymieniała uścisk dłoni mawiamy o interesach. —

Wpatrując się w niego, przechyliła głowę na ra

z mężczyzną przy stoliku. Nie nosiła obrączki, lecz złoty pierścionek

w kształcie zwiniętego węża z oczami z brylancików, włożony na trzeci palec prawej ręki.

Pierścionek wyglądał na kosztowny i Al przez chwilę się

zastanawiał, skąd go wzięła.

— Giraud, dlaczego ciągle oglądasz się za blondynkami? — poskarżyła się Marla, obserwując tamtą parę.

— Z ciekawości. Czekając na ciebie, robiłem zakłady, na kogo on czeka: na żonę czy na kochankę.

No i co? Wygrałeś?

Ciemnoniebieskie oczy Ala spojrzały znów na Marłę. Uśmiechnął się.

— Zaasekurowałem się na obie strony.

— Zawsze to robisz, prawda?

Roześmiał się, skinął na kelnera i zamówił dla Marli martini z wódką.

— I proszę przynieść więcej precli — dodała Marla, biorąc ostatni ze srebrnej tacy, po

czym spytała Ala: — Czy zgadywałeś też, kim jest z zawodu? — Zebrała językiem okruszki z warg.

— Nie powinnaś tego robić w miejscach publicznych. To nieprzyzwoite. Wyobraź sobie, że do dziś tego nie wiedziałam. — Uśmiechnęła się do

niego radośnie. — A wracając do niej, jest agentką handlu nieruchomościami.

— Jak to odkryłaś?

— Aktówka, sposób, w jaki podaje rękę. Dałabym głowę, że to ich pierwsze spotkanie.

Poza tym wygiąda jak kalifornijska pośredniczka: trochę kobieta z towarzystwa, trochę kobieta interesu, idealny złoty środek. Założyłabym się, że teraz pokazuje mu zdjęcia nieruchomości.

Kelner podał martini. Marla pociągnęła łyk, przewracając oczami z rozkoszy.

— Powinieneś częściej mnie tu zapraszać. Podoba mi się ten bar. — Popatrzyła na luksusowe meble, marniurową podłogę, wschodnie dywany, okno, z którego widać było ocean. — Mogłabym tu nawet zamieszkać.

— Nie stać mnie na to.

— Gdybym była twoją partnerką, szybko byś się dorobił.

Kobieta interesu! — parsknął rozbawiony. Marla ciągle usiłowała mu wmówić, że byłaby doskonałym prywatnym detektywem.

— Taki jesteś pewny, ale mnie me wypróbowałeś. Zająłabym się księgowością. Twoje honoraria rosną powinieneś żądać też procentu.

— Od czego?

Uśmiechnęła się i znów łyknęła martini.

— Od wszystkiego, co uda mi się zdobyć. Wejdz ze mną w spółkę, to też będziesz jeździł mercedesem.

— Po moim trupie.

— O nie. — Pochyliła się nad stolikiem i wzięła go za rękę. — Szaleję za tobą. — szepnęła. — Zabierz mnie na kolację, apotem do łóżka. Tam poroz mię.

Al wziął głęboki oddech, by uspokoić zbyt szybki puls.

— Skończ martini i idziemy.

Wychodząc z baru, popatrzyli jeszcze na parę przy tamtym stoliku. Blondynka mówiła coś z ożywieniem, gestykulując energicznie, a mężczyzna przeglądał zdjęcia rozrzucone na blacie.

— Obrzydliwy pierścionek — zauważyła Marla. — Ale zgadłam, kim jest, prawda?

Podniosła rękę, a Al przybił piątkę.

— Doskonale, mała. Idziemy coś zjeść.

Steye Mallard był chyba jedynym mężczyznąw barze, który nie odprowadził spojrzeniem Marli aż do drzwi. Jego uwagę pochłaniały zdjęcia domów i opowiadanie Laurie Martin o zaletach każdego z nich.

Był bliski rozpaczy. Miał trzydzieści dziewięć lat, od siedmiu pracował w południowokalifornijskiej firmie elektronicznej. Teraz przeniesiono go z Los Angeles do San Diego. Musiał zamieszkać w hotelu. Bardzo tęsknił do swojej żony Vickie i dwóch córeczek, które miały zostać w ich podmiejskim domu w dolinie San Fernando aż do końca roku szkolnego, no i dopóki on nie znajdzie czegoś odpowiedniego. Na razie nic dobrego się nie trafiło.

Laurie Martin była jego ostatnią nadzieją. W lokalnej gazecie zobaczył jej zdjęcie i fotografię pewnego domu, który mógłby wchodzić w grę. Cena nie przekraczała jego możliwości, na zdjęciu było widać ocean, a dom znajdował się w nadbrzeżnym miasteczku, kilka kilometrów od San Diego. Spodobał mu się. Podobała mu się nadbrzeżna promenada, fale rozbijające się o skały, czysta plaża, wysadzone drzewami ulice i specyficzna atmosfera małego miasteczka. To byłoby dobre miejsce dla dziewczynek. Ze znużeniem przejechał ręką po brązowych włosach. Ten dom jest najlepszy ze wszystkich. Miał nadzieję, że będzie go na niego stać. W Lagunie posiadłości były drogie.

Laurie Martin przyglądała się zmęczonemu klientowi przez różowe szkła okularów. Był przystojny, me za wysoki, szczupły, miał ładne, ciemne oczy. Nie znosiła mężczyzn z wielkim brzuchem i workami pod oczami. Zgarnęła pasmo jasnych włosów z czoła i posłała mu uśmiech, który rozjaśnił jej trójkątną, kocia twarz.

Do twarzy jej z uśmiechem, pomyślał Steye. Uświadomił sobie nagle, że siedzi w towarzystwie naprawdę ładnej kobiety.

— Przepraszam — powiedział. — Tak się zająłem domem, że zapomniałem spytać, czy ma pani ochotę czegoś się napić.

11

Wsunęła okulary we włosy, poprawiła loki palcami o pociągniętych lakierem paznokciach.

— To był długi i męczący dzień. — Spojrzała na zegarek. — Chętnie, jeżeli ma pan czas.

— O tak. Jak już pani wspomniałem, jestem w tym mieście sam.

— Dobrze. Wobec tego poproszę martini. — Gdy wołał kelnera, Lamie pomyślała, że przy tym kliencie zbytnio się nie napracuje. Na pewno znajdzie jakiś dom, który mu się spodoba. Jednym problemem będzie cena.

Rozdział III

Tydzień później Marla wracała z „Rancho La Puerta”, uzdrowiska w meksykańskiej miejscowości Tecate. Jeździła tam, kiedy tylko miała czas, aby „odzyskać wewnętrzną równowagę”, jak tłumaczyła Alowi.

Przez trzy dni intensywnie ćwiczyła. Wspiniała się na szczyt Kuchumaa wcześniej rano, by uniknąć południowego upału, zjakiego znana jest Baja. Tam siadała w pozycji lotosu, z oczami chłonymi piękno oświetlonego słońcem chaparralu, umysłem wolnym od zbędnych myśli i oddychała czystym powietrzem. Spędzała tak godzinę, apotem zbiegała na dół i wskakiwała do basenu. Aerobik, gimnastyka, bicze wodne, przebieżka albo piłka wodna. Sałatka z zieleniny zerwanej w ogrodzie. Drzemka. Leniwa chwila w hamaku z książką czasami po południu joga. I specjlny zabieg, masaż całego ciała. Czuła się po Mm rozluźniona jak śpiący kociak, zdolna tylko do zjedzenia kolacji i pójścia do łóżka, gdzie przy odrobinie szczęścia śniła o Mu Giraudzie.

Po trzech dniach była gotowa do powrotu. Do spotkania z Alem i wszystkim, co mógł jej zaoferować.

Uśmiechnęła się, mijaj wielkim, srebrzystym mercedesem S500 przejście graniczne niedaleko Tijuany. Spotkają się w hotelu „La Valencia” w La Jolla i tam zostaną na noc. Nie mogła się już doczekać.

Tym razem Al się spóźnił. Marla wynajęła pokój, rozpakowała się, wzięła prysznic i wyszła na balkon. Właśnie zaczęła się na dobre niecierpliwić, gdy zadzwonił telefon.

— Ty draniu, gdzie jesteś? — Od razu przeszła do rzeczy.

— Marla, wiesz, jak to jest. Zasiedziałem się z chłopakami na torze wyścigowym w Del Mar. Miałem kilka wygranych i musieliśmy poczekać do ostatniego biegu.

— Hm. — Jej noga w czerwonym zamszowym pantofelku stuknęła niecierpliwie w podłogę. — Więc konie są u ciebie na pierwszym miejscu?

— Nigdy w życiu! Posłuchaj, to była siwa klacz i zgarnąłem za nią trochę forsy.

— No i dobrze, bo słono za to zapłacisz.

— Kochanie, podaj tylko cenę. Będę u ciebie za pół godziny.

— Znajdziesz mnie w kawiarni na tarasie.

Niech go szlag! Ona musiała przyjechać aż z Tecate i zjawiała się na czas. Tyle że Al uwielbiał konie. Westchnęła na myśl, że musi przyjmować go takim, jakim jest, z dobrymi i złymi stronami. Ale półtorej godziny spóźnienia? Złe będzie, gdy go dopadnie.

Siedziała na tarasie, popijając martini z wódką. Nagle jej wzrok padł na tę samą parę, którą już kiedyś widziała: mężczyzna i blondynka z agencji nieruchomości. Siedzieli kilka stolików dalej, tak jak poprzednim razem, tyle że dziś było widać, że się znają.

Marla przyglądała im się mad oprawki okularów. Blondynka nie popisała się gustem, ale jej ubranie było drogie i bardziej szykowne niż biurowy kostium, który miała podczas pierwszego spotkania. Bluzka z jasnoniebieskiej koronki, króciutka spódniczka, ukazująca całkiem niezłe nogi. Wszystko zanadto obcisłe. Mężczyźni chyba się to podobało, bo nie spuszczał z niej wzroku. Marla była pewna, że nie rozmawiają o interesach. Zamiast zdjęć domów na stoliku stały dwa kieliszki z szampanem. Ciekawe, czy on już kupił dom i teraz oblewają transakcję. Jeżeli tak, nie wyglądał na szczęśliwego. Pewnie myśli o spłacie kredytu za dom.

Uśmiechnęła się widząc, że Al zmierza w jej stronę. Galopuje to lepsze określenie, pomyślała. Miał ten nieprawdopodobnie seksowny, posuwisty, kowbojski chód. To była pierwsza rzecz, jaką zauważyła podczas przyjęcia, na którym się pomali. To i wysmukłe, twarde ciało, a także całkowitą obojętność na roztaczający się wokół blichtr. Pomyślała wtedy, co za niezależny mężczyzna. I tow takim miejscu. Intrygujące. Teraz na sam jego widok poczuła słabość w kolanach.

Ubrała się na biało, żeby podkreślić nowo nabytą w Tecate opaleniznę: w jedwabną spódniczkę midi i top z lekkiego jak wietrzyk szyfonu, wahlowany w bladezielone motyle, który przylegał do jej smukłej talii i podkreślał krągłość piersi. Al od razu pożałował, że się spóźnił. Chociaż... z zachwytem będzie patrzył, jak się złości. Uwielbiał ten błysk oburzenia w jej oczach.

— Bękart — przywitała go.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Ach, skarbie, mama nie byłaby zadowolona, gdyby to usłyszała.

Uniosła twarz do pocałunku.

— Nie miałam okazji poznać twojej mamy.

— Więc ta przyjemność jeszcze przed tobą

— Poważnie? — spojrzała na niego z ciekawością.

13

— Tak. Moja mama jest naprawdę kimś. Sama wychowała sześciu synów i w jakiś sposób udało jej się zaszczyć w nas zasady moralne, chociaż uważam, że ze mną poszło jej łatwo.

— Mężczyzna, który uwielbia swoją matkę. — Czule ucisnęła jego rękę.

— Nic dziwnego, że tak cię kocham.

Kochasz mnie? A już myślałem, że łączy nas tylko chemia ciała. — Podniosła jego rękę do ust i złapała zębami. Roześmiał się. — Och. No już, już. Zartowałem.

— Więc powiedz mi, wielki prywatny detektywie, czy naszą wspaniałą agentkę nieruchomości i tego nieszczęsnego głupka łączy seks czy też zwykły interes. On wygiąda tak, jakby właśnie doszedł do wniosku, że za dużo zapłacił za dom.

Al rzucił okiem na parę pizy tamtym stoliku.

— Czyżby nas śledzili? — spytał zdumiony.

— Prawdopodobnie na nasz widok zaczęli się zastanawiać się nad tym samym. Może powinniśmy powiedzieć im „cześć”? Czuję się tak, jakbym ich znała.

Al patrzył zamyślony. Zajęci rozmow nie zwracali uwagi na otoczenie. Chociaż był to raczej monolog kobiety. Mówiła z ożywieniem, uśmiechała się, gestykulowała, krzyżowała i prostowała swoje całkiem niezłe nogi.

— Nie. Ona urządza prawdziwe przedstawienie na jego cześć. Nie potrzebujanas.

— Myślisz, że jest nią zainteresowany?

Na pewno. Facet wygiąda tak, jakby właśnie połknął dawkę bobrowego tłuszczu zamiast szampana.

— Bobrowego tłuszczu? — zdziwiła się Marla.

— Jeden ze staroświeckich środków mojej mamy — roześmiał się Al. — Lekarstwo na każdą chorobę. Często je nam aplikowała, gdy byliśmy dziećmi.

— Wolę sobie tego nie wyobrażać. — Marla wzruszyła ramionami. — Obchodzi mnie tylko to, gdzie zabierzesz mnie na kolację. Zanim odpowiesz, przypominam, że ten wieczór będzie cię drogo kosztował.

Al wyjął z kieszeni plik banknotów i przejechał po nich kciukiem.

— Dla mojej dziewczyny wszystko, co najlepsze.

— Najlepszarzędzą byłoby partnerstwo.

— Zartujesz? — Śmiał się, gdy schodzili z tarasu. Pozostawiali znaną z widzenia parę przy rozmyślaniach nad zbyt drogim domem, który, jak im się wydawało, mężczyzna właśnie kupił.

14

Mylili się. Steye Mallard nie kupił domu. Laane pokazała mu kilkanaście posesji, ale żadna mu się nie podobała. Dzisiejszego popołudnia miał spotkanie w interesach, które przeciągnęło się do późna. Doszedł do wniosku, że powrót do domu, do Los Angeles, w godzinach wieczornego szczytu nie ma sensu i pod wpływem impulsu zadzwonił do Laane, żeby zaprosić ją na kolację. Nie po raz pierwszy umawiali się na wieczór. Steye mógł oglądać domy dopiero po pracy, a potem wolał wpaść do restauracji na kawę i posiłek w jej towarzystwie, niż jeść w samotności. Poza tym Laurie była naprawdę atrakcyjną kobietą. Pokazał jej zdjęcia córek i Laurie zachwyciła się nimi. Ona pokazała mu fotografię swojego psa, małego czarnego kundelka z jednym uchem podniesionym, a drugim klapniętym, noszącego czerwoną apaszkę.

— Nazywa się Clyde - powiedziała, uśmiechając się czule do fotografii. - To prawdziwy łobuz. Uwielbiam go.

— Miła z nas para — roześmiał się Steye. — Oboje lubimy dzieci i psy. Laurie śmiała się razem z nim. Jeszcze nie doprowadziła do transakcji, ale była na dobrej drodze. Może była też na dobrej drodze, jeśli chodzi o tego mężczyznę. Z uśmiechem w niebieskich oczach podniosła kieliszek z szampanem.

— Za cudowny dom, który dla ciebie znajdę! — Leciutko stuknęła w jego kieliszek. — I za to, by czekało nas wiele jeszcze takich wieczorów jak ten. — Widza; jego zaskoczenie, uśmiechnęła się nieśmiało. — Chciałam powiedzieć, że to miło, gdy się nawiąże przyjaźń z klientem. Zapewniam cię, że to się zdarza bardzo rzadko. Musisz też wiedzieć, że nie przyjąłabym zaproszenia od każdego mężczyzny, któremu pokazuję domy.

Steye też się uśmiechnął.

— A więc, Laurie, dziękuję, że uratowałaś mnie od spędzenia jeszcze jednego wieczoru w samotności.

— Cieszę się, że jesteś zadowolony.

Oparła łokieć na stole i pochyliła się ku niemu. Steye nie mógł nic na to poradzić, że widzi zarys jej piersi pod błękitną koronką, która rozchyliła się uwodzicielsko. Pomyślał, że Lawie Martin jest kobietą intrygującą i skomplikowaną; czasami zachowuje się oschle i profesjonalnie, a czasami ujawnia swój seksowny urok, który działał na niego nieprawdopodobnie mocno. Jej oczy płonęły nieposkromioną energią.

— Może przy następnym domu będę miał więcej szczęścia — powiedział Steye.

— Na pewno. Nie opuszczę cię, póki nie znajdziesz czegoś odpowiedniego — odrzekła. Spojrzała mu w oczy i Steye poczuł, że robi mu się gorąco. Pomyślał o żonie, która teraz je kolację z dziećmi w Burger Kingu, i miał wrażenie, że Vickie znajduje się o lata świetlne stąd.

Rozdział IV

Minęły dwa tygodnie.

Marla siedziała w wannie, zanurzona w wodzie aż po uszy. Do wody dołała płynu do kąpieli, na obrzeżu wanny postawiła pasującą do niego zapachem aromatyczną świecę. W jasnych włosach miała wałki, a twarz pokrywała zamykająca pory zielona maseczka. Miała wrażenie, że maseczka trzyma jej twarz jak imadło. Gdyby nie pewność, że takie zabiegi poprawiają wygląd, nie zwracałaby sobie nimi głowy. Czuliła się tak, jakby zaraz miała umrzeć.

To był dzień na „mycie włosów”. Uważała, że jeden wieczór w tygodniu musi poświęcić na pielęgnację urody. Były to również wieczory, kiedy lubiła chodzić w szlafroku i starych nocnych kapciach z pyszczkami królika. Miała je od czasów, gdy była czternastoletnią dziewczynką, i nigdy się z nimi nie rozstanie. Doskonale pasowały do wałków we włosach i przypominały jej o piżamowych przyjęciach i dziewczęcych ploteczkach. Tyle że w tamtych czasach piła mleczne koktajle, a teraz, niestety, martini z wódką.

Tak czy owak, wieczór spędzała miło i będzie wyglądała tak, że Al Giraud pęknie ze szczęścia, gdy ją zobaczy. Już dzwonił kilka razy, żeby powiedzieć, że: a) tęskni za nią

b) jest na drinku z klientem w „Chateau Marmont”; c) idzie na kolację do „Mr. Chow” i czy ona jest pewna, że nie może się z nim wybrać i d) że zmienił zdanie, bo samotna kolacja w „Mr. Chow” nie sprawi mu najmniejszej przyjemności, i jeśli Marla chce się do niego przyłączyć, to teraz jest w „La Scala Canon Driye” — lokalu w Beyerly Hills, do którego jej rodzice chodzili lata temu.

Al lubił, by w samochodzie i w domu muzyka grzmiała na cały regulator, a Marla była telemaniczką. Miała telewizory we wszystkich pokojach, a także w łazience, bo zawsze obawiała się, że straci coś ciekawego, mimo że itak nie spodziewała się niezwykłych wiadomości. Ciągle oglądała strzelaniny, trzęsienia ziemi, powodzie, pożary, lawiny i zbrodnie na autostradzie, a także śluby słynnych ludzi, gwiazdy kina przybywające na premierę swoich filmów, i wysłuchiwała plotek. Teraz jej wzrok przykuła fotografia kobiety, wypełniająca cały ekran.

„Zaginionej Laurie Martin, agentki handlu nieruchomości — mówił spiker — niewidziano od piątku. Gdy nie przyszła do pracy i nie można było się z nią skontaktować telefonicznie, jej szef powiadomił policję. Nie znaleziono również należącego do niej złotego lexusa 400. Policja prosi o kontakt wszystkich, którzy widzieli tę kobietę lub jej samochód o tablicy rejestracyjnej LAURIEM. (Tu podano numer telefonu).

16

Laurie Martin widziano po raz ostatni w piątek po południu, gdy wyszła z biura na spotkanie z klientem, któremu miała pokazać dom. Policjanci, którzy pojechali pod tamten adres, zastali otwarte drzwi. Panna Martin była jedyną osobą mającą klucz, więc wiadomo, że się tam pojawiła. Policja przesłuchuje obecnie klienta, z którym zaginiona się umówiła”.

Marla poderwała się tak gwałtownie, że na mannurową podłogę poleciały bryzgi piany. Wskoczyła z wanny, okręciła się ręcznikiem i pobiegła do telefonu.

Al delectował się właśnie szpikowaną cielęcina z spaghetti po bolońsku, dobrym, tradycyjnym włoskim jedzeniem, na jakie mężczyzna może sobie pozwolić tylko wtedy, gdy jest sam. Nagle odezwał się jego telefon komórkowy.

— Al Giraud, słucham powiedział, ogamięty poczuciem winy.

— Al! — zawołała Marla stłumionym głosem. Zapomniała zmyć maseczkę i jej usta były praktycznie zacementowane. — Słuchaj, to ona! W telewizji... zniknęła! To na pewno on...

Zrozumiał, że jego dziewczyna jest bardzo podniecona, ale nic poza tym.

— Marla, uspokój się i powtórz wszystko od początku. I co ci jest? Mówisz, jakbyś miała drutowane szczęki.

— Do diabła, niewiele się pomyliłeś. Słuchaj, to jest w telewizji. Kobieta z agencji nieruchomości, ta, którą widzieliśmy w „Ritzu” i La Jolla. Pamiętasz? No więc zniknęła. Szuka jej policja i przesłuchują ostatniego klienta, z którym była umówiona, zanim zaginęła. Załóż się, że to on!

Al przejechał palcami po włosach i w duchu aż jęknął. Prywatny detektyw Marla na tropie!

— Marla, właśnie jem kolację. O czym ty, do licha, mówisz? — Doprowadzony do białej gorączki, ze słuchawką wciśniętą w ucho, nawijał makaron na widelec.

— Przecież ci powiedziałam! Ta kobieta od nieruchomości, którą widzieliśmy w Lagunie. Zniknęła.

Al przełknął makaron. Szybki oddech Marli w słuchawce niemal parzył go w ucho.

— Chcesz powiedzieć, że uciekła z tym facetem?

Al, i ty twierdzisz, że jesteś prysydatnym detektywem?! Nie, głupku. To ona zaginęła. Nie wiadomo też, gdzie jest jej samochód. Policja przesłuchuje ostatniego klienta. Miała mu pokazać dom.

— Ciekawe. — Al starannie odkroił następny kawałek cielęciny i włożył go do ust. — I czego się po mnie spodziewasz?

Och! powinien sam wiedzieć. Przecież jest detektywem. — Uważam, że powinniśmy zgłosić się na policję. No, w ogóle coś zrobić. Powiedzieć im, co wiemy...

17

— Kochanie, a co my właściwie wiemy?

Z zakłopotaniem stwierdziła, że to prawda.

— Powiemy, że widzieliśmy ich, gdy się spotkali po raz pierwszy. I że dwa tygodnie później znów ich widzieliśmy, ale wtedy nie oglądali zdjęć domów. To była randka.

— Ten biedny facet pewnie nie ma nic wspólnego z jej zniknięciem. Chcesz, żebym narobił mu kłopotów?

— Al! Kobieta zaginęła. Została porwana, może nawet zamordowana. — Przy tym słowie głos Marli lekko zadrżał. — Moim zdaniem musimy im powiedzieć.

Al pomyślał, że może Marla ma rację.

— Coś ci powiem. Znam detektywa z policji w Lagunie. Zatelefonuję do niego, dowiem się, co się stało, i wtedy podejmę decyzję.

-Al?

— Tak? — Łyknął trochę peroni, swojego ulubionego włoskiego piwa.

— Potem zaraz do mnie zadzwonisz, prawda? Najdalej za dziesięć minut.

— Dobrze, kochanie odparł Al wzdychając. Marla była bardzo stanowczą kobietą.

-Al?

— Tak?

— Dlaczego ci nie ufam, gdy zwracasz się do mnie „kochanie”?

Uśmiechnął się.

— To zapewne ma coś wspólnego z instynktem, skarbie. Wolisz, żebym mówił „skarbie”?

Uśmiechał się jeszcze, gdy Marla się rozłączyła, a on wystukiwał numer detektywa Lionela Bulwortha z komendy policji w San Diego.

Detektyw Bulworth był wysoki - ponad metr osiemdziesiąt - i potężny jak byk. Nosił buty numer siedemnaście, a koszulę w rozmiarze pięćdziesiąt. Pracował w policji od dwudziestu lat był bystry i na ogół uprzejmy, chyba że miał do czynienia z przestępcą. Wtedy budził prawdziwy strach.

Gdy zadzwonił telefon, siedział wygodnie w fotelu i opierając wielkie stopy na biurku, kołysał się w przód i w tył. Była to sztuczka, którą przez wiele lat doprowadzał do perfekcji.

— Witaj, Al. Jak się miewasz? — powiedział.

— Dziękuję, świetnie. Ajak twoja żona i dzieci?

Al kilka razy spędził weekendy u Bulworthów na barbecue i był traktowany jak przyjaciel rodziny.

— Jako tako. Zack obrywa pały, Jill nosi kolczyki w nosie, a Tod — no, Tod jest jeszcze za mały na takie rzeczy. Poza tym wszystko w porządku. A ty? Ciągłe z rozkoszną Marlą?

— Tak, ciągle z nią. Nie sądzę, żeby szybko zdjęła mnie z haczyka. Kłopot polega na tym, że nie wiem, czy pociągają moje ciało, czy praca.

Al skrzywił się boleśnie, gdy Bulworth ryknął śmiechem w słuchawkę.

— Nadal chce zostać prywatnym detektywem?

— Okropnie jej na tym zależy. Słuchaj, właśnie dlatego dzwonię. To jej najnowszy pomysł. Usłyszała w telewizji wiadomość o zaginięciu kobiety z Laguny, Laane Martin. Chodzi o to, że trochę ją znamy... no, może niezupełnie znamy, ale dwa razy się na nią natknęliśmy. I za każdym razem była z tym samym mężczyzną.

Bulworth wiedział o sprawie Laurie Martin. Wszyscy o tym wiedzieli,

bo rzadko się zdarzało, by w bogatej Lagunie zniknęła kobieta. To nie był teren zabaw młodocianych bandytów. Mieszkali tam raczej ludzie stateczni.

Detektyw notował to, co Al opowiadał o spotkaniach z Laurie Martin i jej klientem.

— Jak ten mężczyzna wyglądał? — spytał w końcu.

— Średniego wzrostu, jasnobrązowe włosy, piwne oczy, po trzydziestce. Szczupły. Wydawał się znużony. Albo może raczej zmartwiony.

— Giraud, właśnie opisałeś mi naszego najważniejszego podejrzanego.

— Okazuje się, że Marla miała rację. Może powinienem dać jej tę wymarzoną pracę.

— Może powinieneś. Ten klient, Steye Mallard, skontaktował się z nami. Powiedział, że Laurie Martin szukała dla niego domu. Zadzwoiła w piątek po południu z wiadomością, że znalazła coś idealnego, ale sprawa jest pilna, bo ma innych chętnych. Umówił się z nią na miejscu, o wpół do szóstej.

Dalej opowiadał, że gdy Mallard tam dotarł, nie zastał nikogo. Nie było też złotego lexusa dziewczyny. Począł pół godziny, a potem spróbował wejść do domu. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Rozejrzał się po pokojach, dom mu się spodobał, więc zadzwonił pod jej numer w samochodzie. Odpowiedziała mu tylko automatyczna sekretarka. Zadzwoił na pager, ale bez powodzenia.

— Taka jest historia przedstawiona nam przez Steye'a Mallarda.

— A wy podejrzewacie, że zostało popełnione przestępstwo.

— Otóż to, bracie. I naszym pierwszym podejrzanym jest Steye Mallard.

Rozdział V

Vickie Mallard była drobną kobietą, metr pięćdziesiąt pięć w pantoflach na grubych platformach, „maleństwem”, jak pieszczotliwie mówił o niej mąż Steye. Ciemne, krótko

obcięte włosy zwijały jej się w loczki, a figura świadczyła o tym, że regularnie uczęszcza do miejscowej siłowni. Ubrana w szary dres, z okularami w metalowych oprawkach, szykowała właśnie kolację: pieczony kurczak z tłuczonymi kartoflami. Dziewczynki były na górze w swoich pokojach i, miała nadzieję, kończyły odrabiać lekcje. W nagrodę wypożyczyła im film Disneya, ale w tej chwili w telewizji szedł dziennik.

„Nadal nie odnaleziono Laurie Martin, agentki handlu nieruchomościami z Laguny. Uplywa już piąty dzień, odkąd widziano ją po raz ostatni w biurze. Helikoptery policyjne bez rezultatu przeczesały pobliskie kaniony, psy policyjne też nie trafiły na najmniejszy ślad. Nie znaleziono także złotego lexusa panny Martin z tablicą rejestracyjną LAURIEM, ale policja twierdzi, że nie ma śladów włamania i kradzieży w jej mieszkaniu, które teraz wam pokazujemy. Dowiedzieliśmy się, że właśnie w tej chwili przesłuchiwany jest pewien mężczyzna, klient panny Martin. Jak się wydaje, Steye Mallard, członek kierownictwa jednej z firm elektronicznych, był z nią umówiony na oględziny domu właśnie tego wieczoru, kiedy zaginęła”.

Metalowa salaterka z tłuczonymi kartoflami spadła na niepokalanie białe kafelki, kartofle rozprysnęły się po całej podłodze. Vickie, która była fanatyczką czystości, nawet tego nie zauważyła.

— Steye? — powiedziała na głos. — Czy chodzi im o mojego Steye’a?

— Mamo, mówisz sama do siebie. A kartofle leżą na podłodze.

Jej dziesięcioletnia córka Taylor patrzyła oskarżająco.

- Twój ojciec jest w telewizji - poinformowała Vickie, nadal oszołomiona.

- Och, super. Tato w telewizji! — Taylor wdrapała się na stół i z ciekawością spojrzała na ekran kuchennego telewizora.

— Nie, nie pokazują go — uściśliła Vickie. — Mówili o nim. Czy to mógł być nasz Steye? Powiedzieli, że jest szefem firmy elektronicznej... pytali go o jakąś zaginioną kobietę.

— Pytali tatę o zaginioną kobietę? Och, super! — powtórzyła Taylor, i Vickie westchnęła, zastanawiając się przez chwilę, kiedy córka nauczy się wreszcie wyrażać radość jakimś innym słowem.

Zadzwonił telefon. Taylor chwyciła słuchawkę.

— Cześć powiedziała radośnie. — Och, cześć, tato. Mama mówi, że byłeś w telewizji.

Tak, dobrze, dam ci ją. Super, tato...

Vickie wyrwała jej słuchawkę.

— Steye? Co się dzieje? — Na jej twarzy malował się niepokój.

Zdjęła okulary i przetarła oczy. Gdy Steye opowiedział całą historię, ogarnął ją lęk.

Ale oczywiście nie widziałeś jej tamtego wieczoru? — Ostatnie słowo prawie wykrzyczała.

— Vickie, co za pytanie! Oczywiście, że nie. Tak powiedziałem policjantom. I taka jest prawda.

— Jasne, że powiedziałeś im prawdę — odparła pośpiesznie. — Jestem zdumiona, to znaczy tym, co jej się mogło stać. Ciekawe, gdzie teraz jest.

— Do diabła, skąd mogę wiedzieć? Ale jedno wiem na pewno. Potrzebuję prawnika.

Pożegnał się mówiąc, że zadzwoni później, gduż porozmawia z doradcą prawnym rodziny, i żeby się nie martwiła i nic nie mówiła dzieciom. Vickie odłożyła słuchawkę.

Potem automatycznie sięgnęła po papierowe ręczniki, uklękła i zaczęła zbierać kartofle z podłogi. Żołądek lekko ścisnął się jej ze strachu. Pieczony kureczak nagle przestał wyglądać apetycznie.

Podawała dziewczynom kurczaka, kartofle zastąpiła tostami, nalała sobie kieliszek chardonnay i usiadła przed telewizorem. Oglądała wszystkie dzienniki i czekała na telefon od męża.

Rozdział VI

Czerwona monza coryette roadster rocznik tysiąc dziewięćset siedem dziesiąty wspinała się na wzgórze ulicą La Cienega, tkwiąc w podwójnym szeregu jadących zderzak w zderzak samochodów. Na czerwonych światłach warczała tak samo niecierpliwie jak jej właściciel. Zjechała na prawy pas, przecinając drogę jakiemuś BMW, ostro zakręciła na Sunset, wyprzedzając powolniejsze samochody, wpadła na lewy pas, a potem popędziła Queens Road na Hollywood Hills.

Al uśmiechał się, biorąc kolejne zakręty. Gładko jak po jedwabiu, pogratulował sobie czy raczej samochodowi. Natknął się na tę coryettę — która wówczas była prawdziwym wrakiem — u sprzedawcy używanych samochodów dziesięć lat temu i natychmiast się w niej zakochał. Dał za nią zaledwie pięćset dolarów gotówką. Wszystko, co można było od niej oderwać, zostało dawno oderwane i musiał ją holować do domu. Zajął się coryettą tak troskliwie, jakby była chorym człowiekiem, i doprowadził do kwitnącego stanu. Przez te wszystkie lata wydał na nią wiele więcej, niż gdyby od razu kupił nowy samochód. Kosztował wtedy prawie pięć tysięcy. Ale coryetta stała się jego ukochanym dzieckiem, jego Frankensteinem, doprowadzonym z wielką troską do oryginalnego wyglądu. Nie pozostała na niej najmniejsza rysa, każdy detal znalazł się, na swoim miejscu, a wszystkie metalowe powierzchnie Al wypolerował tak, że lśniły chromem.

Silnik, wyremontowany własnoręcznie, został dodatkowo podrasowany. Al Giraud spędzał całe godziny w garażu, bawiąc się nim. Czterobiegowa ręczna przekładnia nadal była najlepsza ze wszystkiego, co wymyślono w mechanice samochodowej; teleskopowa kolumna kierownicy była jedną

z pierwszych tego rodzaju, a ponieważ Al sam zaprojektował fotele, zrobiło się dużo miejsca. Potrzebował go, bo miał metr osiemdziesiąt osiem wzrostu.

Wyposażył samochód w piękną skózaną tapicerkę, elementy drewniane wykonał z orzecha i w ten sposób dorobił się zupełnie wyjątkowego pojazdu.

W dzieciństwie marzeniem Ala — utwierdzały go w tym jeszcze filmy, jakie oglądał — była właśnie coryetta, oczywiście czerwona. I szybka. Teraz nawet dla piekielnie drogiego mercedesa 5500 Marli czy porsche ani nawet ferrari albo lamborghini — oczywiście gdyby go było na coś takiego stać — nie porzuciłby tej pierwszej miłości.

— Lojalny do szaleństwa. Taki właśnie jestem — powiedział do Marli i uśmiechnął się, gdy skarżyła się na za niskie fotele i hałas silnika. — Gdy już raz się zakocham, Kocham na zabój i aż do śmierci.

Rzuciła mu jedno z tych swoich ukośnych spojrzeń, ale w jej pięknych, szarzielonych, ocienionych długimi rzęsami oczach pojawiła się iskierka nadziei. Może on naprawdę taki jest. I to nie tylko w stosunku do samochodów.

Dom Ala był starszy niż samochód, bo pochodził z tysiąc dziewięćset trzydziestego roku. Była to pokryta stiukami willa w hiszpańskim stylu, z wysokimi, łukowymi oknami, parkietami z twardego drewna, belkowanymi sułitami i pięknie wykutymi z żelaza kratami na drzwiach i oknach. To, co kiedyś stanowiło element dekoracyjny, dziś dawało poczucie bezpieczeństwa. Podwórce przed domem pokrywała terrakota, po lewej stronie znajdował się wolno stojący garaż. Po prawej rósł rząd wysokich, strzelistych cedrów, odgradzając posiadłość Ala od sąsiadów. Chcieli, by przyciął drzewa, ale on wolał zachować prywatność. Z tyłu, za domem, miał miłe patio z fontanną, również z terrakoty. Z palcem na przycisku zdalnego otwierania Al skręcił w przecznicę Queens i wjechał na podwórce. Drzwi garażu otworzyły się bezszelestnie. Przez chwilę siedział w chłodnym półmroku, wsłuchując się w szum silnika, niemal tak samo prawdziwy i cenny jak bicie własnego serca. Poklepał czule wykładany skórą fotel, zdmuchnął pyłek kurzu z tablicy rozdzielczej. Nienawidził wysiadać z tego samochodu.

Jak cudownie, pomyślał, gdy spełni się choć jedno z własnych marzeń. Taki samochód był absolutnie poza jego zasięgiem w czasach, gdy jako ubogie dziecko w Nowym Orleanie marzyło nim w ciemnej sali kinowej. Teraz coryetta należała do niego i cieszył się każdą chwilą, jaką w niej spędzał.

Zadzwoił telefon komórkowy.

— Słucham?

— Stawiam pięćdziesiąt dolarów na to, że siedzisz w tej cholerniej coryecie, gratulując sobie, że tak daleko doszedłeś od czasów, gdy jako biedne dziecko oddawałeś się w kinie marzeniom.

Westchnął.

— Marla, co masz przeciwko mojej coryecie? Zachowujesz się, jakby to była inna kobieta.

— Bo tak ją traktujesz.

— Och, Marla, daj spokój. Dlaczego nie pozwolisz mężczyźnie na drobne przyjemności?

— Wiem, wiem. To twoja duma i radość. Wiem też, jakie miejsce zajmuję w twoim sercu. Zdecydowanie drugie.

Do uszu Marli dotarł śmiech Ala.

— Czyż nie mówi się, że każdy szuka w życiu właściwego miejsca?

— I ja znalazłam swoje. To chcesz mi powiedzieć?

• Marla gwałtownie westchnęła i Al wyobraził sobie, jak siedzi w negliżu, z telefonem wciśniętym między ramię i ucho, malując paznokcie lakierem tak czerwonym jak jego coryetta. W rzeczywistości był to na pewno kolor morwy albo niebieski jak niebo, w zależności od jej nastroju.

- Jestem w pracy - powiedziała Marla, wygładzając fałdkę na szarej flanelowej spódnicy i mpinając żakiet, który włożyła na podkoszulek. Włosy zaczesła skromnie do tyłu i przytrzymała je sztykretową Idarnrą. Na tę okazję zabrała też małe okragłe okulary od Armaniego w sztykretowych oprawkach. Miała dobry wzrok, ale dziś grała rolę pani profesor, bystrej intelektualistki. —

Za dwie minuty mam wykład - dodała - I co powiedział Buiworth?

Al uśmiechnął się. To tyle, jeśli chodzi o negliż i malowanie paznokci.

— Tak jak myśleliśmy. Nie ma wątpliwości, że Lamie Martin została uprowadzona i najprawdopodobniej zamordowana. A Steye Mallard, jak się wydaje, był osta(nią osobą, która ją widziała, chociaż się upiera, że nie Laurie przyszła na spotkanie. Jest więc teraz głównym podejrzanym numer jeden.

— Al, on może być albo głównym podejrzanym, albo podejrzanym numerj eden. — Marla przywiązywała wagę do znaczenia słów, gdy zajmowała się problemami prawnymi.

— Tak, jednak ten facet jest i jednym, i drugim. Na razie trudno go oskarżać Nie ma ciała, nie ma żadnych dowodów, więc nie można go aresztować Nadal pracuje w San Diego, a jego zona i dzieci sąw rodzimym domu w Encino.

Marla zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

— Nie wyczuwałam w nim złych wibracji, gdy go spotykaliśmy. Wydawał mi się całkiem normalny.

— Oni wszyscy są tacy. — Al widział już porywaczy, mężczyzn bijących żony, uchylających się od płacenia alimentów, oszustów. I morderców. — W każdym razie prawie na pewno zdradzał żonę z Lamie.

— No tak, wydaje się, że rozł*a źle wpływa na uczucia, przynajmniej w tym przypadku — przyznała Marla. — Ale na jego korzyść działa zasada domniemanej niewinności.

Al pokiwał głową. Przez Marłę przemawiała w tej chwili prawniczka.

23

— I korzysta z tego prawa. Do chwili, gdy zostanie znalezione ciało.

— Albo dopóki nie znajdzie się Laurie Martin, cała i zdrowa, bo wzięła sobie na przykład parę dni urlopu w jakimś meksykańskim uzdrowisku.

— Niech ci będzie, skarbie. — Al się poddał.

— Co zrobimy z tą biedną kobietą?

— Z jaką biedną kobietą? — zdziwił się Ali spojrzał na zegarek. Za dziesięć minut był umówiony z klientem w swoim biurze na Sunset.

— Z Vickie Mallard. Zoną.

— Nie wiem, o co ci chodzi... słuchaj, muszę jechać. Czeka na mnie klient. Zadzwoń do ciebie potem, dobrze?

— Dobrze. — Marla także spojrzała na zegarek. Och, też była spóźniona, a te cholerne dzieciaki nigdy jej tego nie darują. Pobiegła jasnym korytarzem do swojej sali wykładowej. Nie zauważała ani zwracających się ku niej głów, ani pełnych podziwu uśmiechów. Nawet prosta szara flanelowa spódniczka i okulary nie odebrały jej seksapilu.

Myślami była daleko stąd. Vickie Mallard, której nawet nie znała, cały czas zaprzętała jej uwagę. Czy Steye Mallard lata za spódniczkami? To prawdopodobne. Czy jest mordercą? Możliwe. Ale Marla tak nie uważała.

Gdy skończyła wykład, zadzwoniła na policję w San Diego i poprosiła o połączenie z detektywem Bulworthem. Użyła swojego wdzięku i po kilku minutach miała już numer adwokata Steye”a Mallarda. Od razu skontaktowała się z jego kancelarią.

— Pan Zuckerman jest na spotkaniu. Czy może zadzwonić do pani później? — spytała sekretarka wysokim, śpiewnym głosem. Zapewne tę samą odpowiedź słyszy każdy, kto nie wydaje jej się wystarczająco ważnym klientem, pomyślała Marla z irytacją.

— Nie, nie może — warknęła. Nazywam się Cwitowitz, adwokat Marla Cwitowitz. Proszę powiedzieć Zuckermanowi, że dzwonięw sprawie Steye”a Mallarda.

Zapanowała cisza, potem rozległa się seria kliknięć i odezwał się Joe Zuckerman.

— Pani Cwitowitz? Podobno ma pani jakieś informacje o moim kliencie, panu Mallardzie.

— Tak. Panie Zuckerman, chodzi o to, że widziałam go dwa razy w towarzystwie Laurie Martin. — Usłyszała, jak Zuckerman wciąga powietrze i wyobraziła go sobie jako starszawego, siwego mężczyznę, specjalizującego się w sprawach dotyczących nieruchomości, a nie w prawie karnym. — Panie Zuckerman, chciałam jeszcze dodać, że oprócz tego, że jestem prawniczką, pracujęjako prywatny detektyw. — Kłamiąc, skrzyżowała palce i spojrzała w niebo. Zresztą była to prawie prawda albo nią będzie, zanim skończy się dzień. — Mój partner Al Giraud i ja widzieliśmy ich w barze hotelu „Ritz-Carlton” w Laguna Niguel. Wyglądało to na pierwsze spotkanie pańskiego klienta z Laurie Martin...

Opisała mu to spotkanie i opowiedziała, jak natknęli się na tę parę po raz drugi, w hotelu „La Valencia” w La Jolla.

— Ponieważ jest pan adwokatem pana Mallarda, chciałam pana poinformować, że mimo iż pili szampana, wyglądało to na spotkanie w interesach. To znaczy, nie trzymali się za ręce, nie patrzyli sobie czule w oczy...

— Rozumiem, o co chodzi — przerwałjej Zuckerman. W jego głosie słychać było powściąganą niecierpliwość. — Ale dlaczego pani sądzi, że to pomoże mojemu klientowi?

— Może jemu niewiele, ale z pewnością pomoże jego żonie — odparła Marla ostro. — Dzwoniąc do pana, myślałam głównie o niej.

Podiała numer telefonu swój i biura Ala na wypadek, gdyby Zuckerman chciał się skontaktować, i pożegnała się niepewna, czy postąpiła dobrze. Czy w tej chwili yickie Mallard choć trochę obchodzi, kto widział jej męża z Lauric Martm Zapewne połowa mieszkancow twierdziła, że ich widziała

Wzruszyła ramionami, spakowała czarną skórzaną teczkę i powoli niszyła do domu. Nie mogła uwolnić myśli od Vickie Mallard ijej córek.

Była już w Brentwood i przeciskała się samochodem przez korki, gdy przyszła jej do głowy nowa myśl: a jeżeli się myli i Steye Mallard jest winny?

Rozdział VII

Tydzień później nadal nic nie było wiadomo o losach Laurie Martin i detektyw Lionel Bulworth szalał.

— Niech to szlag — klął. Przemierzał biały dywan w willi Laurie Martin po raz co najmniej setny, zostawiając na nim ślady ogromnych butów. — Dowody przeciw Steye”owi Mallardowi są niemal niepodważalne. Mamy wszystko prócz ciała.

Jego asystentka, detektyw Pamela Powers którą przyjaciele nazywali czule „Pammie”, a współpracownicy uszczypliwie dodawali przed jej nazwiskiem Pow z wykrzyknikiem, Potęga!, bo nigdy się nie wahała i doprowadzała wszystko do końca — zmarszczyła czoło.

— Chcesz powiedzieć, że jeszcze jeden porywacz się wymiga? — Jej usta wygięły się pogadliwie. — Nigdy, jeżeli ja będę tu miała coś do powiedzenia... sir — dodała po chwili, uzmysławiając sobie, że Bulworth jest jej przełożonym. Starannie schowała rude włosy pod czapkę i wyprostowała plecy. — Ten łajdak jest winny!

Bulworth spojrział na nią zamyślony. Czasami feministyczne poglądy Pammie zakłócały jej zdrowy na ogół sposób rozumowania.

— Pammie, czytałaś za dużo kryminałów — stwierdził. — A co powiesz o tej drobnej przeszkodzie, jaką jest brak ciała?

— Na pewno je znajdziemy. On popełni błąd i doprowadzi nas do zwłok. Ten facet jest przerażony jak zapędzony w kął szczur. Nic nie zmyślam... sit

Bulworth westchnął. Jego ekipa przeczesала gęstym grzebieniem mieszkanie Laurie. Zbadano każdy włos, każde włókienko, każdy odcisk palca. I nic. Nie znaleźli żadnych śladów obecności kogoś obcego. Pewnie Laurie nigdy nie przyjmowała w domu gości, nigdy też nie wszedł tam Steye Martin. Ale Bulworth chciał to osobiście sprawdzić jeszcze raz. Tak działa na człowieka lustracja. Nie mógł uwierzyć, że nic nie znaleziono, że w mieszkaniu nie było najmniejszego śladu pozwalającego na wykrycie sprawcy. Może jednak coś by się znalazło, choć mogło być tak oczywiste, że nie przyciągało uwagi.

Laurie Martin prowadziła spokojne życie. Chodziła do pracy, w agencji — jak się wydaje — była ceniona, w niedzielę uczęszczała do miejscowego kościoła.

Bulworth miał już grube akta na temat Laurie Martin i Steye”a Mallarda. Zgłaszali się świadkowie twierdzący, że widzieli ich razem w barze albo jedzących kolację w restauracji, albo jadących lexusem. Na automatycznej sekretarce domowego telefonu Laurie pozostały wiadomości od Steye”a. Był to stary magnetofon i Laurie nie zwracała sobie głowy kasowaniem nagrań. Wyglądało na to, że Laurie nie miała prywatnego życia. Jedyne wiadomości na sekretarce pochodziły od Steye”a, a i one były do niczego nieprzydatne: „Spotkamy się jutro o szóstej.” Albo: „Zaczynam tracić cierpliwość. Proszę, oddzwonić.” Czy też: „Będę tam o siódmej. Może pójdziemy razem na kolację?”

Te krótkie zdania można było różnie interpretować. Bulworth uznał je za groźby. Już teraz mógłby przyszykować przeciw Mallardowi śliczny poszlakowy procesik. Próbowalby

udowodnić, że Mallard był natrętny, a ona go odrzuciła. Bulworth zgadzał się ze swoją asystentką, która uważała, że Mallard zabił Laurie Martin w szale zazdrości. Tyle że nie mógł nic zrobić, póki nie znajdzie ciała.

Rozdział VIII

Dwieście kilometrów dalej, w San Francisco Valley, Steye Mallard jechał do domu w Enemo tak wolno, jak to było możliwe na zatłoczonej autostradzie. Nie spieszyło mu się do spotkania z żoną. Nie miał dla niej dobrych wiadomości.

Właśnie wypuszczono go po kolejnym wyczerpującym przesłuchaniu w Lagunie. Zacisnął szczęki, przypominając sobie zaciętą twarz detektywa Bulwortha i świdrujące oczy detektywa Powers. Ta kobieta wyglądała tak, jakby mogła podnieść gojedną ręką i posiekać na kawałki. I co gorsza, sprawiała wrażenie, że tylko o tym marzy.

Steye widział wystarczająco dużo filmów i czytał dość książek z czarnej serii, by wiedzieć, czego się może spodziewać. Zdawał sobie sprawę, że musi się upierać przy tym, co już powiedział. Nie wolno mu zmienić ani jednego słowa, bo jeżeli da tym draniom najmniejszy choćby pretekst, zaraz zrobią z tego kilometrowe oskarżenie. Do tej pory wierzył, że policja jest po to, by go bronić. Teraz rozumiał, że to podle kłamstwo. Wypożyczony czarny ford taurus jęczał na niskim biegu. Steye nie chciał się znaleźć w domu, nie chciał się spotkać z żoną. Bał się stanąć z nią twarzą w twarz i powiedzieć to, co musiał. Ale nie miał wyboru.

Po raz setny odtwarzał sobie w myśli przesłuchanie. Przyznał, że był w tamtym domu wtedy, gdy umówił się z Laurie. Powiedział im, że czekał na dworze. „Ale drzwi frontowe były otwarte” — przypomnieli mu. Odparł, że wiedział o tym. Czekał na Laurie, wszedł do domu i rozejrzął się. Dom mu się spodobał i miał nadzieję, że będzie go na niego stać.

Upierali się, że Laurie na pewno przyszła. Z jakiego innego powodu drzwi frontowe mogły być otwarte? „Może jakiś inny agent pokazywał klientowi ten dom” — odpowiedział po namyśle. Przez cały czas panował nad sobą. Wiedział, że najważniejsze jest, żeby każdą odpowiedź dokładnie przemyślał.

Popatrzyli na niego z zimną obojętnością. „Ale tylko Lamie miała klucze i nikt pana nie widział po tym, jak wyszedł pan tamtego popołudnia z pracy. Był pan w domu, który Laurie miała panu pokazać. Gdzie pan pojechał potem?”

— Wróciłem do hotelu — wyjaśnił i taka była prawda. — Spędziłem całą noc sam w hotelowym pokoju.

„Może pan to udowodnić? O której pan przyszedł do hotelu? Czy ktoś pana widział?” W kółko powtarzali te same pytania. Za każdym razem odpowiadał dokładnie tak samo. Upierali się, że nie ma żadnych dowodów, iż mówi prawdę, a on czuł się coraz bardziej zdeprymowany; nerwy odmawiały mu posłuszeństwa, cierpliwość się wyczerpywała.

W końcu puścili go wolno. Musieli. Nie zdobyli żadnego niezbitego dowodu, nic, co by go wiązało bezpośrednio ze zniknięciem Laurie Martin. Nadal nie znaleźli też jej ciała.

I wtedy wybuchła bomba. Musiał o wszystkim powiedzieć yickie.

Przyjemna podmiejska dzielnica, w której mieszkali, ciągle jeszcze wyglądała jak nowa.

Starannie uprawiane frontowe ogródki, kosze do piłki wiszące na drzwiach garaży, tyżworolki rzucone na podjazdach. Dałby wszystko, żeby czas się colbał.

Zaparkował wypożyczony samochód na podjeździe i wszedł do domu. yickie siedziała w bawialni, na kanapie pokrytej niebieską tkaniną. Telewizor był włączony, a ona, jak zwykle w ostatnich dniach, oglądała wiadomości. Słyszając dźwięk otwieranych drzwi, skoczyła na równe nogi i przy- cisnęła rękę do serca, które zaczęło bić jak oszalałe.

— Kto tam?

— To tylko ja. — Steye stanął na progu bawialni i jej serce jeszcze raz podskoczyło w piersi. Wyglądał okropnie. Cienie pod oczami, nie ogolony, włosy rozczochrane, jakbyjechał całądrogę z San Diego z opuszczonymi szybami. Zaskoczona pomyślała, że to nie jest ten mężczyzna, którego знаła od osiemnastu lat. Chociaż nie. Przypomniała sobie, jak wyglądał, gdy się poznali: szalony, dziki, żarzący się jak płomień, gotów natychmiast się rozpalić.

— Co się stało? Dlaczego przyjechałeś? — O tej porze powinien być w pracy.

Steye odłożył teczkę na stolik, powoli zdjął marynarkę.

— Gdzie są dziewczynki? — spytał.

— U Shauny Lyons. Bawią się zjej dziećmi. Staram się, żeby jak najmniej siedziały w domu — dodała ponuro. — Dziś po raz pierwszy te hieny z mediów zostawiły nas w spokoju. Będą żałować, że nie było ich tu, gdy wróciłeś. Na razie jedyne, co zdobyli, to moje zdjęcia w samochodzie, gdy jechałam po zakupy albo odwoziłam dziewczynki do szkoły.

— Vickie. — Stał na środku pokoju, ręce zwisały mu bezwładnie po bokach: ruina człowieka, nieszczęśnik przeżywający koszmar na jawie. — Firma zawiesiła mnie w obowiązkach. To, czy będę u nich dalej pracować, zależy od wyników śledztwa.

Gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

— Powiedzieli, że będzie dla mnie lepiej, jeżeli wezmę urlop., aż sprawa się wyjaśni. Odebrali mi samochód, gabinet, wszystko.

yickie zachwiała się na nogach. Opadła na kanapę, zakryła twarz rękami. Waliło się całe jej życie. Ludzie jej unikali, i to ludzie, których uważała za przyjaciół. A ci, którzy pozostali lojalni, ostrzegali ją, by uważała na siebie i dziewczynki... i opuściła męża.

— yickie, nie zabiłem jej — powiedział Steye martwym głosem. Wszystkie emocje zostały z niego wysane, czuł jedynie pustkę w miejscu, gdzie dawniej były uczucia. Podszedł do żony, uniósł jej podbródek zmuszając, by na niego spojrzała. W oczach zapalił mu się płomień. — Wierzysz mi?

— Tak... — odpowiedziała, ale jej głos drżał niepewnie.

— Nie przejmuj się. Nawet gdybyś mi nie wierzyła, nie będę ci miał tego za złe — powiedział z goryczą. — W końcu nikt minie wierzy, więc dlaczego ty byś miała?

Puścił j podszedł do okna i zapatrzył się w szmaragdową wodę bas enu, lśniąca w słońcu, róże, które zasadził, gdy tylko się tu wprowadzili, pasiaste ręczniki plażowe

rzucione niedbale na plastikowe leżaki przez jego córeczki; w te zwykłe oznaki normalnego życia.

— Mogę ci tylko powiedzieć, że nie zabiłem Laurie Martin. Nawet jej nie widziałem tamtego wieczoru. Ledwo ją znałem.

Spotykaliśmy się jedynie w interesach. Była ładną i miłą kobietą i dobrą agentką handlu nieruchomościami. Chciała znaleźć dla nas przyjemny dom...

yickie spojrzała na męża. Tak bardzo pragnęła mu uwierzyć. I wierzyła mu. Kochała go czasów college'u, był ojcem jej dzieci. Znała go lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Ale gdzieś w zakamarkach umysłu tłukło się pytanie, które zadawali sobie wszyscy: Jeżeli tej kobiety nie zabił Steye, kto to zrobił?

Rozdział IX

Tego wieczoru Steye zachowywał się jak każdy ojciec. Porządnie uczesany, w szortach i podkoszulku, przygotował na grillu hamburgery i hotdogi dla dzieci. Potem całą rodziną usiedli przy stole na patio i prowadzili prawie normalną rozmowę.

— Tato, chyba jesteś zmęczony — stwierdziła, starsza, dziesięcioletnia Taylor, pogryzając od niechcenia cheeseburgera, który dotychczas stanowił jej ulubioną potrawę.

— Musisz zjeść też trochę zieleniny — zauważył Steye i nałożył jej sałatki.—Aty,Mellie? Sześćoletnia dziewczynka, drobna jak matka, ale z brązowymi oczami ojca, popatrzyła na niego w wahaniem

— Nie, dziękuję — odparła uprzejmie. — Ale Taylor ma rację, tato. Wcale nie wyglądasz dobrze.

Vickie nalała sobie kolejną szklaneczkę chardonnay. Nie patrzyła ani na męża, ani na córki.

— Chodzi o tę zaginioną kobietę, prawda? — kontynuowała Taylor. — Tato, wszyscy o tobie mówią a w telewizji to już bez przerwy.

— Tak... — Gdy Steye brał sałatkę, na którą zresztą wcale nie miał ochoty, drżała mu ręka.

Wiesz, z początku myślałam, że to super. No wiesz, mój tato w telewizji! Ale teraz... — W oczach Taylor pojawiły się łzy. Gwałtownie odłożyła cheeseburgera na talerz.

— Przykro mi, Tybr, naprawdę mi przykro, że musicie przez to przechodzić. — Steye zacisnął pięści. O Boże, o mój Boże, co ja im zrobiłem? Jak to się mogło stać mnie..., nam?

— Och, tato, nie martw się. — Mellie zsunęła się z krzesła, podbiegła do niego, objęła go cienkimi ramionkami i mocno uściśnęła. — Nie obchodzi mnie, co mówią. My cię kochamy.

— Ja też cię kocham, malutka. — Głaskał ją po włosach, gdy ponad stołem napotkał wzrok Vickie.

— Nie wytrzymam tego — powiedział nagle. — Muszę stąd zniknąć. Potrzebuję samotności, by się zastanowić nad tym wszystkim.

Gdzie pójdziesz? Vickie nie odezwała się na głos, jednak Steye wiedział, że właśnie to pomyślała. Policja nie spuszczała go z oka mógłby uciec, na przykład do Meksyku... albo zabić następną osobę.

— Pojadę nad jezioro Arrowhead, do naszego domku. Tam, w górach, jest spokojnie, odgradzę się od tego wszystkiego... od tej presji. I nie martw się o mnie — dodał wiedząc, o czym myśli Vickie. Powiem Zuckermanowi, gdzie się wybieram.

— Arrowhead? — Taylor uwielbiała ich domek nad jeziorem, w górach San Bernardino. Możemy jechać z tobą? Och, tato, proszę, chociaż na kilka dni. Cudownie byśmy się bawili!

Podbiegła do niego z drugiej strony i przytuliła się. Steye objął obie córki, pod rękami wyczuwał ich drobne, kościste ramionka. Z całej siły powstrzymywał się od płaczu.

— Wszystko, na czym mi zależy, jest tutaj, w domu — odezwał się spokojnie do Vickie.

— Chciałbym, żebyś o tym pamiętała.

Patrzyła szeroko otwartymi oczami, gdy całował delikatne, miękkie włoski córek, apotem łagodnie odsuwał.

— Koteczki, przepraszam was — powiedział, udając wesołość — ale dziś nie możecie pojechać ze mną do Arrowhead. Może później, w przyszłym miesiącu... Dziś tatuś pojedzie na ryby sam.

Vickie zaczęła krzyczeć. I wtedy Steye zdał sobie sprawę, że oślepiają ich flesze fotoreporterów.

— Wynocha! — krzyczała yickie. Już biegła, ściskając w ręku butelkę wody mineralnej. Krzyczała na dwóch mężczyzn, którzy przykucnęli w krzakach. — Wynoście się! Jazda mi stąd, łajdacy! Won z mojego domu!

Dziewczynki też krzyczały, przerażone obecnością obcych ludzi i widokiem rozhisteryzowanej matki.

— Mamo, mamo, co się dzieje... och mamo..., kto to...? — Rozpaczliwie wtuliły się w ojca, a Steye stał, czerpiąc z nich siły. Spoglądał w niebo, żeby nie zobaczyły grymasu przerażenia na jego twarzy. Ten grymas przemienił zwykłego mężczyznę, mieszkającego z rodziną w podmiejskiej dzielnicy willowej i jedzącego w miły letni wieczór na patio swojego domu kolację z dziećmi i żoną, w człowieka, na którego się poluje. W człowieka cierpiącego.

Vickie nadal stała przy krzakach, w których schowali się reporterzy z brukowego pisemka. Patrzyła na swoje ulubione kwitnące rośliny tak, jakby zostały skażone trucizną. Steye podszedł i położył jej rękę na ramieniu.

— Powiniennem wyjechać — powiedział. — Gdy paparazzi się przekonają, że mnie tu nie ma, zostawią was w spokoju. Tak będzie lepiej dla ciebie. I dla dziewczynek.

Skinęła głową ale nadal na niego nie patrzyła.

— Pomogę ci się spakować.

— Nie potrzebuję dużo rzeczy.

— Wez kurtkę W gorach noce są zimne

Rozmawiali ze sobąprzejmie, nie podnosząc głosu. Cały czas spoglądali na corki Taylor i Mellie trzymały się za ręce i połykały łzy Były wystraszone.

— Mamo, co się dzieje? Czy tato zabił tę kobietę? Czy o to chodzi? — Radosny nastrój Taylor był już tylko wspomnieniem Teraz wyglądała jak przestraszona mała dziewczynka.

— Kochanie, nikogo nie zabiłem — Szepcząc te słowa do ucha Taylor, Steye mocno ją przytulił — Zobaczysz, za parę tygodni wszystko się wyjaśni Policja znajdzie Laurie Martin i znow będziemy żyć jak dotąd

— Tato, obiecujesz? spytała Taylor Jej usta drżały, a serce Steye „a omal nie pękło.

— Kochanie, obiecuję. Zobaczysz, będzie tak jak dawniej.

Tego samego wieczoru, gdy mąż odjechał wypożyczonym fordem taurusem, a dziewczynki leżały w łóżkach i wreszcie splakane zasnęły, Vickie zadzwoniła do doradcy prawnego rodziny

— Wydaje mi się, że już nie znam Steye”a — zaliła się Wiedziała, że nie może ufać przyjacielowi ojca i nie obawiała się, że poda jej tajemnice do powszechnej wiadomości

— Dzisiaj patrzę na niego zupełnie inaczej Wiesz, gdy obejmuje nasze corki, zaczynam się zastanawiać, czy to nie on zabił tę kobietę. Może dźgnął ją nożem? A może udusił? I co zrobił z ciałem? Potem mówię sobie, że zwariowałam, przecież przez te wszystkie lata kochałam go. Jesteśmy małżeństwem od dwunastu lat... zawsze był przyzwoitym mężczyzną, dobrym mężem, dobrym ojcem... jak mogę go podejrzewać?

— Vickie, to naturalna reakcja. — Głos Zuckermana był spokojny, pocieszający. Czekał, aż przestanie szlochać. — Posłuchaj, dziecko, znam cię od urodzenia, a Steye”a niemal tak samo długo jak ty i nigdy nie miałem co do niego żadnych wątpliwości.

— Ja też nie. Aż do teraz.

Adwokat westchnął. Rozumiał jej tok myślenia.

— Kochanie, nie wytrzymujesz presji wywieranej przez media.

— Ale czy on mógł mieć romans z tą Martin? — Vickie miała wrażenie, że serce tłucze jej się w gardle, gdy stawiała pytanie, którego do tej pory nie ośmieliła się wypowiedzieć na głos. — Gdyby nie miał romansu, po co spotykałby się z nią na drinku i zapraszał na kolację? Czy nie jest to wstęp do romansu?

Zuckerman musiał przyznać, że Vickie ma rację. Przypomniał sobie Marłę Cwitowitz.

— yickie, posłuchaj. Dzwoniła dzisiaj do mnie pewna kobieta, prawniczka, która pracuje jako prywatny detektyw. Zadzwoniła, bo martwi się o ciebie.

— O mnie? Przecież jej nie znam.

— To prawda. Ale pani Cwitowitz powiedziała, że dwa razy widziała Steye”a w towarzystwie Laurie Martin. Mówiła, że natknęła się na nich przez czysty przypadek, najpierw w „Ritzu”, w Laguna Niguel. Pili drinka przy barze i według niej było to ich pierwsze spotkanie. Laurie Martin pokazywała Steye”owi zdjęcia domów. Tydzień później spotkała ich na tarasie hotelu w La Jolla. Pili szampana... — Ostry krzyk Vickie zmusił Zuckermana do gwałtownego odsunięcia słuchawki od ucha. — Nie, Vickie, posłuchaj! Pani Cwitowitz chciała mi powiedzieć, a właściwie powiedzieć tobie, że jej zdaniem była to znajomość wyłącznie zawodowa. „Nie dotykali się, nie trzymali za ręce, nie patrzyli sobie czule w oczy” — to jej własne słowa.

— A szampan? — spytała gorzko yickie.

— Dziecino, w naszych czasach wszyscy piją szampana przy każdej okazji, nie tylko podczas wesel. W każdym razie pani Cwitowitz chciała, żebym ci dokładnie powtórzył, co widziała. Sądzi, że to może ci pomóc.

- Kim jest ta Marla Cwitowitz?

— Wykłada prawo na Pepperdine i twierdzi, że jest partnerką tego faceta, Ala Girauda. Sprawdziłem go. To licencjonowany prywatny detektyw, ma spore sukcesy i w swoim środowisku cieszy się dobrą opinią. Vickie gorzkowo zastanawiała się, co zrobić. Wreszcie podjęła decyzję. Joe, masz numer tego Girauda? Chciałabym do niego zadzwonić. Marla rozpędziła swojego wielkiego mercedesa na pełnej zakrętów Queens Road. Było już ciemno. W lewej ręce trzymała papierowy kubek dużej mocnej kawy bez mleka, dwie kostki cukru. Między prawe ucho a ramię wcisnęła telefon komórkowy, a dwoma palcami prawej ręki dotykała kierownicy, chociaż przez chwilę potrzebowała całej ręki, żeby korzystając ze wstecznego lusterka, poprawić błyszczak na ustach. Właśnie się roześmiała, słysząc, jak przyjaciółka określa jej znajomość z Alem Giraudem: „seks, najczystszy seks”. To jej się spodobało.

Skręciła w lewo i wielki samochód wjechał w ulicę, gdzie mieszkał Al i jak prowadzony automatycznym pilotem wśliznął się na podjazd jego domu. Pożegnała się z przyjaciółką, wyłączyła zapłon i wyskoczyła z auta. Chwyciła jeszcze torebkę, nie wypuszczając przy tym z ręki kubka z kawą.

W przeciwieństwie do Ala nie miała romansu ze swoim samochodem. Nigdy nie była biednym dzieckiem, marzącym w kinie o posiadaniu potężnej srebrnej maszyny, która zawiozłaby ją do innego, lepszego, olśniewającego świata. Marla urodziła się tutaj, w Beyerly Hills, w samym sercu najbardziej olśniewającego z istniejących światów. W Hollywood zbiegały się wszystkie drogi i nikt z niego nie chciał uciekać. Rodzice Marli, Maks i Irina, znaleźli w Beyerly Hills swój raj, tak odległy od ciągłych wojen przetaczających się przez Półwysep Bałkański, gdzie spędzili pierwsze lata życia. Pozostawili za sobą wspomnienia o nędzy, o zbyt wielu krewnych poległych w bitwach albo zaginionych i nigdy nie odnalezionych w zbombardowanych budynkach, czy rozproszonych po świecie. Gdy w wyniku podziału Europy po drugiej wojnie światowej Rosja uzyskała wpływy na Bałkanach, oboje byli jeszcze dziećmi. Pozostali bez ojców, bez domu i bez pieniędzy. Ich matki się zaprzyjaźniły, dzieląc nędzną norę w podziemiach zrujnowanego kościoła. Gdy dzieci wystarczająco dorosły, obie należały, by uciekły do wolnego kraju i lepszego życia.

Maks i Irina się pobrali, co uszczęśliwiło obie matki, i wyruszyli w pełną niebezpieczeństw podróż za Żelazną Kurliną, wiedząc, że nigdy już matek nie zobaczą. To była długa, trudna droga, ale wreszcie Ameryka gościnnie otworzyła przed nimi drzwi i dała im obywatelstwo. Tutaj objawił się talent Maksa do interesów, dzięki któremu w ciągu dziesięciu lat stał się potentatem handlu nieruchomościami.

W ciągu czterdziestu lat pracy Maks Cwitowitz sprzedał co najmniej połowę Beyerly Hills, a także sporą część Bel Air i Brentwood i zdobył piękną fortunę. Miał nadzieję, że jego jedyne dziecko, Marla, przejmie po nim interesy „Cwitowitz i córka” — jak by to ładnie brzmiało. Ale Marla już w pieluszkach miała własne zdanie na każdy temat. Większość

rodziców musiała na siłę wpychać swoje dzieci do szkół prawniczych, a Marla sama chciała tam studiować. Zrobiła na UCLA dyplom z wyroznieniem, a potem magisterium. Teraz kończyła pisać pracę doktorską i wykładała na Pepperdine. I chciała jeszcze być prywatnym detektywem. Pragnęła tego tak bardzo, że aż bolało.

33

Otworzyła własnym kluczem drzwi domu Ala, zawołała: „Cześć, skarbie! Już jestem!” i skrzywiła się, pijąc następny łyk kawy. Nie smakowała jej zbyt dobrze. Krzywiąc się, poszła do kuchni, zostawiła kubek na stole i udała się na poszukiwanie swojego mężczyzny. Dom Ala miał męski charakter: bardzo oszczędnie umeblowany; żadnych poduszek na sofach z brązowej skóry wysadzanej ćwiekami; żadnych kwiatów na żelaznym stoliku do kawy ze szklanym blatem; żadnych dywaników na lśniąącym, ręcznie układanym parkiecie. Jednak było w nim czysto, to musiała przyznać. Ekipa sprzątaczy Manuela Vargasa przychodziła co tydzień i pozostawiała mieszkanie w takim stanie, jakby nikt tu nie mieszkał. Ręczniki leżały porządnie ułożone w szafkach, w zlewie nie uświadczyłybyś ani jednego brudnego talerza. Okna lśniły, podłogi błyszcząły, łóżko przykrywała pościel bez jednej fałdki.

Ala nie było, więc Marla rzuciła się na tę niepokalaną czystą pościel, wyciągnęła się i założyła ręce pod głowę. Była ciekawa, gdzie mógł pójść. Zrzuciła pantofle z nóg, usiadła, zdjęła żakiet, rozpięła spódniczkę i zsunęła ją. Ściągając po drodze podkoszulek, poszła do łazienki, całej w chromach i czerni. Wzięła szybki, zimny prysznic i zawinęła się w szary flanelowy szlafrok Ala. Wolalaby, żeby nie miał takiego upodobania do szarości, chociaż w tym roku było to nawet modne. Ten kolor nie działał korzystnie na urodę kobiet, zwłaszcza gdy zmyły cały makijaż. Westchnęła, nałożyła na rzęsy czarny tusz, pociągnęła wystające kości policzkowe brzoskwiniowym różem, potem pomalowała pełne wargi błyszczkiem. Spryskała się jeszcze HERNIES²⁴ Faubourg, wciągnęła z aprobatą zapach i pomaszerowała z powrotem do kuchni. Zabrała butelkę wody eyian i szklanekę, i wróciła do sypialni pana domu. Zresztą w domu były tylko dwie sypialnie, a w drugiej, mniejszej, Al urządził sobie gabinet.

Włączyła telewizor i przeskakiwała z kanału na kanał, aż trafiła na KTLA, lokalną stację nadającą wiadomości o dziesiątej wieczorem. Leżąc wygodnie na szarych poduszkach kanapy, popijała zimną wodę i czekała, aż jej mężczyzna wróci do domu.

Dochodziła już jedenasta, gdy warkot silnika coryetty przebił się przez głos Rolanda Galyana podającego prognozę pogody na następny dzień: „Taka sama jak dziś, w końcu to Los Angeles”. Potem usłyszała dźwięk otwieranych drzwi i szybkie, lekkie kroki Ala na drewnianej podłodze. Al zawsze chodził szybko, był człowiekiem w nieustannym ruchu. „Zupełnie jakbyś się obawiał, że coś stracisz”, skarżyła się Marla.

Uśmiechnął się tym makiawelicznym uśmiechem, który unosił jeden kącik jego ust i lewą brew w sposób, który uznawała za seksowny, i powiedział:— Skarbie, życie jest za krótkie, by tracić z niego cokolwiek, a zwłaszcza.. cza wtedy, gdy ty jesteś przy mnie. I wzięła w swoje — ocli, jakże sitne! — ramiona i jak w prawdziwej powieści zaniósł do łóżka. Boże, jak go kochała. Obdarzyła go radosnym uśmiechem, który rozjaśnił jej twarz, a bajeczne, szarozielone oczy zapewniały go o miłości.

— No, no, babciu, spójrz, kto to śpi w moim łóżku! — zawołał, opierając się o framugę drzwi, z rękami w kieszeniach dżinsów i tym uśmiechem na twarzy. Miał na sobie stary podkoszulek z Pepperdine, który dała mu tak dawno temu, że napis już zszarzał. Lubił nosić stare ubrania.

— Pomylił ci się Czerwony Kapturek ze Złotowłosą i trzema misiami. — Zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów. — Gdzie zniknęli ci prywatni detektywi, wyglądający jak Don Johnson? No wiesz, w pastelowych Inianych garniturach od Arman tego, z kaburą pod pachą Ci, którzy tak ładnie mówili i zapraszali piękną dziewczynę na kolację i martini z wódka, zanim wzięli ją do łózka⁹

Al wzniszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Chyba nastaly inne czasy.

Marla westchnęła tak głęboko, że szary szlafrok uniosł się na jej piersiach Al podszedł do łóżka, pocałował ją mocno w usta, a potem wszedł do łazienki, zdejmując po drodze ubranie

Usłyszała szum prysznica. Wyłączyła telewizor, puściła swoją ulubioną płytę z Sinatrą i Jobimem, położyła się na plecach, zamknęła oczy i czekała

Nie słyszała, jak dzi nie wiedziała, że jest obok, poki nie owionąją zapach Issey Miyake, wody kolonskiej, którą mu dała, przebijającej się przez jego własny, pizmowy, męski zapach

Przebiegła rękami w dół jego szczupłych, gładkich pleców, czując pod palcami węzły mięśni Potem przyciągnęła go za włosy, jego usta dotknęły jej warg

I wtedy zadzwonił telefon

Al podniósł głowę i spojrzal na aparat Potem na Marłę

— Chyba nie chcesz teraz rozmawiac — powiedziała zdumiona

— Moze to warne odparł, ześlizgując się z niej i sięgając po słuchawkę

Marla otuliła się szlafrokiem Wyciągnęła się na plecach, ręce skrzyżowała na piersiach i wpatrzona ze złością w sufit przysłuchiwała się temu, co

mówił Szybko zrezygnowała z wyniosłej pozy, bo zelektryzowała ją słowa

— Och, dobry wieczor, pani Mallard Tak, dobrze się pani dodzwoniła Al Giraud przy telefonie Czym mogę słuzyć?

Marla ze zdumienia otworzyła szeroko oczy i wpatrywała się w Ala

At siedział nago na brzegu łóżka, twarz miał poważną.

— Panie Giraud — powiedziała Vickie drżącym głosem. Al czuł, że jest blisko załamania.

— Chciałabym zlecić panu śledztwo w sprawie mojego męża, to znaczy, chodzi mi o tę kobietę, Laurie Martin.

— Wiem. —Al spiorunował Marłę wzrokiem. Vickie Mallard mogła dostać jego numer tylko od niej.

Po krótkiej rozmowie umówił się z Vickie na jutro u niej w domu. Gdy położył słuchawkę, Marla usiadła i chwyciła go za ramię.

— Co mówiła? — spytała niecierpliwie. — Podejrzewa męża? Po co do niej idziesz?

— Chce, żebym dowiódł, czy jej mąż jest winny, czy nie.

Marla aż sapnęła.

— Czyżby myślała, że to zrobi? Ze zabił Laurie Martin?

Al, ciągle nagi, podszedł do okna. Odsunął czarną zasłonę i zapatrzył się na fontannę, którą ptaki z uporem traktowały jak basen kąpielowy, więc stale musiał ją czyścić z odchodów.

— Chyba sama nie wie, co myśleć. Media ją prześladują. żyje w napięciu... kobiecie nie jest łatwo, gdy jej męża podejrzewa się o morderstwo.

Marla wyskoczyła z łóżka i stanęła obok Ala. Okazja pukała do drzwi, nie przepuści jej.

— Musisz wiedzieć, że to ja zadzwoniłam do adwokata Mallaniów i powiedziałam mu, że ich widzieliśmy. Podałam mu twój numer. Giraud, tamtego wieczom byłam z tobąw barze u Ritza. Wiem o sprawie tyle samo co ty. Z prawnego punktu widzenia upoważnia mnie to do pracyw charakterze twojej partnerki.

— Z prawnego punktu widzenia? — Marla blefem torowała sobie drogę i Al o tym wiedział aż za dobrze.

— Al, daj spokój! Wypróbuj mnie, dobrze? Naprawdę mogę ci pomóc. Łatwo nawiązuję kontakt z kobietami. Pozwól mi się spotkać z Vickie Mallard. Na pewno powie mi więcej niż tobie.

— Marla, nic z tego. Już ci mówiłem, że nie potrzebuję partnera.

Popatrzyła na niego ostro, w jej zielonoszarych oczach pojawiła się fu-, na. Rzuciła się na łóżko i zerwała z siebie szlafrok.

Al uśmiechnął się.

— Mówiłem ci też, że nie musisz się przespać z mężczyzną żeby dostać pracę.

Marla zignorowała go. Ubierała się szybkimi, oszczędnymi ruchami. Po paru sekundach była już gotowa do wyjścia. Odwróciła się i spojrzała na niego z pogardą.

Miała na sobie czarną spódniczkę, białą lnianą bluzkę i lśniące, czarne mokasyny, a teraz zawiązywała wokół ramion czarny kaszmirowy sweter. Zebrała długie, jasne włosy, zawiązała je na karku czarną wstążką, a wszystko to robiła, nie spuszczając z niego wzroku.

— Szowinistyczna świnią — oznajmiła uprzejmym tonem.

Al pomyślał, że może Marla ma rację i Vickie Mallard wolałaby rozmawiać z kobietą. Zwłaszcza gdy Marla wygląda tak jak teraz..., jak uczennica, dobrze wychowana, schludna.

— W porządku — mruknął niechętnie, — Wchodzisz w to.

Maria się uśmiechnęła.

Nie trzeba się przespać z mężczyzną, by dostać pracę — powiedziała z triumfem znowu wyskakując ze spódniczki. — Ale to pomaga.

Rozdział X

Gdy następnego dnia rano Vickie Mallard otwierała Alowi drzwi, była pewna, że takiego mężczyzny jeszcze nigdy nie widziała. Ubrany nietuzinkowo, w dżinsy i podkoszulek,

wyglądał raczej jak gwiazda rocka niż odnoszący sukcesy prywatny detektyw, którego się spodziewała Dzień dobry. pani Mallard. — Wyciągnął rękę, więc niechętnie podała mu swoją. Zupełnie jakby się obawiała, że mogę ją czymś zarazić, pomyślał Al, Powstrzymując uśmiech.

Usiedli w bawialni, ona na kanapie, on w ulubionym starym bujanym fotelu Steye'a. Al Giraud był uprzejmy i przystojny, mówił łagodnym głosem, ale Vickie wyczuwała jakieś zagrożenie. Może zawsze tak jest, pomyślała, gdy korzysta się z pomocy prywatnego detektywa.

Napije się pan kawy? — zaproponowała przypominając sobie nagle o obowiązkach gospodyni. — A może coś zimnego? Colę albo piwo?

Nie, bardzo dziękuję. Co chciałaby mi pani powiedzieć o swoim mężu?

Wzięła głęboki oddech. Spodziewała się, że to ona będzie zadawała pytania, że powie mu, czego od niego żąda, W końcu ona go wynajęła,

— Nie mam wiele do powiedzenia odezwała się wreszcie ponuro. — Tylko to, co pan już wie.

Al pogłaskał palcami szczękę porastającą już granatowym zarostem i spojrzał na Vickie. Marla miała rację, ta kobieta nie będzie chciała mu Opowiadać o mężu.

— Wobec tego, pani Mallard, proszę mi powiedzieć, czego się pani po mnie spodziewa

— Nic nie wiem o prywatnych detektywach — rzekła nerwowo, — To znaczy, nie wiem, jak pracują i co jest im potrzebne, Nie wiem nawet, kim pan jest — dodała gorączkowo pochylając się do przodu. Palce miała mocno Spiecione.

— Doskonale więc najpierw opowiem pani o sobie. — Al był życzliwy, mówił łagodnie, robił co mógł, by ją uspokoić. Wyjaśnił, skąd pochodzi, opowiedział o kilku sprawach, jakie prowadził, chociaż nie wymienił ani jednego nazwiska.

— Pani Mallard, dyskrecja to podstawa mojego zawodu — dodał — więc o to nie musi się pani martwić. Pani mi płaci, a ja pani składam sprawozdania. Nikomu innemu. —

Podniosła głowę i westchnęła z ulgą, a on jeszcze uzupełnił: — Jestem dumny z tego, że odnoszę sukcesy w dziewięćdziesięciu procentach prowadzonych spraw.

— A co z pozostałymi dziesięcioma procentami? — spytała, wbijając w niego spojrzenie.

— Byli winni.

Vickie pożałowała pytania.

— No dobrze. Lawie Martin zniknęła. Kto wie, co się teraz z nią dzieje?, — Al rozłożył szeroko ręce, jakby pokazywał wielkość świata, w którym zaginęła Laurie. - Czy została żabita? Tego jeszcze nie wiemy. Choć wszystko na to wskazuje. A jeżeli ktoś ją zabił, to kto?

— Chcę, żeby pan to wykrył — powiedziała yickie niepewnie. Ten mężczyzna okropnie ją irytował. Po co w ogóle to wszystko zaczynała? Czy nie mógłby po prostu prowadzić śledztwa?

Al nie powiedział jej, że jeżeli Steye jest winny, nie będzie tego ukrywał przed policją. Pragnął poznać prawdę zarówno o Steyie Mallardzie, jak i o Laurie Martin. Teraz chciał się dowiedzieć wszystkiego o przeszłości Steye'a. Marla zajmie się jego teraźniejszością.

— Muszę porozmawiać z pani mężem — kontynuował. Spodziewała się tego. Powiedziała mu, że Steye wyjechał do Arrowhead, by uciec przed dziennikarzami. — A także przed sobą — dodała smutno. — Steye nie znosi teraz samego siebie. Zapisując adres, Al ze zrozumieniem pokiwał głową. — Jego położenie jest bardzo trudne — przyznał. — Na pewno nie może się doczekać, kiedy się to wszystko skończy. — W ten czy inny sposób, dodał w myśli. Właśnie tacy są mordercy. Wyznanie stanowi dla nich katharsis. Znał nawet paru, którzy uśmiechali się po wyznaniu winy... Omówił z yckie swoje honorarium i podał jej rękę na pożegnanie. Była ciepła i silna. Obdarzył ją mocnym uściskiem dłoni. Czy to może coś znaczyć? — zastanawiała się, nabierając nadziei. — Zgłosi się do pani moja asystentka Marla Cwitowitz — powiedział jeszcze Al. — Chciałaby panią zapytać o kilka spraw. Bardziej osobistej natury — wyjaśnił, widząc zdziwienie Vickie. — Nie mam nic do ukrycia. Al spostrzegł wyraz paniki w jej oczach. Znajdowała się już na krawędzi załamania. Bardzo jej współczuł. Okropnie musi się czuć kobieta, która nie jest pewna, czy jej mąż nie popełnił morderstwa. — Skarbie, będzie dobrze uspokoił ją. — O, proszę wybaczyć — usprawiedliwił się zaraz. — Pani Mallard, pochodzę z Południa i do wszystkich mówię „skarbie”, nie mając nic złego na myśli. Ale Vickie nawet tego nie zauważyła. Gdy zamykała za nim drzwi, poczuła się zagubiona, jakby razem z Alem Giraudem odeszła cała nadzieja. Opadła na kanapę i po raz pierwszy, odkąd się to wszystko zaczęło, wybucimęła płaczem.

Rozdział XI

Na spotkanie z Vickie Marla włożyła na siebie to, co uważała za odpowiedni strój dla prywatnego detektywa: czarny golf, krótką czarną skórzaną spodniczkę, czarne zamszowe buty do kostek na dziesięciocentymetrowych obcasach i ogromny, drogi stalowy zegarek, pokazujący czas na trzech kontynentach. Uzupełniła strój aktówką do której wpakowała złoty notatnik i malutki przenośny magnetofon, a także dwie rzeczy, które uwielbiała wręcz „nałogowo”: ostatnią powieść Johna Grishama i opakowanie miętówek. Złote włosy upięła do góry i przytrzymała czarnym grzebykiem, uszach miała szare perły, a usta pomalowała lśniąca ciemną pomadką. Prowadząc srebrzystego mercedesa, myślała zadowolona, że wygląda jak uosobienie odnoszącego sukcesy prywatnego detektywa Coz, szkoda, że Giraud w dzinsach i koszuli w kratkę, zdartych kowbojkach i z zegarkiem „firmy Olympics 95 Swatch, a także

przedpotopową czerwoną coryettą nie wywiera podobnego wrażenia na klientach Nienawidziła jego samochodu, o zbyt dobrze wiedziała, ile czasu Al mu poświęca Dbał, żeby był w idealnym stanie, żeby w razie potrzeby mógł na niego liczyć. Musiała przyznać, że zdarzały się sytuacje, kiedy sprawny samochód okazywał się niezbędny. To były niebezpieczne sytuacje.

Marla wolała nie zagłębiać się w takie rozważania. Wiedziała, że życie Ala wcale nie jest łatwe. Współpracując z nim, będzie szukała prawdy z kobiecego punktu widzenia. Za podstawę swoich rozważań przyjmie logikę. Al wierzył w instynkt. I na tym właśnie polegała różnica między nimi.

Mallardowie mieszkali w nowej dzielnicy willowej. Na niewielkich działkach stały tu ładniutkie domy o trzech lub czterech sypialniach. Każdy z nich miał mikroskopijny, ale starannie utrzymany ogródek i młode drzewko posadzone pośrodku frontowego trawnika, wysokie, podwójne drzwi i kalifornijsko-śródziemnomorską fasadę. Dom Mallardów różnił się od pozostałych tym, że otaczała go banda fotoreporterów.

Marla zaparkowała kawałek dalej, podeszła do drzwi i zadzwoniła. Czuła, jak oczy reporterów prześlizgują się po niej, słyszała szum kamer.

Kto tam? — Głos Vickie Mallard był przytłumiony.

Pani Mallard, tu Marla Cwitowitz. Partnerka Ala Girauda.

— Proszę, mech pani wejdzie przed furtkę z boku i kuchnię. Wolę nie otwierać lontowych drzwi.

Marla popatrzyła na okna. Wszystkie żaluzje były opuszczone, jakby w domu panowała żałoba. Przeszła na skróty przez trawnik do furtki, niemal czując na karku oddechy fotoreporterów.

— Biedna kobieta — szepnęła. — Co zrobiła, że musi to wszystko znosić? Vickie Mallard miała na sobie białe spodnie i czerwoną bluzkę, podkreślającą jeszcze bladość twarzy. Nie umalowała się, oczy miała podkrążone, a usta bezbarwne.

— Współczuję pani — wyrwało się Marli niemal bezwiednie. Vickie wyglądała tak żałośnie. Widać było, że znajduje się na skraju załamania.

— Dziękuję. Vickie powiodła nie widzącym spojrzeniem po przyjemnie urządzonej bawialni. Marla doszła do wniosku, że kobieta nawet nie zauważyła od dawna zwiędniętych kwiatów, stojących w kryształowym wazonie.

— Proszę, niech pani usiądzie — powiedziała Vickie. — Napije się pani czegoś zimnego? A może kawy?

— Proszę się nie trudzić. Nie zajmę pani dużo czasu. Widzę, że jest pani zmęczona.

— Zmęczona? — Vickie roześmiała się, chociaż ten krótki, ostry dźwięk trudno nazwać śmiechem. Chyba już nigdy nie będą mogła zasnąć.

Opadła na kanapę naprzeciwko Marli, która usiadła, krzyżując skromnie nogi w kostkach. Vickie patrzyła na nią z lekkim zdumieniem.

— Pani jest partnerką Ala Girauda?

Marla się uśmiechnęła.

W pracy takie przeciwieństwa są bardzo korzystne wyjaśniła zrećznie. — Zajmuję się obszarami, na które Al wchodzi niechętnie. Jesteśmy dobrym zespołem.

— A na które obszary wchodzi niechętnie? — spytała Vickie.

— Może trudno w to uwierzyć, ale Al jest dżentelmenem. — Marla wyjęła z aktówki żółty notatnik i ulubione pióro, jedyne, które nie zawodziło. — Nigdy by nie spytał o to, jak się układają sprawy między panią a Steye”em. Chodzi mi o pożycie seksualne.

Na twarz Vickie wypłynął gorący rumieniec. Wyglądała jak zawstydzona nastolatka. Dlaczego chce to wiedzieć? — wydusiła.

— Bo to rzecz, o którą policja już pytała Steye”a. Prokurator też będzie go o to pytał. Vickie, musimy to wiedzieć. Czy był dobrym kochankiem? Czy uganiał się za spódniczkami? Czy przesiadywał z kumplami w barach? Jak układały się wasze stosunki? — Marla siedziała nieruchomo, trzymając pióro, gotowa do robienia notatek. — Musimy znać prawdę. To bardzo ważne zarówno dla pani, jak i dla Steye”a.

Vickie pomyślała, że zaraz się roztopi; było jej gorąco z zażenowania. Aż się cała w sobie kurczyła. O takich rzeczach mogła rozmawiać tylko ze swoim ginekologiem. Przecież nie zna tej kobiety. Wygląda jak hollywoodzka wersja prywatnego detektywa z książek Raymonda Chandlera, pokazywana w filmach klasy B. Wcale nie budzi zaufania.

— Panno Citowitz, czuję się urażona tymi pytaniami.

— Cwitowitz — poprawiła Marla.

— Panno Cwitowitz...

— Pani, jeśli wolno prosić.

yickie gwałtownym ruchem odsunęła czarne, kręcone włosy z czoła.

— W coja się wpakowałam?! — zawołała. Wstała i zaczęła przemierzać pokój. — Kim, do diabła, pani jest? Myślałam, że wynajęłam prywatnego detektywa, a dostaję parę meszu gene. Pani Cwitowitz, to nie jest powieść kryminalna, tu chodzi o moje życie.

— To prawda. Proszę mi opowiedzieć o swoim życiu.

Vickie z powrotem opadła na kanapę. Znowu wyglądała żałośnie.

— Był dobry, no wie pani, seks. — Jeszcze raz się zaczerwieniła. — Steye jest miły, uprzejmy, nikomu by nie zrobił krzywdy...

— Vickie, jaki on jest? Tak naprawdę? Proszę mi opowiedzieć, skąd pochodzi, jaki był w dzieciństwie, coś o jego rodzinie, jak się poznaliście.

- Urodził się w Hoboken, w stanie New Jersey. Nigdy się me spotkałam z jego rodzicami. Zerwał z nimi i z tego, co wiem, me rozpacza z tego powodu. Dostał stypendium na USC i tam się poznaliśmy. Pracował podczas studiów, by związać koniec z końcem.

Zakochaliśmy się w sobie. To wszystko.

yickie zamilkła na chwilę, a potem, jakby po namyśle, dodała:

— Moi rodzice me chcieli, żebym za niego wyszła. Nie jest Żydem i nie wydawał się dość dobry dla córki Saltzmanów. Czas i cierpliwość przewyciężyły ich niechęć. Uznali go za ukochanego zięcia, a on przyjął naszą religię i dał im dwie piękne wnuczki. Brakuje im już tylko wnuka, żeby mogli oczekiwać na bar micwę.

- Ja pochodzę z Kalifornii— zapewniła gorąco. — Urodziłam się i wychowałam w Dolinie San Francisco. Ojciec jest dentystą. Zawsze byłam blisko związana z rodziną. Gdy zaszłam w ciążę z Taylor, zrezygnowałam z pracy i skoncentrowałam się na macierzyństwie. Nie chciałam, by ktoś obcy zajmował się dziećmi, Steye też tego nie chciał. Potem urodziła się Mellie. Robiłam to, co robią wszystkie kobiety: chodziłam na basen i salę gimnastyczną, potem spotykałam się z przyjaciółkami na kawie i plotkach,

odwiedzałam matkę, urządziłam przyjęcia urodzinowe i piżamowe prywatki, szłam stroje na Halloween i szykowałam prezenty na Chanukę. Na wakacje jeździliśmy na Hawaje z moimi rodzicami, siostrami, ich mężami i dziećmi. Byliśmy szczęśliwą rodziną. — Aż do chwili, gdy rozpoczął się koszmar — powiedziała miękko Marla.

Rozdział XII

Detektyw Bulworth jadł właśnie lunch w „Jack”s Deli”. Bar znajdował się niedaleko komendy i detektyw zaszczycał go swoją obecnością prawie codziennie. Zamawiał zwykle zrazysz tłuczonymi kartoflami albo pieczeń z kluskami, nie przejmując się w najmniejszym stopniu zawartością, cholesterolu i tłuszczów. Był silnym, twardym mężczyzną; żaden cholesterol nie mógł mu zaszkodzić.

Ponieważ był na lunchu, telefon odebrała Paminie Pow! Powers. Siedziała pogrążona po uszy w papierkowej robocie, walczyła z krnąbrnym komputerem i dzwonek telefonu wcale jej nie ucieszył.

— O co chodzi? — spytała, nie odrywając złowrogiego spojrzenia od ekranu. Kiedy wreszcie obsługa tej cholernej rzeczy będzie tak łatwa, jak obiecywali? Niemożliwe, żeby tylko ona miała z tym kłopoty. Wszyscy się skarżyli. Może należy się kilka dobrych słów staroświeckiej maszynie do pisania i faksowi, zastąpionemu teraz przez pocztę elektroniczną...

— Co takiego?! — krzyknęła. Nie patrzyła już na ekran. Zacisnęła w rękę słuchawkę, jakby się bała, że ucieknie, drugą ręką chwyciła długopis. — Okay, gdzie? — Szybko coś zapisała. — Kiedy?... Okay, okay, tak. Skarbie, już jedziemy. — Roześmiała się. — Okay, więc nie jesteś moim skarbem. Przynajmniej poznałam prawdę. Tak, jeżeli ty jesteś symbolem seksu, ja jestem Kleopatram... Bardziej jak Marek Antoniusz, co? No tak, prawdę mówiąc, zawsze myślałam, że był ładniejszy niż Kleo...

Odkładając słuchawkę, uśmiechała się.

— Bingo! — krzyknęła tak głośno, że ludzie przy sąsiednich biurkach podnieśli głowy znad roboty. — Wychodzę. — Chwyciła czapkę i pobiegła do drzwi. — Bulworth i ja mamy coś do załatwienia.

Bulworth widział, jak nadchodzi. Czapka wciśnięta na rude włosy, łokcie torujące drogę, rozkołysane szerokie ramiona. Trudno byłoby jej nie zauważyć. Weszła niechętnie do jego boksu.

— Sir. — Żałowała, że na niego wpadła. Co za brak szczęścia.

Spojrzał na nią znad talerza rosółu z makaronem i kulkami z macy. Niech to szlag, jeszcze nawet nie dotarł do drugiego dania.

— Powers, o co chodzi?

Usiadła obok, nie zaszczycając go nawet najskromniejszym pozdrowieniem. Powers wiedziała, jak zdeptać godność faceta.

— Znaleźli samochód — powiedziała bez tchu. — Porzucony na poboczu drogi w odległym kanionie. Przed chwilą został zauważony przez patrol w helikopterze. Założę się o moje buty, że to ten samochód.

— Powers, co komu po twoich butach? — spytał ponuro Bulworth. — O jaki samochód chodzi?

— Złoty metalik. Założyłabym się, że to lexus.

Bulworth popatrzył z żalem na rosół z makaronem i macę, odłożył łyżkę i skinął na kelnerkę. — Kochanie, anuluj pieczeń. — Wstał. — I zapisz wszystko na mój rachunek, dobrze? Spiesz się.

Biegając do samochodu, zadzwonił po swoich „chłopców”: detektywów, techników, speców od odcisków palców, fotografa i na wszelki wypadek koronera, chociaż jeszcze nie wiedział, czy w samochodzie jest ciało. Był właściwie pewny, że jest. Wiedział też, kto się okaże sprawcą.

Policyjna ekipa wjechała na wzgórze i skierowała się w stronę samochodu odkrytego przez powietrzny patrol. Droga była wąka, szła ostro do góry, helikopter nie mógł tu wylądować, więc pilot się wycofał i czekał na rozkazy parę kilometrów dalej. Wozy się zatrzymały i Bulworth wysiadł, by porozmawiać z policjantami z helikoptera. Powiedzieli mu, że samochodu prawie nie widać, bo stoi w krzakach, ukryty pod wysokimi drzewami. Zaalarmowało ich odbicie promieni słonecznych na szybie, więc pilot maksymalnie zniżył lot i wtedy stwierdzili, co to jest.

— Chyba znaleźliśmy Lawie Martin — powiedział pilot.

— Mam nadzieję. — Bulworth uśmiechnął się radośnie i walnął pilota w plecy. — Dobra robota, chłopaki. Potem się z wami porozumiem.

Gdy dojeżdżali na miejsce, poczuł gwałtowny przyptyw adrenaliny. I wtedy zobaczył złotego lexusa 400 metalik. Był to samochód Lawie Martin. Wszystkie drzwiczki stały otworem, w ciszy słychać było bzyczenie much. Wiedział, co to znaczy.

Uważnie obejrzał drogę. Niestety, wiatr nieustannie podnosił tumany piachu, więc jeśli ktoś zostawił tu kiedyś ślady stóp, dawno już zniknęły. Jego zespół był przy pracy. Pełzali po ziemi, mierząc, szukając dowodów i fotografując.

Powers niespokojnie chodziła w tę i z powrotem, a Bulworth stał, opierając się o radiowóz i miarowo zaciągając czarną cygaretkę. „To mój jedyny nałóg” — powtarzał często, chociaż żona twierdziła, że smród dymu starczy za wszystkie nałogi razem wzięte.

Popatrzył na lexusa. Nie zauważył ani jednego zadrapania, ale pod warstwą brudu mogło się znajdować wiele śladów. Włożył rękawiczki, ostrożnie otworzył szerzej drzwiczki od strony kierowcy i zajrzał do środka. Nie znalazł tego, czego się spodziewał, i westchnął.

— Nie majej tutaj — oznajmił z żalem. - Myślę, że zrzucano jądo kanionu.

— Ale dlaczego morderca nie odjechał tym autem? — spytała Powers dysząc mu w kark. Nie lubił tego.

— Prawdopodobnie miał własne auto i przyjechali tu osobno. Założyłbym się, że zaproponował jej randkę. Potem nie mógł prowadzić jednocześnie dwóch samochodów.

— Oczywiście, sir. — Powers wsunęła głowę do samochodu i jej głos był przytłumiony. — Cholerne muchy! — narzekała. — Och, przyciąga je krew! — wykrzyknęła po chwili. — Detektywie Bulworth, proszę popatrzeć! Na tylnych siedzeniach są plamy krwi. Bulworth spojrział. Powers miała rację, ale powinna była poczekać. On też by je znalazł — w odpowiednim czasie. To on był starszy rangą. No ale nie zyskała sobie przydomka Pow! bez powodu.

— Klucze są nadal w stacyjce — stwierdził, przejmując dowodzenie. — Na miłość boską, wyjdź stamtąd. Pozwól pracować technikom.

Powers wycofała się, twarz miała czerwoną z podniecenia.

— Sir, mamy drania! — zawołała radośnie.

Popatrzył na nią sceptycznie i uniósł brwi.

— Tak, pani detektyw. Teraz potrzebne nam jest już tylko ciało Laurie Martin.

Rozdział XIII

Steye Mallard czekał na Ala Girauda. Niedawno dzwoniła do niego Vickie i powiedziała, że detektyw już do niego jedzie. „Jest twoją jedyną nadzieją” — stwierdziła. Gdy zobaczył Ala w zwykłym, zaniedbanym ubraniu, idącego obsadzoną drzewami drogą do domku, cała nadzieja odpłynęła. Pomyślał, że to człowiek przegrany. Mimo to potraktował go uprzejmie, podał rękę na przywitanie, zaproponował kawę, którą właśnie zaparzył. Al odmówił. Stojąc przy wielkim oknie wychodzącym na obrzeżone drzewami jezioro, patrzył, jak Steye nalewa sobie kawę do żółtego kubka z żabąj automatycznie zwrócił uwagę, że nie używa cukru. W ciągu lat ciężkiej pracy Al przekonał się, że takie drobiazgi mają swoje znaczenie. Jedna mała rzecz, sposób poruszania się, prawo- lub leworęczność albo to, jak podejrzany pije kawę, mogła zaważyć na tym, czy znajdzie się za kratkami do końca życia, czy nie.

Ten mężczyzna wyglądał na zmęczonego. Może lepszym określeniem byłoby, że zachowywał się tak, jakby na jego barkach spoczywał ciężar całego świata. Albo ciężar winy.

Ciągle stojąc przy oknie, jak zwykle z kciukami wbitymi w kieszenie dżinsów, Al zapytał:

— Zechciałby mi pan opowiedzieć o sobie?

Steye rzucił mu posępne spojrzenie i wypił łyk kawy.

— Nie mam wiele do opowiadania — rzekł, wzruszając lekceważąco ramionami. —

Jestem zwyczajnym pracującym facetem z przedmieścia. Zona, dwoje dzieci, hipoteka...

— Roześmiał się z goryczą. — Przynajmniej tak było do niedawna.

— Chciałbym się dowiedzieć, jaki pan był, zanim stał się pan facetem z przedmieścia.

Skąd pan pochodzi? Kim byli pana rodzice?

— Steye oparł się łokciem na kamiennym okapie kominka i zapatrzył w puste palenisko.

— Vickie panu nie mówiła?

— Nie pytałem.

— Dlaczego? — zdziwił się Steye. Jego spojrzenie przeniosło się z paleniska na twarz Ala.

— Wolę zdobywać informacje u źródła.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Mężczyźni mierzyli się wzrokiem. W końcu Steye zaczął:

— Pochodzę ze Wschodniego Wybrzeża, z Hoboken w stanie New Jersey. Mój tato był kierowcą ciężarówki. Jeździł w długie trasy, przez cały kraj. Rzadko go widywałem, bo gdy był w mieście, przeważnie przesiadywał z kumplami w barach. Jadł z nimi kolację, grał w bilard. Nie był człowiekiem oddanym rodzinie.

— Może dlatego wybrał pan sobie rolę faceta z przedmieścia, dobrego ojca i męża? — zauważył Al.

— Może. — Steye miał się na baczności. Wypił jeszcze trochę kawy i z powrotem zapatrzył się w puste palenisko. — Mama też pracowała. Handlowała odzieżą na dolnym Manhattanie. Wychodziła z domu wcześniej, wracała, gdy już było ciemno. Nie miałem rodzeństwa, od siódmego roku życia byłem dzieckiem z kluczem na szyi. By zwrócić na siebie ich uwagę, przynajmniej tak mi się teraz wydaje, ciężko pracowałem w szkole, dostawałem same celujące. Niepotrzebnie się wysilałem, żadne z nich tego nie zauważało.

Al, oparty o framugę okna, z rękami skrzyżowanymi na piersi, bacznie obserwował rozmówcę.

45

— Dla oszczędności powinienem iść do stanowego college'u w New Jersey — mówił dalej Steye. — Ale chciałem się stamtąd wydostać. Chciałem być kimś. — Wzruszył ramionami. Nie sądzę, by rodzice się zmartwili, gdy wyjechałem. Pewnie byli zadowoleni, że nie muszę płacić za moje studia. Złożyłem podania w kilku miejscach i pierwszy odpowiedział Uniwersytet Stanowy Kalifornii. Proponowali stypendium na czesne i częściowo na akademik. Okropnie się bałem, że się rozmyślą, jeśli natychmiast się me zdecyduję, więc nie czekałem na inne oferty. Było trudno, ale pracując w lecie i wieczorami, wiązałem koniec z końcem. Uczyłem się dobrze i zdobyłem dyplom z elektroniki.

Wtedy już wiedziałem, że nie wrócę na Wschód. Nic tam na mnie nie czekało. Mama nigdy się do mnie nie odezwała. Ani razu. — Chwilę stał zatopiony w myślach, po czym dodał miękko: — Pokochałem Kalifornię. Tutaj słońce świeci przez ponad dwieście dni w roku, więc gdy spadnie deszczyk, ludzie rozglądają się za górą Ararat i Noem, który by ich zabrał do arki. Tutaj po raz pierwszy miałem przyjaciół, razem się uczyliśmy i bawiliśmy. Poznałem też dziewczyny, które rozumiały, że jestem bez grosza i mogą je zaprosić jedynie na plażę albo do kina. — Ciężko westchnął.

— Aż poznał pan Vickie Saltzman.

— Tak. Poznałem Vickie. — Poszedł do maleńkiej kuchni i nie spiesząc się, dolał sobie kawy.

Al zastanawiał się, czego Steye nie chce mu powiedzieć.

I to wszystko — oznajmił Steye stanowczo. Dla Ala był to dopiero początek rozmowy.

— Teraz niech mi pan opowie o Laurie Martin.

Steye odwrócił się, znów wszedł do kuchni, chwilę bawił się dzbankiem do kawy, potem wrócił do pokoju.

— Już mówiłem o wszystkim policji.

Al skinął głową.

— Wiem. Teraz proszę powiedzieć mnie.

W oczach Steye'a zabłysła złość. Al zauważył, że jego rozmówca z trudem nad sobą panuje. Czy to stała cecha — próbował zgadnąć — czy zdenerwowanie?

Po co mam o tym mówić?

— Ponieważ pańska żona zatrudniła mnie, żebym panu pomógł. To wszystko. — Al opuścił ręce i wzruszył ramionami. — Jeżeli nie chce pan pomocy, w porządku. — Ruszył do drzwi ciekaw, czy Steye Mallard pozwoli mu wyjść wiedząc, że w ten sposób traci ostatnią szansę. Jeżeli Steye jest graczem, teraz rozgrywa stawkę o wszystko albo nic. Pomoc detektywa mogła przechylić szalę na korzyść „wszystkiego”. Bez niego Steye zostanie z niczym.

Dobrze, powiem panu. Już pan wie od Vickie, że dostałem służbowe przeniesienie.

Szukałem domu. Chcieliśmy mieć dom z widokiem na ocean, ale trudno było coś takiego znaleźć. Było mnóstwo domów zbyt drogich dla mnie, ładnych, ale nie na moją kieszeń.

Zobaczyłem zdjęcie Laurie Martin

w miejscowej gazecie, zadzwoniłem do niej i spytałem, czy ma jaką interesującą ofertę.

Umówiliśmy się na spotkanie tego samego wieczoru.

- U „Ritza” w Laguna Niguel.

Steye rzucił detektywowi ostre spojrzenie.

— Wiedział pan o tym?

— Przypadkowo spędzałem tam wieczór. Widziałem pana czekającego w barze, potem przyszła Laurie. Zauważyłem, że ma bardzo zgrabne nogi. Mówi pan, że natknął się na jej zdjęcie w gazetowym ogłoszeniu. Zastanawiam się, czy zadzwonił pan do niej, bo była kolejną agentką handlu nieruchomościami, czy też dlatego, że się panu spodobała.

— Niech to szlag! — Steye trzasnął kubkiem w stół tak mocno, że kawa przelała się na biał. — Co pan chce przez to powiedzieć?

Al zachował spokój. Widywał już mężczyzn, którzy oszaleli dla jakiejś kobiety

— Dokładnie to, co pan słyszy. Może pan lubi blondynki? Wielu mężczyzn je lubi. Nawet żonatych.

— Mnie to nie dotyczy. — Steye uderzył pięścią w stół, posyłając kubek na podłogę.

Znów wpadł we wściekłość, twarz mu poczerwieniała, oczy błyszczały, ręce drżały. —

Myślałem, że ma pan obowiązek być po mojej stronie, bo to ja panu płacę.

— Płaci mi pana żona. Ale źle mnie pan zrozumiał. Jestem po pana stronie. I dlatego muszę znać prawdę. Dlaczego nie chce mi pan opowiedzieć, co się wydarzyło, zwyczajnie i bez ogródek?

Steye zaczął przemierzać bawialnię. Twarz miał wykrzywioną ze złości a może ze strachu? Al wiedział, że jego klient zaraz zacznie mówić. To był czas na wyznania... jeżeli facet rzeczywiście ma co wyznawać.

— Podczas rozmowy telefonicznej Laurie zachowała się bardzo przyjacielsko, wręcz serdecznie — odezwał się Steye w końcu. — Powiedziała, że dokładnie wie, czego

potrzebuję, i na pewno coś dla mnie znajdzie. Umówiliśmy się na wieczór w barze hotelu „Ritz-Carlton”. Po południu miałem się z kimś spotkać w interesach w tamtej okolicy, a ona zamierzała obejrzeć w pobliżu kilka domów. Gdy się spotkaliśmy, pokazała mi mnóstwo zdjęć różnych posiadłości i szczegółowo mi o nich opowiedziała. Wybrałem kilka interesujących ofert i umówiliśmy się na następny wieczór, by obejrzeć domy. Zaden mi nie odpowiadał; nie wyglądały tak dobrze jak na zdjęciach. Byłem tego dnia zmęczony... zaprosiłem Laurie do pobliskiej restauracji na kolację. Rozmawialiśmy.., wie pan, jak to jest, gdy dwoje ludzi prawie się nie zna. Oczywiście powiedziałem jej, że jestem żonaty, pokazałem zdjęcia żony i córek. Zachwyciła się nimi, myślę, że szczerze. Ona z kolei pokazała mi zdjęcie swojego psa, małego czarnego kundelka w czerwonej apasce. Powiedziała, że nazywa się Clyde.

47

Zamilkł.— No i jak było? spytał Al. Jak było co?

— Kolacja. Dobrze czuliście się w swoim towarzystwie?

— Było przyjemnie. I chyba przypadliśmy sobie do gustu. Ale nadal nie miałem domu.

Pamiętam, że gdy szliśmy do samochodu, powiedziałem:

„Obym następnym razem miał więcej szczęścia”. A ona na to: „Steye, możesz być pewny, że znajdziesz ci dom”.

— Potem widywał ją pan często? — spytał Al.

— Oglądaliśmy mnóstwo domów.

— I chodziliście razem na kolację?

— Oczywiście, że chodziliśmy. Trochę mówiliśmy o interesach, piliśmy drinki. To była ładna i miła kobieta. Najczęściej rozmawialiśmy o Kalifornii, o handlu nieruchomościami, o domach, które jutro obejrzymy...

— W końcu Laurie znalazła panu idealny dom? — Al przeszedł się po pokoju. Umierał z chęci zapalenia papierosa. Jak mógł pozwolić, by Marla namówiła go na rzucenie palenia?

— I za cenę, którą mogłem zapłacić. — Steye opadł na krzesło przy pustym kominku. Był wykończony.

— I wy dwoje... no, wie pan? — Al nie był tak bezpośredni jak Marla.

Steye zmierzył go wzrokiem.

— Pan nie chce uwierzyć i nic, co powiem, tego nie zmieni. Może nie powinienem był jej zapraszać na kolacje czy lunche, ale czułem się samotny, a ona była pod ręką. To wszystko. Nic więcej się nie stało.

— Zadnego seksu?

— Zadnego —potwierdził Steye pewnym tonem. Na to pytanie już wcześniej odpowiadał co najmniej sto razy.

— A jak się panu układało z żoną?

Steye zerwał się na równe nogi, przyskoczył do Ala i spojrzał mu groźnie prosto w oczy. Al nawet nie drgnął.

— Spokojnie, chłopie — mruknął. — Pracuję dla pana. Jeżeli nie powie mi pan prawdy, do niczego nie dojdziemy.

Steye zjękiem zamknął oczy.

Niech pau już idzie. Jestem chory od mówienia w kółko tego samego.

— Więc może należałoby już przestać? — zaproponował Al. Jego miękki, południowy akcent kusił, sugerował, że po wyznaniu prawdy następuje ulga.

Spojrzenia obu mężczyzn zwały się.

— Niech pan idzie do diabła, Giraud. Nie zrobiłem tego! Przez chwilę iskrzyła między nimi wściekłość, potem Al się odwrócił.

Poszedł do drzwi, ale przystanął.

— A pańska żona, Steye? —wrócił do wcześniejszego pytania.

— Vickie jest cudowna. — W głosie Steye”a coś pękło. Usiadł z powrotem na krześle przy pustym kominku. Wyglądał jak człowiek, który stracił wszelką nadzieję. Albo pomyślał Al —jak człowiek, który nie może liczyć na odkupienie winy.

— Między nami układało się dobrze. Kiedy minęły już uniesienia pierwszej miłości — a jesteście małżeństwem od dwunastu lat — nadal było dobrze. Pasowaliśmy do siebie. Al zauważył użycie czasu przeszłego. Na pozór Steye Mallard wydawał się miłym, łatwym w kontaktach, przystojnym mężczyzną. Ale, jak dowodzi życie, wielu morderców tak wygląda. Czy Steye jest winny? Al nie miał instynktownego przekonania, że odpowiedź brzmi „tak”. Jednak czas wykaże, jak jest naprawdę.

— Szkoda, że nie udało się z domem — Al zmienił temat. — Wydawał się doskonały. Steye wzruszył ramionami.

— Trudno. Zresztą itak pewnie byśmy go nie kupili. Laurie mówiła, że jeszcze ktoś jest zainteresowany i musimy się szybko zdecydować.

Al wyczuł nowy tmp.

— Jeszcze ktoś? Wie pan, kto?

— Nie powiedziała — odparł Steye ze znużeniem. — Myślałem, że to taki trick, żeby podnieść cenę.

Rozległ się dzwonek telefonu. Steye podskoczył, jakby go ktoś postrzelił, a potem stał i patrzył na aparat. Po piątym dzwonku Al podniósł słuchawkę.

- Tak. O, witam, pani Mallard. Mówi Giraud. Tak, pani mąż jest tutaj. Chce pani z nim rozmawiać? — Już miał podać słuchawkę Steye”owi, gdy Vickie jeszcze coś powiedziała. Al wciągnął gwałtownie powietrze. — Oczywiście, powiem mu. Oddać mu słuchawkę? Nie? Okay. Przekażę wiadomość.

Odłożył słuchawkę na widelki.

— Natknęli się na samochód Lawie Martin. Stoi porzucony gdzieś daleko, w jakimś kanionie. Na tylnym siedzeniu są plamy krwi. Policja jest pewna, że w pobliżu znajdują również jej ciało. Wezwali nawet przewodników z psami, przeczesują cały teren. — Mówiąc to wszystko, Al nie spuszczał wzroku z twarzy Steye „a. Już przedtem Steye wyglądał źle, ale teraz wyglądał jeszcze gorzej. Na jego skroni pulsowała żyła, pięści miał zaciśnięte. Znajdował się na krawędzi.., może na krawędzi tego samotnego kanionu, przeżywając na nowo wydarzenia, które zaprowadziły go do samego piekła. — Na pewno nie chce mi pan nic powiedzieć? — spytał łagodnie. — Jestem po pana stronie, pamięta pan?

Steye opadł na krzesło, jakby nogi nie chciały go już utrzymywać w pionowej pozycji. Po policzkach popłynęły mu łzy, więc zakrył twarz rękami.

— Nie mam nic do powiedzenia — powiedział wśród łkań. — Nic...

Al podszedł i przyglądał mu się w milczeniu.

— Musi pan mieć własnego adwokata — odezwał się w końcu. — Zuckerman nie poradzi sobie ze sprawą o morderstwo. Mogę panu kogoś polecić.

49

Nazywa się Ben Lister. — Zapisał nazwisko i numer telefonu, wydarł kartkę z notatnika i położył na stoliku. — Zatelefonuję też do pana żony i powiem jej o Listerze. To dobry prawnik. Jeżeli w ogóle ktoś będzie w stanie panu pomóc, to tylko on.

Steye uniósł głowę.

— Już pan idzie?

— Tak. Muszę wracać. Proszę się nie martwić. Nie sędzę, żeby długo pozostał pan tu sam. Przypuszczam, że w ciągu godziny może się pan spodziewać gości.

— Gości? — Steye nie zrozumiał.

— Policjantów, chłopie. Detektywa Bulwortha i jego ludzi. Na pewno będą chcieli pana teraz przesłuchać.

— Ale nie mogą... pannie może ninie tu zostawić samego!

Wpadł w panikę i szarpał się jak ryba złapana na haczyk. Al poczuł litość, nie chciał też, by Steye zrobił coś szalonego, jak ucieczka czy... samobójstwo.

— Dobrze, zaczekam z panem. Zaraz się zjawia. Chętnie napiłbym się teraz kawy. — Straszliwie żałował, że nie może zapalić.

Bulworth nie tracił czasu. Przyleciał helikopterem, zabierając po drodze miejscowego szeryfa i jego zespół.

— Stephenie Fredeńcku Mallardzie, pojedzie pan z nami na przesłuchanie w sprawie porwania i zniknięcia Laurie Martin. Ma pan prawo milczeć i korzystać przez cały czas z pomocy prawnika.

Steye Mallard stał z opuszczonymi ramionami i rękami zwisającymi bezwładnie, jakby już miał przed sobą kata.

— Mogłem się domyślić, że tu będziesz — powiedział Bulworth do Ala. — Nie, ciało nie zostało znalezione. Ale znajdziemy je. I to szybko.

Al zadzwonił do Bena Listem i opowiedział mu o wydarzeniach i swoim udziale w sprawie. Adwokat obiecał, że spotka się z nimi, a Al obiecał, że Steye do tego czasu nic nie powie.

Al wiedział, że będzie musiał współpracować z Listerem, by zdobyć dostęp do dowodów. W kancelarii Lister miał komputer i będzie rejestrował wszystkie wiadomości o Mallardzie i Laurie pochodzące od policji w San Diego. Adwokat mógł mu również ułatwić dostęp do domu Laurie i jej biura. Al chciał sprawdzić teczkę dotyczącą Steye'a, chociaż wiedział, że policja już tam była. Może przy odrobinie szczęścia natknie się na coś, co przeoczyli. Obserwując, jak policjanci zabierają zakutego w kajdanki Steye'a, Al zastanawiał się, czy na pewno złapali mordercę.

Rozdział XIV

Gdy Al wrócił z Arrowhead, Marla już na niego czekała.

— Byłeś tam — powitała go z pretensją w głosie. — Widziałam wszystko w telewizji. Bulwortha, który wyglądał jak nadziewany homar, pękający z samozadowolenia, że dopadł podejrzanego, aresztowanie Steye'a Mallarda...

— Nie jest aresztowany. Zatrzymano go w celu przesłuchania.

— To znaczy, że jeszcze nie mają ciała.

Al uśmiechnął się.

— A co u ciebie, skarbie., dziękuję, że spytałaś. To był ciężki dzień.

— Giraud, nie zwracaj mi głowy. Dlaczego nie zadzwoniłaś, że wybierasz się do Arrowhead? Chciałam pojechać z tobą. Mogłam ci pomóc.

Al zdjął koszulę i rzucił ją na oparcie brązowej, skórzanej kanapy.

— Tym razem nie mogłabyś mi pomóc — powiedział. Zrzucił z nóg buty i już ściągał spodnie.

Marla wbiła w niego wzrok. Przygryzła zębami dolną wargę i lekko westchnęła.

— Dlaczego nie nosisz calwinów, które ci kupiłam?

— Jestem staroświecki. Lubię jockeye.

— Może od czasu do czasu wypróbowałbyś coś nowego?

Znów się uśmiechnął, podszedł i zagłębił palce w jej włosach.

— Poczekaj, co robisz?

Jego spojrzenie było tak samo niewinne jak uśmiech.

— A co innego może robić mężczyzna, który ma za sobą ciężki dzień? Musi wziąć prysznic.

— Jeszcze nie. — Jej ręce wśliznęły się pod jego bokserki. — O, Boże, Giraud — jęknęła.

— Masz pośladki jak nastolatek.

— A co ty wiesz o pośladkach nastolatków? — Odwrócił się tak, żeby móc ją objąć.

— Kiedyś byłam nastolatką... — Całowała go, pogryzając łakomie jego wargi.

— Dawno temu. — Złapał ją za włosy, odciągnął głowę i roześmiał się.

— Nie bądź taki dokładny — rzuciła Marla. — W każdym razie nie było to aż tak bardzo dawno temu i znacznie później, niż ty byłeś nastolatkiem.

— Masz rację, skarbie. — Westchnął. I znów ją pocałował. Mocno. W taki sposób, w jaki mężczyzna całuje kobietę, na której punkcie szaleje, przemknęło Marli przez głowę, gdy zrywała z siebie króciutką niebieską sukienkę.

— Jezu! — Spojrzał na nią oszołomiony. — Nie mogę uwierzyć, że nie nosisz pod spodem bielizny.

— Przecież wybierałam się do ciebie. A tak jest szybciej. — Już była w jego ramionach, ściśle do niego przylgnęła, sterczące brodawki ugniatały mu tors. Podniecenie rosło.

Ugryzła go leciutko w ucho. — Chcesz iść pod prysznic? — spytała.

— Albo to, albo zimne piwo.

Drań! — krzyknęła, gdy ze śmiechem wziął ją na ręce i zaniósł do łazienki.

W wykładanej czarnymi kafelkami łazience było chłodno jak w piwnicy. Ciepła woda opływała ich ciała, a halogenowe lampki, skierowane na prysznic, nie przeszkadzały w miłosnym zbliżeniu.

— Jak w filmie pornograficznym — jęknęła Marla, odgarniając mokre włosy z oczu. — O, Boże, Boże, Giraud, zrób to jeszcze raz, och, tak, tak, jeszcze... — Plecami opierała się o ścianę, nogi miała owinięte wokół talii Ala. Podtrzymując ją pod pośladki, wszedł w nią. — Och, Giraud, Giraud - łkała — jesteś najlepszy, naprawdę najlepszy... — Znalazła się na krawędzi świadomości.

Al ciągle przyciskał ją do siebie, nogi mu drżały, pot mieszał się z wodą. Robię się za stary na takie rzeczy.

Położyła mu głowę na ramieniu.

— Co za pomysł! Nadal jesteś najwspanialszy. Przynajmniej — dodała złośliwie — taki mi mówi moje doświadczenie.

— Ale szprycha! — Szturchnął ją w kark i obsypał pocałunkami. Mięśnie bolały go coraz bardziej. — Nie dam rady dłużej. Musisz zejść.

Marla roześmiała się, przesuwając długie, szczupłe nogi, aż stanęła znów piersią w pierś.

— Chyba cię kocham, ty zramolały staruszkę szepnęła.

Gromki śmiech Ala odbił się echem od czarnych kafelków.

— Tak, skarbie. Ale poczekaj, aż zobaczysz nagranie. Wypadło wspaniale.

— Wiedziałam, że ukrywasz coś w tej narożnej lampie. I pomyśleć, że ci ufałam. — Namydlała mu plecy, bardzo starannie jeżdząc gąbką w górę i w dół.

— Lepiej zachowaj ostrożność, bo możesz wpaść w kłopoty.

Chcesz się założyć? — Gdy znów brał ją w ramiona, jeszcze się śmiała.

— Co robisz? — Marla z rozkoszą wyciągnęła się na pogniecionej pościeli i przyglądała się Alowi, który wkładał czyste bokserki, podskakując na owłosionej, silnej nodze jak niezgrabny bocian. — Myślałam, że zamówimy pizzę. Margaritę z pepperoni na jednej połowie. Twojej połowie — uściśliła z uśmiechem.

— Przykro mi dziecino, ale muszę iść. Ale zamówię pizzę dla ciebie.

— Co to znaczy? Gdzie musisz iść? — spytała ostro, a jej oczy zabłyśły.

— Jadę do San Diego, skarbie. A ściślej, do Laguny na spotkanie w sprawie Steye'a Mallarda.

— Powinnaś była wiedzieć! Pocałujesz i już cię nie ma. To cały ty.

— Chociaż tyle dobrego, że jak pocałuję, nie rozpowiadam o tym na prawo i na lewo. Chcesz pizzę?

— Jasne, że nie. Nie przepadam za nią. Jadam tylko po to, by dotrzymać ci towarzystwa. Przerwał zapinanie koszuli i spojrzał na Marłę.

— Tak? Więc kto zawsze podkrada moją połowę pizzy? Widocznie w moim łóżku była jakaś inna kobieta.

— Och, no dobrze — powiedziała ponuro, odgarniając nadal jeszcze mokre włosy ze swoich bajecznych szarozielonych oczu. — Ale lubię ją tylko po dobrej dawce seksu.

— Mam nadzieję, że ze mną. — Znów się śmiał. — Skarbie, przepraszam cię, nic nie sprawiam większej przyjemności niż jedzenie z tobą przy łóżku. Nalałbym ci nawet kieliszek czerwonego włoskiego wina, doskonałego chianti z yons Market, które przez przypadek mam w bogato zaopatrzonej piwniczce.

— Twoja piwniczka na wino znajduje się w kuchennej szafce i przez przypadek wiem, że trzymasz w niej dwie butelki taniego czerwonego włoskiego wina, butelkę kalifornijskiego chardorinay, którą ktoś musiał ci dać, bo sam nigdy byś za nią nie zapłacił sześćdziesięciu dolców, i kilka wielkich butelek japońskiego piwa ashai. Och, i dwie butelki wody perner, chociaż nie mogę zrozumieć, czemu nie leżą w lodówce.

— No dobrze, więc nie jestem koneserem win. Nigdy nie miałem czasu nauczyć się takich głupstw. Wystarczy, jak mam coś w kieliszku. — Zapiął suwak džinsów, wsunął boscie stopy w buty i pochylił się, by zawiązać sznurowadła. — Chcesz jechać ze mną?

— Poważnie? — Wyskoczyła z łóżka jak zwolniona sprężyna i już przeciągała niebieską minisukienkę przez głowę.

— Zmieniłem zdanie — oświadczył, mierząc ją wzrokiem.

— Co takiego? — Włożyła kremowe skórzane pantofle, obciągnęła sukienkę i radośnie na niego spojrzała. — Jestem gotowa.

— Naprawdę myślisz, że pozwolę ci iść w tym i bez bielizny? Jeszcze raz spróbowała obciągnąć sukienkę.

- Och, nie bądź taki pmderyjny. Obiecuję, że będę trzymała kolana razem.

— Nic z tego, moja pani. Tak ubrana nie pojedziesz na komendę policji w San Diego. Albo raczej tak rozebrana.

— Och... — Pobiegnęła do komody Ala, otworzyła szufladę i wyciągnęła z niej parę jockeyów. — To powinno przykryć wszystko, co trzeba — wyjaśniła. Bokserki luźno owijały jej szczupłe uda i zwisały z pośladków. Mimo woli Al się roześmiał.

— Och, Marla, powinienem był wiedzieć. Masz odpowiedź na wszystko.

— To dzięki prawniczemu wykształceniu. Nie dadzą ci dyplomu, jeśli nie znasz wszystkich odpowiedzi. — Wciągnęła bokserki i dodała: — Właśnie dlatego będziesz mnie potrzebował, gdy Bulworth zacznie przesłuchiwać twojego klienta. Jestem prawniczką i dopilnuję, by prowadził przesłuchanie czysto, a ty będziesz musiał uważać, co mówi Steye.

— Właśnie o to chodzi, dziecino. — Wziął ją za łokieć, zaprowadził do garażu i otworzył drzwiczki coryetty.

— Och, nie moglibyśmy jechać moim samochodem? — spojrzała na niego pytająco.

— Nie, ale powiem ci, co zrobimy. Złożę dach. Dzięki temu włosy wyschną ci w parę minut.

— Gówna prawda. — Wsiadła i zatrzasnęła drzwiczki.

— Jeżeli kochasz mnie, musisz pokochać mój samochód. — Roześmiał się, gdy z rykiem wypadali z garażu i śmiał się, prowadząc Queens Road i Sunset Strip i jeszcze wtedy, gdy skręcał na 405 South. Ale myślami był już przy Steyie Mallardzie i szykującym się przeciw niemu procesie poszlakowym.

Rozdział XV

Bulworth nie życzył sobie obecności Ala Girauda. Jego szeroka, tęga twarz mówiła to wyraźnie. Patrzył twardo, jak policjant, który złapał mordercę i już go nie puści. Nie pozwoli, by Giraud miał dostęp do podejrzanego i był obecny podczas przesłuchania. Zezwolił tylko na obecność adwokata Mallarda.

— Nie ma sprawy — zgodził się łatwo Al. — Pani Cwitowitz dołży do pana Listem jako druga prawniczka Mallarda.

Bulworth rzucił mu twarde spojrzenie.

— Giraud, masz teraz własną obstawę?

— Jasne, kolego. A pani Cwitowitz ma niezbędne uprawnienia.

— Mam nadzieję. — Popatrzył na Marłę. W minisukience, z włosami zaczesanymi do tyłu i bez makijażu wyglądała na szesnastolatkę. — Nie wydaje się dość dorosła, by zamawiać alkohol w barze, a już na pewno, by reprezentować podejrzanego o morderstwo.

— Detektywie, wystarczy słowo „podejrzanego” — powiedziała Marla stanowczo. — I mam przy sobie legitymację, jeżeli chce pan ją obejrzeć.

Bulworth, pokonany, westchnął.

— Nie, dziękuję. Może pani wejść.

Marla zapięła jasnoniebieski kardigan pod samą szyję, obciągnęła sukienkę i poszła za nim do pokoju przesłuchań. Miała nadzieję, że bokserki nie odznaczają się przez materiał sukienki.

Steye Mallard siedział już przy stole z plastikowym blatem, na którym stała jedynie brudna popielniczka i szklanka z wodą. Nie palił. Miejsce po jego lewej stronie zajmował Ben Lister, niski, okrągłutki, łysiejący mężczyzna. Jego głęboko osadzone niebieskie oczy były bardzo powiększone przez soczewki okularów. Marla знаła go z widzenia, oboje bywali na spotkaniach towarzystwa prawniczego. Przedstawiła się, wyjaśniła, dlaczego tu jest, i usiadła po prawej stronie Steye'a.

Przypatrywała mu się spod oka. Wyglądał całkiem dobrze. Był spokojny, chociaż przybity. Jak każdy nie ogolony mężczyzna, wydawał się w jakiś sposób winny.

Marla położyła żółty notes na stole i spokojnie czekała na rozwój wypadków.

Al Giraud zdumiał się, gdy po godzinie wszyscy troje wyszli z pokoju przesłuchań.

Sihistrowany detektyw Bulworth w towarzystwie swojej asystentki Powers włókł się za nimi.

— No i jak poszło? — spytał Al, popijając z puszki dietetyczną colę.

— Dobrze odparł gorzko Bulworth. — Po prostu doskonale. Na razie twój klient jest wolny, ale nie wiem na jak długo. Już mu to powiedziałem.

— Świetnie. Czyli wiemy, na czym stoimy. Dziękuję, detektywie. — Al już trzymał rękę na ramieniu Steye'a i kierował go do drzwi: Facet szedł tak, jakby miał nogi z ołowiu. —

Bulworth, pozdrów ode mnie żonę i dzieci. Musimy w najbliższym czasie znów się spotkać na barbecue.

— Tak. — Bulworth westchnął. — Chętnie. — Patrzył z ponurą miną jak jego podejrzany wychodzi z komendy. — Gdy tylko posprzątam ten bałagan i będę miał drania w celi.

Siedzieli w boksie w kawiarni sieci Denny, przy wyjeździe z szosy na Lagunę, Ben Lister zamówił hamburgera i frytki, Al Giraud jadł sadzone jajka z hrytkami, a Marla grzankę z sezamowego bajgla. Steye łąpczywie pił kawę, trzecią w ciągu kilku minut. Nic dziwnego, że jest spragniony, pomyślała Marla.

— Powinieneś coś zjeść — powiedziała, chociaż wcale jej na tym nie zależało. Steye nie wypadł zbyt dobrze na przesłuchaniu. Odpowiadał na pytania tylko wtedy, gdy Lister mu pozwalał, i mówił tylko to, co konieczne. Przeważnie słyszeli od niego „nie”.

— Proszę, zjedz bajgia. — Przysunęła mu talerz i na sekundę ich spojrzenia się spotkały. Jakie ładne piwne oczy, pomyślała. Szkoda, że takie przestraszone.

— Dziękuję, bardzo dziękuję. — Steye wziął połówkę bajgia i czując nagle głód, wgrzyzł się w mięsz.

Al pomachał na kelnerkę.

— Skarbie, przynieś nam jeszcze kilka grzanek z bajgli i smażone jajka dla mojego przyjaciela.

Kelnerka, pulchna kobieta w średnim wieku, zmęczona po całym dniu pracy, spiorunowała go wzrokiem.

— Niech się pani nie gniewa, pochodzi z Południa i do wszystkich mówi „skarbie” - wyjaśniła Marla z uśmiechem.

— Mam nadzieję, że do facetów tak się nie zwraca warknęła kelnerka i odeszła.

— Giraud, powinieneś wziąć kilka lekcji, jak zjednywać sobie przyjaźń i wywierać dobre wrażenie na ludziach — westchnęła Marla. — Nigdy nie wiadomo, kiedy taka umiejętność się przyda. To, co jej powiedziałaś, w kodeksie karnym nazywa się „molestowanie seksualne”.

— Doprawdy? — Al uniósł brew. — A ja myślałem, że to dżentelmeński sposób okazania podziwu ładnej kobiecie.

Lister się roześmiał, nawet kąciki ust Steye’a drgnęły w uśmiechu.

— Wracajmy do naszych spraw — przypomniał Lister między dwoma kęsami hamburgera. — Ciała nie znaleziono, ale w samochodzie na tylnym siedzeniu są plamy krwi. Trwają teraz badania grupy krwi. Chcą sprawdzić, czy ma to jakiś związek ze Steye’em.

— Nie ma. To znaczy, chcę powiedzieć, że nie może mieć. Nigdy nie siedziałem w samochodzie Laurie — wybuchnął Steye.

— Nigdy? — zdziwił się Giraud.

— Och, oczywiście, jechałem z nią kilka razy, gdy oglądaliśmy domy. Prowadziła Laurie, bo to ona знаła adresy. Agenci handlu nieruchomościami zawsze tak robią. Ale tamtego wieczoru nie jechałem z nią.

— Tego wieczoru, kiedy zniknęła — uściślił Lister.

Steye z rozpaczą zwiesił głowę. Właśnie kelnerka przyniosła mu jajka i grzanki.

— Ale nie mając ciała, nie będą mogli porównać DNA Laurie z plamami krwi w samochodzie — kontynuował adwokat. — Tak więc, Steye, jeżeli ta krew nie jest twoja, nie będą mogli także udowodnić, że to krew Laurie. W chwili, gdy o tym mówimy, policja szuka ciała, latając nad kanionem helikopterami wyposażonymi w detektory podczerwieni. Mają także psy. Penetrują też miejscowe wysypiska śmieci. Powinniśmy być przygotowani, że wcześniej czy później ją znajdą.

Steye popatrzył na swój talerz. Sprawiał wrażenie chorego.

Marla wzięła od niego pół bajgla.

Skoro nie jesz — wyjaśniła i zaczęła łakomie gryźć, przyglądając się jednocześnie Steye”owi, który wsłuchiwał się w słowa Listera:

— W lexusie znaleziono odciski palców Steye”a, ale, jak się przed chwilą okazało, Steye może nam to logicznie wyjaśnić, a także inne odciski, jeszcze nie zidentyfikowane. Prawdopodobnie należą do pozostałych klientów Laurie. Technicy je właśnie sprawdzają.

— „W chwili, gdy o tym mówimy” — mruknęła Marla drwiąco, rzucając Alowi nieśmiały uśmiech.

— Prowokatorka — szepnął Al i odwrócił wzrok, a Marla się uśmiechnęła. Ciekawe, czy pamięta, że ona ma na sobie jego bokserki. Ale nie. Al myślał wyłącznie o pracy.

— Sprawdzili kartę Visa Steye”a, obeszlili wszystkie miejsca, w których kiedykolwiek był z Laurie: restauracje, bary hotelowe i podobne. Steye przyznał, że tam z nią bywał. Nigdy nie trzymał tego w tajemnicy.

— Ile razy się spotkaliście? — zainteresowała się Marla.

Lister spojrział pytająco na Steye”a.

— Sześć razy, może siedem — odparł Steye, nie patrząc na nich.

— Dobrze. — Lister zjadł ostatni kęs i popił colą. — Raczej nie przyłapią Steye”a na jakiejś nieścisłości. Nie mając, o co mogliby go oskarżyć. Teraz musimy po prostu czekać, aż odnajdzie się ciało Laurie Martin.

— I wtedy gównem wpadnie w wentylator — dodał spokojnie Al.

— No to go wyczyścimy, przyjacielu — uśmiechnął się Lister. — Steye, proponuję, żebyś wrócił do domu, do żony. Postaraj się brać wszystko na spokojnie. Zaufaj mi, ja się zajmę sprawą, aty odpocznij, bąź z dziećmi, dobrze?

Steye skinął głową. Twarz miał martwą. Zupełnie, pomyślała Marla, jakby już nic nie czuł.

— To mój numer do domu i do samochodu — dodał jeszcze Lister. — Dzwon, kiedy tylko będziesz chciał, nie krępuj się. Mówię poważnie, okay?

— Okay — powtórzył Steye jak we śnie. Zostawił nie ruszone jajka i bajgiel.

Al położył na stole hojny napiwek i wszyscy skierowali się do wyjścia.

— Pa, skarbie — zawołała kpiąco kelnerka za Alem.

Uśmiechał się, idąc do samochodu, i jeszcze wtedy, gdy już jechali. Marla była zła, że musiała zająć to, co w coryetcie nazywało się „tylnym siedzeniem”, lecz Steye był wysokim mężczyzną. Nie chciała też siedzieć przez całą drogę do Los Angeles obok podejrzanego o morderstwo.

— Steye, za chwilę będziesz w domu — rzucił Al. Tylko że Steye wcale nie był pewny, czy naprawdę chce się tam znaleźć.

Rozdział XVI

Od chwili morderstwa JonBeneta Ramsey'a to była pierwsza sprawa która wzbudziła takie poruszenie i wrzawę w mediach. Nazwisko Steye'a Mallarda stało się synonimem słowa „morderca”. Sondáže wykazywały, że pięćdziesiąt sześć procent ludzi uważa, że jest winny, dwadzieścia trzy procent — że nie, reszta nie miała zdania. Ewentualna wina Steye'a była dyżurnym tematem w telewizji, stałym tematem artykułów w brukowcach i magazynach, a także audycji radiowych. Omawiano to wydarzenie w Anglii, we Francji, w Australii, ale pytanie było zawsze takie samo: „Gdzie jest Laurie Martin?”.

Nikt nie znał odpowiedzi, ale implikacje były oczywiste.

Minał kolejny tydzień, a ciała Laurie Martin nadal nie znaleziono.

Vickie Mallard przestała chodzić na gimnastykę. Nie mogła znieść widoku odwracających się w jej stronę głów, szeptanych komentarzy, ciekawskich spojrzeń. Wszędzie, dokąd szła, czuła, że ludzie się jej przyglądają i wymieniają uwagi. Przestała robić zakupy w miejscowym samie Gelsona i jeździła do odległych sklepów, gdzie nikt jej nie rozpoznał. Ale nawet wtedy wlokła się za nią banda paparazzich. Towarzyszyli jej także, gdy odwoziła dzieci do szkoły. Któregoś dnia, przechodząc koło kiosku z gazetami, zobaczyła jakimś brukowcu, na pierwszej stronie, zdjęcia córek i tytuł wydrukowany na czarnej fladze: Dzieci mordercy...

Wróciła prędko do domu, wpadła do kuchni, rzuciła torby z zakupami na stół i pobiegła na piętro, rozmówić się z mężem.

Steye leżał na łóżku. Miała wrażenie, że tylko w takiej pozycji widuje go ostatnio; na ich wielkim łóżu, przykrytym kapą zszytą ze ścinków przez czyjąś prababkę w Appalachach. Na tym łóżku zostały poczęte ich dzieci, te same dzieci, które teraz stały się wyrzutkami społeczeństwa. Były napiętnowane.

— Nie wytrzymam tego dłużej. — Głos Vickie zabrzmiał piskliwie, była na skraju hysterii. Steye ze znużeniem uniósł głowę i spojrzał na nią.

— Wiem powiedział. Znów się położył i zamknął oczy.

— Wydaje mi się, że zaraz oszaleję. Wiesz, co mówią o moich dzieciach? — Rzuciła w niego gazetą, która wylądowała mu na piersi. — Przeczytaj! — krzyknęła. — Przeczytaj to, do diabła. Nazywają je „dziećmi mordercy”. — Z jej oczu trysnęły łzy. Opadła łkając w nogi łóżka. — Nie mogę tego wytrzymać, po prostu nie mogę. W szkole przeżywają piekło. Och, oczywiście, każdy udaje, że zachowuje się normalnie, ale tak nie jest. Są napiętnowane. Ja jestem napiętnowana. Steye, co się stało z naszym życiem? Steye stanął obok żony. Wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, ale zaraz się cofnął. Ostatnio, gdy dotykał Vickie, robiła się sztywna, jakby się bała, że ją uderzy.

— Jestem obłożona we własnym domu — szlochała. — Gdy idę po zakupy, ścigają mnie reporterzy, za dziewczynkami jeżdżącymi z kamerami...

Steye słyszał również to, czego mu powiedziała: „Nie mogę dłużej wytrzymać tego, że nie wiem, czy to ty zabiłeś”. Wiedział, że to koniec. Musi coś zrobić.

— Będzie lepiej, jeżeli zostawię was tu same — powiedział spokojnie. — Wyjadę po zmroku.

Popatrzyła na niego przez łzy, ale nie protestowała.

— Gdzie pojedziesz?

— Chyba do Arrowhead.

Nie odezwała się. Zdawała sobie sprawę, że nie chce go mieć w domu. Steye musi wyjechać.

— Odeślę dzieci do siostry — oznajmiła spokojniejszym tonem. — Nie mogą tu zostać. To niesprawiedliwe, że muszą to wszystko znosić.

— Zostaniesz wtedy całkiem sama. — Bezwiednie podszedł do żony, położył jej rękę na ramieniu... i poczuł, jak Vickie sztywnieje. Odsunął się, ramiona mu opadły. — Vickie, nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. I co powiedzieć.

Nie patrzyła na niego. Myślała o swoim rabbim, który zawsze wydawał jej się uosobieniem siły i pomagał w każdej potrzebie. I o ojcu, który kochał Steye'a jak własnego syna. „Bóg nie obwinia człowieka, póki nie zostanie udowodnione, że naprawdę jest winny” powiedział ojciec, patrząc na nią ze smutkiem, ale w jego oczach wyraźnie mogła wyczytać, że ma wątpliwości.

Przez te wątpliwości czuła się jak martwa. Gdy patrzyła w lustro, widziała z wątpliwie we własnych oczach i za to się nienawidziła.

— Pomogę ci się spakować. Tylko tyle mogła powiedzieć.

Rozdział XVII

Musisz poszukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego ta młoda, atrakcyjna i inteligentna kobieta żyła tak samotnie.

Była niedziela rano. Al siedział w mieszkaniu Marli na miękkiej, niskiej czarnej sofie. Stopy w schodzonych butach opierał na drogim szklanym blacie stolika do kawy, pozostawiając smugi kurzu na nieskazitelnie czystej powierzchni. Miał na sobie dżinsy i podkoszulek. Dziś dla odmiany włożył czarny, ale wypłówały do szarości. Skakał po kanałach, szukając najlepszej transmisji z rozgrywek I Ehtbolowych. Marla, w szlafiu ku Itottć na gołym ciele, leżała z głową na jego kolanach i przeglądała „Timesa”. Unosiła się od czasu do czasu, by wypić łyk zimnej kawy.

Oboje lubili niedzielne spotkania i umówili się, że nigdy nie będą ich psuć rozmowami o pracy.

— Może miała coś do ukrycia? — Logiczny umysł Marli mierzył się z zagadką, a ona czytała swój horoskop. — Sidney Oman mówi, że powinnam się strzec ludzi fałszywych i przybierających maski. Jak myślisz, co to znaczy?

— A co jest w moim? — Al sięgnął po kawę, ale zatrzymał się w pół drogi i pocałował Marłę w rozczochrane jasne włosy.

— Skorpion podnosi ogon — prychnęła. — Pilnuj pleców... prawdziwa miłość może nie być tak prawdziwa, jak się wydaje...

— On kłamie. — Al wciąż myślał o tym samym. Jednym haustem dopił kawę i postawił pusty kubek na stoliku. — Skarbie, ubieraj się. Wychodzimy.

Patrząc na deszcz zalewający szyby okien zajmujących całą ścianę od podłogi do sufitu, Marla mruknęła coś ze złością.

Ogromny apartament Marli - trzysta dwadzieścia metrów kwadratowych — był tak samo olśniewający, jak jego właścicielka. Znajdował się w Palisades, na jedenastym piętrze nowoczesnego budynku z białego marmuru; za panoramicznymi oknami rozciągał się ocean. Pod samym domem biegła autostrada Pacific Coast, a tuż za nią fale zalewały plażę. Prawie codziennie można było obserwować surferów. Wszystkie podłogi w mieszkaniu wyłożono jasnym wapieniem, w kuchni dominował czarny granit i stal, a w trzech łazienkach — jasny marmur i szkło.

Mieszkanie było umeblowane prawie tak samo oszczędnie jak dom Ala, tyle że Marla nazywała ten styl „komfortowy minimalizmem”. Miękkie czarne kanapy, wschodnie dywany w nasyconych barwach szlachetnych kamieni, w holu aluminiowy, chwiejny stolik na pajęczych nogach, kryształowy wazon metrowej wysokości ze smukłą wiei-zbową gałązką, a w sypialni białe orchidee i antyczne chińskie łóżko w czerwieni i złocie, sprawiające wrażenie niewielkiego pokoiku, dzięki otaczającym je drewnianym płytom, które można było zamknąć jak drzwi. Marla przypuszczała, że w Chinach w ten sposób broniono się przed przeciągami.

Według Ala dom Marli był taki, jak ona sama: o wielu obliczach i różnych temperamentach, tylko nie mógł pojąć, że ją na coś takiego stać. Należał do ludzi otwartych i gdy chciał coś wiedzieć, najzwyczajniej w świecie oto pytał.

-- Oczywiście, tato mi je podarował odparła. — Kupił je kilka lat temu, gdy dom był w budowie, i potraktował to jako inwestycję. Czasami warto mieć ojca zajmującego się handlem nieruchomościami, nie uważasz?

Te słowa przypomniały mu o zaginionej Laurie Martin.

— Pada — powiedziała Marla. — Poza tym wydaje mi się, że to nasz dzień. Nasz czas, kiedy nie ubieramy się dla nikogo, nie spotykamy się z nikim, nie rozmawiamy o pracy.

— Skarbie, jesteś moją asystentką, czy nie? Mamy na tapecie sprawę morderstwa, a sprawca nadal jest na wolności. Jak możesz się wylegiwać na kanapie, czytać gazety i oglądać telewizję wiedząc, że yickie Mallard i jej rodzina przeżywają prawdziwe piekło? Marla przypomniała sobie, że jest asystentką prywatnego detektywa i zerwała się na równe nogi.

— Słuchaj, draniu bez serca! Nawet policjanci mają czasami wolne. A ja już opuściłam cztery dni w mojej drugiej pracy. Muszę też przygotować na jutro testy. — Planowała niespodziewany sprawdzian dla swoich studentów. Chciała zobaczyć, czego się nauczyli

w ciągu ostatnich kilku tygodni i obudzić te małe lenie; była pewna, że na wykładach po prostu śpią.

— Marla, sama się wprosiłaś, więc zastanówmy się razem nad sprawą Mamy Laurie Martin, kobietę mieszkającą samotnie w ładnym osiedlu, gdzie dwa lata temu kupiła dom. Jeździ lexusem 400 wynajętym u miejscowego sprzedawcy samochodów. Swoje rachunki płaci od razu, nie ma debetu na kartach kredytowych, nie brała bankowych pożyczek. Wiemy, że nie prowadzi życia towarzyskiego. Nie ma przyjaciół. Ludzie, z którymi się spotyka, to wyłącznie znajomi z pracy lub klienci. Rodziny chyba też nie ma, bo do tej pory już by się ktoś odezwał. Nigdy nie wyszła za mąż. Można powiedzieć, że pod każdym względem była samotną osobą.

Jest coś, co nie daje mi spokoju. Laurie była ładna w ten olśniewający u blondynek sposób. Jak to możliwe, że nie miała kochanka? Ze nie chodziła na przyjęcia? Ze nawet nie spotykała się wieczorami z koleżankami z pracy?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć. — Marla zmarszczyła czoło w zamyśleniu. — Myślisz, że miała coś do ukrycia?

Al uśmiechnął się do niej promiennie.

— Tak. Teraz muszę się dowiedzieć, co ukrywała.

— My — poprawiła go Marla. Uniósł w zdziwieniu brew. — My musimy się dowiedzieć. Pamiętaj, że jestem twoją asystentką?

— Jak mógłbym zapomnieć — odparł z szerokim uśmiechem.

Osiedle, w którym mieszkała Laurie Martin, znajdowało się w Laguna Beach, uroczym małym miasteczku, w którym domy stały rozrzucone po okolicznych wzgórzach, częściowo zaludnionym przez artystów, częściowo przez turystów, pełnym galerii i sklepów z dziełami sztuki i upominkami. Dzięki wysokiej klasy hotelom i plażom nad Pacyfikiem od surferów i turystów aż się roiło.

61

Al Giraud dopiero dziś po raz pierwszy uzyskał dostęp do domu Laurie. Na to pozwolenie Marla i Lister, mimo że byli adwokatami Steye'a, musieli ciężko pracować, ale wreszcie Bulworth uległ.

— Dziękuję, że zmusiłeś mnie do wyjścia z domu w to deszczowe niedzielne popołudnie — warknął detektyw, z którym się spotkali w Laguna Beach. — Myślałem, że przynajmniej choć raz będę mógł się delektować spokojną niedzielą na komendzie.

Mieszkanie było jasne i duże.

— Jakies sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych — stwierdziła Marla, córka agenta handlu nieruchomości. — Mnóstwo jak na jedną osobę.

— Chyba że chodzi o kogoś takiego jak ty — zakpił Al. — Wtedy potrzeba dwa razy tyle.

— Popatrz na pastelowy wystrój: biały, różowy, turkusowy. Jak w tropikach.

Myślałem, że pochodzi z Teksasu.

— Mnie to bardziej wygiąda na Florydę — Marla przyglądała się oprawionemu w ramki zdjęciu, stojącemu na okapie kominka. Widać było na nim pieska, czarnego kundelka z czerwoną apaszka na szyi. — Słodki — mruknęła. — Ciekawe, co się z nim stało.

Al sprawdził kuchnię i sypialnię. Nigdzie nie znalazł pośłania dla psa, miski, smyczy ani zabawek.

— Kto teraz zajmuje się tym psem? spytał Bulwortha

— Nie było tu żadnego psa. Nigdy. Trzymanie psów w tym budynku jest zabronione. Detektyw wyszedł na balkon, by zapalić papierosa. Al popatrzył zamyślony na Marłę.

— Steye opowiadał, że gdy pokazywał Laurie zdjęcia swoich dzieci, ona pokazała mu fotografię Clyde'a. Mówiła o tym psie, jakby rzeczywiście go miała. Rozumiesz, o co mi chodzi? Zauważ, że nie ma tu zdjęć żadnych ludzi.

— Może kochała tylko tego pieska. — Marla wzięła do ręki zdjęcie i wyjęła je z ramki. Szukała jakichś napisów na odwrocie, ale nie znalazła.

Al przeglądał półki z książkami. Zaczął od najniższej, potem spojrzął przez ramię na Bulwortha, który nadal palił na balkonie.

— Marla, idź zagadać detektywa — szepnął. — Zajmij go przez chwilę.

— Och. Ale jak?

Rzucił jej ostre spojrzenie.

— Jaki z ciebie detektyw? Pytasz mnie, jak zainteresować mężczyznę rozmową?

— Och. No, dobrze... — i wyszła na balkon.

— Detektywie, poczęstuje mnie pan papierosem? — spytała swoim aksamitnym głosem. Nigdy nie paliła. Al wiedział, że później przyjdzie mu za to słono zapłacić.

Zdjął z półki album oprawiony w skórę. Tak jak myślał, był to album ze zdjęciami. Szybko przerzucił kartki. Na większości zdjęć były domy, które Laurie zapewne sprzedała, i ładne pejzaże. Dotarł do kartki z fotografiami sympatycznego czarnego kundelka. Na jednej z nich stał na bagażniku samochodu. Al nie mógł odczytać numeru na tablicy rejestracyjnej, był zamazany, ale nie wyglądał na kalifornijski. Szybko włożył zdjęcie do kieszeni i odstawił album na miejsce.

Słyszał, jak Marla kaszle na balkonie. Zawołał ją.

— Cieszę się, że palenie nigdy mnie nie pociągało — mruknęła. — Czuję teraz w ustach smak zardzewiałej puszki.

— Tak jest ta praca. Wszyscy prywatni detektywi, których znam, palą.

— Ty nie. Oduczyłam cię. Nie będziesz więcej pachniał zardzewiałą puszką...

Al westchnął z żalem.

— Nie masz pojęcia, jak przyjemnie jest czasem poczuć ten smak.

Byli teraz w sypialni.

- Bardzo dziewczęca - uznała Marla, zapadając się w gruby biały dywan. Było tam ogromne białe-złote łóżko w stylu któregoś z Ludwików, obłożone poduszkami z mnóstwem falbanek okrągłe stoliki przykryte serwetkami z turkusowego jedwabiu, różowy atłasowy szeszlony z kolekcją lalek, różowe lampki z abażurami obszytymi paciorkami. — Więc taka jest naprawdę ta kobieta.

— Skarbie, zajrzyj do szafy. Znasz się na ubraniach. Na ich podstawie będziesz mogła coś powiedzieć o Laurie.

„Wielka szafa była zapchana rzeczami. Marla uznała, że w większości to ubrania do pracy. Jedwabne garsonki i sukienki, spódniczki i żakiety. Przyzwoita jakość, ale niezbyt kosztowne.

— Nic takiego, na co nie byłoby stać młodej kobiety o jej pozycji — oznajmiła Alowi. — Oprócz... och! Spójrz na to! — Wyjęła kilka sukienek i podała mu.

— No, no. Moja mama nazwałaby to „suknie domowe” — powiedział Al, oglądaj kwieciste stroje z długimi rękawami. — Po co kobieta taka jak Laurie kupowałaby tego rodzaju rzeczy? Chyba że prowadziła podwójne życie.

— Potrójne! — wykrzyknęła Marla, wychodząc z szafy z naręczem szmatek z koronki i jedwabiu: króciutkimi spódniczkami, topami, obcisłymi sukienkami bez ramiączek i tym kostiumem zjaskrawoniebieskiej koronki, który Laurie miała na sobie tego wieczoru, gdy spotkała się ze Steyem w hotelu „La Valencia”. Marla nie musiała sprawdzać etykietek. I bez tego wiedziała, ile to wszystko mogło kosztować. — Skąd miała na to pieniądze? — Mięła yr palcach zamszowy żakiet z butiku na Rodeo Driye.

— A skoro o tym mowa, skąd miała pieniądze na ten dom? — Al rozglądał się po dobrze zaprojektowanym mieszkaniu, z białymi dywanami od ściany do ściany, drobiazgami z marmuru i granitu. — A na dodatek jeździła drogim samochodem. Nasza Lamie musiała otrzymać jakąś sporą sumę kilka lat temu.

— Pewnie odziedziczyła — zgadywała Marla. — Umarła jej matka i zostawiła w spadku rodzinne klejnoty.

— Raczej nie. Założę się, że w jej rodzinnym domu nie było klejnotów. Gdziekolwiek ten dom się znajdował — dodał, marszcząc czoło. Z ponurą miną wyjrzał przez okno na deszcz, przeczesał palcami włosy. Martwił się o Lauñe Martin. Do diabła, gdzie ona się podziewa? 1, do diabła, kim ona właściwie jest? Umierając z chęci zapalenia, chwycił garść żelek ze szklanej miski stojącej na stoliku do kawy.

— O kolego — roześmiał się Bulworth, który już zszedł z balkonu. — Słyszałem, że rzuciłeś palenie. Chłopie, chyba zaczynasz tyć.

— Jemu, w przeciwieństwie do niektórych osób, które znam, to nie zaszkodzi. — Marla spojrzała wymownie na spęczniały od piwa brzuch detektywa.

Bulworth uśmiechał się, wyjął papierosa z paczki i z teatralną przesadą go zapalił.

— Skończyliście? — spytał. — Bo ja już dojrzałem do kawy i paczka.

Rozdział XVIII

Al poszedł do agencji nieruchomości porozmawiać z kolegami Laurie. Pytał ich, jaka była: usposobiona do ludzi przyjacielsko, a może samotna? Flirciara czy trzymająca się na uboczu? Gdy przeprowadzał te rozmowy, Marla, na jego prośbę, wybrała się do kościoła baptystów w Laguna Beach, do którego uczęszczała Lawie.

Wielebny Bones (Szkielet), Johnson doskonale pasował do swojego przezwiska. Był to wychudzony młody mężczyzna; koloratka luźno otaczała jego cienką szyję, a zamglone niebieskie oczy miały nieobecny wyraz.

Zupełnie jakby był gotowy do przeniesienia się do lepszego świata, pomyślała Marla ze złością. Już pytała go dwa razy, co wie o Lauñe Martin, i za każdym razem zaczynał

odpowiadać, ale po kilku słowach schodził na temat swoich odczuć w sprawach kapłaństwa i swojej kongregacji.

— Tak, wielebny, ale proszę mi opowiedzieć o Laurie Martin. — Marla usiłowała go zdyscyplinować, z trudem ukrywając zniecierpliwienie. Nic z tego. Giraud wybrał sobie łatwiejszą robotę—rozmowę z kolegami Laurie z pracy, a ona usiłowała zmusić tego dziwnego pastora do odpowiedzi na swoje pytania. — Przychodziła do kościoła regularnie?

— Lawie Martin? — Jego oczy się rozszerzyły, jakby się dziwił, że to o niej rozmawiają. — Ach tak, biedna kobieta. Tak, przychodziła dość często. Właściwie w każdą niedzielę, chyba że akurat musiała pracować. Wie pani, była agentką handlu nieruchomościami... — Tak, wiem. — Marla wzniosła oczy ku niebu.

— Czasami miała dostęp do jakiegoś domu tylko w niedzielę albo musiała się zająć wyjątkowo ważnym Idientem, ale nie cierpiała opuszczać mszy.

— Rozumiem. — Marla uśmiechnęła się miło, ale jej wysiłek poszedł na marne, bo wielebny wbijał wzrok w jakiś nieokreślony punkt, gdzieś w oddali.

— Była miła, spokojna, nieśmiała. Brała udział w kościelnych zebraniach, kolacjach, pomagała w opiece nad starymi ludźmi. Zawsze chciała być użyteczna — powiedział w końcu pastor.

Wiem, że to chyba sprawa delikatna, ale jestem pewna, że zrozumie pan moje intencje. Czy Laurie kiedykolwiek mówiła o sobie? Skąd pochodzi? O swojej rodzinie? Jakiś kłopotach z mężczyznami?

Pastor wzruszył ramionami.

— Nie, nigdy. Nie sądzę, żeby ktokolwiek stąd znał ją dobrze. Może oprócz Johna Maclyera. Powinna pani porozmawiać o Laurie właśnie z nim.

Dom Maclyera znajdował się na obrzeżach niewielkiego miasteczka, na niewysokim wzgórzu. Odludnie tu, pomyślała Marla. Dom został chyba zbudowany w latach pięćdziesiątych, w pompatycznej imitacji stylu tudoriańskiego. Zdobily go czarne belki i romboidalne szybki w oknach, ogrodzenie miał z kutego wymyślnie żelaza z ostro zakończonymi prętami.

Marla siedziała w samochodzie, przyglądając się wielkiemu owczajkowi niemieckiemu, który szczekał na nią zza ogrodzenia. Zastanawiała się, jak się dostać do środka.

Ogrodzenie i pies uczyniły z posiadłości fortecę.

Zobaczyła starego mężczyznę, który szedł chwiejnie żwirowanym podjazdem.

— Och, on tu zastępuje dzwonek — mruknęła. Pies obnażył kły i warczał na nią ze złością.

Cicho, Gestapo, zamknij się. Chcesz, żeby sąjodzi znów złożyli skargę?

Marla spojrzała na niego zdumiona. Gestapo? Jak można tak nazywać psa? Nawet jeżeli to niemiecki owczarek. Rozejrzała się. Jak sięgnąć wzrokiem, nie było tu żadnego sąsiada, a już na pewno nikt nie mieszkał dość blisko, by przeszkadzało mu szczekanie.

„Ten człowiek musi być lekko stuknięty”, zanotowała w pamięci, wczuwając się w rolę sumiennego prywatnego detektywa. „Siwe włosy, przekoczona osiemdziesiątka, chodzi o lasce. Zapewne dozorca. Ale nie, jest za dobrze ubrany jak na dozorcę. To na pewno ojciec Johna Maclyera”.

Dzień dobry! — zawołała, obdarzając staruszkę swoim najpiękniejszym uśmiechem. — Nazywam się Marla Cwitowitz. Chciałam się zobaczyć z panem Johnem Maclyerem. Przyglądał jej się przez pręty ogrodzenia, pies stał obok i warczał.

— Gestapo, mówiłem, żebyś się zamknął powiedział trzęsącym się głosem. — Siad. Ku zdumieniu Marli, pies posłuchał.

— Nie ma go w domu oznajmił grzecznie staruszek.

— Przyjechałam w sprawie Laurie Martin. Proszę mu powiedzieć, że staram się ją odnaleźć.

Twarz staruszkę rozpromieniła się.

— Pani znajdzie Laurie? Dlaczego pani od razu tak nie mówiła? Proszę wejść, proszę...

— Nacisnął jakiś guzik, elektronicznie sterowana brama otworzyła się i pies wyskoczył na drogę.

Marla w samą porę zamknęła okienko samochodu. Staruszek musiał wydać jakąś komendę, bo pies niechętnie się wycofał. Marla aż się skuliła, słysząc pazury drapiące bok mercedesa. Wyobraziła sobie, jak wygląda teraz srebrnoszary lakier. Giraud mi za to zapłaci, parsknęła i ostrożnie wysiadła.

Staruszek trzymał Gestapo na grubym łańcuchu, chociaż nie było wątpliwości, które z nich jest silniejsze. Marla postanowiła zaryzykować życiem dla Laurie Martin i podeszła do starca. Pies, cicho powarkując, szedł z drugiej strony.

— Nazwałem go Gestapo, bo zawsze się tak zachowuje, od szczeniaka. Nikomu się nie pozwoli zbliżyć. To znaczy, póki nie pozna człowieka. Ale Laurie bardzo lubił, mogła przychodzić, gdy tylko chciała. I zawsze przynosiła mu coś dobrego, jakieś nowe psie przysmaki albo śliczną kość. Mówiła, że specjalnie chodzi do rzeźnika i prosi, by odłożyli jej najlepszą kostkę. Lubiła psy... — Westchnął żałośnie.

Doszli do drzwi. Były lekko uchylone i mężczyzna popchnął je laską.

— Proszę wejść, proszę bardzo. Mówiła pani, że jak się nazywa?

Musiał być niemal głuchy. Marla podeszła bliżej.

— Marla Cwitowitz — powiedziała mu prosto do ucha. — Proszę mówić mi po imieniu. Marla, ładne imię.

Poprowadził ją przez obszerny hol o podłodze z mannurowych płyt do pokoju, który najwyraźniej był jego ulubionym miejscem. A raczej legowiskiem, poprawiła się w myśli. Powiodła wokół spojrzeniem. Mahoniowe półki od sufitu do podłogi, wypełnione książkami, ciężkie śliwkowego koloru aksamitne zasłony pachnące kurzem wzbraniały dostępu promieniom słońca, mały telewizor na orzechowej komódce, zapadnięta zielona sofa pokryta skórą, klubowe fotele w starych kwiecistych pokrowcach, stary turecki dywan. I fortepian w kolorze kości słoniowej, wyglądający tu tak samo nie na miejscu, jak dziewczynka z chóru kościelnego w Las Vegas. Nad masywnym okapem kominka w stylu Jakuba I wisiał portret wyniosłej młodej blondynki w atlasowej sukni wieczorowej i diamentach. W ręku trzymała gałązkę lilii.

Imponująca, pomyślała Marla. I jakby trochę podobna do Laurie Martin. Coś w oczach...

— To moja żona — powiedział staruszek, opadając na sofę, jakby załamały się pod nim nogi. — Imogen. Umarła dziesięć lat temu.

— Urocza — odparła Marla uprzejmie, choć jej zdaniem kobieta na portrecie sprawiała wrażenie twardej sztuki. Świadczyło o tym pogardliwe wygięcie ust, ślad niecierpliwości w spojrzeniu. Malarz doskonale uchwycił jej osobowość — dodała z nieszczerym uśmiechem.

— Co? — Staruszek przyłożył rękę do ucha, żeby lepiej słyszeć. — Właśnie dlatego lubiłem Laurie. Była do niej podobna. — Panno Marlo, proszę usiąść. — Niepewnie pomachał, wskazując miejsce.

— Jak rozumiem, pana syn chodził do tego samego kościoła, co ona. Wielebny Johnson powiedział, że dobrze się znali.

— Bones Johnson powiedział, że mam syna? Oszalał, czy co? Oczywiście, że nie mam syna. To ja chodziłem do kościoła z panną Martin. Przyjaźniliśmy się.

No, no, no, pomyślała Marla. Więc to jest John Maclyer. Okazuje się, że Laurie Martin miała przyjaciela.

— To okropne, co ten człowiek jej zrobił, okropne. — Głos staruszka drżał jeszcze bardziej, po zapadniętych policzkach spłynęły łzy. — Gdzie ona jest? Gdzie ona jest? — Skrzyżował ręce na piersi i zaczął się żałośnie kołysać. Marla miała wrażenie, że nie po raz pierwszy tak się załamał z powodu Laurie. Najwyraźniej bardzo się o nią troszczył. Panie Maclyer, współczuję panu. — Usiadła koło niego na zapadniętej sofie. — Rozumiem., jak się pan czuje. Musiała być dla pana kimś wyjątkowym.

— Była damą oto kim była. W staroświeckim znaczeniu tego słowa. Uprzejma, miła, troskliwa. I urocza, naprawdę urocza. — Spojrzenie zmętniałych oczu zogniskowało się na twarzy Marli. Maclyer nosił powiększające okulary, chyba jeszcze silniejsze niż te, których używał Ben Li ster. Marla była pewna, że cierpiał na kataraktę i nie widział jej zbyt dokładnie, nawet przez te grube szkła.

— Znała pani Laurie? — spytał.

— Hm, nie bardzo. To znaczy, nie znałam jej osobiście.

— Wiele pani straciła. — Maclyer z trudem wstał z solr, podreptał do kominka i ze stojącego obok włoskiego stolika wziął zdjęcie. — To ona.

Marla patrzyła na Laurie Martin, która nie przypominała eleganckiej kalifornijskiej blondynki z baru u Ritza.

67

Jednak bez żadnej wątpliwości to była ona w jednej ze swoich długich, kwiecistych domowych sukienek z rękawami do nadgarstków. Trzymała dużą białą torebkę i nosiła białe pantofle na niskich obcasach. Włosy miała surowo ściągnięte do tyłu i upięte w kok. Uśmiechała się nieśmiało do aparatu. Zapewne był to jej wizerunek na niedzielę, do kościoła.

— Cudowna kobieta — powiedziała uroczyście Marla. — Rozumiem, co pan miał na myśli. Wygląda tak nobliwie i ... — poszukała słowa — staroświecko...

— Właśnie dlatego ją lubiłem. — Jego głos się załamał, znów popłynęły łzy, tym razem szybciej. — Kochałem ją — wyznał. — I poprosiłem o rękę. A ona się zgodziła. Ale nie chciała brać ślubu od razu. Powiedziała, że woli, żebym się upewnił, że wiem, co robię. I nie chciała, by ludzie o nas gadali, o niej...

Marla ze zdumieniem jeszcze raz powiodła spojrzeniem po pokoju. Staruszek miał pieniądze, co do tego nie było wątpliwości, i Laurie to wiedziała.

— Rozumiem, o co jej chodziło — powiedziała.

Maclyer zdjął okulary i wytarł oczy.

— Parnio Marlo, pani ma taką miłą twarz, zupełnie jak ona. Nikomu nie mówiłem o Laurie, nawet wielebnemu Johnsonowi. Laurie powiedziała, że to nasza tajemnica. Ale pozwoliła, żebym jej kupił pierścionek zaręczynowy. Chciała, żeby to był nasz specjalny sekret.

— Zwinięty wąż, z ogonem w pysku i brylantowymi oczami — przypomniała sobie Marla od razu. Więc stąd Laurie miała tak kosztowną rzecz. — Niecodzienny wybór jak na zaręczynowy pierścionek — stwierdziła.

— To cała Laurie, zawsze czymś zaskakiwała. Ale też była niezwykłą kobietą.

— Nie chciałabym pana urazić, ale czy Laurie nie przejmowała się różnicą wieku.

Przecież ona miała.. - ile lat?

— Była trochę po trzydziestce, aja mam osiemdziesiąt cztery. Może trudno to pani zrozumieć, ale Laurie była bardzo uduchowioną kobietą i różnica wieku nie miała dla niej znaczenia. Mówiła, że nadajemy na tych samych falach, że nasze umysły są pokrewne. Może w poprzednim życiu byliśmy małżeństwem, a teraz łaskawy los znowu nas złączył, chociaż wolala nazywać to przeznaczeniem. — Maclyer rzucił Marli ostre spojrzenie. Miała wątpliwości, czy bez okularów jego zamglone oczy mogły ją widzieć. — Ale oczywiście łączyła nas również intymność fizyczna — dodał z dumą. — Nadal jestem sprawny, ciągle jeszcze jest we mnie wiele życia.

Brawo dla yiagry, pomyślała Marla, ale na głos powiedziała:

— Rzecz jasna Laurie ceniła eleganckie rzeczy.

— A ja mogłem jej je dać — odparł z radością. — Proszę mnie nie zrozumieć źle, nie była chciwa. Och nie, nie była taka. Nie pozwalała, żebym ją obsypywał prezentami.

68

— Więc co jej pan dał oprócz pierścionka?

— Nigdy nie wzięła ode mnie ani centa. Nie dla siebie. Raz jej pomogłem, gdy potrzebowała pieniędzy na operację dla dziecka swojej siostry. Dawałem jej też pieniądze na działalność dobroczynną. Chodziło o pomoc dla ubogich dzieci w okresie Bożego Narodzenia. — W oczach staruszka znów pokazały się łzy. — Laurie była dobra. Bardzo dobra. I wiem, że mnie kochała.

— Skąd pan to wie? — Marłę to naprawdę zaciekawiło. Przecież ten stary, lekko już zdziecinniały mężczyzna nawet z daleka nie mógł być wzięty za adonisa.

-. Tak mi powiedziała — odparł Maclyer po prostu. — Mówiła, że od kiedy straciła męża, który umarł dziesięć lat temu, nigdy nikogo nie pokochała. Ja byłem pierwszy. Wie pani, dlaczego? Bo czuła, że może mi ufać. Ona, samotna, wrażliwa kobieta, bała się tego wielkiego, wrogiego świata. Mówiła też, że w pracy mężczyźni ciągle ją ranili.

Marla usiadła wygodnie na zielonej, zapadniętej sofie. Była oszołomiona. O ile im było wiadomo, Laurie nie miała siostry. Nie miała też nigdy męża. Ani, według rozeznania policji, nigdy nie zajmowała się dobroczynnością.

Łagodnie poklepała Maclyera po ręce. Pod palcami czuła jego drobne kostki, przez skórę prześwitywały nabrzmiałe, pulsujące, purpurowe żyły.

— Panie Maclyer, przykro mi, że pana zdenerwowałam. Naprawdę nie chciałam — powiedziała szczerze. — Bardzo dziękuję za zaufanie. Jestem pewna, że to pomoże w odnalezieniu Laurie. Mam jeszcze do pana prośbę. Potrzebuję jej zdjęcia. Rozumiem, że jest dla pana bardzo cenne, ale czy mogłabym je pożyczyć na jeden dzień? Zrobię odbitki i panu też dam kilka. Fotografia Laurie bardzo ułatwiłaby nam poszukiwania. Maclyer spojrział na nią z przestraczem.

— Mówiła pani, że nie jest z policji. Gdybym wiedział, że jest pani policjantką, nic bym nie powiedział. Laurie by to się nie spodobało.

— Naprawdę? — Marla nastawiła uszu. — A dlaczego Laurie nie chciałaby, żeby pan rozmawiał z policją? Proszę mi powiedzieć. — Uśmiechnęła się i znów poklepała go po ręce. — Naprawdę nie jestem policjantką.

Maclyer westchnął z ulgą.

— Wcale tak nie myślałem. Laurie nie lubiła policji, nie ufała im. Mówiła, że raz czy dwa czepiali się jej. Chodziło o jakieś drobiazgi dotyczące samochodu. Uważała, że policja nigdy nie staje po stronie zwykłego człowieka.

— Rozumiem — przytaknęła Marla. — I jeszcze raz bardzo panu dziękuję. Obiecuję, że jutro zwrócę panu zdjęcie.

Wstała, ale pies zrobił to samo. Z jego gardła wydobywało się ciche warczenie, pokazywał białka oczu i kły.

— Pani wybaczy, że jej nie odprowadzę — usprawiedliwił się Maclyer — ale jestem zmęczony. Stąd otworzę bramę. Gestapo, siad!

Pies posusznie usiadł. Marla przeszła obok niego z duszą na ramieniu. Już prawie czuła ostre zęby szarpiące jej łydkę. Ale pies się nie poruszył.

Coś podobnego, myślała, spiesząc podjazdem do zapewniającego bezpieczeństwo mercedesa. Proszę bardzo, czego się dowiedziałam! Prawdziwa żyła złota. Uśmiechnęła się na myśl, że Giraud mógł nie mieć aż tyle szczęścia z kolegami Laurie z pracy. Ma mu dużo do powiedzenia!

Rozdział XIX

Al wspiał się na stół przy ladzie w kształcie podkowy w „Apple Pan” na Pico, jakieś sto metrów na wschód od Westwood. Lokal właściwie się nie zmienił od otwarcia w latach czterdziestych i był jego ulubioną jadalnią. Musiał odczekać w kolejce dziesięć minut, a ogonek nadał wiał się przed drzwiami. Z drugiej strony lady przy grillach uwijało się czterech mężczyzn. Wykładali frytki na papierowe tacki, wkładali hamburgery w bułki, ustawiali smażony ryż w piramidki wysokie na kilometr, dodawali do tego sałatkę z

tuńczyka albo z jajek. A porcje szarlotki były tu największe w całym Los Angeles, przynajmniej zdaniem Ala. Sądząc po kolejce, inni również tak uważali.

— Jak się masz, Al? To co zwykle?

Przychodził do tego lokalu od piętnastu lat, ale facet za ladą pracował tu jeszcze dłużej.

— Jasne. Po co w ogóle pytasz?

— Nigdy nie wiadomo, kiedy klient zmieni zdanie i zechce na przykład hamburgera. — Barman przesunął puszkę coli po ladzie. Dodał do tego plastikowy kubeczek na wypadek, gdyby Alowi nagle zachciało się pić elegancko. Nie minęło nawet dziesięć minut i już podawał tuńczyka z dodatkami, porcję frytek z dwiema porcjami keczupu. Al właśnie ugryzł pierwszy kęs, gdy wyczuł za plecami jakieś zamieszanie. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył Marłę, która łokciami torowała sobie drogę do kontuaru. Ubrana była, jeżeli w ogóle można to nazwać ubraniem, w strój gimnastyczny: białe szorty z lycry, obcisłą górę, mokasyny i czapeczkę Lakersów.

— Przepraszam, przepraszam... — Już była na początku kolejki i siedziała obok Ala na dopiero co zwolnionym stolku. — Jestem z nim — wyjaśniła przez ramię wściekłym klientom, których wyprzedziła.

— Marla, jak mogłaś? syknął Al. Ci biedni ludzie czekają, żeby móc coś zjeść.

Obowiązuje kolejka, jeżeli tego nie zauważyłaś.

Wiedziała, że cię tu zastanę. I owszem, zauważyłam kolejkę, ale mam ci coś ważnego do powiedzenia. Uśmiechnęła się.

— Przez ciebie wyrzucą mnie stąd.

— Wyrzucano mnie już z lepszych miejsc.

— Co podać? Barman, któremu zakłóciła rutynowe czynności, zaczął na tracić cierpliwość. Od chwili, gdy klient zasiadł za kontuarem do chwili, gdy znajdował się z powrotem przy drzwiach, mijało zwykle piętnaście minut. Ale nie wtedy, gdy przychodziły kobiety takie, jak ta.

— Firm, niech spojrzę. — Marla studiowała menu leżące na kontuarze. Hamburger, cheeseburger, sałatka z tuńczyka, sałatkajajeczna, liytki, szarlotka. Przechyliła głowę i uśmiechnęła się kącikiem ust. — Naprawdę, to bym chciała wędzonego łososia ze śmietankowym serkiem na grzance z sezamowego baj gla.

Al i barman spiorunowali ją wzrokiem.

— Szanowna pani, „Junior”s Deli” mieści się w sąsiednim budynku. My podajemy hamburgery i ń-ytki. Więc czego pani sobie życzy?

— Sałatkę z jajek, bez fiytek — rzuciła ze złością.

— Mogłabyś się chociaż zarumienić — powiedział Al, zanurzając łytkę w keczupie.

— W naszych czasach kobiety się już nie rumieniają. Dałyśmy sobie z tym spokój.

— A co robicie w zamian?

— Przepraszamy — odparła, uśmiechając się złośliwie. Odwróciła się do mężczyzny, którego wyminęła w kolejce. — Bardzo pana przepraszam. — Uśmiechnęła się do niego miło, a on odpowiedział uśmiechem. — Przepraszam — zwróciła się do barmana, który właśnie niemal ciskał jej tekturową tackę z kanapką i sałatkajajeczną. — Och, wystarczyłoby dla czworga. Będę potrzebowała torby, żeby resztę zabrać ze sobą. -- Al przewrócił oczami, a ona dodała szybko: — Przepraszam.

— No dobrze, skoro już wszystkich przeprosiłaś, zjedz tę cholerną kanapkę i zbieramy się stąd.

— Ale mam ci tyle do powiedzenia...

Była tu od pięciu minut i nie zjadła jeszcze ani jednego kęsa. Spokój w „Apple Pan” został na jakiś czas zakłócony.

— Marla, zrozum, że to nie „Ritz” syknął Al. — Ci ludzie pracują na czas, ich mantrą jest obrót.

Chwyliła tekturową tackę i puszkę coli i ześliznęła się z taboretu.

— Doskonale. Nie zamierzam nikomu przeszkadzać. Mogę zjeść w samochodzie. Zresztą itak wcale tego nie chciałam.

Al skończył swojego tuńczyka i zapłacił za oboje. Zostawił flytki, złapał colę, chwycił Marlę za ramię i zaczął się przepychać do wyjścia.

— Przychodzę do tego baru od piętnastu lat, a teraz nie jestem pewny, czy mogę się tu jeszcze pokazać.

71

— Dlaczego?

Była tak zdumiona, że Al tylko ciężko westchnął.

— Nie ma o czym mówić. Co tak ważnego miałaś mi do powiedzenia?

Siedzieli już w mercedesie. Al zauważył, że opłata za parkowanie jakiś czas temu się skończyła, więc wysiadł i włożył do parkometru ćwierćdolarówkę. Potem wsiadł, trzasnął drzwiczkami i wypił wielki, jakże mu w tej chwili potrzebny łyk lodowatej coli.

Marla zlizwała z kanapki trochę sałatki jajecznej.

— O, naprawdę dobra pochwaliła.

— Najlepsza w całym mieście —oznajmił Al z taką dumą, jakby był właścicielem baru.

— Po twoim wstrętnym zachowaniu zgaduję, że nie odniosłeś większego sukcesu w rozmowie z kolegami Laurie.

Al skończył własną colę i sięgnął po puszkę Marli.

— Marla, wiesz co? Czasami jesteś okropna.

— Kto? Ja?

Rzuciła mu niewinne spojrzenie spod długich rzęs.

— Skarbie, nie rób mi tego. Mamy pracę, pamiętasz? I to ja jestem szefem.

— Tak jest, proszę pana. — Usiadła prosto. Tekturowa tacka ześliznęła się jej z kolan i spadła sałatką do dołu na buty Ala. — Spójrz na to w ten sposób: majonez nada twoim butom połysk, a poza tym lepiej, że spadła na twoje buty niż na mój czarny dywanik.

Al wciągnął głęboko powietrze.

— Marla, na wypadek, gdybyś nie zauważyła, mówię teraz przez zaciśnięte zęby. — Tacką zdrapał sałatkę z butów, a potem próbował wytrzeć resztki serwetką.

— Proszę. — Marla podała mu pudełko chusteczek higienicznych. — Ciągle się czegoś uczę — powiedziała ponuro. — W ciągu ostatniego kwadransu trzy razy przeproszałam, więc mogę to zrobić jeszcze raz. Al, przepraszam. — Pochyliła się, wzięła jego twarz w swoje ręce i pocałowała go w usta.

Gdy ich wargi się zetknęły, Al poczuł, że serce zaczyna mu mocniej bić. Jak nastolatek na pierwszej randce, pomyślał i odwzajemnił pocałunki.

— Co miałaś mi takiego ważnego do powiedzenia? — spytał, gdy Marla wreszcie się odsunęła. Jej zielonoszare oczy ściemniały, a wargi wydawały się spuchnięte. Boże, jaka ona piękna i seksowna. Z trudem się opanował.

— Znalazłam przyjaciela Lawie.

— 1? — Rozparł się na wygodnym, obitym czarną skórą fotelu, udając brak zainteresowania. Celowo wpatrywał się w okno obojętnym wzrokiem.

Walnęła go pięścią w ramię.

— Och. Uważaj, co robisz, możesz mnie uszkodzić — jęknął ze śmiechem.

— No dobrze, szefie. Opowiem ci. Laurie Martin poznała w kościele baptystów niejakiego Johna Maclyera. Idąc do kościoła, ubierała się w jed72

ną ze swoich domowych sukienek. On ma siwe włosy, okulary jak pan Magoo i chodzi o lasce. Jest nadziany, ma osiemdziesiąt cztery lata, a ona była po trzydziestce. Pamiętasz jej pierścionek z wężem? No właśnie. To pierścionek zaręczynowy. On zapłacił, ona wybrała.

Al cicho gwizdnął.

— Więc dlaczego nie nosiła go na właściwym palcu?

— Nie chciała, by ktoś się dowiedział, jeszcze nie teraz. To miała być ich tajemnica. Pragnęła, żeby się upewnił w tym, co robi. Poza tym wołała, żeby ludzie nie plotkowali. Była zwykłą, biedną kobietą, samotną i wrażliwą zmuszoną do walki przeciw temu wielkiemu, wrogiemu światu.

Al znów zagwizdał.

— Dobrze się spisałam? — spytała rozpromieniona.

— Skarbie, byłaś wspaniała.

— Według Maclyera Laurie była po prostu święta. Dobra kobieta, w staroświeckim tego słowa znaczeniu — tak powiedział. Przypominała mu jego zmarłą żonę Imogen. Sądząc po portrecie, buogen była prawdziwą jędzą.

— A on?

— Maclyer? — Marla przez chwilę się zastanawiała. — Polubiłam go, chociaż nie należy do subtelnych mężczyzn. Jednak z nich dwojga to on był wrażliwy i podamy na ciosy. Stary, samotny, trochę zdzieciniały, prawie zupełnie głuchy. Ale obaj, i on, i Gestapo, kochali Laurie.

— Gestapo?!

— Niemiecki owczarek, który przy pierwszym fałszywym ruchu skoczyłby mi do gardła, ale najwyraźniej uwielbiał Laurie. Oczywiście była dość sprytna, by przynosić mu obrośnięte mięsem wołowe kości, żeby zęby miał zajęte, zamiast gryźć japo łydkach. Wyciągnęła też od Maclyera sporo pieniędzy, myślę, że szło to w tysiące. Potrzebowała ich na operację dziecka siostry i na dobroczynność; konkretnie na pomoc biednym dzieciom w okresie Bożego Narodzenia.

— Coś podobnego! — Al odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Marla popatrzyła na niego, gotowa zadać coup de race.

— Powiedziała też Maclyerowi, że jest pierwszym mężczyzną którego pokochała od czasu, gdy dziesięć lat temu zmarł jej mąż.

Al otworzył oczy i uśmiechnął się zadowolony.

— Giraud, nareszcie coś mamy!

— Mąż, tak? I siostra z dzieckiem? Skarbie, życie staje się coraz bardziej interesujące.

— A to jest Lawie Martia. — Marla triumfalnie wyciągnęła zdjęcie Laurie w domowej sukience.

— Drugie życie Laurie — powiedział Al, uważnie oglądając fotografię. — Myślę, że udało mi się też dowiedzieć czegoś o jej życiu numer trzy. — Podał Marli brązową kopertę.

73

Marla otworzyła ją i zobaczyła zdjęcie małego czarnego kundelka, Clyde'a, siedzącego na bagażniku samochodu.

Powiększyłem je — oznajmił Al. — Widzisz tu coś ciekawego?

Marla pokręciła przecząco głową.

— Ładny piesek — stwierdziła. — Wygląda słodko w tej czerwonej apaszcze.

— Słodki Clyde siedzi na bagażniku buicka regal z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Jako bystry prywatny detektyw na pewno zauważysz, że samochód ma tablicę rejestracyjną z Florydy, a numer widać teraz całkiem wyraźnie.

Floryda! Marla przypomniała sobie mieszkanie Lamie, urządzone w pastelowych różach i turkusach, charakterystycznych właśnie dla Florydy.

— No więc, skarbie, zgadnij, gdzie zaczniemy śledztwo.

— Zawsze chciałam zobaczyć South Beach! — wykrzyknęła radośnie.

Rozdział XX

Al stał przy oknie w swoim biurze i przyglądał się ludziom na ulicy. Szczupłe kalifornijskie dziewczyny przemykały na wrotkach, powiewając długimi włosami, długimi nogami rytmicznie odpychając się od asfaltu, ze słuchawkami na uszach i głośną muzyką rujnącą bębni „w chwili, gdy o tym mówimy” - przypomniał sobie powiedzenie Bena Listera i kpiny Marli. Ta kobieta to prawdziwa prowokatorka, co do tego nie miał żadnych wątpliwości, ale dzięki niej często się śmiał.

Brodaty facet na czerwonym ducati 916, najszybszym rowerze na świecie, zatrzymał się na światłach i czekał, aż starsza kobieta w obszernej białej sukience ozdobionej dziecinnyimi różowymi kokardkami, w wielkim kapeluszu z różowymi różami i wysokich, białych szpilkach, przejdzie chwiejnie przez jezdnię. Dwie zgrabne, kosztownie ubrane blondynki—czy wszystkie kobiety z Beyerly Hills są blondynkami, zastanowił się przelotnie — w kostiumach od renomowanych krawców, trzymające paczki zawinięte w firmowy papier z najlepszych butików, wsiadły do czekającej czarnej limuzyny z kierowcą. W kawiarni naprzeciwko pstry tłumek młodych ludzi popijał mrożone napoje, ze znużeniem rozkładając otaczający świat na czynniki pierwsze i składając go potem według swoich upodobań. A może plotkowali o nieobecnych „przyjaciółach”? Świat się

kręci dzięki plotce, zwłaszcza w Hollywood. Gdyby nie plotka, wielu ludzi zostałoby bez pracy.

Ruch na Sunset nie ustawał. Tajny agent śledzący kogoś, dzieciaki z głowami ogolonymi na pałę i w workowatych, o wiele za obszernych spodniach, tak długich, że opadały na buty jak Charlie Chaplinowi, robotnicy z lunchem kupionym na wynos, nastolatki spieszące zaznać „życia” W Tower Records i nigdy nie kończąca się parada zwykłych ludzi, podążających w sobie tylko znanym celu.

Al odwrócił się od okna i jeszcze raz spojrzął na wiadomość, którą otrzymał przed chwilą. Dotyczyła samochodu z tablicą rejestracyjną Z Florydy. Pojazd ten przechodził z rąk do rąk, nazwiska kolejnych właścicieli nic mu nie mówiły, ajedyne nazwisko z Teksasu też nie było mu znane.

Właścicielem z Teksasu nie będzie się interesował. Samochód na zdjęciu miał numery z Florydy. Uśmiechnął się na myśl, że mógłby tam pojechać z Marlą. Ale Panama City to nie to samo co Miami i South Beach.

Zadzwoił telefon.

— Tu Ben Lister. Dzwonię od twojego przyjaciela, detektywa Bulwortha.

— Jesteśmy przyjaciółmi tylko wtedy, gdy nie pracujemy wspólnie nad tą samą sprawą. Teraz, niestety, skąpi mi informacji.

— Ale dzieli się nimi ze mną. Krew znaleziona w samochodzie nie była Steye”a.

Al zagwizdał. Na jego twarzy, na której już pokazywał się niebieski zarost, rozlał się uśmiech zadowolenia. U Marli nie miał maszynki do golenia, a właśnie tam wylądował po wspaniałej i przerażająco drogiej kolacji w hotelu „Bel Ai?”. Obserwowali tam przepływające obok łabędzie i jedli wspaniałe potrawy, kosztujące, jak się Alowi wydawało, co najmniej dziesięć dolarów za jeden kęs. Marla powiedziała, że jest jej to winien za dobrą robotę, jaką wykonała u Johna Maclyera, a on się poddał. Trzeba czasem porzpuścić swoją dziewczynkę, sprawić, by czuła się doceniana. Jak ona pięknie wyglądała i jak cieszyła się tąkolacją! A potem cieszyli się sobą nawzajem wieszczę rozkoszniejszy sposób. Al przywołał się do porządku.

Wiadomo, czyja to krew?

Nie. A nie mogą przypasować jej do Laurie, bo nie znaleźli ciała. Jeszcze nie znaleźli.

Lister dodał „Jeszcze”, ponieważ był absolutnie pewny, że ciało znajdzie się najbliższym czasie. —Nadal go szukajaw chwili, gdy o tym rozmawiamy uzupełnił.

Al roześmiał się.

— Na razie policja nie ma żadnego przekonującego dowodu przeciw naszemu klientowi. To klasyczna sprawa poszlakowa.

— Tyle że nie ma innych podejrzanych.

— To prawda. Ale wydaje mi się, że niedługo im jakiegoś podsunę.

— Zrób to, kolego. I zawiadom mnie, gdy będziesz coś wiedział.

— Oczywiście. I dziękuję za wiadomość. Jestem ci bardzo wdzięczny.

Al spojrzął na swój czarny olympic 95 swatch, którym Marla gardziła tak samo jak czerwonaçoryetta, i wystukał jej numer do samochodu. Odpowiedziała od razu. Głos Marli przebijał się przez hałas ulicznego ruchu.

— Cześć, skarbie. — Wiedział, że ma włączony głośnik.
 — Jestem na szosie! — krzyknęła. — Musisz mówić głośno.
 — Marla, zakręć szyby i weź słuchawkę.
 - Co?
 W rozpaczy przejechał palcami po włosach.
 — Skarbie, powiedziałem, żebyś zakręciła szyby. Wtedy będziesz mogła mnie słyszeć. Przecież te mercedesy są dźwiękoszczelne, prawda?
 — W każdym razie bardziej niż coryetty. - Marla wykonała polecenie i teraz było ją słychać głośno i wyraźnie. — O co chodzi, skarbie?
 — Krew w lexusie nie była Steye”a.
 — Och. Więc już zdjęli go z haczyka?
 — Niezupełnie. To prawdopodobnie krew Laurie, ale nie mogą tego sprawdzić.
 — Bo nie mają żadnych próbek jej krwi, żeby je porównać.
 — Marla, czasami mówisz tak mądrze, że wprost trudno uwierzyć.
 — Słuchaj, draniu. Jestem zaledwie stażystką prywatnego detektywa, a ty siedzisz w tym od piętnastu lat, więc odczep się ode mnie, dobrze?
 — Marla jadę na Florydę. — Aż się zgiął, słysząc jęk hamulców.
 — Co takiego?
 — O wół do drugiej mam samolot, przez Atlantę.
 — A dlaczego nie lecisz do Miami?
 — Bo ten samochód nie pochodzi z Miami, dziecińo. Jest z Panama City.
 — Mm, to chyba nie wygiada na miasto, które by mi się podobało — stwierdziła z wahaniem.
 Oczywiście, ale itak na pewno chciałabyś ze mną pojechać — Al uśmiechnął się złośliwie.
 — Nie.., nie. Tym razem zajmij się sprawą sam, szefie. Jesteś pewny, że poradzisz sobie beze mnie?
 — Skarbie, dam z siebie wszystko.
 Głos ściszyła do szeptu.
 — Będzie mi ciebie brakować dziś wieczorem. Będę leżała sama w moim wielkim łóżku i myślała o tobie, wspominała ostatnią noc...
 — Trzymaj się tego wspomnienia, skarbie. Aja postaram się znaleźć w twoim łóżku jak najszybciej.
 — Przysięgasz?
 — Nie należę do mężczyzn, którzy przysięgają, lecz do tych, co się zakładają. Tu szanse są jak dziesięć do jednego.
 — Stoi — odpowiedziała ze śmiechem. — I uważaj na siebie. Nie chcę, żebyś wpadł w kłopoty, gdy mnie przy tobie nie będzie.
 Zapewnił ją, że się postara, odłożył słuchawkę, chwycił torbę i zamknął przeszkłone drzwiami, na których, jak w filmie z lat czterdziestych, widniał napis: PRYWATNY DETEKTYW, z dopiskiem „J)yskrecja gwarantowana”.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i znalazł się w kawiarni, w której młodzi ludzie popijali napoje z puszek. Tam zamówił podwójne espresso. Mężczyzna musi sobie jakoś radzić, gdy przyjdzie mu zwalczać stres spowodowany odzwyczajaniem się od palenia.

Panama City to niewielkie nadmorskie miasteczko, z typowymi dla Florydy nieciekawymi, przeważnie jednopiętrowymi domami. Słońce paliło z bezchmurnego, ciemnoniebieskiego nieba, smażąc Ala przez podkoszulek, aż poczuł się jak kielbaska z grilla. Zdecydowanie nie był to rodzaj miasta, jaki lubił, nie mówiąc już o Marli, której podobałoby się tu jeszcze mniej.

Spędził noc w ponurym motelu, o którym wolałby tylko czytać, i prowadził wynajęty samochód, bez którego śmiało mógłby żyć. Samochód był duży, w obrzydliwym jasnoniebieskim kolorze, kierownica miała luzy a hamulce działały z rozpaczliwym ociąganiem. Z tęsknoty za coryettą bolało go serce.

Moskitiera w motelu była dziurawa i przepuszczała chmary komarów, drzwi skrzypiały i stukały popychane ciepłym wiatrem, a przez cienkie okiennice wpadały smugi zielono-czerwonego światła neonowego. Humphrey Bogart nigdy nie musiał nocować w tak podłym miejscu.

Mieszkańcy Panama City okazali się mili i Al szybko uzyskał potrzebne informacje. Buick regal należał do marynarza z Pensacoli, Jamesa H. Victora. Niestety, Jimmy Victor nie żył. Jakies dziesięć lat temu zginął tragicznie w pożarze swojej przyczepy. Opisano ten wypadek we wszystkich miejscowych gazetach.

Gazeta z Pensacoli poświęciła tej sprawie artykuły w dwóch kolejnych wydaniach. Al przeczytał oba, choć musiał się przekopać przez zakurzone archiwum.

Powodem pożaru był wybuch butli gazowej. Zona Jimmy'ego, Bonnie z domu Hoyt, pochodząca z Gainesville na Florydzie, akurat wyprowadziła psa na spacer. Widząc dym, wróciła biegiem, ale przyczepa już stała w ogniu. Gazeta opisywała odwagę, z jaką, usiłowała wyciągnąć męża, odnosząc przy tym poważne oparzenia. Ciało Jimmy'ego znaleziono w drzwiach, na pół wyciągnięte na zewnątrz.

Pochowano go w Pensacoli. Al poszedł na cmentarz i znalazł tam skromny kamienny nagrobek z nazwiskiem, datą urodzin i śmierci. Nie było tu ani kwiatów, ani trawy, ani dających cień drzew. Tylko bezlitosne słońce Florydy paliło ciągle Jimmy'ego żywym ogniem.

Al wiedział z doświadczenia, że najlepszym miejscem do zbierania informacji, zwłaszcza w mieście, w którym stacjonuje marynarka wojenna, jest bar położony najbliżej portu.

Ten, do którego wszedł, był ciemny i dość cichy.

77

Na tyłach dużej sali stało pół tuzina bilardowych stołów, nad nimi nisko zwieszały się ocienione abażurami lampy, oświetlając jedynie zielone sukno. Wokół kręciło kilku mężczyzn, czekając na swoją kolejkę. Długi, porysowany drewniany kontuar pokrywała warstwa lśniącego lakieru, maskującego wieloletnie plamy. Tu nie podawano do piwa orzeszków i precli. I tak miało się szczęście, jeżeli się dostało papierową serwetkę.

Al usiadł na stołku przy kontuarze i zamówił u barmanki budweiser. Włosy miała ufarbowane na rudoblond, kolor, który kiedyś nazywano truskawkowy blond.

Utapirowane wysoko z przodu, opadały w lokach na ramiona. Jej lodowatoniebieskie oczy były obrysowane czarną kredką, a usta lśniły hojnie nałożonym różem. Wyglądała jak nastolatka z lat sześćdziesiątych, która weszła w wiek średni, nie zmieniając stylu. Al oparł się łokciem na kontuarze i rozejrzał po lokalu. Było późne popołudnie, pora małego ruchu. Miał nadzieję, że nie będzie musiał tu siedzieć zbyt długo, pijąc piwo i tracąc czas. Na razie w barze siedziało tylko kilku klientów.

— Skarbie, od dawna pani tu pracuje? — spytał barmankę.

Uszczęśliwiła go promiennym różowym uśmiechem. Najwyraźniej nigdy nie słyszała o molestowaniu seksualnym.

— Och, tak. Będzie już dziesięć lat. Gdy dzieci dorosły, chciałam uwolnić się od domu i małżeństwa, więc wzięłam tę pracę. To najlepsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam.

— Jasne. — Al łyknął piwa.

— Pan tu już bywał?

— Jestem w mieście przejazdem. Mam nadzieję, że pamięta pani moi ego przyjaciela. Nazywał się Jimmy Victor. Zналиśmy się dawno temu, w dzieciństwie. Słyszałem, że wstąpił do marynarki, apotem zginął w pożarze swojej przyczepy... — Al zawiesił pytając głoś.

— Tak, pamiętam ten wypadek, chociaż zdarzył się dobrych kilka lat temu. Pisali o nim we wszystkich gazetach i mówili w telewizji.

— Miał tu wielu przyjaciół?

— Jasne. Był lubiany, wie pan, o co mi chodzi. Przystojny, wszystkie dziewczyny za nim szalały.

— Myślałem, że był żonaty.

Obdarzyła go jeszcze jednym różowym uśmiechem i puściła oczko.

— Akto nie jest?

Ma pam rację. — Al zawtórował jej śmiechem. Pohamował się, by nie spojrzeć na zegarek i nie policzyć, kiedy ma następny samolot. — Nie wie pani, gdzie mógłbym się spotkać zjakimiś jego przyjaciółmi? Chciałbym, żeby mi o nim opowiedzieli, wie pani, ze względu na stare czasy.

Intensywnie myśląc, zmarszczyła czoło z wysiłku.

— No więc — powiedziała po chwili, przyglądając loki — tutaj nie zaglądam zbyt często.

Wydaje mi się, że kilku z nich mógłby pan spotkać w

„Fishin” Shak”, parę domów dalej. Wiem, że Marty Knudsen bywał tam z Jimmym. I Frankie Alford.

— Dziękuję, skarbie. Skorzystam z twojej rady.

Zapłacił za piwo banknotem dziesięciodolarowym, powiedział, żeby zatrzymała resztę i został obdarzony jeszcze jednym różowym uśmiechem.

„Fishin” Shak” wyglądał podobnie jak poprzedni bar, ale nie stały tu stoły bilardowe. Było to miejsce, gdzie się tylko piło, mimo że ozdobiono je sztucznymi sieciami rybackimi i zakurzonymi słojami z homarami. Cały lokal, razem z własnej roboty kontuarem, wyglądał, jakby został zdmajstrowany z odpadków. Al obawiał się, że potężny klimatyzator zaraz zdmuchnie knajpę z powierzchni ziemi.

Tym razem za baxem stał mężczyzna, chłop na schwał, starszy i chyba bardziej bystry niż barmanka, z którą Al przedtem rozmawiał. Złamany nos i wielkie pięści dowodziły, że to były bokser, a ogolona głowa świadczyła, że jej właściciel nie lekceważy najnowszych trendów mody albo należy do jakiejś supermęskiej grupy skinheadów.

Al znów zamówił piwo i spytał, czy barman ma Frankiego Alforda albo Marty"ego Knudsena.

— A kto pyta?

Al przypomniał sobie sztuczki Marli i miło się uśmiechnął. Niestety kompletna kłapa.

- Znajomy.

— Jak pan może być ich znajomym, skoro nigdy tu pana przedtem nie widziałem?

— Jestem znajomym znajomego, starym kumplem Jimmy"ego Victora. Przez jakiś czas trzymaliśmy się razem. Zanim zginął w pożarze. Jestem tu przejazdem i przypomniałem sobie, że stacjonował w tym mieście. Chciałbym się dowiedzieć czegoś o nim, usłyszeć, jak to się stało. Poszedłbym też na cmentarz.

Barman przyglądał się Ałowi przez długą chwilę; głowę miał opuszczoną jak szarżujący byk. Al był zadowolony, że dzieli ich szeroki kontuar. Wreszcie barman podniósł głowę, spojrzał Ałowi przez ramię i zawołał:

— Hej, Frankie, ten facet mówi, że znał Jimmy"ego Victora.

— Tak?

Frankie był wysoki, potężnej budowy, miał jakieś trzydzieści pięć lat, włosy ostrzyżone krótko, po marynarsku, i czerwoną twarz od zbyt długiego przebywania na słońcu i zbyt wielu trunków. Al podał mu rękę.

— Jak leci? Nazywam się Al Giraud. Znałem Jimmy"ego, zanim wstąpił do marynarki.

Jego rodzinę też. Ale potem straciliśmy kontakt. Każdy z nas obrał inną drogę.

Przejeżdżałem przez miasto i przypomniałem sobie, że on umarł właśnie tu. Chciałem go odwiedzić, no wiesz, na cmentarzu. Złożyć mu ostatnie uszanowanie.

79

— Och, no tak, oczywiście. — Marynarz tak uściśnął Ałowi rękę, że mało mu nie połamał kości. — Jimmy był w porządku. To okropne, co się z nim stało. Jezu, nawet nie mogę sobie wyobrazić, przez jakie piekło musiał przejść.

- Byłeś na pogrzebie?

— Jasne. Do grobu odprowadzała go tylko żona i kilku kumpu. Chyba nie miał żadnej rodziny. Och, i mały czarny piesek, wabił się Clyde. Zawsze nosił czerwoną apaszkę. Bonnie wszędzie go ze sobą zabierała.

Al zamówił dwa następne piwa.

— Jaka była jego żona?

— Bonnie? — Frankie wzruszył ramionami. — Ciemne włosy, ciemne oczy. Dziwna, jeśli chcesz wiedzieć. Ale miała ładne ciało, zgrabne nogi. I coś takiego w spojrzeniu... Jimmy cały czas ją zdradzał. Nie potrafił trzymać rąk z dala od kobiet. Był przystojny. Potem dowiedział się, że Bonnie też go zdradza. Ciągłe się kłócili. Po pogrzebie już jej nie widziałem.

Al spytał, jak dojechać na cmentarz. Już wcześniej widział grób Jimmy'ego, ale zadał to pytanie, by zachować pozory. Postawił jeszcze jedną kolejkę bannanowi i Frankiemu, pożegnał się i wyszedł.

No, no, no, pomyślał z szerokim uśmiechem, jadąc tak szybko, jak pozwalał mu na to zdezelowany silnik wypożyczonego samochodu. Kierował się na lotnisko w Pensacoli, licząc, że złapie samolot do Atlanty o szóstej. „Bomie i Clyde”. Miał Marli mnóstwo do opowiedzenia.

Rozdział XXI

Czasami, myślała zniecierpliwiona Marla, praca prywatnego detektywa jest nudna. Na przykład w tej chwili. Al zlecił jej znalezienie wszystkich banków krwi w okręgu San Diego, by sprawdzić, czy Laurie Martin oddawała kiedyś krew. Zaopatrzona w upoważnienie, wydane jej jako obrończyni Steye'a Mallarda, spędziła na tym zajęciu dwa dni. Okazało się, że niepotrzebnie, bo policja zrobiła to samo wcześniej i osiągnęła podobny negatywny rezultat.

W drodze powrotnej do Los Angeles niemal przypiekała opony na asfalcie. Była wściekła, że Al zlecił jej takie zadanie. Czasami się zastanawiała, czyjej partner rzeczywiście wie, co robi.

Odezwał się telefon i Marla ze złością chwyciła słuchawkę.

— Skarbie, cześć. Co słychać?

Głos Ala był rzeźki. Marla wiedziała, że to znak, iż trzyma coś w rękawie.

— Przez ciebie miałam okropny dzień. Łaziłam od szpitala do szpitala i przyglądałam się ludziom oddającym krew. Jak mogłeś mnie o to prosić? Wiesz, że nie znoszę widoku krwi.

— Skarbie, czyżbyś zwróciła lunch? Nie martw się, zapraszam cię na dobrą kolację.

— Coś takiego! Uprzejmie dziękuję. — Ale zaraz zmieniła zdanie. — Gdzie? — spytała, okazując nagle zainteresowanie.

— Może „Typhoon”? Spotkamy się tam koło wpół do ósmej?

— Lepiej się nie spóźnij — przestrzegła.

— Oczywiście, że się me spóźnię. Jak cię znam, ty na pewno nie przyjdiesz na czas. —

Roześmiał się i śmiał się jeszcze, gdy trzasnęła słuchawką

„Typhoon” był przyjemną małą restauracją. Mieściła się na piętrze starego lotniczego hangaru, z okien rozciągał się widok na autostradę i lotnisko w Santa Monica. Klientom dostarczały rozrywki zgrabne małe cessny i drogie prywatne odrzutowce, przewożące gwiazdy rocka i biznesmenów, a czasami nawet aktorów filmowych, i przepiękne zachody słońca, malujące niebo nad Pacyfikiem złotem i purpurą. Podawano tu dobre martini i egzotyczne potrawy, łącznie z tajskimi bułeczkami i curry smażonego suma w orientalnym sosie, mocno przyprawiony singapurski makaron i ulubiony przysmak

Amerikanów — żeberka. Oprócz tego w menu figurowały „owady”, chociaż Al nigdy nie widział, by ktoś się skusił na szarańczę albo pasikoniki.

Marla się spóźniła. Al wiedział z góry, że tak będzie, więc spokojnie popijał lodowate piwo asahi, jego ulubione zaraz po samuel adams, i absolutnie imię: wytrawne i cierpkie, w odróżnieniu od łagodnego syropowego smaku samuela adamsa.

Gdy Marla weszła, głowy jak zawsze odwróciły się w jej kierunku. Jasne włosy zebrała w kok na szczupłym karku jak tancerka flamenco, ale wokół jej owalnej twarzy wiły się delikatne pasemka. Włożyła też okrągłe okulary w szylkretowej oprawce od Armaniego — ale tym razem były to okulary przeciwsłoneczne. Marla zawsze narzekała, że promienie słoneczne wpadające przez okna tej restauracji oślepiają ją. Ubrana była w długą czarną spódniczkę, białą bluzkę z miękkiego lnu z podwiniętymi rękawami i lśniącej pantofelki na płaskim obcasie. Al pomyślał, że wygląda dziś jak baletnica.

Jak zwykle zarzuciła mu ręce na szyję i głośno pocałowała.

— Tęskniłam za tobą — szepnęła, patrząc mu w oczy przez przyciemnione szkła okularów.

— Ja też za tobą tęskniłem, skarbie. — Zdjął jej ręce ze swojego karku świadomy uśmiechów ludzi siedzących przy barze.

81

Gdy zajęli miejsce przy stoliku obok okna, zamówił dla niej martini z wódką, a dla siebie jeszcze jedno asahi. Marla przyglądała się smukłemu małemu odrzutowcowi eagle, który kołował przed oknem.

— Kiedy zarobimy dość pieniędzy, by sobie taki kupić, zamiast korzystać z tych linii przez Atlantę? spytała z tęsknotą w głosie.

— Wtedy gdy będziesz takim samym dobrym prywatnym detektywem jak ja.

Westchnęła znużona.

- To był okropny dzień. I nic nie osiągnęłam.

— Chyba wiem, dlaczego.

Jej szarozielone oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia.

Chcesz powiedzieć, że wysłałeś mnie na poszukiwania wiedząc, że na nic się to nie zda? Wiedziałeś, że nic nie znajdę! I pomyśleć, że niepotrzebnie spędziłam cały dzień w szpitalach. Ciągle jeszcze cuchnę lizolem, mimo że wzięłam prysznic...

— Marla, uspokój się i daj mi dojść do głosu. — Opowiedział jej o małżeństwie Jimmy'ego i Bonnie Victorów i o małym piesku wabiącym się Clyde. Marla słuchała, popijając martini.

— Bonnie i Clyde — powiedziała oszołomiona.

— Właśnie. Para przestępców z lat trzydziestych.

— Myślisz, że Laurie Martin to dawna Bonnie?

— Tak. — Al skinął głową.

— Ale po co zmieniała imię? Przecież nie zabiła swojego męża. Wprost przeciwnie, usiłowała go ratować, wyciągnąć z ognia...

— Nie wiem, dlaczego zmieniła imię, ale założyłbym się, że po to, by coś ukryć.

— Ale jej dokumenty, numer ubezpieczenia, prawo jazdy, karty kredytowe... wszystko to jest na nazwisko Laurie Martin.

— Skarbie, w naszych czasach, niestety, nietrudno o fałszywe dokumenty. Trzeba tylko pojechać na ulicę Alvarado, tam dostaniesz wszystko, czego zapragniesz, poczynając od fałszywych zielonych kart, przez prawa jazdy i numer ubezpieczenia. Fakt, że to kosztuje, ale znów nie aż tak dużo.

— Al. — Marla zmarszczyła brwi w zamyśleniu. — A jeżeli nigdy nie znajdą ciała?

— Wtedy Steye Mallard będzie wolny. Mam przecucie, że kobieta taka jak Laurie alias Bonnie ma zdeprawowaną duszę i zaciera za sobą ślady nawet wtedy, gdy nie grozi jej niebezpieczeństwo. To jej druga natura. Marla, sprawdź jutro jeszcze raz te banki krwi. Dowiedz się, czy nie było dawczyni o nazwisku Bomii Victor. To ślepy strzał, ale nigdy nie wiadomo.

— Dlaczego miałyby ryzykować, oddając krew? Co by przez to osiągnęła? Al wzruszył ramionami.

— Może widok umierającego męża spowodował, że uświadomiła sobie, jak bardzo potrzebna jest krew w takich nagłych wypadkach. Może sama była kiedyś w takiej sytuacji, że potrzebowała krwi. Dlaczego w ogóle ludzie oddają krew?

— Chyba właśnie dlatego — przyznała Marla.

Jedli żeberka i smażone kalmary delektowali się słodkawym mięsem suma i zielonym groszkiem w jakimś sosie. Al opowiadał Marli o motelu na przedmieściach Panama City i o barach.

- Skarbie, nie podobałoby ci się tam — zakończył.

— Znasz mnie lepiej niż ja siebie — zażartowała wstając, by pójść do toalety.

Czekając na ni Al przyglądał się cennie, która wdzięcznie kołowała na pasie. Pomyślał, że może Marla ma rację. Warto byłoby się postarać i kupić sobie taki samolocik.

Rozdział XXII

Lister zadzwonił o szóstej rano. Marla jęknęła, schowała głowę pod poduszkę i owinęła długie nogi wokół ciała Ala, by uniemożliwić mu wszelki ruch.

— Niech dzwoni — mruknęła. — Jest za wcześnie.

— Skarbie, nikt by nie dzwonił o takiej porze, gdyby to nie było coś ważnego. — Wyzwolił się z opłotu jej nóg i podniósł słuchawkę.

— Giraud, znaleźli ciało.

— Gdzie? — spytał Al, rozpoznając głos Bena Listera.

— Psy je wytropiły. Przy końcu jednego z kanionów, trochę dalej, niż szukano na początku. Teren jest tiudny, nie zabiorą, jej stamtąd tak szybko. Zresztą po takim czasie i deszczach nie wiadomo, w jakim stanie są zwłoki.

— Już jadę. W drodze porozumiem się z Bulworthem i zadzwonię do ciebie.

Al już się ubierał. Marla wyskoczyła z łóżka i chwyciła go za ramię.

— Poczekaj! Co się stało?

— W kanionie znaleźli jakieś zwłoki. Muszę tam jechać.

— Jadę z tobą. — Szybko się ubrała w czarną spódniczkę z zeszłego wieczoru i szary sweter Ala. Usłyszała, jak deszcz bębni o dach, i jęknęła. Odległy kanion w ulewnym deszczu. Wspaniale.

Chwilę potem byli już na lotnisku w Santa Monica i wsiedli do czteromiejscowej cessny, którą Al wyczarterował przez samochodowy telefon. Gdy wznosili się w górę, przez okno widzieli, jak restauracja „Typhoon” staje się coraz mniejsza. Lecieli do San Diego i Laguny. Zgodnie z tym, co powiedział Al, nie mogli sobie pozwolić na stratę czasu. Za ścianą deszczu strażacy w hełnach i ubraniach ochronnych wyglądali jak nurkowie głębinowi. Od zniknięcia Laurie minęło już kilka tygodni i ciało uległo prawie całkowitemu rozkładowi, co jeszcze bardziej utrudniało pracę.

— Każę chłopcom zeskrobać wszystko z ziemi — mruknął Bulworth, chodząc w tę i z powrotem po krawędzi kanionu jak sierżant sztabowy kierujący manewrami.

Marla w błyszczącym, czarnym jak lukrecja płaszczu nieprzemakalnym i pasującej do niego rybackiej Zuidwestce niemal się zachłysnęła. Usiłowała nie dopuścić do siebie znaczenia tych słów. Psy spełniły swoją powinność i teraz czekały w ciepłym i suchym tylnym przedziale policyjnej furgonetki. Marla chciałaby znaleźć się tam razem z nimi.

— Idą! krzyknął Bulworth. Kierowca z biura koronera zapalił silnik i podjechał furgonetką na sam brzeg kanionu, gotowy do zabrania zwłok na sekcję. Policyjni fotografowie zapalili lampy i skierowali obiektywy kamer wideo i aparatów na statywach w miejsce, gdzie zostanie położone ciało. Laurie Martin miała zostać gwiazdą własnej wersji hollywoodzkiego filmu klasy B.

Mimo że ciało włożono do plastikowego worka, gdy strażacy wciągnęli je na górę, w powietrzu rozszedł się odór. Marla poczuła, że żołądek wywraca się jej na drugą stronę. Zaciśnęła zęby, żeby nie zwymiotować.

„Nie możesz się skompromitować wobec Bulwortha, wrednej Pow! Powers i tych wszystkich dzielnych facetów o strusich żołądkach — mówiła sobie. — Nie przeżyłabyś tego wstydu. Al też by nie przeżył. Nigdy więcej nie pozwoliłby ci ze sobą pracować”.

Al stał obok furgonetki koronera i rozmawiał z Bulworthem. Po chwili ruszył przez błoto w stronę Marli.

— I co teraz? — spytała drżącym głosem. -

— Proponuję po filiżance kawy — powiedział ponuro i poprowadził ją do wynajętego explora.

Mocna, czarna kawa pozwoliła żołądkowi Marli wrócić do właściwego położenia. Wydała długie westchnienie ulgi.

— Skarbie, zachowałeś się bardzo dzielnie — pocieszył ją Al i łagodnie poklepał po rękę. To nie było przyjemne. Nie powinienem pozwolić ci tu przyjechać.

— Co ty mówisz? Miałabym stracić lot wyczarterowanym samolotem? — Uśmiechnęła się niepewnie. — Wiedzą już, czy to Laurie?

84

Rozkład postąpił za daleko, żeby mieć pewność. Jeszcze dziś przeprowadzą autopsję. Muszą dostać dokumentację stomatologiczną i porównać DNA z krwią z samochodu. A tymczasem... — Al wyjął z kieszeni dzinsów telefon komórkowy, wziął od Marli listę banków krwi i zaczął dzwonić.

Marla, parząc sobie gardło, popijała gorącą kawę i słuchała rozmów Ala. Wreszcie wyłączył telefon. Ich spojrzenia się spotkały

— W jednym szpitalu mają to nazwisko — oznajmił spokojnie. — Bon- nie Victor oddawała krew dwa miesiące temu.

— Więc można od razu zrobić porównanie - ucieszyła się.

— Nie tak szybko, skarbie. Plazma uzyskana z jej krwi znajduje się na tankowcu płynącym na Hawaje.

— Ale chyba ktoś ją przywiezie z powrotem?

— Jasne — odparł Ali już wołał Bulwortha. — W chwili, gdy o tym rozmawiamy, dziecino. Noc spędzili u „Ritza” w Laguna Niguel, tym samym hotelu, w którym po raz pierwszy widzieli Laurie Martin ze Steyem Mallardem.

Tyle że teraz, pomyślała Marla z przykrością, Laurie jest tylko masą zgniłego mięsa. A Steye Mallard chowa się przed żoną i rodziną— i policją— w Arrowhead.

Wieczorem rozpętała się wczesna tropikalna burza, końcówka huraganu Dora, ale dość jeszcze mocna, by zawzięcie smagać Dolną i Południową Kalifornię. Deszcz zasnuwał okna wodą, fale oceanu wieńczyła biała piana. Była to noc na przytulny ogień w kominku, butelkę dobrego czerwonego wina i smaczne jedzenie. „Rit.z” dostarczył im to wszystko i jeszcze więcej.

Marla i Al, usadowieni przy kominku w zaciszu swojego pokoju, ubrani w białe hotelowe szlafroki czekali na telefon, popijając monday cabernet reserve i delektując się pieczonymi na węglu drzewnym stekami i tłuczonymi kartoflami z czosnkiem. To znaczy, stekami delektował się głównie AL Myśli Marli były wciąż przy wpakowanej do plastikowego worka Bonnie-Laurie, więc tylko grzebała widelcem w kartoflach, zastanawiając się, czy nie przejść na wegetarianizm.

Tymczasem w San Diego Bulworth przemierzał niecierpliwie jasnoszary korytarz przed kostnic pił podłą kawę i czekał na wynik autopsji odbywającej się za zamkniętymi drzwiami. Oczywiście mógł wejść do środka, ale wołał nie ryzykować. Nie miał tak odpornego żołądka jak patolodzy. Ciało to jedna rzecz, ale ciało w takim stanie to zupełnie co innego.

Natomiast Pow! Powers nie miała tego typu rozterek. Bez wahania poszła na salę sekcijną. Spełniała swój obowiązek, ciesząc się każdą minutą, bo każda minuta zbliżała ją chwili, gdy zaaresztuje Steye”a Mallarda. Łapanie mordentów było jej największą, namiętnością, a moment dopasowania sprawcy do zbrodni wywoływał w niej dreszcz podniecenia. Czowała, że jest to coś, do czego się urodziła.

85

Z fascynacją przyglądała się, jak patolog wyjmuje z jamy brzusznej narzędy, waży je i ocenia ich stan. Zdejmuje kawałki zgniłego mięsa z kości, bada je i numeruje, ogląda zęby, robi zdjęcia szczęki plomb.

Mimo to nie była przygotowana na końcowy wniosek.

Dochodziła druga nad ranem, gdy Bulworth wreszcie zadzwonił do hotelu.

Marla spała na kanapie z głową na kolanach Ala. Byli na nogach od szóstej rano poprzedniego dnia i nawet Al zaczynał odczuwać znużenie.

— Giraud — odezwał się cicho, by jej nie budzić.

— Przygotuj się na niespodziankę — oznajmił ponuro Bulworth. — To nie jest ciało Laurie Martin.

- A skąd wiecie, jeżeli jeszcze nie porównaliście grup krwi i DNA?

— Ano stąd, że to są zwłoki mężczyzny. Białego mężczyzny około czterdziestki. Al zagwizdał z rozczarowaniem i Marla nagle ożyła. Jak piesek reagujący na gwizd pana, usiadła w pełni rozbudzona.

— Co się stało? — spytała, gdy Al odłożył słuchawkę. Kiedy się dowiedziała, spojrzała na niego ze zdumieniem. — Co teraz będzie?

— Musimy poczekać, aż policja zidentyfikuje nieboszczyka. Zbadają jego DNA, włosy, krew, płyny ustrojowe, skórę, odciski palców, jeżeli da się je zdjąć. Sprawdzą też listę zaginionych osób. — Niecierpliwie zmarszczył czoło. — To wszystko zajmie mnóstwo czasu, ale dopóki tego nie zbadają nie możemy nic zrobić.

— Ciaglejeszcze mamy plazmę z krwi Laurie-Bonnie na tankowcu płynącym na Hawaje

— powiedziała z nadzieją

Al chwilowo o tym zapomniał. Uśmiechnął się do Marli, unosząc brew w sposób, jaki uwielbiała.

— Moja nieoceniona asystentko, masz rację! przyznał. — Wiemy też, że Bonnie Victor wyjechała z Panama City po pogrzebie męża. A następnym miejscem, w jakim pojawił się buick regal, było Falcon City w Teksasie.

— I od razu tam pojedziesz— stwierdziła. — Mogłam się tego spodziewać.

Rozdział XXIII

Głęboka cisza nocy otulała niewielki dom Vickie Mallard. Vickie nasłuchiwała. Powitałaby z radością nawet zwykle dokuczliwe odgłosy nichu na szosie, ale dziś do jej domu docierał tylko odległy szwu. San Fernando Valley spało. Wszyscy spali, oprócz niej. Włączyła telewizor. Nie zależało jej na tym, by specjalnie coś obejrzeć. Nie potrafiłaby zresztą skoncentrować uwagi na programie. Myśli yickie zaprzętało bez reszty nieszczęście, jakie spotkało jej rodzinę. Jednak telewizor dostarczał dźwiękowego tła, a ona nie mogła wytrzymać ciszy. Nie wytrzyma też kolejnej samotnej nocy. Wzięła jeszcze jeden prysznic, trzeci tego wieczoru, włożyła czystąkoszulkę, flanelowe bokserki i szlafik łótc wyszywany w różowe serca. Dostała go od Steye”a na ostatnie walentynki. Gdy sobie o tym przypominała, zaczęła ze złością szarpać pasek. Kiedy uzyskała sądowy zakaz zbliżania się do niej, padlinożercy z mediów musieli trzymać się z daleka. Dzięki temu przynajmniej sąsiedzi przestali się skarżyć. Córki nadał przebywały u siostry. Czuły się dobrze w towarzystwie kuzynów, chodziły do szkoły. Ale zmieniły się tak, że ich widok łamał jej serce. Straciły całąradość życia, były wyciszone, trzymały się blisko domu i rzadko gdzieś chodziły po lekcjach. Vickie widywała się z córkami codziennie, ale itak okropnie za nimi tęskniła. Tęskniła za otulaniem córeczek w łózkach wieczorem, tęskniła za ich utarczkami, tęskniła za stałym pytaniem Taylor: „Czy

w tym domu w ogóle jest coś dojedzenia?” i za tym, jak Mellie jęczała, że chce nową Beanie Baby, i za...

Nowy adwokat Steye’a, Ben Lister, był mądry, Al Giraud również sprawiał wrażenie rozsajnego człowieka, ale wolałaby mieć do czynienia z panią Marlą Cwitowitz. Nadal nie potrafiła zaufać Alowi Giraud. Do tej pory nie miała mężczyzn takich jak on.

Wiadomości przekazywała jej Marla, i to Marla ją poinformowała, że w departamencie policji San Diego wszyscy są źli i zniechęceni. I że Lister nie pozwoli już policjantom przesłuchiwać Steye’a. „Gdyby mieli jakiś konkretny dowód przeciw Steye’owi powiedziała Marla —już byłby aresztowany”.

Vickie miała nadzieję, że taki dowód nie istnieje. Ale chciałaby być tak samo pewna niewinności męża, jak wydawało się, że jest jej pewna Marla.

Boże, jaka czuje się samotna. Zeszła na parter, zapaliła światło nad bufetem i rozejrzała się po swojej ślicznej kuchni. Kupili ten dom właśnie z powodu kuchni połączonej z bawialnią. yickie zakochała się w wielkim kominku, przesuwanych oknach z widokiem na basen i grill do barbecue, szafkach z jasnego drewna i blacie bufetu, wykładanej ciemnoniebieskimi płytkami. To wszystko, jej zdaniem, nadawało domowi śródziemnomorski styl, przypominało o zawsze niebieskim niebie, słońcu i dniach szczęścia. A teraz się skończyło, myślała ze smutkiem.

Otworzyła lodówkę i natychmiast ją zamknęła. Otworzyła szafkę i uporządkowała kilka półek. Jej umysł pracował nieprzerwanie. Martwiła się o Steye’a. Zabił czy nie zabił? O Boże, nie wytrzyma już ani chwili dłużej, nie mając pewności. Nie wytrzyma milczenia Steye’a. Ani razu nie zadzwonił, ale wiedziała, że nadal jest w Arrowhead. Marla jej to powiedziała.

87

Nie mogła znieść pustego domu, pustego życia. Musi z kimś porozmawiać... z kimkolwiek...

Złapała telefon i wystukała numer Marli. Och, bądź w domu, proszę, bądź w domu — modliła się, a telefon dzwonił i dzwonił.

— Giraud, co jeszcze robisz o tej porze w Falcon City? — usłyszała wreszcie głos Marli.

— Marla, tu Vickie Mallard.

Marla ze zdziwieniem spojrzała na zegarek. Było już późno, kwadrans po północy.

Właśnie miała gasić światło.

yickie, co się stało?

— Nie mogę już wytrzymać, jestem tu sama, nic nie wiem...

Marla rozpoznała nutkę hysterii w głosie yickie. Tak było za każdym razem, gdy ze sobą rozmawiały.

— Marla, muszę z kimś pogadać. Wiem, że jest późno, ale czy mogłabyś do mnie przyjechać? Jest parę rzeczy, które chciałabym ci opowiedzieć o Steyie.

Nastaw kawę. Zaraz u ciebie będę.

Właśnie na tym polega życie prywatnego detektywa — pomyślała Marla podniecona, wciągając džinsy, czarny sweter i wsuwając stopy w mokasyny. Spotkania o północy, sekretne rozmowy do rana. Vickie na pewno ma jej coś nowego do powiedzenia.

Przechodząc przez kuchnię, złapała butelkę wina. To może się okazać skuteczniejsze niż kawa. yickie trochę się rozluźni.

Po telefonie do Marli Vickie poczuła wilczy głód. Przygotowała sobie kanapkę z łososiem i śmietankowym serem. Nastawiła też kawę. Telewizor coś mrucał, więc przejechała po kanałach, szukając wiadomości, które stale oglądała w ostatnich czasach.

Nagle coś usłyszała. Czyżby to były frontowe drzwi? Marla chyba nie mogła jeszcze dojechać. Nacisnęła klawisz wyłączający dźwięk w telewizorze i nasłuchiwała. Znow samo.

— Marla, to ty?! — zawołała. Teraz cisza wydawała się inna, gęsta, wprost dyszała, stała w powietrzu jak lyczna istota. Serce Vickie waliło, a w ustach poczuła nagle suchość. W panice pobiegła do telefonu, ale nie zdążyła. Z tyłu dobiegł ją jakiś szelest, jakby w pokoju znalazł się żbik, i wokół jej gardła zacisnęły się silne ręce... chciała krzyczeć, tak bardzo chciała krzyczeć... Dłoń w rękawiczce zasłoniła jej usta.

Wszechogarniająca panika, adrenalina pomaga walczyć o powietrze... uderzenie w głowę... dusi się, język wysuwa się z ust, czuje smak własnej krwi...

To nie może stać się mnie, nie może..., jego ręce mnie duszą wyciskają ze mnie życie... przegrywam... Och Boże, pomocy...

88

Nagle w umyśle yickie pojawił się obraz Taylor i Mellie, tak wyraźny, jakby tu byli. ..

Muszę, muszę jeszcze raz zobaczyć moje dzieci... Z nową siłą wymierzyła do tyłu kopnięcie, wpakowała napastnikowi łokieć w brzuch, poczuła, jak chwyt na jej gardle słabnie. Zatoczyła się, łapiąc oddech... Jeszcze raz uderzyła tego, kto stał za nią, usłyszała dźwięk jak z pękniętego balonu.

I, o Boże, Boże, on ma nóż... to jakiś furia w czarnej kominiarce... szalone oczy płoną nienawiścią do niej... wpatrują się w nią... ramię znow jest uniesione... i znow... i znow... Jakby z ogromnej odległości usłyszała własny jęk... i to był ostatni dźwięk, jaki do niej dotarł...

Marla zaparkowała na krótkim podjeździe domu Mallardów. Rozejrzała się po spokojnej uliczce. Stały tu dwa samochody. Pomna swojej roli prywatnego detektywa zapamiętała je: czarny explorer i niebieska accura. Prawie we wszystkich domach światła były pogaszone. Uśmiechając się, pomyślała o dzieciach śpiących spokojnie w swoich łóżeczkach, bo muszą wcześniej wstać do szkoły, o ich zabawkach i o baby-sitters. Och, te radości młodych małżeństw. Dla nich praca nigdy się nie kończy.

Gdzieś na tyłach domu Mallardów paliła się lampa, jej blask przedostawał się przez zasłony. Marla zadzwoniła do lutowych drzwi. Cisza. Zadzwoniła ponownie, patrząc jednocześnie przez okienko osłonięte firanką. Przecież yickie czeka na nią. Więc dlaczego nie otwiera?

Spróbowała pchnąć drzwi. Zamknięte na klucz. Zdenerwowana weszła przez boczną furtkę i poszła na tyły domu. Światło dochodziło z kuchni. Znow zadzwoniła, ale bezskutecznie. Zmarszczyła czoło. To dziwne. Może Vickie poszła do łazienki albo rozmawia przez telefon, na przykład z mężem? Spojrzała przez okno, ale nic nie zobaczyła.

Ku jej zdumieniu, kuchenne drzwi nie były zamknięte na klucz. Weszła w ciemny korytarz.

— Vickie! — krzyknęła głośno. — To ja, Marla!

Nie wiedziała, dlaczego idzie na paluszkach. Dom był tak cholemie cichy, że poczuła dreszcz strachu. Ucieszyła się, gdy dotarła do łagodnie oświetlonej kuchni.

— Vickie?! — zawołała jeszcze raz, choć jej głos nie brzmiał zbyt pewnie. Postawiła na bufecie butelkę wina.

I wtedy zobaczyła kanapkę z łososiem. Leżała na podłodze. Zobaczyła jeszcze coś: porzuconą szmacianą lalkę z rozłożonymi ramionami. Tylko że to nie była lalka, to była yickie, leżąca w wielkiej, czerwonej kałuży... krew wypływała z jej szyi, piersi, pleców... Krzyk wydobył się gdzieś z jej wnętrza. Marla nie zdawała sobie sprawy, że potrafi wydać taki dźwięk: strachu, przerażenia, udręki...

89

Nie wiedziała, czy usłyszała westchnienie, czy też instynkt kazał jej obrócić się — i znalazła się w ramionach zamaskowanej postaci stojącej tuż za nią..., wysokiego, szczupłego mężczyzny...

Strach jest gorący, uświadomiła sobie, że przerażonego człowieka ogarnia chłód.

Okazało się, że strach pali ciało gorącym płomieniem.

Jeszcze raz krzyknęła przez zasłonięte czyjaś ręką usta. Przygryzła wargi i poczuła smak krwi... a potem napastnik znów uderzył, i jej głowa odskoczyła od siły zamachu.

W żyłach Marli zapłonęła adrenalina, w głowie jej się kręciło, niezbyt dobrze wiedziała, co się z nią dzieje. Podchodził do niej, rękę miał uniesioną. Zauważyła błysk światła na zakrwawionym ostrzu noża..., tego samego noża, którym zabił Vickie.

Oślepiła ją wściekłość, nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Wiedziała tylko, że przeżyje albo on, albo ona. Ale Marla nie zamierzała umrzeć. Jeszcze nie teraz, nie od razu. Wpakowała mu kolano w pachwinę i z wrzaskiem wcisnęła palce w oczy. Usłyszała, jak wyje z bólu; a to wycie współbrzmiało z jej własnym krzykiem, towarzyszącym walce o przeżycie... Właśnie walki spodziewałby się po niej Al...

Oderwała się od napastnika, obiegła kuchenny bufecik, ale on następował jej na pięty. Wskoczyła na blat i ześliznęła się na drugą stronę. Napastnik chwycił ją za sweter na plecach, potem poczuła cios nożem i własną, ciepłą krew, spływającą po ramieniu. Och, jak nienawidziła widoku krwi, jej wyglądu i żelazistego zapachu... ogarnęły ją mdłości, zaraz zemdleje...

Tracąc przytomność, spojrzała w oczy napastnika. Zobaczyła czarne jak węgiel, błyszczące nienawiścią spojrzenie. I wiedziała, że patrzy w oczy szatana.

Oszalała z bólu i strachu, na szczęście zdołała prześliznąć się na drugą stronę bufetowej lady. Jednak napastnik był szybki i zręczny. Zanim podniosła się na nogi, unieruchomił ją.

Ale jeszcze raz wraziła mu palce w oczy i usłyszała jęk bólu. Złapał butelkę wina z lady.

Jak na zwolnionym filmie zobaczyła, że zbliża się do niej, podchodzi szybciej, coraz szybciej...

Rozdział XXIV

W Falcon City koło Laredo w stanie Teksas było tak gorąco i sucho, że nawet nieboszczyk poczułby pragnienie. W rozgrzanym powietrzu wszystko migotało. Ten widok przypominał Alowi sceny z westernów. Jechał wynajętym jeepem wranglerem — w San Antonio, gdzie go wypożyczył, preferowano sportowe typy samochodów. Skręcił z autostrady, a potem przejechał przez środek miasta na jego drugi koniec. Minął cel, zanim zdał sobie z tego sprawę. Obejrzał się przez ramię, zobaczył pojedynczą palmę i lśnienie wody. Może to tylko miraż w rodzaju tych, które ukazują się na pustyni? Zawrócił i pojechał z powrotem do miasta.

Po obu stronach Main Street znajdowały się typowe sklepy z dużymi witrynami. Na jednym końcu stał supermarket i drogeria, na drugim znajdował się minideptak. Między nimi zobaczył restaurację z daniami nawy- nos, sklep z tkaninami i parę jeszcze innych. A także sklep dealera Marston's Autos. Ciekaw był, czy Bonnie właśnie tutaj zamieniła swój samochód na inny. Ale najpierw musiał porozmawiać z jego obecną właścicielką. Panna Gwyneth Arden mieszkała w małym, obłożonym brązowymi gontami domku w stylu farmerskim, ocienionym ogromnym eukaliptusem. Gdy Al wszedł na podwórze, zamieszkuje drzewo czarne wdowy błyskawicznie ruszyły do góry po pajęczynach rozsnutych na jego łuszczej się korze. Stojąc na koślawym ganku i dzwoniąc do drzwi, Al zastanawiał się, czy panna Arden wie o nich. Nie znał ani jednej kobiety, która lubiłaby pająki, a czarne wdowy nie były miłymi lokatorkami.

Wycierając czoło i kark z potu zrozumiał, dlaczego wszyscy kowboje noszą chustki na szyi. Nie była to kwestia mody, lecz konieczność: w chustkę wsiąkały krople potu, które inaczej spływałyby po plecach.

Za zakurzonymi siatkowymi drzwiami drugie drzwi były otwarte. Można było przez nie zobaczyć białą ścianę półtora metra dalej. To był najmniejszy hol, jaki Al kiedykolwiek widział. Gości panny Arden witał staroświecki obraz Jezusa w koronie cierniowej i z gorejącym sercem, namalowany w żywych kolorach. Od razu wiadomo, czego się spodziewać, pomyślał, dzwoniąc jeszcze raz.

— Halo! — Otworzył siatkowe drzwi i wsunął głowę do holu. Poczł zapach stęchlizny i kadzidła tak silny, że aż kichnął. W tej samej chwili mały czarny kotek wymknął się na dwór.

— Wchodź, wchodź — rozległ się głęboki kobiecy głos. — Jacksonie Millerze, jeżeli to znowu ty, połóż zakupy na kuchennym stole i powiedz swojej mamie, że spotkamy się dziś wieczorem na bingo.

Al, mimo że nie był Jacksonem Millerem, skorzystał z zaproszenia. Na lewo od miniaturowego holu znajdowała się kuchnia. Al rzucił okiem na brudne naczynia w zlewie, puste opakowania spiętrzone na stole, miski dla kota, puszki coli i resztę bałaganu. Kuweta kota rozpaczliwie wymagała wyczyszczenia, a linoleum pokrywające podłogę musiało tu leżeć od niepamiętnych czasów, bo zbrązowiło, a wzór dawno się wytarł.

Na prawo była bawialnia. Panna Arden siedziała na stareńkim fotelu obitym zielonym welwetem naprzeciwko telewizora.

Szedł w nim pewnie pasjonujący odcinek Days of Our Lives, bo nawet się nie obejrzała, by sprawdzić, czy Jackson Miller położył zakupy ani też by zobaczyć, kto właściwie stoi w progu. Kolejny wielki obraz Jezusa wisiał nad kominkiem, a pół tuzina świec paliło się przy kłęczniku, nad którym urządzono kapliczkę poświęconą Matce Boskiej. W powietrzu wisiał zapach kadzidła i kotów, ale Al wiedział, że można się przyzwyczaić do wszystkiego. Tej kobiecie dawno już przestało to przeszkadzać.

Widział tylko tył głowy panny Arden.

— Przepraszam — powiedział głośno, by przekrzyczeć telewizor. — Chciałbym z panią o czymś porozmawiać.

— Słucham? — Nie oderwała oczu od ekranu, więc wszedł do pokoju i stanął przed nią. Była bardzo gruba, miała na sobie pomarańczowo-białą suknię, a własnoręcznie ufarbowane włosy wydawały się czarniejsze niż skrzydło najczarniejszego kruk. Na głowie zawiązała niebieską kokardkę, na tłustych nogach miała niebieskie pantofelki, a na czubku małego noska nosiła okulary w jasnych plastikowych oprawkach. Usteczka jak pączek róży były pociągnięte pomarańczową pomadką żeby pasowały do hawajskiej sukienki. Innego dnia panna Arden mogła, jak się Al domyślał — użyć niebieskiej szminki, pod kolor pantofli i kokardy.

— Proszę chwilę poczekać. — Pomachała niecierpliwie małą rączką paluszkach jak banany. — Nie widzi pan, że oglądam telewizję?

Al czekał, starając się nie oddychać zbyt głęboko, bo smród płynący z kociej kuwety, kadzidło i upał łatwo mogłyby pokonać nawet bardzo wytrzymały żołądek. Minęło pięć minut, zanim wreszcie ukazały się końcowe napisy.

Gwyneth Arden wyprostowała się w fotelu i spojrzała przez ramię na intruza.

— Kim pan jest i czego chce? — warknęła, patrząc na niego surowo znad oprawki okularów.

Al nie miał pretensji o ten ton. W końcu w jej bawialni stał obcy mężczyzna. Przyszło mu do głowy, że to pogranicze, więc panna Arden może mieć dubeltówkę koło fotela. Szybko się przedstawił.

— Przepraszam, że panią niepokoję, ma „am, ale chciałem porozmawiać o pani samochodzie. O buicku regal z 1986 roku...

— Wiem, jakim samochodem jeżdżę. Dlaczego pan o niego pyta?

— Staramy się znaleźć poprzedniego właściciela. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, od kogo go kupiła?

— Od kogo? Od Harmona, sprzedawcy samochodów, jakieś sześć czy siedem lat temu.

— Znów jechała pilotem po kanałach, ale Al potrafił być cierpliwy. W końcu nie miała obowiązku odpowiadać na jego pytania, jeśli nie chciała.

92

— To ten sprzedawca z Main Street? Myślałem, że nazywa się Marston.

Małe oczka błysnęły w jego kierunku, chwilę się na nim zatrzymały i skierowały na ekran.

— Nie jest pan stąd, prawda?

— Rzeczywiście nie, ma „am.

— Bo gdyby pan tu mieszkał, wiedziałby pan, że Harmon parę lat temu sprzedał swój sklep.

Gównu, pomyślał Al. Nie będzie mógł sprawdzić rejestrów transakcji. Panna Arden najwyraźniej nie miała mu nic więcej do powiedzenia. Teraz z lubością oglądała odcinek kolejnego seńalu. Powiedział „dziękuję” i „do widzenia”, ale wątpił, czy w ogóle go usłyszała.

Na dworze kilka razy głęboko odetchnął, potem się otrzepał. Miał wrażenie, że zapachy domu przylgnęły do ubrania. Gdy przechodził obok drzewa zauważył, że czarne wdowy, jakieś pięć czy sześć, nawet się nie poruszyły. Na skórze wystąpiła mu gęsia skórka. Niemal czuł, jak go obserwują małymi, pełnymi złości oczkami.

No i co dalej? — zastanawiał się, siedząc już wjeepie ijadąc powoli bocznymi uliczkami. Do jutra nie ma żadnego lotu z San Antonio, a on ugrzał w tym miasteczku i na dodatek, jak okiem sięgnąć, nie widać żadnego baru. Niedługo ogarną go halucynacje, będzie widział oszronioną butelkę samuela adamsa. Ale na razie musi się zadowolić colą z automatu.

Wypił jedną puszkę, kupił drugą, a także torbę chipsów. Lunch w teksańskim stylu, pomyślał ponuro, gryząc chipsy w rozgrzanym samochodzie. Potrzebował prysznic a łóżka. Gdy się umyje i prześni, może jego umysł znów weźmie się do pracy.

Motdl oczywiście nazywał się „Modraszka” i przypominał farmerski domek panny Arden, tyle że był większy. Zamiast zapachu kotów, rozchodziła się tu woń czegoś w rodzaju suchej pleśni i środka czyszczącego o zapachu sosny. W recepcji buczał nieprzyjemnie elektroniczny lep na muchy, a telewizor nastawiony był na wyścigi konne. Al przez chwilę przyglądał się kasztance o wklęśniętym grzbiecie, która wyrwała się ze stawki i pognęła do mety jak rakieta.

— Ta klacz jest dobra — odezwał się z uznaniem.

— Tank, należy do miejscowej rodziny, Harmonów. Jest brzydka jak wiedźma, ale potrafi biegać. Postawiłem na nią kilka dolców. Na krótkim dystansie jest nie do pokonania.

— Dziękuję za cynk. — Al zapłacił trzydzieści pięć dolarów i wziął klucz do pokoju numer sześć. — Zapamiętam jej imię i postawię na ni jeżeli będzie biegać w Del Mar. — Nie był hazardzistą, ale lubił patrzeć na konie dające z siebie wszystko, spienione, dyszące i spływające potem po biegu. Traktował wyścigi jak piękne widowisko, a nie maszynkę do robienia pieniędzy. Mimo to od czasu do czasu również stawiał.

93

Kiedyś, gdy już stanie się bogaty, będzie miał dwa albo i trzy konie dla samej radości ich posiadania. Uśmiechnął się na tę myśl i otworzył drzwi swojego numeru. Miał tyle samo szans na kupno koni wyścigowych, co na posiadanie jednego z tych cudownych odrzutowców, o których marzyła Marla. Miała rację, marząc o takiej maszynie. Prywatny detektyw dysponujący własnym samolotem nie zostałby teraz unieruchomiony w marnym pokoju numer sześć, wyposażonym w poplamiony, brązowy, starty do osnowy dywan, szafkę nocną komodęw sraczkowatym kolorze, łóżko z narzutą ze ścinków i wypaloną papierosami umywalkę krytą formiką. Przynajmniej prys znic dawał mocny strumień lodowatej wody, chociaż krany były zardzewiałe. Al chłodził się dobre dziesięć minut, i znów poczuł się jak człowiek.

Zdjął z łóżka narzutę i kołdrę. Na szczęście pościel była czysta, więc położył się nago i zaczął rozmyślać. Harmon. To nazwisko padło dwa razy. Były właściciel sklepu

samochodowego, a teraz właściciel konia wyścigowego. Musiał zdobyć jakieś pieniądze, skoro dokonał takiego zwrotu.

Al otworzył szufladę szafki nocnej i wyciągnął książkę telefoniczną. H... H... H... Harley, Harold, Harper... żadnego Harmona. Cholera.

Oparł się wygodnie na poduszkach, ręce założył za głowę i w zamyśleniu zmarszczył czoło. Buick był gdzieś w pobliżu, chociaż Bonnie tu nie zastanie. Jednak cholerne rozwiązanie zagadki znajdowało się właśnie tu, gdzieś w tym mieście.

Usiadł i jeszcze raz sprawdził strony na „H”, bo mógł coś przegapić. Ale nie. Pomyślał o Bonnie Victor alias Laurie Martin. Poszukał w książce obu tych nazwisk. Nie było Bonnie Victor, ale znalazł L. Martin. Na 122 Linden Drive.

Błyskawicznie się ubrał i pobiegł do recepcji, by spytać o drogę.

Pod numerem 122 na Linden Drive stał zwykły, tradycyjny dom: białe ściany, nieporządnym zrudziały trawnik z pieprzowcem zrzucającym wokół liście i frontowym gankiem, na którym stał bujany fotel i stara lodówka. Na fotelu siedziała jakaś kobieta. Gdy Al parkował przed jej trawnikiem, przyglądała mu się bez specjalnego zainteresowania. Była trochę po pięćdziesiątce, wyglądała schludnie w bawełnianej sukience w czerwone i białe groszki. Falujące włosy zaczesana za uszy. Miała pojedynczy sznurek pereł, kolczyki również z perłami i obrączkę ślubną z niewielkim brylancikiem. Al pomyślał, że to sympatyczna kobieta.

— Przepraszam, że panią niepokoję, ma „am!” — zawołał wysiadając z samochodu — ale czy mógłbym zamienić z paną kilka słów?

— Młody człowieku — westchnęła — jeżeli pan coś sprzedaje, na pewno nic nie kupię. Nie byłoby mnie stać.

Roześmiał się, a ona mu zawtórowała..

— Miło i prosto z mostu — podsumował — ale chciałem tylko porozmawiać z panią o pewnej zaginionej osobie. Rodzina prosiła mnie o odnalezienie jej, a wiemy, że spędziła tu trochę czasu. Mam zdjęcie i chciałbym zapytać, czy może pani ją widziała.

— Dlaczego właśnie ja?

— W jej mieszkaniu natknęto się na pani nazwisko — odparł, notując w myślach, że jest bystra. — Rozmawiamy ze wszystkimi ludźmi, których znała.

Kobieta skinęła głową i wyciągnęła rękę.

— Proszę mi pokazać fotografię. — Podał jej zdjęcie Laurie, które Marla dostała od Johna Maclyera i cierpliwie czekał, aż kobieta znajdzie okulary, włoży je i obejrzy zdjęcie.

— Och, pamiętam ją! — wykrzyknęła. — To Bonnie Ramion. Chociaż prawie jej nie poznałam. Widzi pan, wtedy miała rude włosy. I pamiętam też takiego słodkiego czarnego pieska, wołała na niego Clyde. Nosił czerwoną apaszkę. Uwielbiała go.

Bingo, pomyślał rozradowany Al.

— I mówi pani, że jak się nazywała?

— Bonnie Harmon. Przynajmniej potem. Gdy ją poznałam, nazywała się Bonnie jakoś tam, nie pamiętam. W każdym razie, chociaż żałuję, że zaginęła, jakoś mnie to nie dziwi — dodała zamyślona.

— Pani Martin, gdzie pani poznała Boimie?

— Och, co za gospodyni ze mnie! — Wskazała mu krzesło. — Proszę, niech pan siada, panie...

— Giraud. Al Giraud. Dziękuję.

Usiadł naprzeciwko niej w wiklinowym fotelu.

— W lodówce są zimne napoje, jeżeli ma pan ochotę— dodała gościnnie. — Cola, lemoniada. Proszę się poczęstować.

— Dziękuję, ma „am, skorzystam. Gorąco dziś.

Roześmiała się cichym, perlistym śmiechem, pasującym do jej drobnej postaci.

— Panie Giraud, jeżeli uważa pan, że dziś jest upał, powinien pan tu przyjechać w okresie gorących wiatrów. Temperatura skacze o dwadzieścia stopni, można usmażyć sobie śniadanie na masce samochodu. Dziś jest po prostu miły, średnio ciepły dzień.

Roześmiał się razem z ma, a potem spytał jeszcze raz, gdzie poznała Bonuje.

— W tamtych czasach stołowałam się w barze koło stacji benzynowej przy Lummond, kilka kilometrów autostradą kierunku zachodnim. Nadal tam zresztą jadam — dodała.

— I powiem panu, że robią najlepsze ciasto z brzoskwiniami w całym stanie, a także wyśmienite kotlety z kurczaka. Bywam tani regularnie.

Któregoś dnia przed wyjściem z baru poszłam jeszcze do toalety. Po dziesięciu minutach, gdy jechałam autostradą, wracając do Falcon City, przypomniałam sobie, że zostawiłam w toalecie torebkę.

95

Natychmiast zawróciłam w nadziei, że ją odzyskam. Chociaż nigdy nie wiadomo, przez bar przewalają się tłumy...

Właśnie w chwili, gdy stanęłam w drzwiach, zobaczyłam, że jakaś młoda kobieta oddaje moją torebkę kelnerce.

„Bardzo pani dziękuję, młoda damo”, powiedziałam i naprawdę byłam jej wdzięczna. Przed lunchem poszłam do banku, miałam w portfelu siedemdziesiąt dolarów, a poza tym kartę kredytową i kartę telefoniczną. „Nie ma za co, proszę pani, odparła. Każdy chrześcijanin by tak postąpił”.

I wie pan co, panie Giraud? Te zwykłe słowa bardzo mnie wzruszyły. W naszych czasach rzadko się zdarza, by ktoś spełniał dobre uczynki.

Zaczęłyśmy rozmawiać i spytała mnie, czy wiem, gdzie mogłaby sprzedać samochód, starego buicka. Był zaparkowany przed barem. Podałam jej nazwisko miejscowego dealera, u którego sama kiedyś byłam. Pojechałam tam razem z nią, by upewnić się, że da jej dobrą cenę. Potem spytała, czy mogłabym ją podrzucić do motelu i gdzie jest najbliższy kościół baptystów. Sama należę do kościoła episkopalnego, ale nie miałam jej za złe, że jest baptystką. Najpierw zawiozłam ją do kościoła. Przedstawiła się pastorowi i powiedziała, że zamierza zamieszkać w naszym mieście i chciałaby dołączyć do jego kongregacji.

Sprawiła wrażenie przyzwoitej kobiety, chociaż trochę staroświeckiej z tymi rudymi włosami ściągniętymi do tyłu, bez makijażu; nawet nie malowała ust. Ale mimo to nie była brzydka.

Z kościoła zawiozłam ją do najbliższego motelu. Powiedziałam, żeby do mnie zadzwoniła, gdyby czegoś potrzebowała, choć od razu wiedziałam, że to niezależna kobieta. Zyczyłam jej powodzenia i odjechałam.

Parę miesięcy później ze zdumieniem przeczytałam w gazecie, że wyszła za starego Bossa Harmona. On miał dziewięćdziesiąt lat, ale był bogaty. Jego rodzina zbojkotowała ślub, powodując tym niezły skandal. A gdy Boss po kilku miesiącach zginął w pożarze — ona chyba mówiła, że palił w łóżku — było mnóstwo plotek.

— Odziedziczyła pieniądze Bossa Harmona? — spytał Al.

— Tego nie wiem. Musiała wkrótce potem wyjechać z miasta, bo już nigdy więcej jej nie widziałam. Rozumie pan, dlaczego się tak zdziwiłam, gdy pan mi pokazał zdjęcie Bonnie. Przefarbowwała włosy na blond, ale nadal można ją rozpoznać.

Al zabrał zdjęcie, podziękował pani Martin za poświęcenie mu czasu, za pomoc i colę, i spytał, gdzie może znaleźć rodzinę Harmonów.

— Och, po pożarze jego syn i synowa wyprowadzili się stąd. Sprzedali sklep samochodowy Marstonowi, sprzedali też dom i posiadłość ojca i wyjechali do San Antonio. Wydaje mi się, że teraz młody Harmon ma kilka salonów samochodowych, a także stajnię koni wyścigowych. — Pokiwała głową. — Boss Harmon musi się przewracać w grobie. Nigdy nie opuszczał niedzielnego nabożeństwa, nienawidził hazardu, alkoholu i w ogóle wszystkich nałogów.

— Oprócz palenia — powiedział Al.

Uniosła brwi zdziwiona.

— Tak, oprócz palenia — przyznała.

Rozdział XXV

Prawie milionowe San Antonio to miłe miasto o hiszpańskiej architekturze, pełne ocienionych plazas i fontann. Beau Harmon mieszkał na przedmieściu. Jego dom, zbudowany w kolonialnym stylu, przypominał jako żywo Tarę. Zakręcając wynajętym, zakurczonym jeepem w zwirowany podjazd, Al pomyślał, że Bonnie nie mogła wyciągnąć zbyt wiele od tej rodziny. Za zagrabioną sumę zdołała kupić jedynie ładny dom i wynająć lexusa, podczas gdy Beau żył jak król.

Zaparkował jeepa w cieniu ogromnego dębu, ciągle jeszcze w drewnianej skrzyni, w której go przetransportowano — pewnie z jakiejś prawdziwej plantacji, gdzie rósł od co najmniej pół wieku. Zresztą cała posiadłość Beau Harmona sprawiała wrażenie tak nowej, że ledwo zasiedlonej. Trawa na wielkim trawniku nie zdążyła jeszcze bujnie wyrosnąć, niemal czuło się zapach świeżej farby.

Al wszedł po szerokich marmurowych schodach i zadzwonił do drzwi. Z głębi domu słyszał melodię „Złota róża Teksasu”. Czekając pod kolumnadą wznoszącą się na dwa piętra, zastanawiał się, jak też Beau Harmon wygląda. Jak E.R. Ewing? Lyndon Johnson? Barry Goidwater? A może jak John Wayne grający któregoś z nich?

Spojrzał z zaciekawionym, gdy drzwi się otworzyły, ale zobaczył tylko siwego mężczyznę w białym żakiecie i szarych spodniach w prążki.

— Słucham pana? — powiedział z wyraźnym brytyjskim akcentem. Jednym spojrzeniem ocenił ubranie Ala i uniósł krzaczastą brew.

Kamerdyner! Coś podobnego. Al nie znał żadnego sprzedawcy samochodów, który miałby aż tyle pieniędzy.

— Nazywam się Al Giraud i jestem umówiony z panem Harmonem — oznajmił. — Zadzwoń uprzednio do Harmona z Falcon City. Nie chciał, aby odesłano go sprzed czyjegokolwiek marmurowego progu, a wiedział, że magiczne słowa „Bonnie Harmon” umożliwią mu dostęp do tego domu. Słyszając je, Beau podskoczył, jakby został postrzelony. Al wyczuł to nawet przez telefon najpierw sapnięcie, a potem długie milczenie. Harmon nie zadał żadnych pytań. Powiedział Alowi, że czeka na niego dziś o drugiej po południu.

Proszę wejść, sir. Kamerdyner patrzył na niego, jakby sobie życzył, żeby gość miał płaszcz lub kapelusz, który mógłby od niego wziąć, albo chociaż szalik. Tak działo się od wieków w angielskich pałacach. Al ucieszył się, że przynajmniej włożył czysty podkoszulek.

W domu było zimno jak w lodówce i Al niemal poczuł, że gruczoły potowe zaciskają mu się w proteście. Jeszcze kilka stopni mniej i można by tu wieszać polcie mięsa jak w chłodni.

— Zechce pan tu zaczekać, sir. Powiem panu Hannonowi, że pan już jest.

Kamerdyner zniknął gdzieś na końcu holu o wykładanej polerowanym marmurem podłodze. Al rozejrzał się. U sufitu lśnił światłami ogromny kryształowy żyrandol, chociaż było dopiero wczesne popołudnie. Podwójne schody, wyłożone akrami miękkiego, wyjątkowo grubego chodnika w kolorze lawendy, umocowanego pozłacanymi prętami z końcówkami w kształcie łabędzi, prowadziły na niebotyczne wyżyny, a tam widać było jeszcze jeden szeroki hol. Kilkoro grubych, podwójnych drzwi wysokości co najmniej trzech metrów wiodło do luksusowo umeblowanych pokoi w kolorach przy- ómionego różu i lawendy albo brzoskwini i zieleni. Tylko jeden urządzono w olśniewającej bieli. Wszystkie meble, obficie pozłacane, były w stylu któregoś tam Ludwika.

Al zagwizdał, starając się odgadnąć, ile to kosztowało. Na pewno więcej, niż można wyciągnąć z dwóch sklepów samochodowych. Albo Boss Harmon odziedziczył rodzinną fortunę i zostawił ją synowi, albo Beau wżenił się w pieniądze. Al stawał na to drugie.

A pan co tu robi?

Al podniósł wzrok i napotkał spojrzenie wysokiej, szczupłej brunetki. Stała na podeście schodów. Jej ubranie pod względem kolorystycznym pasowało doskonale do lawendowego chodnika. Al od razu się domyślił, kto decydował o wystroju wnętrza. Gust pani Harmon wyrzył niezatarte piętno zarówno na niej samej, jaki na jej domu.

Musiała niedawno przekroczyć pięćdziesiątkę, ale skalpel chirurga wymodelował całe jej ciało, od nosa do łydek. Na twarzy nie widać było ani jednej zmarszczki, ubranie było wyprasowane wprost nieskazitelnie, żaden włos nie ośmielił się wymknąć z ułożonej fryzury. Sprawiała wrażenie tak aseptycznej jak wzorowa sala operacyjna, chłodnej jak powietrze z klimatyzatora i pozbawionej seksu jak chińska laleczka. Najej widok Alowi

przeniicnęło przez myśl, że może Beau utrzymywał bliskie stosunki z Bonnie, ale zaraz odrzucił ten pomysł. Przecież Bonnie wyszła za jego ojca.

Kobieta powoli schodziła po schodach. Szła ostrożnie w niewygodnych sandałkach na wysokich obcasach, które kolorem również pasowały do ubioru.

98

— Co pan tu robi? — spytała ponownie, a zmarszczka irytacji między brwiami świadczyła o tym, że nie jest przyzwyczajona do widywania w swoim eleganckim holu mężczyzn takich jak Al, w podkoszulku, dzinsach i zdartych butach.

— Przepraszam, ma „am, pani Haimon. Nazywam się Giraud. Jestem umówiony na spotkanie z pani mężem.

Podeszła do niego w obłoku perł lim, ale Al wiedział, że pod tym sztucznym zapachem jest bezwonna, nie wydziela zapachu kobiety, który podnieciłby mężczyznę. Sterylna jak wyjałowiony skalpel, pomyślał.

— I o czym to życzy pan sobie rozmawiać z moim mężem? — Stała parę kroków od Ala, jakby się bała, że ją czymś skazi, i mierzyła go twardym spojrzeniem niebieskich oczu.

— Hxn... proszę pani, to do pewnego stopnia sprawa osobista. W związku z jego ojcem

— dodał, gdy niecierpliwie zmarszczyła brwi.

— Boss Harmon zmarł pięć lat temu — powiedziała ostro. — To było prawdziwe błogosławieństwo dla niego. — Z tymi słowami minęła Ala, weszła do białego pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Dobrze wychowana osoba nie podnosi głosu — zakpił w myślach. Przynajmniej nie trzasnęła drzwiami, to dowodziło, że panuje nad swoimi emocjami. Ta kobieta byłajak góra lodowa. Al założyłby się o każdą sumę, że to ona żądała, by klimatyzator został ustawiony na temperaturę chłodni.

— Panie Giraud, proszę tędy — powiedział kamerdyner i Al poszedł za nim, stukając butami o marmurową posadzkę.

Beau Harmon siedział za ogromnym, rzeźbionym i ozdobionym złoceniami biurkiem. Mebel godny samego Napoleona, uznał Al. I tak samo jak Napoleon, Beau był niski i krępy, co stanowiło dziwny kontrast z jego wysoka, zimną jak góra lodowa żoną. Był też sporo od niej młodszy. Blondyn, rumiana cera, wypłowiałe niebieskie oczy i żyłkowy nos, co świadczyło, że pije więcej koniaku niż powinien. Spojrzawszy na Beau, Al od razu wiedział, że jego domysł był słuszny. Beau wzenił się w pieniądze. Bo po co by się miał zainteresować tego rodzaju kobietą?

Beau nie wstał zza biurka.

— Giraud, niech pan siada — powiedział chłodno — i powie, po co prosił mnie pan o spotkanie. — Spojrzał wymownie na swój drogi złoty zegarek, taki, jakiego używają kapitanowie jachtów żeglujący po oceanach. Al nie wątpił, że można na nim sprawdzić godzinę na co najmniej trzech kontynentach. Miał tylko nadzieję, że Beau potrafi również się zorientować, która godzina jest teraz w Teksasie, bo przy tak niskim czole na pewno nie był okazem inteligencji.

Usiadł na lśniącym czerwoną skórą fotelu przed imponującym biurkiem.

— Chciałem się z panem spotkać, żeby porozmawiać o Bonnie Harmon, żonie pańskiego ojca.

— Byłej żonie — uściślił Beau ostrym tonem.

-- Oczywiście, sir, proszę o wybaczenie. Czy słowo „wdowa” będzie odpowiednie? — Al umiał bawić się słowami, gdy chciał.

Beau coś mruknął, rozparł się w swoim fotelu, również wyściełanym lśniąca czerwoną skórą. Ten fotel był dla niego co najmniej dwa razy za obszerny. Wyglądał w nim jak mały chłopczyk, który rozsiadał się w fotelu ojca. Tak musiało być, pomyślał Al, przez większość życia Beau. Do czasu, gdy ożenił się z workiem złota.

— Proszę pana, pani Harmon zaginęła i zlecono mi odnalezienie jej. Zaginęła cztery tygodnie temu w Kalifornii, gdzie pracowała jako pośredniczka handlu nieruchomościami.

— Coś podobnego! Bonnie jako pośredniczka handlu nieruchomościami? Ta mała idiotka ledwie sobie dawała radę, kelnerując w „Benboy”s Steak”. Jest pan pewien, że mówi o tej samej osobie?

— Tak. Jestem tego całkowicie pewny.

— No, niech miiii! Nie mogę powiedzieć, aby mi było przykro, że zaginęła. Nie mogę też powiedzieć, że byłoby mi przykro, gdyby źle skończyła. Panie Giraud, ta kobieta niemal zrujnowała mi życie. A potem odjechała ze sporą częścią majątku mojego ojca.

— Była żoną pańskiego ojca, prawda?

- Tak. Zjawiła się w mieście rudowłosa, na wysokich obcasach. Poznała ojca w „Benboy”s Steak House”, gdzie znalazła pracę jako kelnerka. Ojciec chadzał tam parę razy na tydzień. Musiała go oczarować. Wie pan, jak to jest ze starymi mężczyznami. Zanim się zorientowaliśmy, już go złapała. A ten stary głupiec jej pragnął. Pewnie sprawiła, że uwierzył, że jeszcze może.., no, wie pan, co.

— Nie ma gorszego głupca niż stary głupiec — podsunął uprzejmie Al.

— Zanim zdążyliśmy się zorientować, już planował z nią małżeństwo. Loretta uważała, że zhańbił jej rodzinę, a rodzina mojej Żony jest tu znana od co najmniej pięćdziesięciu lat — dodał z dumą. Larson”s Oil, może pan o nich słyszał?

Giraud słyszał i skinął twierdząco głową.

— No więc trzymała go w szponach, i nic, co robiliśmy, nie pomagało. Loretta starała się umieścić ojca w przyjemnym domu opieki koło Austin, o którym słyszała same dobre rzeczy. Kiedyś w jej rodzinie przydarzył się pewien... kłopot i stąd знаła tę instytucję. — Beau wpakował ręce w swoje przerzedzone jasne włosy, wyblakłe oczy spojrzały na Ala z ukosa. — Mężczyzna taki jak pan na pewno to rozumie — powiedział i Al znów skinął potakująco głową.

— Jednak Bonnie ternu zapobiegła. Musiała jakoś zwietrzyć sprawę, wynajęła własnych lekarzy i psychiatrów. Oni już tam na nas czekali ze świadectwami stwierdzającymi, że ojciec pod każdym względem jest zdrowy na

100

umyśle. No, jej stosunek do niej na pewno nie świadczył o zdrowiu — powiedział gorzko.

— Nie chcę się dłużej nad tym rozwodzić. Powiem tylko, że ten dziecienny łajdak ożenił się z nią, a cztery miesiące później go pochowaliśmy. Albo raczej to, co z niego zostało po pożarze.

— Czy pan Harmon palił?

— Jasne. Tylko samemu Bogu wiadomo, dlaczego nie skończył na raka płuc. Pewnie koniak go zakonserwował.

— I wtedy powstała kwestia testamentu pańskiego ojca. — Al skierował Beau na interesujący go temat.

— No właśnie! Beau wstał z fotela, podszedł do okna, założył ręce z tyłu i wpatrzył się w nowiutki trawnik. Wyglądał jak Napoleon wypatrujący z Elby brzegów Francji. — Zapisał jej wszystko: firmę, dom, swojego cadillaka i pieniądze.

— Oczywiście zakwestionowaliście testament.

— No pewnie. Adwokaci Loretty spadli na tę kobietę jak jastrzębie. Postraszyli ją, że przeprowadzą dokładne śledztwo w sprawie pożaru, w którym zginął ojciec, a także sprawdzają przeszłość. Myślę, że śmiertelnie się wystraszyła, bo dogadali się w sprawie pieniędzy. W ten sposób udało nam się jej pozbyć.

Al odchrząknął, zanim zadał delikatne pytanie.

— A ile zapłacono pani Harmon?

Beau gwałtownie odwrócił się od okna. Na jego twarzy rozlał się gorzki uśmiech.

— Dwieście tysięcy dolarów. — Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. — Możesz mieć to albo nic, powiedzieli jej. Wzięła, co dawali, a następnego dnia już jej nie było w mieście. Zabrała gotówkę i wyjechała. Nie chciała czeka. Nawet czeka bankierskiego. Takie jak ona zawsze w ten sposób robią.

Al wiedział, że Beau ma rację.

— Już nigdy o niej nie słyszeliście? Nigdy nie żądała więcej pieniędzy?

— Nie. Nic o niej nie słyszeliśmy aż do chwili, gdy pan się tu pojawił i zaczął zadawać pytania. Nawet nie chcę wiedzieć, co się z nią stało. Nie chcę, żeby nazwisko mojej rodziny znów zostało zmieszane z błotem.

Al nie mógł tego obiecać, uprzejmie podziękował za rozmowę i się pożegnał.

Gdy szedł za kamerdynerem do wyjścia, drzwi białego pokoju cicho się zamknęły ale zdążył jeszcze zobaczyć znikającą Loretę Harmon.

Znalazłszy się na dworze, wziął głęboki oddech. Opuszczał ten dom z prawdziwą przyjemnością. Jego zdaniem Beau i Loretta Harmonowie byli sobie warci.

Rozdział XXVI

Marla wiedziała, że była gdzieś daleko, przeżywała zły sen, który odnawiał się i odnawiał w jej głowie, w jej biednej, bolącej głowie...

W tym śnie widziała kanapkę na podłodze kuchni Vickie Mallard, więc domyślała się, że nadal jest wśród żywych. Chyba że w niebie też mają kanapki.

Jej zamglone spojrzenie zogniskowało się na mężczyźnie w czarnym ubraniu. Klęczał nad yickie. To chyba niemożliwe. Musi mieć halucynacje. Po krzyżu przebiegł jej dreszcz strachu. Nie mogła w to uwierzyć. Leżała nieruchomo, bojąc się nawet oddychać.

Nagle przez drzwi wpadli dwaj tędy policjanci z bronią gotową do strzału. Nie minęła nawet sekunda, a już trzymali Steye'a Mallarda twarzą do podłogi w kałuży krwi i zakładali mu kajdanki.

We śnie po twarzy Marli popłynęły łzy. Łzy ulgi? Bólu? Zalu?

Nachylił się nad nią policjant o miłej twarzy.

— Skarbie, wytrzymaj jeszcze chwilę — powiedział. — Karetka już jedzie. Za parę minut będziesz w szpitalu. Po prostu wytrzymaj jeszcze chwilę.

Wbiegli sanitariusze i natychmiast zajęli się yickie. Jak anioły niosące jej duszę do nieba, pomyślała Marla z żalem. Już ją kładli na noszach. Gdy to robili, krew kapłała na podłogę. Sen rozpląnął się w ciemności.

Gdy Marla się obudziła, leżała w szpitalnym łóżku. Obok siedział Al i trzymał ją za rękę. Na jego twarzy malowała się czułość i niepokój. Marla pomyślała, że taki widok wynagradza jej przeżyty koszmar.

— Cześć, skarbie — wychrypięła. Ma się taki głos, gdy ledwo uniknęło się uduszenia, odgadła. Powróciło okropne wspomnienie, w szoku otworzyła szeroko oczy. Jęknęła i przywarła do ręki Ala. Pragnęła, by już nigdy się nie oddalał.

— Witaj, kochanie. — Odgarnął jej miękkie, jasne włosy z poranionej twarzy. Jego oczy prześliznęły się po siniakach na gardle, podbitych oczach, gazie przykrywającej rany od noża na ramieniu i rozbitej głowie. Jakimś cudem Marli udało się przekręcić na bok i rozbita butelka nie trafiła jej z całą siłą. Inaczej jużby nie żyła. Al czuł się podobnie jak wtedy, gdy został zastrzelony jego brat. Serce wypełniała mu żądza mordu, płonął pragnieniem zemsty.

— Sąsiadka usłyszała krzyki — powiedział — i zadzwoniła na policję. — W samą porę, dodał w myśli. Z nadmiaru uczuć miał zaciśnięte gardło. — Nie powinienem był ci pozwolić się w to mieszać.

Wzięła jego rękę w obie dłonie i mocno uścisnęła.

— Ale dobrze się spisałam, prawda? — spytała ochrypłym szeptem. — Ja, Marla Cwitowitz, prywatny detektyw. Złapałam Steye'a na gorącym uczynku!

Al skinął głową, chociaż ból i twoga rozdzierały mu serce. Tak mało brakowało, żeby ją stracił. Gdyby odrzucił jej pomoc, yickie Mallard zadzwoniłaby do niego, i to on znalazłby się na miejscu Marli.

Doskonale się spisałaś — przyznał. — Awansuję cię na pełnoprawną partnerkę. Ale już nigdy ci nie pozwolę działać samotnie.

Spojrzała na niego kokieteryjnie, ale nagle w jej oczach odmalował się strach.

— O Boże, a co z yickie? Czy ona...? — Nie mogła się zdobyć na wypowiedzenie słowa „umarła”.

— Jest w śpiączce. Bardzo mocno jąporanił i prawie udusił. Nóż przeciął tętnicę i jedno płuco. Lekarz mi powiedział, że ostrze ominęło serce o ułamek centymetra.

— Całe szczęście — westchnęła Marla.

Al nie był tego pewien. Nikt nie wiedział, czy po odniesieniu tak poważnych ran yickie po wyjściu ze śpiączki będzie taka sama, jak przedtem. O ile w ogóle wyjdzie ze śpiączki.

Podobnie jak jej mąż, yickie grała teraz w grę „wszystko albo nic”, w której przegrana oznacza śmierć.

Pod wpływem podanych uprzednio lekarstw Marla znów zapadła w sen. Al jeszcze długo trzymał ją za rękę. Chciał wziąć ją w ramiona, ucałować każdy centymetr ciała, mieć ją przy sobie blisko i nigdy jej nie opuszczać. Mógłby zabić każdego, kto rzuciłby jej złe spojrzenie. Wziął głęboki oddech. Wiedział, że nie powinien tak myśleć. Zemsta nie jest najlepszym rozwiązaniem. A Marla będzie żyła. Może zostanie jej kilka blizn, ale dobry chirurg plastyczny bez trudu sobie z nimi poradzi.

Nikt nie uleczy go z wściekłości, jaką odczuwał, gdy patrzył na jej poranione ciało. Wszedł na jasno oświetlony korytarz, by poszukać automatu do kawy. Włożył monety do otworu i dostał papierowy kubek tego, co eufemistycznie nazywało się „espresso”. Popijając myślał o Steyie Mallardzie i obrocie, jaki niespodziewanie przyjęła sprawa. Był ciekaw, dlaczego Steye dopuścił się takiego czynu. Czy dlatego, że yekie w końcu poznała prawdę o nim i Laurie? Czy zdobyła dowody na to, że Steye zabił Lamie? Nie odpowie na to pytanie, dopóki nie zgromadzi wszystkich kawałków układanki.

Rozdział XXVII

Steye Mallard został przewieziony do więzienia Twin Towers, nowej fortecy wybudowanej w samym centrum Los Angeles. Al pomyślał, że dla przebywających tu więźniów przyglądanie się przez wąskie okienka wolnym ludziom załatwiających swoje zwykłe, codzienne sprawy, musi stanowić dodatkową torturę.

Zawsze mu się wydawało, że to dziwaczne miejsce na więzienie. Był już tego pewien, gdy wchodził tu z Benem Listerem. Wolny człowiek miał stąd parę kroków do McDonalda, czy do eleganckiego Music Center, gdzie o piątej po południu odbywały się koncerty. Do Chinatown i rybnej restauracji „Mon Kee”s”, której specjalnością były ogromne przegrzebki, szło się dziesięć minut. Te realia stanowiły zapewne przykry dodatek do wyroku:

wszystko było takie bliskie, lecz nieosiągalne.

Steye został aresztowany przez policję z San Diego pod zarzutem usiłowania morderstwa. I został przyłapany —jak zaznaczyła Marla — na gorącym uczynku.

Strażnik wprowadził go do rozmównicy. Więzień miał na rękach kajdanki. Al, patrząc na człowieka, który tylko dzięki przypadkowi nie zabił Marli, z wielkim wysiłkiem opanował narastający gniew. Musiał zachować spokój i dystans. Na tym polegała jego praca.

Gdyby nie chodziło o Marłę, byłoby to łatwe. Zmuszał się teraz do zachowania obiektywizmu, chociaż cały się gotował i wyglądał, jakby w jego żyłach krew zamarzała na lód.

Steye był gładko ogolony, ale jego włosy domagały się ryzjera. Twarz miał tak bladą, że skóra wydawała się przeroczysta, a oczy patrzyły gdzieś w dal. Wygkła jak człowiek, który od lat nie wychodził na światło dzienne, pomyślał Al. Jak mieszkaniec piwnic, od których więzienie niewiele się różni.

— Steye, jak się miewasz? — przywitał go Lister i podał mu rękę. Al się na to nie zdobył. Steye skinął głową i opadł na drewniane krzesło po drugiej stronie stołu.

— Okay — odparł przez zaciśnięte usta. Nie patrzył nikomu w oczy.

Dzięki przepisom dotyczącym kontaktów między aresztowanym a jego adwokatem nie musieli rozmawiać przez szklaną, kuloodporną ścianę, korzystając z telefonu. Al nienawidził tych wszystkich więziennych urządzeń. Denerwowały go, przypominając kłopoty z prawem, jakich sobie narobił w młodości. Szczęście, że miałem taką dobrą matkę, myślał często. Ale teraz oddałby wszystko za papierosa.

— Dobrze cię tu traktują? — spytał Lister, kładąc na stole magnetofon. Chciał nagrać wypowiedzi Steye'a, żeby je potem starannie przeanalizować.

— Okay — odpowiedział Steye, patrząc na plastikowy blat stołu.

104

— Steye, opowiedz nam, co się wydarzyło — zaproponował Al.

— Po co? — Steye po raz pierwszy uniósł wzrok i popatrzył na niego. — Już wiecie. Mówiłem to Listerowi i policji chyba z tysiąc razy.

— Więc zrób mi tę uprzejmość i powtórz to jeszcze raz.

Steye zacisnął wargi, jego oczy wpatrywały się w jakiś odległy punkt.

— Chłopie, lepiej mi to opowiedz — powiedział cicho Al. — Oczywiście, jeżeli chcesz wyjść z tego cało.

— Dla mnie już nie ma ratunku. Nie rozumiecie tego? Złapano mnie, gdy klęczałem nad moją żoną, w jej krwi. I był tam nóż...

— Na nożu nie znaleziono odcisków palców.

— Nie. Ale chyba już wiecie, że napastnik miał rękawiczki. I że nóż pochodzi z domku w Arrowhead.

— Tego nie wiedziałem. — Al spojrzał ze zdziwieniem na Listera.

-- Przepraszam cię, Al, widocznie zapomniałem ci o tym powiedzieć. Al uniósł brew.

Najwyraźniej Lister był tak pewny winy swojego klienta, że nawet nie pomyślał, iż sprawa noża może mieć ogromne znaczenie.

Steye położył skute ręce na stole, zgarbił się, opuścił głowę. Byłem w domku nad jeziorem. Zadzwoił telefon. Ktoś — mężczyzna, którego głosu nie rozpoznałem — powiedział, że mojej żonie grozi niebezpieczeństwo i że powinienem zaraz pojechać do domu, bo może być za późno. Nie namyślałem się ani chwili. Wsiadłem do samochodu i pojechałem do domu. Otworzyłem tontowe drzwi własnym kluczem. Było ciemno, w holu nie paliło się światło. Usłyszałem jakiś hałas i zawołałem do yickie, że to ja. Nie chciałem jej przestraszyć. Poszedłem do kuchni. Zobaczyłem, że Vickie leży na podłodze, cała we krwi. Podbiegłem do niej. Myślałem tylko o tym, żeby ją ratować, była... Boże, krew lała się z tętnicy na szyi, ale pomyślałem, że chyba jeszcze żyje, skoro nadal krwawi.. - Włożyłem palec do rany, by zatrzymać krwotok. — Opuścił głowę jeszcze niżej. Nastąpiło długie milczenie.

— A potem policjanci rzucili mnie twarzą dół na podłogę, w tę krew, i wymierzili do mnie z pistoletów. — Steye aż się wstrząsnął i Al nagle zauważył, jak bardzo schudł. Widocznie popełnienie morderstwa odbiera apetyt.

— O której otrzymałeś ten anonimowy telefon? — spytał.

— Chyba koło wpół do jedenastej.

— Znajdowałeś się w górach, sto pięćdziesiąt kilometrów od miasta, i ktoś ci powiedział, że twojej żonie, przebywającej w Los Angeles, grozi niebezpieczeństwo. Dlaczego nie zaalarmowałeś policji?

— Może pamiętacie, że z policją nic łączą runie najlepsze stosunki. Oni pragną mojej głowy, aja miałem im powiedzieć, że ktoś grozi mojej żonie i nawet nie wiem kto? Przymknęliby mnie, zanim zdążyłbym się obejrzeć — wyjaśnił z goryczą.

105

— Może warto było zaryzykować — powiedział spokojnie Al, myśląc o tym, co się stało Marli.

Ciemne oczy Steye'a rozbłysły giewem i Al wiedział, że wreszcie dotknął czulej struny, spowodował jakąś ludzką reakcję.

Wydawało mi się, że ktoś sobie zrobił taki paskudny dowcip — dodał jeszcze Steye. — Już się zdarzało, że szaleńcy, którzy czytali o mojej sprawie w gazetach...

— To mało prawdopodobne — odparł Al lodowatym tonem. — I co potem zrobiłeś?

Wsiadłem do samochodu i pojechałem do Los Angeles. Wynajęty fordem taurusem, prawda?

— Tak. Gdy zostałem zawieszony w pracy, firma odebrała mi służbowy samochód.

— I takim samochodem zdołałeś dojechać tak szybko? Po tych górskich drogach?

— Jestem dobrym kierowcą. Przed domem znalazłem się za dwie pierwsza. — Al uniósł brew i Steye wyjaśnił: — Spojrzałem na zegarek. Było późno, w sąsiednich domach nie paliły się już żadne światła. Nie chciałem budzić ludzi, trzaskając drzwiczkami...

— Zauważyłeś, czy w pobliżu parkowały jakieś samochody?

— Nawet się nie rozejrzałem. Poza tym było zupełnie ciemno.

— Lampy uliczne się nie paliły?

— Tak, dwie czy trzy... To zaułek, a nasz dom stoi między dwiema latarniami.

Po otwarciu drzwi nie zobaczyłeś nikogo?

— Nikogo. Ale powtarzam, że było ciemno.

— Potem się okazało, że kuchenne drzwi też były otwarte — wtrącił

Al skinął głową.

— No dobrze, więc jesteś w domu i widzisz Żonę. Co zrobiłeś wtedy?

— Mówiłem wam. Podbiegłem do niej, uklęknąłem obok i ucisnąłem palcem tętnicę, żeby zatamować krwawienie...

— Według lekarzy ocaliłeś jej Życie. Tętnica była mzerwana i tylko ucisk mógł powstrzymać krwotok. Steye, powiedz mi, czy ratowałeś Vickie przed czy po tym, jak pojawiła się policja? Czy nie zrobiłeś tego, by zapewnić sobie coś w rodzaju alibi, odgrywając czulego męża?

— Do cholery! — Steye ze złością uderzył zakutymi w kajdanki rękami w stół.

— A gdy zatykałeś ranę palcem, nie słyszałeś przypadkiem jakichś odgłosów, na przykład kroków? Nie wyczułeś czyjejś obecności w domu? No wiesz, chodzi mi o szósty zmysł. Nie miałeś wrażenie, że lodowate palce muskają cię po karku?

106

— Nawet o tym nie pomyślałem.

Nie pomyślałeś, że morderca może jeszcze tam być? I że sam znalazłeś się w niebezpieczeństwie?

Nie — odparł Steye stanowczo. Jego twarz znów wyglądała jak maska, zniknął z niej wszelki ślad gniewu i ludzkich uczuć.

— Więc powiedz mi, co usłyszałeś. Przecież jakieś dźwięki musiały dochodzić do twoich uszu. Gdy wszedłeś frontowymi drzwiami, morderca musiał opuścić dom kuchennymi, poza tym miał na pewno samochód.

Steye w zamyśleniu zmarszczył brwi.

— Gdzieś... — powiedział — gdzieś w tle..., może nawet słyszałem, jak ktoś zapala silnik. Ale byłem zbyt przejęty stanem Vickie i myślałem tylko o tym, by ją ratować.

Więcej się już niczego nie dowiemy, skonstratował Al. Lister doszedł do tego samego wniosku. Spakował magnetofon, pożegnali się i poczekali, aż strażnik wyprowadzi Steye'a.

— I co o tym myślisz? — spytał Lister, gdy znaleźli się znów w wolnym świecie. — Kłamie, czy też jest jedynym w historii morderca,, który usiłował uratować ofiarę w nadziei, że ocali w ten sposób własną głowę?

Hej, to ty jesteś jego obrońcą — Al uśmiechnął się złośliwie — więc masz obowiązek wierzyć w jego niewinność.

— Na twoim miejscu nie zakładałbym się o to — powiedział Lister.

Niewykluczone. Al nie wiedział, co myśleć o całej sprawie. Czy Steye próbował zabić Vickie i Marłę? Może Vickie odkryła prawdę o mężu i Laurie i chciała zawiadomić policję. Ale co, do diabła, jest prawdą jeśli chodzi o Laurie Martin? Wyjechał z parkingu i włączył się w ruch uliczny.

Tego popołudnia, gdy Al poszedł z wizytą do szpitala, Marla siedziała na krześle przy oknie i popijała przez słomkę sok owocowy. Wyglądała o sto procent lepiej niż wczoraj. Mimo to ciągle jeszcze nie jest w stu procentach taka jak przedtem, pomyślał Al, obserwując ją od drzwi. Podbite oczy, siniaki na gardle, piętnaście szwów na głowie, jeszcze więcej na ramieniu. Ale żyła i uśmiechała się do niego. Tylko to się liczyło. Miała na sobie długi, biały bawełniany podkoszulek i czerwony jedwabny szlafrok. Z odgarniętymi do tyłu jasnymi włosami i bez makijażu wyglądała jak mała dziewczynka przebrana w rzeczy mamy.

Jej dolna warga była skaleczona. Przegryzła ją, gdy dostała od Steye'a w usta, żeby przestała krzyczeć. Al pocałował Marłę w lewy policzek. Tani nie było szwów.

— To się staje kłopotliwe — powiedział z uśmiechem. — Prawie nie ma miejsca do całowania.

107

— O co się założysz? — Odwzajemniła uśmiech. Był na tyle seksowny, na ile może się zdobyć kobieta z poranionymi ustami i podbitymi oczami. — Chcesz soku?

- Nie, dziękuję. Chciałbym cię stąd zabrać do domu, tam jest twoje miejsce.

— Gdzie można mieć pewność, że będę bezpieczna — drażniła się z nim.

— Tak by powiedział twój ojciec.

Wypiła trochę soku.

— Właśnie wyszli stąd z mamą Nie jesteś w tej chwili ich ulubieńcem.

— Nigdy nie byłem — odparł ponuro, rozśmieszając ją.

- No więc, co mówił Steye Mallard?

— Twierdzi, że tego nie zrobił, że ktoś do niego zadzwonił i ostrzegł, że jego żonie grozi niebezpieczeństwo. Gdy dojechał do domu, zastał ją leżącą na podłodze i wykrwawiającą się na śmierć. Ucisnął tętnicę na szyi Vickie. Lekarze uważają że uratował jej życie.

Marla zmarszczyła brwi.

— Chcesz powiedzieć, że najpierw usiłował ją zabić, a gdy usłyszał policjantów, udawał, że próbuje ocalić jej życie?

— Tak to właśnie wygiąda.

— Al, to był on. Widziałam go.

— Widziałaś, jak trzyma w ręku nóż?

Do diabła, Giraud, ajak myślisz, kto mnie tak poharatał? Patrzyłam mu prosto w oczy.

— Oczywiście, masz rację — westchnął Al.

— Vickie nadal jest na oddziale intensywnej terapii. Marla zmieniła temat. — I nie wyszła ze śpiączki.

Wiem. — Al rano telefonował do szpitala, by dowiedzieć się zarówno o stan Vickie, jak i Marli.

— Opowiedz, jak było w Falcon City — poprosiła.

Al opowiedział jej o rozmowie z panną Gwyneth Arden, o tym, jak poznał prawdziwą Laurie Martin i o swoim spotkaniu z synem Bossa Harmona.

— Tak więc, skarbie — zakończył — pani Bonnie z domu Hoyt, Victor po pierwszym mężu, a po drugim. Harmon, w niecny sposób sporo odziedziczyła. Przypuszczam, że zabiła Jimmy'ego Victora i zabrała samochód, potem zabiła starego Bossa Harmona i dostała jego pieniądze. Posłużyła się numerem ubezpieczenia społecznego prawdziwej Laurie Martin, który znalazła w torebce zostawionej przez tamtą w toalecie restauracji. A gdy Boss zginął, z dwustoma tysiącami dolarów w kieszeni przyjechała do Los Angeles nowym samochodem, z nową garderobą i nowym kolorem włosów, jak również z nową tożsamością.

- I nowym planem, dotyczącym Johna Maclyera — uzupełniła Marla. — Co za kobieta! Myślisz, że ktoś przejrzał jej grę, zrozumiał, co zamierza?

— Ktoś taki jak Steye? — Al pokiwał głową i zmarszczył brwi. — Nie. Coś mi tu nie pasuje.

— Wiesz, co myślę? — kontynuowała Marla. — Myślę, że musimy się dowiedzieć czegoś więcej o pierwszej Bonnie, Boimie Hoyt. Kim jest, skąd pochodzi, jak wyglądała jej przeszłość, zanim zaczęła zabijać mężczyzn, by się lepiej urządzać.

— Skarbie, masz całkowitą rację. I właśnie dlatego zaraz wyjeżdżam. Jadę do Gainesville na Florydzie. Mam lot o czwartej po południu.

To znaczy, że nie poczekaasz, aż mnie stąd wypuszczą? — Oczy Marli rozbłysły z oburzenia.

Przykro mi skarbie, ale muszę skorzystać z okazji. Wiem dokładnie, gdzie jesteś, i mogę być o ciebie spokojny.

— Bo tu nic mi nie grozi odgadła z goryczą.

— I właśnie oto chodzi — powiedział, całując ją wszędzie tam, gdzie nie odniosła ran.

Rozdział XXVIII

Gainesyille to miasto uniwersyteckie, trochę mniejsze od San Antonio. Jadąc z lotniska, Al zobaczył tablicę, z której się dowiedział, że liczba mieszkańców wynosi około osiemdziesięciu pięciu tysięcy. Pomyślał, że we wrześniu, gdy zaczyna się nowy rok akademicki, liczba ta musi znacznie wzrastać. Z racji swojego położenia - między Zatoką Meksykańską a Atlantykiem - w San Antonio niemal bez przerwy panuje straszliwy upał, a na dodatek procent wilgotności jest tu bardzo wysoki.

W książce telefonicznej nie znalazł nazwiska Hoytów, ale w archiwach miejskich figurował ich adres. Jadąc na miejsce wynajętym lincolnem town car — jako stałemu klientowi Hertz'a przysługiwały mu eleganckie samochody — Al przyglądał się okolicy, by wczuć się w atmosferę, w której wyrosła Bonnie-Laurie.

Nie znalazł tu zaniedbanych kempingów dla przyczep mieszkalnych, lecz szacowną choć skromną dzielnicę tanich domków z garażami na jeden samochód i mnóstwem starych modeli zaparkowanych wprost na ulicach. Małeńkie, nie ogrodzone trawniki dochodziły aż do chodnika, a kilka przerośniętych sosen, z całą pewnością nie należących do tutejszego ekosystemu, rzucało plamy miłego cienia, rozsypując dookoła suche igły i szyszki.

Dom pod numerem 977 na Windward Road nie różnił się od innych: zakurzone białe stiuki, żaluzje na oknach, metalowe osłony przeciwhuraganowe, oddzielające sąsiednie posesje. Tyle tylko, że był to jedyny dom, przy którym Al zauważył przed drzwiami dziecienny wózek, a pod werandą kojec.

Sprawdził jeszcze raz adres, który sobie zapisał w notatniku, bo na widok tych dziecięcych akcesoriów pomyślał, że to pewnie nie tu. Hoytowie byli za starzy, żeby mieć, małe dzieci, chyba że Bonnie załbnowała sobie kilkoro i oddała je dziadkom pod opiekę.

Gdy zadzwonił, drzwi otworzyła mu kobieta, na oko dwudziestokilkuletnia. W jej uśmiechu odczytał pytanie, po co przyszedł. Nawet z progu wyczuwał zapach, jaki panuje w każdym domu, w którym są małe dzieci. Pomyślał, że itak to jest lepsze niż zapach kotów.

Przepraszam panią — powiedział uprzejmie — ale szukam państwa Hoytów. Bernarda i Barbary Hoytów. Słyszałem, że kiedyś tu mieszkali.

— Tak, chyba ktoś o tym nazwisku rzeczywiście tu kiedyś mieszkał. — Kobieta przerzuciła dwulatkę z jednego biodra na drugie i odgarnęła z czoła ciemne włosy. — My kupiliśmy ten dom pięć lat temu. — Uśmiechnęła się radośnie. — Mój najstarszy, pięcioletni, urodził się już tutaj. Jest rdzennym mieszkańcem hrabstwa Alachua, tak samo jak troje młodszych — dodała ze śmiechem.

— „A może wie pani przypadkiem, gdzie państwo Hoyt się przeprowadzili?

— Nie. Ten dom był nie zamieszkały na długo przedtem, zanim się wprowadziliśmy. Niewielu ludzi chce mieszkać w takich dzielnicach, ale tylko na tyle mogliśmy sobie pozwolić. Okazało się, że jest tu całkiem przyjemnie. Wszyscy sąsiedzi to starsi ludzie, więc mamy doskonałą opiekę dla dzieci, gdy chcemy wyjść. Są bardziej godni zaufania niż dziewczynki ze szkoły i nie biorą zbyt drogo. — Znow się roześmiała. — Sama pamiętam, że w czasach szkolnych w ogóle nie zasługiwałam na zaufanie.

— To miło mieć tak uczynnych sąsiadów — wtrącił Al, by podtrzymać rozmowę. Kobieta była gadatliwa, a wiedział z doświadczenia, że takie pogaduszki często dostarczają cennych informacji.

— Na przykład Kramerowie z domu obok. Mieszkają tu od zawsze, od czasu wybudowania tej dzielnicy. Mówili, że kupili swój dom za dwa tysiące. Może pan to sobie wyobrazić?

— Z tego wynika, że Kramerowie dobrze znali Hoytów.

Kobieta spojrzała na niego zdziwiona.

— Tak, chyba tak. Może pan ich spytać, dokąd się wyprowadzili. To uroczy ludzie, powiedzą panu wszystko, co pan chce wiedzieć.

Al podziękował jej i przeszedł dziesięć kroków wąskim, cementowym chodnikiem, a potem jeszcze pięć do drzwi Kramerów. Tu nie stał żaden dziecinny wózek. Zobaczył tylko starannie wypolerowane mosiężne drzwi, wypucowane, lśniące okna i niepokalanie czyste żaluzje. Pani Kramer niewątpliwie była dobrą gospodynią. Al stanął na najwyższym stopniu schodków prowadzących do drzwi. Było tu zaledwie trochę miejsca dla niego

110

i ogromnej skrzynki z czerwonym geranium. Zadzwoił. Zaczynał się czuć jak domokrażca. Ciekawe, ilu ich jeszcze przetrwało do teraz, gdy ludzie boją się wpuszczać obcych do domu. Ale stara pani Kramer nie bała się niczego. Gdy usłyszał, jak walczy z zasuwami i dość licznymi zamkami, domyślił się, że zwykle używa kuchennego wejścia.

— Przepraszam, że sprawiam państwu kłopot — powiedział Al, gdy na progu stanął niski staruszek i spojrzał na niego ze zdziwieniem. — Szukam państwa Hoytów. - Bernarda i Barbary Hoytów. Wiem, że kiedyś mieszkali w domu obok.

— Tak, rzeczywiście kiedyś tu mieszkali. — Pan Kramer podsunął wyżej okulary i przyglądał rzadkie, siwe włosy, wyglądające jak wata cukrowa. — Pan znał Berniego? Niestety, nie. Tylko o nim słyszałem. Panie Kramer, szczerze mówiąc, interesuje mnie ich córka. — Al wyjął z kieszeni zdjęcie Laurie i pokazał mu. — Zaginęła i zlecono mi poszukiwania.

— Zaginęła, mówi pan? No tak, nie mogę powiedzieć, żeby mnie to specjalnie zdziwiło.

— Obejrzał zdjęcie. Trzymał je tak blisko oczu, że zdaniem Ala jego oddech na pewno pozostawił na nim plamy.

Tak, tak, to Bonnie. Nie widziałem jej od bardzo dawna, ale to ona. — Rzucił Alowi podejrzliwe spojrzenie, niepewny, czy bezpiecznie będzie zaprosić go do domu.

Widocznie oględziny wypadły pozytywnie, bo powiedział: — Proszę, niech pan wejdzie,

tujest za gorąco na rozmowy. Moja żona przyjaźniła się z Barbie Hoyt, chociaż jej córka była młodsza niż nasza. I dzięki Bogu — dodał. Odwrócił się i wprowadził Ala do środka. Pani Kramer jest straszną czystoszką, pomyślał Al, rzucając okiem na niepokalanie czysty niewielki pokój, do którego został wprowadzony. Stały tu ciemne, dębowe meble i średnich rozmiarów telewizor, o dziwo, wyłączony. Al nie spostrzegł ani jednego pyłka kurzu. Pani Kramer siedziała w fotelu przy kominku. Na palenisku leżał bukiet suszonych narcyzów. Pani Kramer była tak samo malutka jak jej mąż. Mimo że w pokoju musiało być co najmniej trzydzieści stopni, okryła nogi kolorowym pledem robionym szydełkiem. Czytała, ale gdy zobaczyła, że ma gościa, odłożyła książkę.

— Mimi, ten pan chciałby się czegoś dowiedzieć o Hoytach — powiedział pan Kramer. — Z tego, co zrozumiałem, Bonnie zaginęła, a on jej szuka.

Imię Mimi wyjątkowo nie pasuje do tej kobiety, pomyślał Al. Była taka zwyczajna. Jego matka określiłaby ją miło jako „kobietę oddaną rodzinie”. Miała długie zęby, pociągłą twarz i siwe włosy, zupełnie jak koń, kochany konik — uściślił Al. Niczym nie przypominała tych olśniewających, długonogich dziewczyn, które pracując w klubach Las Vegas, przybierały imię Mimi. Matka pani Kramer musiała być wyjątkową optymistką. — Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Al Giraud. Jestem prywatnym detektywem.

111

Jej starcze, zachodzące łzami oczy rozświeciły się.

Och, cudownie, prawdziwy prywatny detektyw! Właśnie czytam najnowszego Elmore'a Leonarda. Harry wypożycza mi książki z biblioteki, bo je uwielbiam. Dość często pisuję do pana Leonarda, zwłaszcza wtedy, gdy źle poprowadzi intrygę. Jestem pewna, że docenia moje rady. — Uśmiechnęła się, pokazując długie zęby, bez wątpienia sztuczne, a także sporą partię dziąseł. W jakiś dziwny sposób uśmiech rozjaśnił jej twarz i nagle wyglądała, jakby miała co najmniej dziesięć lat mniej.

Mimi Kramer jest w porządku, myślał Al, ściskając jej rękę i mówiąc, że poznanie jej to prawdziwa przyjemność. Harry Kramer poprosił, by usiadł naprzykrytej kwiecistym pokrowcem kanapie, a Mimi spytała, czy ma ochotę na zimny napój, bo na pewno mają w lodówce lemoniadę. Al uprzejmie podziękował i przeszedł do swoich spraw. Tutaj, na szczęście, pachniało wyłącznie cytrynowym środkiem do czyszczenia mebli.

Opowiedział o życiu Bonnie w Kalifornii i o tym, że zaginęła, ale nie chciał straszyć Kramerów Przypuszczeniem, że została zamordowana.

— Muszę się czegoś dowiedzieć o rodzinnym domu Bonnie, jaka była w dzieciństwie i tak dalej — zakończył, widząc po oczach Mimi, że marzy, by mu o tym wszystkim opowiedzieć.

— Zwrócił się pan z tym pytaniem do właściwych osób. Nie znajdzie pan nikogo, kto wiedziałby o Hoytach więcej niż my. Mieszkaliśmy obok siebie czterdzieści lat. A Bonnie zawsze była dziwnym dzieckiem, rodzice nie dawali sobie z nią rady. Już w dzieciństwie trudno było ją poskromić. Kilka razy przyłapano Bonnie na kradzieży w sklepach. Policja zawiadamiała ojca, a on na pewno nie puszczał jej tego płazem. Słyszałam nawet, że używał pasa. Ale Bonnie nic sobie z tego nie robiła. Doprowadzała rodziców do szaleństwa. Wagarowała, paliła, piła, zażywała narkotyki.

— Pani Kramer, ile miała lat, gdy zaczęła pić i zażywać narkotyki? — Al słuchał tej opowieści z ogromną uwagą. Zaczynał poznawać prawdziwą Bonnie-Laurie Martin. Chyba już w szkole podstawowej. Barbie bardzo to przeżywała, nie mogła zrozumieć, jak jej własne dziecko może się tak zachowywać. Panie Giraud, to byli bogobojni ludzie. W każdą niedzielę chodzili do kaplicy baptystów na nabożeństwo, dawali pieniądze na dobroczynność, chętnie pomagali sąsiadom czy rodzinom biedniejszym niż om sami. A muszę panu powiedzieć, że Hoytowie, w porównaniu z wieloma innymi ludźmi, nie byli bogaci. Bernie mówił nam, że w ciągu dziesięciu lat spłacił raty za dom dzięki temu, że oszczędzał i odmawiał sobie wszystkiego. Uważał, że nie ma nic ważniejszego niż mieć dom na własność. Bo nikt mu go nie odbierze, nikt nagle nie podniesie mu czynszu, jak to się działo w tamtych czasach, nikt nie zabroni mieć dzieci czy zwierzęta. — Pokręciła głową nad niegodziwością ludzi.

— Po swoich siedemnastych urodzinach Bonnie powiedziała im, że wyjeżdża. Jedzie do Pensacoli i będzie tam mieszkała z marynarzem, którego niedawno poznała. Spakowała swoje rzeczy wzięła wszystko, co jej matką miała w portmonetce, i wyszła. Próbowali ją zatrzymać. Pojechali za nią, ale nie ujechali daleko. Zginęli w wypadku na autostradzie. Po policzkach pani Kramer popłynęły łzy i Al instynktownie poklepał ją po ręku. Utrata przyjaciół, zwłaszcza gdy umierają nagle, zawsze jest tragedią— powiedział ze zrozumieniem.

— Mimi, już to przebolełaś, nie zaczynaj tego przeżywać od nowa — mitygował żonę Harry. Popatrzył ze złością na Ala. — Policja mówiła, że zepsuły się hamulce, ale bardzo mnie to zdziwiło. Bernie Hoyt miał bzika na punkcie swojego samochodu, dbał o niego jak o ukochane dziecko. Oczywiście nie był to nowy samochód, ale widząc błyszczący lakier i stan silnika, nigdy by się pan tego nie domyślił.

Mimi głęboko westchnęła, otarła oczy chusteczką higieniczną którą wyjęła ze szkatułki wysadzanej muszlami.

— Bonnie odziedziczyła te trochę pieniędzy, jakie mieli, a także dom, który zresztą natychmiast sprzedała. Usłyszeliśmy o mej dopiero wtedy, gdy jej mąż zginął w pożarze mieszkalnej przyczepy. Można by pomyśleć, że tę dziewczynę prześladowuje tragedia. — Mimi jeszcze raz westchnęła. — I od tego czasu nigdy już o niej nie słyszeliśmy. Wyjechała z Florydy, kto wie dokąd?

Al podziękował Kramerom, przeprosił, że zdenerwował Mimi. Odprowadzili go na ganek. Odjeżdżając pomachał im ręką. Nie miał wątpliwości, że nieznośna nastolatka, Bonnie Royt, Borinie Victor i Bonn je Harmon, a także Laurie Martin, to jedna i ta sama osoba. Ale nie zamierzał dzielić się tą informacją z detektywem Bulworthem.

Rozdział XXIX

Po powrocie do biura Al zastał w poczcie elektronicznej następującą wiadomość:

Ratunku! Zostałam uprowadzona ze szpitala. Jestem uwięziona. Zabroniono mi widywać się z tobą. Mama mówi: „Marla, dlaczego nie znajdziesz sobie miłego chłopca, lekarza, ajuż najlepiej ortodonta?” A ja jej na to: „Mamo, już dawno skończyłam szesnaście lat”. A mama: „Rzeczywiście, masz trzydzieści dwa i omal nie zginęłaś. Zapomnij o tym obszarpańcu „. Al, przybądź opólnocy na szklaną górę i uratuj mnie. Marla Cwitowitz, asystentka prywatnego detektywa.

Al się roześmiał. Odgadł, że szklana góra to marmurowy budynek, w którym mieszka Marla w Palisades. Spojrzył na zegarek. Kwadrans po jedenastej. Zdaży jeszcze wpaść do Greenblatta na Sunset po najlepsze pieczone kurczęta na wynos. Weźmie do tego szparagi, bo ona je lubi. Kupił jeszcze butelkę oziębionego szampana i ruszył do Palisades.

Marla dramatycznie rzuciła mu się w ramiona.

— „Wiedziałam, że przybędziesz mi na ratunek — szepnęła, całując go chciwie. Z pasją oddawała się roli, jaką grała.

— Skarbie, uspokój się — powiedział łagodnie, starając się ocalić torbę z kurczęciem, która utkwiła między ich ciałami. Odsunął się i popatrzył na Marłę. Siniaki otaczające jej oczy i ślady palców na szyi zmieniły kolor z granatowego na zielonkawożółty. Zdjęto już szwy z głowy i ramienia, ale pozostały długie purpurowe blizny.

— „Uspokój się”? — parsknęła. — Porwano mnie ze szpitala, a ty potrafisz powiedzieć tylko tyle? Och, panie twardzielu, co za kochanek z siebie! Aja się spodziewałam, że mnie uratujesz. — Pobiegła do bawialni, rzuciła się na kanapę i zastygła w powabnej pozie.

— Skarbie, nie wyobrażam sobie, jak mógłbym cię uratować przed rodzicami. Przecież mają absolutnego bzika na twoim punkcie. Wydaje mi się, że sama sobie z nimi poradziłaś. Zresztą twój tato jest jeszcze większym twardzielem niż ja.

Odniósł zakupy do kuchni, apotem przyjrzał się jej ponownie. Miała na sobie białą atłasową koszulkę nocną której nigdy przedtem nie widział — Marla na ogół sypiała nago albo w podkoszulku i czasami wkładała miękkie skarpetki, bo w nocy marzły jej stopy. Jasne włosy starannie zaczesła na bliznę, umalowała usta, na powieki nałożyła mnóstwo cieni, a rzęsy wy- smarowała grubą warstwą tuszu.

— Kim jesteś dzisiaj? Jean Harlow? — spytał z uśmiechem. — Podoba mi się ta fryzura.

— Łajdak! — Rzuciła w niego poduszką ale onją zręcznie złapał.

— Czerwona pomadka pasuje idealnie do żółtych oczu — dodał uchylając się, bo już leciała na niego następna poduszka.

— Chciałam wyglądać jak nieszczęsna, zraniona kobieta z filmów z lat trzydziestych, coś w typie Singer Rogers — wyjaśniła niedbale.

— Skarbie, o ile mi wiadomo, Singer nigdy nie grała nieszczęsnych kobiet. Ona tylko na paluszkach tańczyła z Fredem Astairem.

— Więc zatańcz ze mną. — I już wpadła w jego ramiona, otoczona obłokiem korzenno- kwiatowych aromatów. Al wiedział, że w przeciwieństwie do uperfbmowanej, zimnej Loretty Flarmon, pod tymi perfl.imami kryje się prawdziwa kobieta, pachnąca prawdziwie

kobiecym zapachem, jedynym, wyjątkowym, żywym i niepowtarzalnym zapachem jego Marli. Na samą myśl o tym zrobiło mu się gorąco. Podniósł ją i zaniósł na kanapę.

114

— Chcesz szampana, zanim cię posiadę? — spytał. — Kurczęta ze szparagami: przed czy po?

Ze śmiechem przytuliła się do niego, dopasowując do kształtów jego ciała. Oplotła go nogami, a jej ręce już wyciągały mu koszulę zza paska spodni.

— Och, oczywiście że po, ty wariacie;

I wtedy zadzwonił telefon.

Marla podniosła głowę, ich spojrzenia się spotkały.

— Zabiję cię, jeśli przyjmiesz — powiedziała spokojnym tonem. Mimo to Al jej uwierzył.

— Wygrałeś — oświadczył, poddając się. Cieszył się, że miał na tyle rozumu, by się poddać. Skóra Marli pod jego dłońmi była jak atlas, jędrne piersi, miękkie jak rozkoszne poduszeczki, doprowadzały jego lędźwie do stanu wrzenia. Mógłby przysiąc, że brodawki smakują jak pączki róży i słodkie wino. Ułożył się na niej jak w puchowym łóżku i pozwolił działać... a wyprawiała takie rzeczy, sięgała do takich miejsc, o których nawet nie wiedział, że je ma. Boże, ta kobieta to geniusz. Powstrzymał ją, zanim było za późno. Wciągnął Marłę na siebie i poczuł, jak ciężko na niego opada, raz, drugi, dziesiąty. Serce waliło mu w piersiach, a w głowie tętnił puls. Rozpływał się, aż wreszcie wydał jęk czując, jak Marla doznaje rozkoszy razem z nim.

I wtedy telefon komórkowy znów zadzwonił.

— Nie ośmielisz się — ostrzegła go wyważonym tonem.

Al wpakował telefon pod poduszkę, zdjął Marłę z siebie i położył się obok niej.

— Chyba nie sądzisz, że chciałem teraz rozmawiać — powiedział. I znów zaczął całować, smakując ją dając tyle samo rozkoszy, ile ona dawała jemu. Usłyszał ciche okrzyki i wiedział, że kochał ją tak, jak na to zasługuje.

Całował Marłę całą aż do zranionych ust, gdzie się zatrzymał, obrzucając lekkimi jak motyle pocałunkami ciągle jeszcze spuchnięte wargi.

— Cudowna... wspaniała... Marla, jesteś dziewczyną moich marzeń...

Jego ręka już zabłądziła pod poduszkę w poszukiwaniu telefonu, ale Marla uderzyła go łokciem. Mocno.

— Nie możesz zdobyć się choć na tyle przyzwoitości, by odczekać parę minut, zanim sprawdzisz, kto dzwonił? Założyłabym się, że przez cały czas tylko o tym myślałeś. — Była wściekła.

— Mylisz się! Oczywiście, że nie myślałem o telefonie — odparł M z oburzeniem. — Tylko że mam pracę do wykonania i jeżeli wolno mi o tym wspomnieć, ty też masz obowiązki. Sama tego chciałaś, prawda? zapomniiałaś, że twoim największym marzeniem było zostać asystentką prywatnego detektywa?

— Och... — Odsunęła się od niego, ciągle jeszcze wściekła.

115

Al śmiał się, wystukując numer swojego biura. Miał nadzieję, że zostawiono mu wiadomość.

Ale wiadomości nie było, przynajmniej żadnej nadanej ostatnio. Westchnął rozczarowany i wyłączył telefon. Dochodziła wpół do drugiej nad ranem. Niech to szlag, sprawa na pewno była ważna.

Usłyszał pyknięcie korka od szampana i poszedł do bawialni.

Marla stawiała właśnie na stoliku do kawy wielką tacę z kurczęciem, szparagami i szampanem. Podniosła na niego wzrok.

— To twoje najlepsze ubranie? — spytała złośliwie.

Al zapomniał, że jest nagi. Odwrócił się na pięcie i chwilę później wrócił w czarnym szlafroku frotté, który kupiła mu Marla. A przynajmniej miał nadzieję, że kupiła go wyłącznie dla niego. Westchnął. Z Marlą nigdy nie wiadomo. Jednak zdawał sobie z tego sprawę, że spotykała się zawsze tylko z jednym mężczyzną. Cieszył się, że tym mężczyzną jest on.

Marla miała znów na sobie atłasową białą koszulkę nocną w stylu Jean Harlow. Ale szminka się starła, tak samo jak tusz do rzęs, który pozostawił srebrzyste smugi na żółtawych siniakach. Policzki miała ślicznie zaróżowione, a w zielonych oczach migotały isierki.

— Wyglądasz cudownie — powiedział, przyciągając ją do siebie.

— A ty nadal masz w ręku telefon — odparła, odsuwając się energicznie. — Szampana?

— Poproszę. — Wziął kieliszek i usiadł obok Marli na kanapie. — To, czego dowiedziałem się w Gainesville, jest zadziwiające — powiedział, wracając myślami do pracy.

Marla spojrzała na niego z ciekawością.

— Och, jakoś wyleciało mi to z głowy.

— No cóż, wcale mnie to nie dziwi. Jesteś kobietą prowadzącą tak podniecające życie... Chodzi mi o porwanie i mamę, która chce, byś wyszła za ortodontę.

Przewróciła oczami.

— No dobrze, więc co się tam wydarzyło?

— Wydaje się, że Bonnie Hoyt od dziecka oddawała się wszelkim występkom: alkohol, narkotyki...

— Seks i rock'n'roll — dokończyła Marla.

— Otóż to.

Podczas jedzenia Al opowiedziało burzliwej młodości Bonnie i o tym, jak w wieku siedemnastu lat uciekła, by zamieszkać z marynarzem z Pensacoli.

— Jimmy Victor — zgadła Marla. Obgryzała skrzydełko kurczaka, od czasu do czasu wycierając elegancko palce w papierowy ręcznik, oderwany od rolki, którą przyniosła z kuchni.

— Tak, to chyba był Jimmy. A jej rodzice — przywoici, bogobojni ludzie, którzy nigdy nie opuścili niedzielnego nabożeństwa w kościele baptystów i którzy odmawiali sobie wszystkiego, oszczędzając na spłatę hipoteki, bo najważniejsze było dla nich posiadanie domu na własność — usiłowali ją zatrzymać. Pojechali za nią i zginęli w katastrofie na autostradzie w drodze do Pensacoli.

— Nie żartuj. — Z wrażenia Marla przestała jeść.

— Słodka Bonnie odziedziczyła domek, sprzedała go, wzięła pieniądze i natychmiast wyjechała.

— O mój Boże. — Marla odłożyła skrzydełko, bo nagle zrobiło jej się niedobrze. Wypiła kilka łyków szampana. — Chyba nie myślisz, że...

A co ty myślisz?

— Ze zabiła swoich rodziców — powiedziała Marla i wypiła szampana dodna.

— Ładna historia, co?

To niewiarygodne, jak potrafi za każdym razem wykorzystać śmierć kogoś bliskiego. Po rodzicach dostała dom czy też pieniądze za dom; buicka po Jimmym; po dziewięćdziesięcioletnim Bossie Harmonie znów pieniądze, a przynajmniej sporą ich część. Następną rzeczą, jaką zaplanowała, było małżeństwo z Maclyerem. Już przedtem całkiem nieźle od niego ciągnęła, sądząc po ubraniach z Rodeo Drive i kosztownym brylantowym pierścieniu.

— Plus to, co Maclyer dał jej na „operację dziecka siostry” i na „bożonarodzeniową dobroczynność” dla nie istniejących ubogich dzieci — uzupełnił Al.

Oczy Marli zapłonęły złością. Przez chwilę intensywnie o czymś rozmyślała.

— Nasza Laurie-Bonnie to seryjna morderczyni oświadczyła w końcu z triumfem. — I zabija dla zysku.

Al uśmiechnął się do niej tym sarkastycznym uśmiechem, który unosił kącik jego ust i lewą brew. Na ogół doprowadzało ją to do białej gorączki, ale tym razem była zadowolona.

— Skarbie, nareszcie zrozumiałaś. Laurie Martin alias Bonnie Hoyt-Victor-Harmon jest złą kobietą.

Rozdział XXX

Zadzwonił telefon. Spojrzenie obu par oczu wpiło się w stół, na którym leżał aparat. Stół niemal drżał od tego dzwonienia. Potem oczy Ala popatrzyły pytająco na Marłę.

— Przyjmij ten telefon, ppie prywatny detektywie — pozwoliła.

— Marla, jest wpół do trzeciej — powiedział, drocząc się z nią. — Kto mógłby dzwonić o tej porze?

— Więc podnieś słuchawkę i dowiedz się — odparła tak, jakby trochę wcześniej sprawa przyjmowania telefonów nie stanowiła żadnego problemu. Słyszając, jak Al wzdycha znużony, dołała mu szampana.

— Nie, to na pewno może poczekać do jutra. Niech dzwonią w godzinach pracy.

Ale Marłę zżerała ciekawość.

Do diabła, Giraud, podnieś słuchawkę. To dzwonienie doprowadza mnie do szału.

Al pokiwał głową, bębniąc nonszalancko palcami o oparcie fotela.

- Och! — Marla nie wytrzymała i porwała słuchawkę. — Halo? Och, cześć, detektywie Bulworth. Czuję się doskonale, dziękuję, a pan? Chce pan rozmawiać z Alem? Obawiam

się, że w tej chwili nie może podejść. Taki prywatny detektyw jak on, dbający o wygląd, musi się wysypiać.

Śmiała się, gdy Al wyrwał jej telefon.

— Bulworth, nie słuchaj jej! — zawołał. — To po prostu kobieca zazdrość o to, że jestem przystojniejszy. — Posłał Marli złośliwe spojrzenie, a ona poderwała się i podeszła do okna, ukazując sporą partię wspaniałej nogi tam, gdzie atłasowa koszulka w stylu Harlow jakoś zadarła się do góry.

— Tak, mówiłem jej, że to musi być coś ważnego, jeśli dzwonisz o wpół do trzeciej rano, więc lepiej niech to naprawdę będzie ważne, Bulworth, przyjacielu, bo inaczej czeka mnie piekło.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu słuchał swojego rozmówcy.

— Czyli to nie to? — odezwał się wreszcie, a Marla okręciła się niecierpliwie na pięcie.

— Och, co za draństwo — powiedział Al zamyślony, a Marla podbiegła do niego. Stała obok, przyklejając ucho do jego ucha; próbowała usłyszeć, co mówi Bulworth.

— No tak, dziękuję za wiadomość. Oczywiście. Zadzwoń do ciebie. — Al wyłączył telefon i rozparł się na poduszkach, kierując wzrok ku sufitowi — kopulastemu i oddalonemu o cztery metry. Ojciec Marli nie na darmo był grubą rybą w handlu nieruchomościami.

— No więc? — Marla pochyliła się nad Alem, żądając wyjaśnień. — Co powiedział Bulworth?

— Och, nic takiego. Nic, co warto byłoby omawiać o wpół do trzeciej nad ranem. — Rozwścieczona, walnęła go z całej siły w żołądek, aż z gośnym „uff” zgiął się wpół. — Marla, opanuj się — jęknął, gdy wreszcie odzyskał oddech.

— Ty draniu, zasłużyłeś sobie na to — powiedziała spokojnie. — A teraz powtórz, co mówił Bulworth.

118

Al poddał się.

— Dostarczono mu z tankowca krew Bonnie-Laurie. Oddał ją do analizy. Nie pasuje do krwi znalezionej w lexusie.

Marla spodziewała się innej wiadomości. Spojrzała na Ala osłupiona.

— Więc czyja była tamta krew?

— Jimmy”ego Victora. To jego ciało leżało w kanionie. Został zastrzelony z pistoletu smith and weston, kaliber 40.

— Och... mój... Boże. — Marla opadła na kanapę. — Ale przecież Jimmy zginął dziesięć lat temu na Florydzie w pożarze przyczepy.

— No więc nie on tam zginął. — Al sięgnął do kieszeni szlaltoka po paczkę cameli i dopiero po chwili przypomniał sobie, że już nie pali.

— Jeżeli nie on, to kto?

Spojrzał na Marłę z irytacją.

— Marla, gdzie nabrałaś tego koszmarnego zwyczaju pytania o rzeczy oczywiste?

— Jeżeli to jest takie oczywiste, dlaczego od razu mi tego nie mówisz?

— Zrewanżowała mu się wściekłym spojrzeniem.

— Bo już znam odpowiedź.

Marla wstała i podeszła do Ala. Jej oczy były szeroko otwarte ze zdumienia.

— Znasz odpowiedź? Więc, do cholery, oświeć mnie.

— Ktoś inny — wyjaśnił, uchylając się ze śmiechem od ciosu pięścią w żołądek.

— Giraud, bądź poważny. Kto zginął w pożarze przyczepy? — naciskała Marla.

Al był nieubłagany.

— Jakiś pechowiec. Ciało było tak spalone, że nie udało się go zidentyfikować. Moim zdaniem, Bonnie sądziła, że to jej były mąż. Myliła się i dziesięć lat później Jimmy zjawił się tutaj. Prawdopodobnie po to, by ją szantażować.

Al wstał i zaczął spacerować po pokoju, kontynuując wywód.

— Steye mówił, że tego samego dnia miała pokazać dom jeszcze jednemu klientowi. To właśnie mógł być Jimmy.

— Boże! — Marla przerażona zasłoniła twarz rękami, bo zrozumiała, co musiało się wydarzyć. — Laurie go zabiła. Umówiła się z nim w tamtym domu na sprzedaż, bo ją szantażował. Wiedziała, że Steye Mallard przyjedzie o wpół do szóstej, by obejrzeć ten sam dom, więc łatwo było obciążyć go winą.

— Do licha, Marla, daj mi papierosa. — Al niecierpliwie bębnił palcami po stole.

Zignorowała jego żądanie. -

— A co się stało potem? — Zachowywała się jak dziecko domagające się bajki na dobranoc.

119

Wpychając ręce do kieszeni szlafroka, Al znów ruszył w wędrówkę po pokoju.

- Przypuszczam, że zastrzeliła go w samochodzie, a potem zawiozła do kanionu i tam pozbyła się ciała. Następnie upozorowała własne zniknięcie wiedząc, że podejrzanym zostanie Steye Mallard.

— Policja oczywiście uwierzyła, że Steye ją zamordował. Krew na siedzeniu samochodu, lduczyki w stacyjce, otwarte drzwiczki.., puste mieszkanie Laurie, wszystko to wskazywało na uprowadzenie i morderstwo perorowała w podnieceniu Marla, gdy nagle olśniła ją jakaś myśl, przerywając tok rozumowania. — Jeżeli tak to się odbyło, po co Steye próbował zabić Vickie?

— Nie zrobił tego. Tamtej nocy w domu Mallardów był ktoś inny. Marla, czy me przypominasz sobie niczego, co dotyczyłoby osoby, która cię zaatakowała? Skarbie, postaraj się. Wiem, że to trudne, ale wróć do tamtych chwil. Jak ci się wydaje, był wysoki, silny, mocno zbudowany? I zastanów się, czy to nie mogła być kobieta.

Marla wbiła wzrok w podłogę. Musiała wrócić do tamtych strasznych minut. Przygryzła ciągle jeszcze bolącą wargę.

— Troszkę wyższy ode mnie — Przedarła się przez mgłę szoku i przerażenia, jaka spowijała wtedy jej umysł. — Szczupły, ale raczej silny. I te oczy... — przerwała. — Pamiętam jego oczy. Widzę je wyraźnie. Jeszcze teraz mi się śnią.., ciemne, gorejące nienawiścią.., szalone... — Zadrżała. — Czułam, że jest czystym złem. — Otrząsnęła się ze wspomnień o tamtej okropnej nocy i popatrzyła na Ala ze zdumieniem, bo nagle dotarły do niej jego słowa. — Dlaczego pytasz, czy to mogła być kobieta?

— Po prostu zastanów się. Przecież to mogła być kobieta, prawda?

— Chcesz powiedzieć, że to była... Laurie?

— Tak. Moim zdaniem, gdy znaleziono w kanionie ciało Jimmy'ego, Laurie wystraszyła się, że policja może zacząć jej szukać. Postanowiła zabić Vickie tak, by podejrzenie padło na Steye'a. To Laurie zadzwoniła do Arrowhead z anonimową wiadomością, że Vickie coś grozi. Wiedziała, że Steye natychmiast przyjedzie do domu. Nie wiedziała tylko, że ty również się tam pojawisz, by pokrzyżować jej plany."

— O Boże! — Marla zerwała się na nogi i wykonała radosny taniec wokół pokoju. — To znaczy, że Steye'a Mallarda natychmiast wypuszczają z więzienia. - Tanecznym krokiem wróciła do Ala i zarzuciła mu ręce na szyję w uścisku, w który włożyła wszystkie swoje siły.

Uścisk był nad wyraz przyjemny, ale Al wiedział, że został nim obdarowany niesłusznie.

— Marla, uspokój się. — Zdjął jej ręce ze swojego karku. — Steye musi zostać tam, gdzie jest.

W więzieniu? Oskarżony o usiłowanie zabójstwa własnej żony i podejrzany o zamordowanie Laurie Martin? - Marla prychnęła z oburzenia. —

120

Giraud, zapominasz, że jestem prawniczką. Teraz, gdy wszystko się wyjaśniło, mogłabym go stamtąd wyciągnąć w mgnieniu oka.

— Oczywiście, że byś mogła. Ale nie zrobisz tego. Jeszcze nie teraz.

Marla zmarszczyła brwi nad płonącymi gniewem szarzielonymi oczami. — Musi tam zostać, dopóki nie znajdziemy Laurie.

Rozmyślała nad jego słowami, przygryzając skaleczoną wargę. Zawsze gryzła wargę, gdy nad czymś intensywnie myślała. Tak bardzo współczuła Steye'owi i Vickie, która nadal była w śpiączce. Myślała o ich dwóch córeczkach, mieszkających u siostry Vickie, o tym, jak musi im być ciężko, bo wierzą, że ich ojciec jest mordercą. Okrucieństwem byłoby im poinformować natychmiast o ostatnich odkryciach, ale rozumiała punkt widzenia Ala. Jeżeli nie udowodni, że Laurie Martin żyje, sprawa przeciw Steye'owi nie zostanie wycofana. Powiedziała z emfazą:

— Musimy znaleźć Laurie Martini sprowadzić ją tutaj. Żyjąca albo martwą.

Al się roześmiał. To była typowa kwestia detektywa z filmów kategorii B. Marla zignorowała jego wesołość.

— Więc co zrobimy, żeby udowodnić, że Laurie żyje? - spytała i dołała szampana.

Spróbowała go. Był ciepły. Skrzywiła się, wzięła kilka kostek lodu z wiaderka, i wrzuciła je do obu kieliszków. Szampan aż się zapienił w proteście. Marla wypita kolejny łyk. —

Trochę lepiej mruknęła, opadając na poduszki kanapy.

— Laurie Martin doskonale potrafi zmieniać wygląd, tożsamość, a nawet całą osobowość

— myślał głośno Al. Był bardzo skocentrowany. — Coś mi tu jednak nie pasuje. Dlaczego zostawiła samochód w tym bezludnym kanionie? Jak się stamtąd potem wydostała?

— Samochodem Jimmy'ego Victora oznajmiła po namyśle Marla.

— Chcesz powiedzieć, że Jimmy został zamordowany, a potem zaprowadził swój samochód do kanionu? Przemyśl to jeszcze raz, wzorcu prawniczej logiki.

Marla przemyślała sprawę, i to błyskawicznie.

— Jimmy na pewno przyjechał samochodem do domu, który Laurie miała na sprzedaż. - Jej oczy zapłonęły z podniecenia. — Jimmy jeździł sportowym modelem albo furgonetką kombi, czy czymś w tym rodzaju...

— A Laurie doczepiła swojego lexusa do niego i zaholowała do kanionu...

— Tam go porzuciła...

— I wróciła do miasta samochodem Jimmy”ego...

Al roześmiał się.

— Marla, czy już ci mówiłem, że masz nadzwyczajny prawniczy umysł, a poza tym jesteś nadzwyczaj piękna? I że kocham cię do szaleństwa nawet wtedy, gdy odciągasz mnie od pracy i nie pozwalasz zapalić? Już była w jego ramionach.

— Ale, kotku, pomyśl o wszystkim, na co ci pozwalam — szepnęła, muskając językiem jego rzęsy, usta, uszy...

— No tak — stwierdził z namysłem Al. — Pierwszą rzeczą jaką musimy sprawdzić, to marka samochodu Jimmy”ego. Czy jeździł własnym autem, czy wynajętym.

— Myślisz, że Lamie nadal go używa?

— Jeżeli ma choć trochę rozumu, już się go pozbyła. Ale nie każdy morderca jest aż tak przezorny. Lamie mogła się spodziewać, że nigdy nie odkryjemy jej intrygi.

Rozdział XXXI

Laurie Martin przechodziła zmianę osobowości.

Motel „Ognisty Ptak” w San Francisco był już szóstym — albo może nawet siódmym — w którym się zatrzymała po wyjeździe z Laguny. W każdym używała innego nazwiska. Męczyła ją ta nieustanna zmiana miejsc pobytu, ale nic nie mogła na to poradzić, póki nie zdobędzie nowych dokumentów. Właśnie o tym myślała, wsiadając dziś rano do pociągu, by pojechać do Los Angeles.

Mając nowe papiery, będzie mogła wynająć mieszkanie, chociaż nic tak eleganckiego jak jej piękny dom w Laguna Beach. Na to nie starczyłoby pieniędzy. Potem rozpocznie nowe życie. Oczywiście mogłaby wymyślić sobie nową tożsamość tutaj, w San Francisco, ale ponieważ właśnie w tym mieście chciała mieszkać, dokonałaby oszustwa zbyt blisko domu.

W pociągu zajęła miójsce koło okna, ale nie patrzyła na krajobrazy, gdy wielki, srebrny stratoliner pędził wzdłuż wybrzeża. Gotowała się ze złości, wspominając swojego luksusowego złotego lexusa, piękny dom i elegancką garderobę; wszystko, co musiała zostawić, żeby uwiarygodnić popełnione na niej „morderstwo”.

Doświadczenie nauczyło ją ostrożności, więc przynajmniej miała pieniądze, pięćdziesiąt tysięcy dolarów po Bossie Harmonie, które zawsze trzymała w zamrażalniku lodówki, schowane w opakowaniu lasagnii. Kobieta w jej położeniu nie może sobie pozwolić na

lekkomyślność. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie musiała uciekać, a wtedy trzeba mieć pieniądze pod ręką.

Zresztą i tak zamierzała uciec niedługo po poślubieniu Johna Maclyera. To małżeństwo nie miało trwać długo, najwyżej kilka tygodni, a potem znaleziono by go martwego. Cholera, byłoby to takie proste, ten głupi stary ramol nawet by się nie zorientował. Ufałby jej do samego końca. Już jej dał ponad dwadzieścia tysięcy, ale ona widziała jego wyciągi bankowe i polisy ubezpieczeniowe. Pod pretekstem, że chciałaby się przeprowadzić po ślubie do jakiegoś mniejszego i łatwiejszego w utrzymaniu domu, powiedzmy, do apartamentu z widokiem na ocean, przekonała go, by wystawił na sprzedaż swój wielki tudoriański dom. Wyceniono go na bardzo satysfakcjonującą sumę miliona dwustu tysięcy. Była już w połowie drogi do uzyskania jego zgody, żeby nowe mieszkanie zostało kupione na jej nazwisko. Gdyby wszystko poszło dobrze, Maclyer okazałby się o wiele bardziej lukratywną inwestycją niż Boss Ramion.

Ciemne oczy Lamie zwięziły się do szparek, a ręce zacisnęły w pięści. Gdyby nie nagle pojawienie się Jimmy'ego Victora, to wszystko należałoby już do niej. Byłaby milionerką a do tego właśnie od samego początku dążyła. Teraz musi zaczynać od nowa.

Podróż pociągiem okazała się długa i nudna. Laurie nie interesowały piękne widoki za oknami anito, że słońce świeci na niebie tak samo niebieskim jak ocean. Nie interesowali jej też współpasażerowie, zresztą większość itak chowała się za rozłożonymi gazetami czy książkami albo zajmowała swoimi nieznośnymi bachorami. Psy sprawiają mniej kłopotu. Dziecka nie mogłaby zostawić ze sprzątaczką w motelu. Poza tym dziecko kosztowałoby ją majątek, a Laurie wolala wydawać pieniądze na siebie. Te pięćdziesiąt tysięcy z zamrażarki miało stanowić załóżek nowej fortuny, którą musi zbudować, żeby się wznieść na następny poziom dorobytu. Na swój „poziom bazowy”, jak ta nazywała. Gdy pociąg wreszcie wjechał na peron w Los Angeles, Laurie od dawna stała w korytarzu i czekała, aż otworzą się drzwi. W głowie kotłowało jej się kilka pomysłów. Najważniejsze, żeby się jakoś urządziła.

Na stacji kupiła kilka miejscowych gazet i poszła do dworcowej kawiarni. Zamówiła mrożone cappuccino i pijąc je przez słomkę, przeglądała strony z nekrologami. Przeczytała je wszystkie bardzo uważnie i zapisała sobie dwa nazwiska. Gdy skończyła pić kawę, pojechała taksówką do ratusza, gdzie mieścił się Urząd Stanu Cywilnego. Wiedziała, że każdy może przejrzeć świadectwa zgonu.

Wiedziała również z doświadczenia, że bardzo często na świadectwach zgonu podawane są numery ubezpieczenia społecznego nieboszczyka. A bez takiego numeru nie mogłaby sobie otworzyć rachunku w banku, wynająć mieszkania, dostać prawa jazdy, założyć telefonu ani znaleźć pracy.

Miała szczęście. Na akcie zgonu Marii Joseph, czterdziestoletniej kobiety z Glendale, figurował numer ubezpieczenia.

Laurie starannie go zapisała, a potem spokojnie wyszła z urzędu. Nikt się za nią nie obejrzał. Była po prostu jeszcze jedną nie zwracającą uwagi kobietą o czarnych, krótko ostrzyżonych włosach, spadających nieporządnie czoło.

123

Dzięki okularom w grubych oprawkach i taniemu, ciemnemu

kostiumowi wyglądała jak tyle innych ubogich kobiet, na które nikt nie pa— h7y. Laurie przeszła kompletną metamorfozę. Nikt by w niej nie rozpoznał ładnej kalifornijskiej blondynki, jaką była jeszcze kilka tygodni temu. Gdy przechodziła obok policjantów, żołądek zaciskał jej się ze zdenerwowania, bo wiedziała, że szuka jej cała stanowa policja. Ale żaden z nich nie obdarzył jej nawet najbardziej obojętnym spojrzeniem. A wydaje wam się, że jesteście tacy mądrzy, pomyślała rozradowana. Ona była mądrzejsza od nich wszystkich razem wziętych. Może jedyny wyjątek stanowił Al Giraud i ta jego błyskotliwa przyjaciółka, profesorka prawa.

Marla w roli prawniczki, ubrana w czarną garsonkę, białą edwabną bluzkę, czarne pończochy i buty na średnich obcasach, właśnie wchodziła do ratusza. Umówiła się tu na rozmowę w sprawie jednego ze swoich studentów, którego zamierzała zarekomendować do pracy. Przynajmniej raz nie myślała ani o Alu, ani o tym, że jest asystentką prywatnego detektywa, ani też o Laurie Martin.

Wchodziła po schodach ze zmarszczonymi brwiami, układając sobie wystąpienie dotyczące swojego najlepszego studenta. Wiedziała, że ma on przed sobą wspaniałą przyszłość jako specjalista od prawa karnego. To był tego rodzaju człowiek: ostry, bystry, spostrzegawczy, umiejący naświetlić sprawę z wielu punktów widzenia, a także dobry Mówca. Będzie szedł prosto do celu jako prokurator, a potem, po paru latach, stanie się doskonałym obrońcą. Marla niezbyt go lubiła, ale podziwiała jego talent.

Właściwie nie zwróciła uwagi na brunetkę, z którą, się mijają. Jednak gdzieś, w jakimś zakamarku jej mózgu pojawiła się myśl, że w tej kobiecie jest coś znajomego. Obejrzała się.

Laurie też się obejrzała. Ich spojrzenia się spotkały. Za szklami okularów w czarnych oprawkach ciemne oczy Laurie wprost płonęły. Potem odwróciła się i zniknęła w tłumie. Marla przycisnęła ręką walące serce. Trzeba być prawdziwą wariatką, żeby tak się dać ponieść wyobraźni, pomyślała. Z trudem odzyskała panowanie nad sobą. Czasami zdarzają się takie niezwykle chwile, tłumaczyła sobie, człowiekowi wydaje się, że widział ducha. Oczy mordercy wypaliły piętno w jej mózgu. A ta biedna kobieta na pewno się dziwi, czemu tak się w nią wpatrywałam.

Co za szkoda, że nie wykończyłam jej tamtej nocy, myślała Laurie, ale Steye pojawił się wcześniej, niż oczekiwałam. Szkoda też, że nie wykończyłam Vickie, ale Marla mi przeszkodziła. A przecież tak doskonale to wszystko zaplanowała. Teraz sprawy się pogmatwały, a Laurie nie cierpiała bałaganu. Nauczyła się, że bałagan oznacza kłopoty. Miała na myśli zabagnioną sprawę z Jimmym. Wiedziała, że Jimmy któregoś dnia wróci, ale gdy tak się stało, dała się przyłapać zupełnie na to nie przygotowana.

Pierwszy wielki szok Laurie przeżyła sześć lat wcześniej, gdy stała przed płonąca przyczepą czekając, że Jimmy spali się tam na węgiel. Pomyślała wtedy, że musi wyglądać jak jego ulubione danie — kaczką po pekińsku, i roześmiała się na głos. Potem usłyszała szczekanie Clyde'a, obejrzała się, i zobaczyła wbite w siebie spojrzenie Jimmy'ego. Boże, to był wstrząs, zupełnie jakby uderzył w nią piorun. Jej pierwsząmyślą było:

„Kto do diabła pali się w tej przyczepie?“, a drugą że Jimmy teraz już wie, iż chciała go zabić.

Potem usłyszała krzyk agonii i ogarnęło ją przerażenie. Podbiegła trochę bliżej do przyczepy i w drzwiach zobaczyła otoczonego płomieniami mężczyznę. Palił się cały: włosy, ubranie, nawet skóra. Płonął najej oczach.

Jego krzyk przeszywał mglistą florydzką noc, a ona stała i patrzyła, jak umiera. Musiał przyjść do niej wcześniej, niż się umówili. Wszedł, bo drzwi zostawiła otwarte.

Prawdopodobnie trochę wypił i zasnął. Coś okropnego, pomyślała, gdy wyciągnął do niej ramiona, błagając o ratunek.

Odwróciła się, żeby zobaczyć, co robi Jimmy, go ale nie było. Zniknął na pierwszy dźwięk strażackich syren. Poczula ból w rękach, które poparzyła, gdy podpałała przyczepę i wybuchła butla z gazem. Teraz jej kochanek leżał na palących się schodkach jak kupka szmat. Szybko zastanowiła się, co robić, i podbiegła do niego.

Gdy przyjechał szeryf klęczała obok zmarłego, włosy i ręce miała czarne od sadzy iwołała: „Jimmy, Jimmy”...

Wyglądała okropnie. Szeryf pomógł jej wstać, zarzucił koc na plecy i zaprowadził do sanitariuszy.

Próbowałam pomóc, chciałam uratować męża — powtarzała słabym głosem, wyciągając przed siebie poparzone ręce, żeby dobrze je widział. — Ale było za gorąco, o wiele za gorąco, nie mogłam. — Jeszcze ciągle łkała, gdy zanosili jądo karetki. Mały czarny piesek wskoczył tam za nią. Chcieli go wyrzucić, ale rozpaczliwie go trzymała.

— Clyde jedzie ze mną— szeptała, chowając twarz w jego miękkiej sierści. Pozwolili jej zatrzymać psa.

Potem okazało się, że oddała Jimmy'emu przysługę. Groził mu sąd wojskowy, bo został oskarżony o zgwałcenie miejscowej dziewczyny. Lekarz wojskowy stwierdził, że ręce denata są za bardzo spalone, by można było zdjąć odciski palców, ale itak dzięki zeznaniu żony wiadomo, że to Jimmy Victor. Teraz, gdy oficjalnie był martwy, oskarżenie siłąrzeczy upadło. A Jimmy roztopił się jak śnieg po wiosennej odwilży.

Laurie знаła swojego męża. Był nikczemny, lubił się mścić. Jeszcze nie powiedział ostatniego słowa. Któregoś dnia ją odnajdzie. I wtedy zabije.

Dlatego właśnie wpadła na pomysł, by zmienić tożsamość, wygląd, całą osobowość i zacząć od nowa, tysiące kilometrów stamtąd, jako ktoś zupełnie inny.

Podczas pogrzebu, gdy stała obok otwartego grobu z Clydem i kilkoma kolegami Jimmy'ego z wojska, zaczęła planować nowe życie jako inna kobieta i może z nowym, bogatym mężem. Pomyślała, że najlepszy byłby ktoś starszy; takim łatwiej manipulować i z całą pewnością jest mniej natarczywy niż młody ogier. Najpierw jednak musi się stąd wydostać.

Nie miała wiele do pakowania, tylko trochę rzeczy, jakie kupiła sobie za pieniądze z ubezpieczenia. Oczywiście zabierała ze sobą Clyde'a. Odjechała już następnego ranka, skoro świt. W buicku śpiewała, od czasu do czasu głaaskała Clyde'a, który wpatrywał się w nią z uwielbieniem. Lubiła psy, bo w przeciwieństwie do ludzi nie sprawiały kłopotów. Wypłakała wiadra fez, gdy zdechł jej pierwszy terier, ale po śmierci mamy i taty nie przelała ani jednej. A to była zupełnie inna historia.

Rozdział XXXIII

Bonnie Hoyt nienawidziła życia w tym małym, tandetnym domku zjadanym przez termity, na palonej bezlitosnym słońcem Florydzie. Jediną ochroną przed upałem był nędzny okienny klimatyzator, kupiony na wyprzedaży u Searsa, i podsufitowe wentylatory, zainstalowane przez tatę. Wieczorem kładła się nago na łóżku pozwalając, by wentylator owiewał jej spocone ciało, i oglądała programy na swoim dwunastocalowym czarno-białym telewizorze. Nastawiała go na cały regulator, żeby dokuczyć rodzicom za to, że nie są bogaci i przez nich musi tu mieszkać. Jej pierwszy piesek o imieniu Clyde rozciągał się bezwładnie na terakotowej podłodze. Upał pozbawiał go całej energii. Było za gorąco nawet na to, by zawiązywać mu czerwoną apaszkę.

W kinie widziała film „Bonnie i Clyde” i pełna zarazem zazdrości i podziwu dla tej odważnej, złej Bomue, zmieniła imię swojego teriera na Clyde. Nosił czerwoną apaszkę jak prawdziwy Clyde. Bonnie wyobrażała sobie pieska jako partnera przy dokonywanych skokach: okradaniu banków, strzelaniu do agentów FBI...

Jej fantazje były dzikie i gwałtowne, ale skrywała to pod maskę spokoju, w jaką oblekała twarz zwłaszcza wtedy, gdy rodzice ciągnęli ją w niedzielę do kościoła baptystów. Ojciec i matka uczęszczali do kościoła regularnie i odkąd pamiętała, wpajali jej kościelne nauki. A Bonnie od tego mdliło. O Bogu i jego dziełach nauczyła się znacznie więcej, niżby chciała. Jakoś bardziej odpowiadała jej idea szatana. Sądziła, że u niego znajdzie przynajmniej choć trochę rozrywki.

Jako nastolatka przeżyła coś, co miało decydujący wpływ na jej dalsze życie. Coś tak przerażającego i potężnego, że nigdy o tym nikomu nie powiedziała, nawet Jimmy'emu. Ona i Jennifer Vanderhoyen siedziały przy tym samym stoliku podczas szkolnej przerwy na lunch. Jennifer miała wielkie niebieskie oczy i gęste jasne włosy, zaplecione w warkocz opadający poniżej pasa. Zawsze była ładnie ubrana. Bonnie nienawidziła Jennifer, ale Jennifer była głupia, słaba, i łatwo ulegała wpływom, podczas gdy ona, Bonnie Hoyt, była silna. Jennifer imponowała jej zaradność, a Bonnie bezlitośnie ją poniewierała.

Nadciągała zima. Właśnie w tym tygodniu włączono w szkole ogrzewanie i woźny był zajęty ładowaniem opału do starego, żelaznego pieca.

— Chodźmy obejrzyć kotłownię — odezwała się obojętnie do Jennifer. Ogień zawsze ją fascynował.

Jennifer nie od razu posłuchała. Nie chciała brudzić sobie ubrania. Ale Bonnie chwyciła ją za ramię i zaciągnęła do kotłowni. Wiedziała, że o tej porze woźny na pewno poszedł na lunch.

Było tam gorąco, brudno i duszno od dymu. Bonnie wzięła wielkie żelazne szczypce i otworzyła drzwiczki pieca. Ukazały się wysokie płomienie. Podniecona, powiedziała Jennifer, by stanęła bliżej, to poczuje ciepło. Gdy już obie stały przed paleniskiem, nagle, nie myśląc o tym, co robi, wepchnęła Jennifer prosto w ogień i zatrzasnęła drzwiczki pieca. Potem wybiegła z kotłowni.

Dziesięć minut później, gdy serce przestało jej walić jak oszalałe, zaczęła się rozpytywać, czy ktoś nie widział jej przyjaciółki. A gdy Jennifer nie przyszła na popołudniowe lekcje, wszyscy zaczęli się martwić i wszczęto poszukiwania. Po paru godzinach wezwano policję.

Gdy znaleziono w piecu spalone resztki ciała Jennifer, czarny woźny został aresztowany i oskarżony o morderstwo.

Podczas procesu Bonnie powołano na świadka. Cieszyła się kardą mmutą w której skupiała na sobie uwagę zebranych w sali sądowej.

127

Powiedziała, że jadły razem z Jennifer lunch, a potem poszły się przejść. Bonnie zostawiła ją na chwilę samą, gdyż musiała iść do łazienki, a potem już nigdy nie zobaczyła koleżanki. W tym momencie głośno się rozszlochała i delikatnie wyprowadzono ją z sali. W oczach wielu osób również pojawiły się łzy.

Woźny został uznany winnym i skazano go na śmierć. Pięć lat później, po licznych przegranych apelacjach, poszedł na krzesło elektryczne.

Bonnie śledziła wydarzenia na swoim dwunastocalowym telewizorze, a gdy uznano, że woźny jest winny, wybuchnęła głośnym śmiechem. Policjanci okazali się takimi zadufanymi w sobie głupcami. Wystarczy, że wskaże im się jakiś prawdopodobny trop, na pewno nim podążą. Tej zasady Bonnie trzymała się aż do dziś. Skoro Laurie Martin zaginęła, winą za to należy obciążyć Stycy'a Mallarda.

Nigdy nic myślała o sobie jako o kimś złym z natury. Zabicie Jennifer sprawiło, że ogarnęło ją poczucie mocy, wyższości i przesadzonej wiary we własne siły. Była silniejsza niż inni ludzie. Następnie morderstwa podniecały ją niemal jak dobry seks, umacniały w przekonaniu, że ma wielką władzę. Była panią samej siebie, jak powiedziała swoim głupim rodzicom, gdy w wieku siedemnastu lat opuszczała dom, by zamieszkać z Jimmym Victorem w Panama City. I dodała: „I nic możecie zrobić nic, żeby mnie tutaj zatrzymać”.

Rozdział XXXIV

Jimmy był inny niż jej nastoletni koledzy. Starszy, seksowny, doświadczony. Miał nieodparty urok. Niestety, jak przekonała się później, taki sam umk wywierał na mnóstwie innych kobiet.

Ojciec próbował powstrzymać ją przed wyjazdem. Wiedziała, że tak będzie i wszystko sobie zaplanowała. Potrzebowała pieniędzy, bo Jimmy był bez grosza. I chciała raz na zawsze uwolnić się od rodziców. Dowiedziała się, jak zepsuć hamulce. Katastrofa okazała się jeszcze efektowniejsza, niż można było oczekiwać. Pokazywano ją we wszystkich dziennikach telewizyjnych. Samochód wpadł na barierkę, kilka razy przeokoziółkował i został zgnieciony na placek, tak samo jak jej mama i tato.

Podczas pogrzebu rodziców kościół tłumnie wypełnili członkowie kongregacji, którzy znali Hoytów przez całe życie, sąsiedzi, przyjaciele. Ich pełne wrogości i skrywanej niechęci spojrzenia niemal parzyły Bonnie w kark. Ale łatwo się z tego otrząsnęła, odebrała skromne dziedzictwo - tandetny domek, który natychmiast sprzedała, i kilka tysięcy dolarów z konta bankowego.

Pojechali z Jimmym na Bahamy i spędzili tam parę tygodni. Kupili sobie nowe ubrania, grali w kasynach. To był najlepszy czas w ich życiu. Bonnie nigdy już nie wróciła do Gainesville.

Jimmy wynajął przyczepę mieszkalną w pobliżu bazy marynarki, ale rzadko tam bywał. Wydawało się, że ciągle ma służbę i Bonnie litowała się, że musi tak ciężko pracować. Przyczepa stała nie na kempingu, lecz na oddalonej od wszystkiego leśnej polance. To się Bonnie nie podobało. Czula się tu bardzo osamotnioną mimo że był przy niej Clyde. Okropnie się nudziła. Jeździła buickiem po zakupy, za jedyne towarzystwo mając swojego czarnego pieska w czerwonej apaszcze. Ludzie zatrzymywali się i machali do niej i do pieska, ale nie zaprzyjaźniła się z nikim. A Jimmy nie był dobrym mężem. Dowiedziała się całej prawdy, gdy któregoś dnia weszła do baru w Pensacola i wdała się w rozmowę z barmanką, kobietą w jej wieku, Vereną Noble.

— Znam tu wszystkich, to dlaczego ciebie jeszcze nie widziałam? — zdziwiła się Verena, podając Bonnie mrożony napój.

— Niedawno przyjechałam. — Bonnie spojrzała ponuro na barmankę. Była ładna i zgrabna, wyglądała seksownie w głęboko wydekoltowanej sukience, która obciskałajajak druga skóra. — Znasz faceta, który nazywa się Jimmy yictor? — spytała, gdy już wymieniły parę uprzejmości.

Verena przewróciła oczami.

— No pewnie. Przychodzi tu prawie każdego wieczoru, a kobiety zmienia najrzadziej raz na tydzień. Widać, że je lubi.

Z piersi Bonnie wyrwał się jakiś pisk.

— Hej, chyba nie powiedziałam nic złego? — zmartwiła się Verena. — To nie jest przypadkiem twój facet, co?

Bonnie nie odpowiedziała. Wyszła z baru, kupiła sobie czarną sukienkę, wydekoltowaną tak samo jak sukienka Vcreny, i poszła potaćńczyć. Tę noc spędziła z poderwanym dopiero co mężczyzną i było jej dobrze. Gdy raz się czegoś doświadczy, potem jest łatwiej, pomyślała. Bez trudu znajdowała następnych mężczyzn. Wszyscy byli bardzo chętni, gonili za nią jak napalone psy.

Teraz, siedząc w pociągu jadącym napółnoc, z powrotem do San Francisco, Lawie rozbawiło to adekwatne porównanie. Jej kochanek był jak pies i zmarł jak pies. Po pogrzebie „Jimmy”ego” opuściła Florydę i pojechała buickiem na zachód tak daleko, aż wyczerpała się jej benzyna.

Znalazła się w małym miasteczku w Południowej Karolinie. Wstąpiła do drogerii i kupiła miedzianą farbę do włosów, potem weszła do McDonalda, gdzie zamówiła Big Maca dla siebie i zwykły hamburger dla Clyde’a. Zjedli je, siedząc na przednich fotelach buicka, a potem pojechali do motelu. Następnego dnia rano Bonnie wyszła ze swojego pokoju z miedzianorudą fryzurą i ruszyła w dalszą drogę, kierując się do Kalifornii.

Rozdział XXXV

W Falcon City w Teksasie w toalecie restauracji znalazła torebkę Laurie Martin. Przejrzalą ją i spostrzegła kartę ubezpieczenia społecznego. Stłubiła w sobie pokusę wzięcia siedemdziesięciu dolarów; w tym małym mieście byłoby to zbyt ryzykowne. Poza tym numer ubezpieczenia przyda jej się później. Starannie go zapisała i dopiero potem oddała torebkę kelnerce.

Sprzedała buicka, bo wiedziała, że Jimmy łatwo by go wyszedł. Potem wykonała sprytnie posunięcie, przyłączając się do miejscowej kongregacji, gdzie szybko wypatrzyła osoby mające pieniądze.

Wydawało jej się zabawne, że kościół jest najlepszym miejscem na zarzucenie wędki.

Pan ułatwiał jej sprawę, myślała, ale jak radować się z tego będzie szatan.

Boss Harmon jeździł w wózku inwalidzkim. Nie na darmo nazywano go „Bossem”. W swoim czasie założył przynoszący ładne zyski salon samochodowy, ten sam, w którym sprzedała buicka. Teraz prowadził go jego syn. Dzięki seksownemu wyglądowi — w obcisłej czarnej sukience i w pantoflach na wysokich obcasach, co podpatrzyła u Vereny — dostała pracę kelnerki w miejscowej restauracji specjalizującej się w stekach.

Boss jadał tam regularnie. Z czasem, dzięki codzielnym spotkaniom w kościele, gdzie nosiła skromniejsze ubranie, utorowała sobie drogę do jego serca.

Przy każdym spotkaniu krzątała się wokół Bossa, rozmawiała z nim, uważnie słuchała jego gładzenia, klepała go serdecznie po starczej dłoni, gładziła po przerzedzonych, siwych włosach, zapalała mu papierosy i nigdy nie wypominała okropnego kaszlu, co z upodobaniem robili jego syn i synowa. Nawet wycierała mu usta serwetką, gdy przysypiał przy kolacji.

Boss pokornie oświadczył, że nie może już bez niej żyć. Ona roześmiała się i powiedziała: skoro tak, to może byśmy się pobrali, wtedy nie będzie musiał żyć bez niej. „Bo inaczej - dodała — może zechcę ruszyć w kolejną podróż!”.

Pobrali się w trzy tygodnie po tej rozmowie. Ona miała na sobie białą jedwabną suknię i wysokie białe szpilki, kupione w drogim butik w San Antonio. Zawsze marzyła o tradycyjnym ślubie. Pod długim welonem jej rude włosy, opadające na nagie ramiona,

wydawały się jeszcze bardziej rude. Niosła bukiet róż w prawie idealnie takim samym odcieniu miedzi. To był jej dzień, nawet jeśli nie przybyli żadni goście, a pan młody ubrał się w stary smoking, który zwisał z jego chudego ciała, a poza tym musiał być wieziony na wózku przez pielęgniarkę, Frankiego Vargasa, którego zwolnił zaraz po miodowym miesiącu.

Miesiąc miodowy. Co to była za farsa! Ona, Boss Harmon i Frankie Vargas w Nowym Orleanie. Boss nie miał ochoty na nic prócz oglądania telewizji w ich luksusowym apartamencie w hotelu Windsor Court. Mogłaby tam mieszkać do końca życia. Kochała luksus, dobrą obsługę, te wszystkie „Dzień dobry, madame” i „Czy mogę pani jakoś pomóc, madame?”. Wciąż dnia szła na miasto i wydawała pieniądze Bossa na nową garderobę. Wieczorami karmiła swojego starego młodzieńca przecieraną zupką (jego zęby nie potrafiły już dać sobie rady ze stekami). Uszczęśliwiała go potem ustami lub ręką, bo tylko tyle mógł mieć, ona zresztą też. Niemal przy tym wymiotowała, ale cały czas starała się myśleć, że przynajmniej dostaje coś w zamian. Dawała sobie całkiem dobrze radę. Sam był sobie winien, że nie może już szczytować, bo przecież robiła, co mogła.

Potem Frankie kapał Bossa i kładł do łóżka i wtedy wychodzili razem na miasto. Z radości robiło im się czerwono przed oczami, tak czerwono, jak czerwona była jej głowa, żartował Frankie. Zresztą, w łóżku, przekonał się, że Bonnie nie jest z natury rudowłosa. Oczywiście po tym epizodzie Frankie musiał odejść. Bonnie nie życzyła sobie żadnych plotek po powrocie do Falcon City. I tak miała już dość kłopotów z Loretą i Beau. Nie zamierzała dostarczać im dodatkowej amunicji. Zaczęła wszystkim mówić, że sama się zajmie mężem.

— Tego właśnie Pan oczekuje od dobrej żony — wyjaśniła uroczyście pastorowi w pierwszą niedzielę po powrocie.

Nie zrezygnowała również z pracy w restauracji. „Nie będziecie mogli utrzymywać, że wyszłam za Bossa dla pieniędzy” — powiedziała Beau i Loretce. Prawda była taka, że już planowała, żeby zapewnić sobie alibi. Na razie miała nowe nazwisko i nową tożsamość, dzięki czemu była bezpieczna przed Jimmym. Nigdy jej nie znajdzie. Rzucenie palącego się papierosa na kołdrę, gdy stary mężczyzna śpi, nie stanowi żadnego problemu. Potem natychmiast pojechała do restauracji jego starym cadillakiem ze złotą kratką na chłodnicy i numerem rejestracyjnym „Boss 1”.

Była zdenerwowana, krążyła jak tygrys w klatce, mając nadzieję, że jej plan się powiedzie.

131

Martwiła się, że nie może sama wszystkiego dopilnować na miejscu. Nalała sobie filiżankę kawy. Była za gorąca i parzyła gardło, ale poczuła się lepiej. Wydawało jej się, że od ciężaru oczekiwania zdrewniały jej pierś, żołądek, serce.

Na pogrzebie Bossa stała przy grobie osłonięta czarnym welonem, a na trumnie położyła bukiet rdzawych niż. Po ceremonii powiedziała ze smutnym uśmiechem prawnikowi, który miał się zająć sprawami majątkowymi: „Czuję się tak, jakbym też umarła, a oni ciągle jeszcze do mnie strzelają”. Miała na myśli oskarżenia, które puścili w obieg syn Bossa i jego żona. Twierdzili, że Boss został zamordowany i usiłovali podważyć

testament, który przekazywał wdowie połowę pieniędzy ich ojca i jego dom. Mogła w nim mieszkać do końca życia, gdyby sobie tego życzyła. Jeżeli nie, dom przypadnie synowi. Nie było to aż tyle, ile Bonnie się spodziewała, więc ogarnęła ją złość. Zapłaciła temu obrzydliwemu stamowi zawiązką. Powinien był lepiej ją zabezpieczyć. Potem ta dziwka Loretta, taka wyniosła i pyszna, weszła na ring jak bokser wagi ciężkiej grożąc, że zleci szczegółowe śledztwo w sprawie śmierci Bossa, a także przeszłości Bonnie. Pamiętając o spalonej przyczepie i pierwszym „zmarłym mężu”, Bonnie wiedziała, że nie może na to pozwolić. Odnieśli zwycięstwo. Bonnie musiała się pogodzić ze stratą. Dostało jej się tylko dwieście tysięcy dolarów i cadillac. Spakowała wszystko, co mogła, załadowała do samochodu walizki i tyle wartościowych przedmiotów, ile udało jej się zgarnąć w tajemnicy przed sokolooką Loretta, zawołała Clyde’a i wolno ruszyła zwirowanym podjazdem. Ale Clyde nie przybiegł. Wołała go, gwizdała jak zawsze, ale nigdzie go nie było. Obeszła dom, potem ogród, basen. Z jakimś okropnym przecuciem pobiegła zwirowanym podjazdem. Zobaczyła go, leżącego przy bramie. Był taki nieruchomy. Od razu wiedziała, że nie żyje. Opadła na kolana i długo wpatrywała się w jego zakrwawione, zgniecione ciało. Potem zaczęła krzyczeć. Krzyczała jak opętana, chyba poruszyła całe piekło. Gdy trochę się uspokoiła, łkając podniosła Clyde’a, owinęła go kaszmirowym swetrem, za który zapłaciła pięćset dolarów, i delikatnie złożyła na tylnym siedzeniu samochodu. Ze złamanym sercemjechała i szlochała. Przeklinała Beau, bo wiedziała, że to on zrobił. Gnała do jego domu. Chciała go zabić, jego i tę jego zimną żonę. — Oko za oko — oznajmił z zadowoleniem Beau, gdy rzucała mu w twarz oskarżenia o zamordowanie Clyde’a. Ale w oczach Bonnie gorzała taka nienawiść, że z lękiem coihął się przed nią. Bonnie widziała jego strach, mogła go zabić na miejscu. Ale wtedy straciłaby wszystko. Tak więc z dwustoma tysiącami dolarów w kieszeni, z nową blond fryzurą, nową garderobą i dzięki prawdziwej Laurie Martin z nowym numeubezpieczenia, a także z nową tożsamością przyjechała do Kalifornii. Nie mogła ryzykować, że gdy popełni nowe morderstwo, zostanie zidentyfikowanajako pani Bossowa Harmon.

Rozdział XXXVI

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła w Kalifornii, było kupno domu, nowego i niepokalanie czystego. Umieblowała go we florydzkim, kwiatowym stylu i kolorach, które zawsze podziwiała w magazynach, gdy byłajeszcze biednym dzieckiem: białe dywany, białe kanapy, różowe zasłony i draperie, różowe i turkusowe dodatki. I wielki kolorowy telewizor. To był dom spełniający wszystkie jej dawne fantazje. Pokochała go. Sprzedała cadillaca i wynajęła lexusa. Czuła się jak ryba w wodzie. Była mądra, ładna, opalona dzięki solarium. Paznokcie miała starannie wymanikiurowane, włosy lśniące.

Znalazła odpowiedni kościół, do którego chodzili najbogatsi ludzie z okolicy, i przystąpiła do kongregacji.

Nienawidziła ubierać się jak stara panna, ale wiedziała, że w kościele posłuży to jej interesom. Aby ograniczyć nieprzyjemne odczucia, nosiła seksownąbieliznę. Chciała pamiętać, kim naprawdę jest i co ma do zaoferowania Tym razem zdobędzie największą wygraną. Zamierzała zostać milionerką. John Maclyer okazał się znakomitym środkiem wiodącym do celu.

Zdobyła licencję pośrednika handlu nieruchomościami i pracę. Była teraz Laurie Martin, kobietą interesów. Miała własny dom, piękny samochód, eleganckie ubrania. John Maclyer jadł jej z ręki.

Drugi największy wstrząs w swoim życiu przeżyła, gdy pojawił się Jimmy i zrujnował wszystko, co z takim uporem budowała.

Jimmy yictor mieszkał w Pacific Beach, rajy surferów i plażowych włóczęgów. Sam zresztą stał się właśnie kimś takim. Za dużo pił, brał udział w zbyt wielu przyjęciach, a pracował tak mało, jak to było możliwe. LaurieBonnie znalazł przez czysty przypadek. Ale był to przypadek, dzięki któremu mógł zdobyć trochę gotówki. Tak rozpaczliwie jej potrzebował.

Powiedział, że przeglądał kiedyś gazetę i w dziale poświęconym nieruchomościom zobaczył jej zdjęcie, wieńczące pół strony ofert. W pierwszej chwili jego wzrok przesunął się obojętnie po fotografii, ale potem coś w tej uśmiechniętej blondynce pobudziło jego pamięć. Uważnie przyjrzał się twarzy, zbadał każdy rys. To była Bonnie! Uśmiechnął się z nieklamany zadowoleniem. Jego statek wreszcie wpłynął do portu. A nazwa statku brzmiała „Lawje Martin”.

Laurie aż podskoczyła, gdy zniemacka w słuchawce rozległ się jego głos:

Cześć, Bonnie, pamiętasz mnie?

Wiedziała, że usłyszał, jak w szoku wciasa powietrze, potem powoli je wypuszcza.

Wyczuł także skrywane drżenie w jej głosie, gdy rzuciła;

— Kto mówi? Chyba wybrał pan zły numer.

— Chcesz, żebym osobiście przyszedł i sprawdził? - spytał z szerokim uśmiechem.

Chwilę milczała, a potem zaproponowała:

— Spotkajmy się wieczorem, o ósmej, na parkingu Vona przy North Shore Drive. —

Podala mu wskazówki, jak tam dojechać, a potem spytała:

Jaki masz samochód?

— Starego winnebago — odparł. — Nie przegapisz go. Ma pomarańczowe paski po obu stronach.

I nie przegapiła. Aż rozbolały ją oczy, gdy zobaczyła te pomarańczowe pasy wśród wspaniałych mercedesów i fordów należących do ludzi z eleganckiego przedmieścia.

Gdy podchodziła do niego, aż się gotowała ze złości.

— Widzę, że dobrze ci się powodzi—powiedział Jimmy, otwierając jej drzwiczki. —

Wjasnych włosach jest ci do twarzy.

— Zamknij się — ofbknęła go. — Powiedz, czego chcesz. — Jej głos brzmiał piskliwie.

Wiedziała, co musi zrobić i miała w torebce smith and wessona 40. Chciała go zabić już,

natychmiast, i raz na zawsze się go pozbyć, ale musiała jeszcze zaczekać. Nie wiedziała, co planuje Jimmy, musiała być przygotowana na wszystko.

— A jak myślisz? Czego mogę chcieć od kobiety, która usiłowała mnie zamordować? Od kobiety, która przez pomyłkę zamiast mnie zabiła swojego kochanka? A potem pochowała go w moim grobie.

W jego głosie brzmiały te same stalowe nutki, które знаła z przeszłości. Wiedziała, czego Jimmy chce.

— Ile? — spytała.

Co powiesz na to, żebyśmy zaczęli od pięćdziesięciu tysięcy? Pięćdziesiąt? Chyba oszalałeś. Skąd mam tyle wziąć?

— Chcesz grać twardo? Doskonale. Więc sto tysięcy. — Uśmiechnął się złośliwie. — To moja ostatnia propozycja. J nie będę się targował. Albo się zgodzisz, albo...

Nie musiał jej mówić, co się stanie, jeżeli odmówi. Z wściekłości żołądek zacisnął jej się w supeł.

— Jimmy, zawsze byłeś łajdakiem — powiedziała, zmuszając się do spokojnego tonu. - Nie zdobędę takiej sumy od razu, ale powiem ci, co zrobimy. Zbiorę, ile będę mogła, i dam ci jutro. Potraktuj to jako pierwszą ratę. Zeby zdobyć resztę pieniędzy, muszę sprzedać parę rzeczy: akcje, biżuterię. Zostanę bez grosza - ostrzegła — więc nie sądź, że jeszcze coś ze mnie wyciągniesz.

134

Słyszając to, tylko się roześmiał. Szantaż był jak zawsze otwarte drzwi i oboje o tym wiedzieli.

Wysiadła z winnebago.

— Spotkamy się jutro o czwartej na 1203 Cielo Drive w Lagunie. Znajdziesz adres na planie miasta. Będę tam na ciebie czekała.

Zgodnie z zapowiedzią czekała. Z wycelowanym pistoletem. Przewidziała półtorej godziny na zajęcie się Jimmym i powrót. Potem była umówiona ze Steyem. Doskonale wyliczyła czas. Policja uwierzy, że ją porwał. Znów będzie musiała zmienić nazwisko i tożsamość. Strasznie tego żałowała. Straci nowy dom, oszczędności. Ale wiedziała, że po jakimś czasie, może po kilku miesiącach albo latach, ciało Jimmy'ego zostanie znalezione. Zidentyfikują go na podstawie DNA, a wtedy ślad poprowadzi do niej. Nie mogła na to pozwolić.

Zastrzeliła Jimmy'ego na tylnym siedzeniu lexusa w chwili, gdy przeliczał plik banknotów wart pięćdziesiąt tysięcy, który wyciągnęła z mrożonego opakowania lasagnii. Gdy strzeliła, Jimmy spojrzał na nią z ogromnym zdziwieniem, potem popatrzył na tryskającą piersi krew. „Dziwka!” — warknął i krew bluznęła mu z ust.

Włożyła pieniądze z powrotem do torebki razem ze smith and wessonem, zawinęła ciało Jimmy'ego w koc i położyła na podłodze, żeby było niewidoczne z zewnątrz. Przyczepiła lexusa do winnebago i pojechała do odległego kanionu.

Tam szybko go nie znajdą.

Na miejscu przebrała się w czarny dres i sportowe buty. Obwiązała ciało liną i pociągnęła je na krawędź kanionu. Nie była pewna, czy spadnie wystarczająco nisko, jeżeli tylko

przepchnieje przez krawędź, więc ruszyła w dół, ciągnąc ciało i przepychając je wśród skał. Klęła, dyszała, jęczała, ale w końcu dotarła do odpowiedniej półki skalnej. Poczekwała chwilę, aż odzyska oddech. Uniosła ciało i z całej siły zepchnęła je w dół. Jimmy yictor, objając się o skały, potoczył się po zboczu, aż wreszcie zniknął w parowie. W końcu się od niego uwolniła.

Powrotna wspinaczka zupełnie ją wyczerpała. Mimo to musiała przejechać jeszcze kilka kilometrów po krętych dmgach, żeby nie zostawiać samochodu obok ciała, apotem z trudem odłączyła linkę holowniczą. Gdy ustawiła lexusa tak, jak chciała, z drzwiczkami otwartymi na oścież i kluczykami w stacyjce, spływała potem. Starła się wyczyścić tylne siedzenie z kiwi, ale plamy zostały. Bardzo ją to niepokoiło. Miała nadzieję, że policja unia to za jej krew, chociaż przy tej całej nowej technice nie mogła być pewna. Wyjechała na autostradę i skierowała się do San Francisco. Porzuci winnebago w jakiejś gorszej dzielnicy, zostawiając kluczyki w stacyjce. Wiedziała, że szybko zostanie skradziony.

Rozdział XXXVII

Laurie Martin znów musiała mieszkać w tanich motelach. Zdążyła już prawie zapomnieć ich przykry zapach: mieszankę odświeżacza powietrza, zastałego potu i chińskiego jedzenia na wynos. Zapomniała, jak cienkie sątj materace i jak śliskie prześcieradła z tworzyw sztucznych i że trzy- basię myć w ciemnawych, małych łazienkach. Coraz mocniej nienawidziła Jimmy”ego, bo przez niego musiała się zatrzymywać w takich miejscach.

Przefarbowała włosy na czarno. Teraz stała przed poplamionym lustrem w małej łazience, ścinając je bezlitośnie nożyczkami do paznokci. Po twarzy spływały jej słone, gorzkie łzy.

— Spójrz, na co ci przyszło — szeptała, patrząc na swoją nową brzydką twarz. — Byłaś taka piękna i tyle osiągnęłaś. Miałas już prawie wszystko.

Oczekiwanie, aż Steye Mallard zostanie wreszcie aresztowany, ciągnęło się w nieskończoność. Zastanawiała się, czy nie popełniła jakiegoś błędu. Tak się zamartwiała, że zaczęła chudnąć. Z trudem udawało jej się coś przelknąć. Żołądek sam się zaciskał na myśl o jedzeniu, ale butelka tcquili łagodnie prześlizgiwała się przez gardło. Na przekąskę zjadała kartoflane chipsy i precle. Przy takich posiłkach oglądała telewizję itak samo jak yickie Mallard skakała z kanałii na kanał, szukając wiadomości.

Sprawą zajęli się Al Giraud i jego olśniewająca asystentka. Widziała ich w telewizji, czytała o nich w brukowcach. Giraud był zbyt inteligenty i Laurie zaczynała się niepokoić. Opuszczało ją przeświadczenie, że zawsze ma rację i jest najmądxzejsza. Właśnie wtedy zaplanowała zamordowanie Vickie Mallard, by wina spadła na Steye”a. Policja będzie musiała go aresztować za morderstwo i zapewne unia też, że to on zabił Laane Martin. Była zrozpaczona. Zabicie Vickie było jej ostatnią szansą.

Zaplanowała wszystko dokładnie, włącznie ze zdobyciem fałszywego prawa jazdy. Okazało się to takie łatwe, że aż się dziwiła, dlaczego ludzie tracą tyle czasu, by otrzymać prawdziwe. Potem kupiła z czwartej ręki aecurę rocznik osiemdziesiąty dziewięć i pojechała do Arrowhead. Przebrała się za włóczęgę i czekała niedaleko domku Mallardów, póki Steye nie wyjechał swoim wypożyczonym fordem taurusem do miasteczka.

Nawet nie zamknął drzwi na klucz. Zresztą w tej okolicy ludzie przeważnie tego nie robili. Bez trudu znalazła w kuchni odpowiedni nóż, o krótkim, ostrym ostrzu

Zaraz odjechała, bo zanim Steye wróci do domku, ona musi być już w połowie drogi do Los Angeles. Dokładnie obliczyła czas jazdy, żeby wiedzieć, kiedy do niego zadzwonić, udając mężczyznę. Gdy Steye usłyszy wiapopędzi do domu i znajdzie martwą żonę.

Natychmiast pojawią się policjanci. Już ona się o to postara.

Z Vickie poszło łatwo. To była prawdziwa rozkosz widzieć przerażenie w jej oczach, słyszeć charczący oddech, gdy zaciskała ręce na jej szyi i wyduszała z niej życie, czuć zapach jej krwi.

Ale gdy była w połowie roboty, pojawiła się Marla. Poczula się tak, jakby przerwano jej piękny akt miłosny. Nawet teraz pamiętała swoją wściekłość, to wszechogarniające uczucie złości, od którego omal nie oszalała. Ta dziwka walczyła z nią do chwili, gdy myślała, że wreszcie zdołała ją wykończyć ciosem butelką wina.

Nagle usłyszała, że otwierają się lontowe drzwi. Wybiegła z kuchni, ukryła się w ciemnościach ogródka i popędziła do samochodu. Udało jej się wydostać z pułapki, jaką był ten zaułek, i skierowała się na północ uważając, by nie przekraczać dozwolonej szybkości.

Gdy usłyszała w wiadomościach informację o aresztowaniu Steye'a Mallarda za usiłowanie zabójstwa żony, powróciła utracona wiara w siebie. Powiedziano, że jest również podejrzany o zabójstwo Laurie Martin. Znowu zwyciężyła.

Rozdział XXXVIII

Ali Marla siedzieli w łoży przy oknie w restauracji „James Beach” w yencie. Niestety w Kalifornii, nie we Włoszech. Marla bardzo by chciała znaleźć się właśnie tam. Oderwała się na chwilę od męczącego rozwiązywania łamigłówek, jaką stanowiła Laurie Martin. Pomachała barmanowi Johnowi Henry'emu, a on przysłał martini z wódką, bo znał upodobania Marli. Była tu stałym gościem.

— Rzeczywiście mam tak ściśle ustalone zwyczaje? — spytała nagle Ala. — Przecież kiedyś byłam wolną kobietą pier*sza robiłam to, co potem stawało się modne. A teraz spójrz na mnie. Wiedzą, co piję, co jem, i najprawdopodobniej co jutro na siebie włożę. — Tego nikt nie wie — odparł Al, przyglądając się Marli. — Na przykład pewnie sobie myślą, że to, co masz na sobie, to bielizna--dodał, bo właśnie tak wyglądała. Dziś

włożyła obcisłą suknię do kostek, z jedwabiu w kolorze zielonkawej piany morskiej, na to narzuciła gazowy szal w trochę jaśniejszym odcieniu zieleni. Na nogach miała chyba dość niewygodne srebrne pantofle bez pięt (od Dolce Sc Gabbana, kosztujące majątek, co mu zdradziła, gdy stwierdził, że niezbyt mu się podobają) i długie kolczyki z zielonymi kamieniami, które, miał nadzieję, nie były szmaragdami. Wtedy kosztowałyby więcej niż on zarobi przez cały rok. Do kompletu dołożyła wielki pierścionek w tym samym kolorze. I co najdziwniejsze, nosiła również ogromny stalowy zegarek, jałdego mógłby używać w dawnych czasach pracownik kolei, by sprawdzać stan pary w lokomotywie. Paznokcie miała pomalowane na zielono.

— Co ty o tym możesz wiedzieć, panie obszarpańcu? — westchnęła. Rzuciła pogardliwe spojrzenie na jego podkoszulek i spodnie khaki. Potem uśmiechnęła się. Był taki cholemie przystojny: wysoki, szczupły i gibki, itak nieprawdopodobnie seksowny, że mogłaby go zjeść. Oczywiście w najbardziej elegancki sposób. — Tylko ty możesz wyglądać seksownie w takim ubraniu — dodała.

Zrewaijował się jej uśmiechem, kpiąco unosząc lewą brew.

— Oglądałaś ostatnio reklamy? Mnóstwo seksownych facetów ubiera się dokładnie tak, jak ja.

— Chyba muszę cię zaciągnąć do Armaniego — powiedziała, sącząc martini.

— Już to kiedyś zrobiłaś. I kupiłaś mi tam koszulę. Pamiętasz?

— Tak. I pamiętam, że nigdy jej nie włożyłaś.

Roześmiał się i wziął ją za rękę.

Składam ci uroczystą obietnicę powiedział, kładąc rękę na sercu. Któregoś dnia ją włożę. Marli to nie zadowoliło. Znała go zbyt dobrze.

— To znaczy kiedy? — spytała, przytrzymującego rękę, by nie mógł jej cohać. — Muszę to wiedzieć, by odpowiednio skomponować własny strój.

— Doskonale. Włożę ją w dniu, w którym złapiemy Laurie Martin. Zadowolona?

— Świetnie. Oby to nastąpiło szybko. — Zapatrzyła się ponuro w szklaneczkę i zaczęła popychać palcem oliwkę. Jej złotobursztyTJowe włosy opadły na twarz, ale Al wyczuwał, że coś jest nie tak.

— karb o czym myślisz? — spytał miękko. —Widzę, że coś cię niepokoi.

Westchnęła.

— Och, nic takiego. Dziś rano widziałam kogoś, kto mi przypomniał... — Zamilkła, zmarszczyła brwi i wpatrywała się w oliwkę pływającą w szklaneczce z martini, jakby chciała ją przejrzeć na wylot.

— Kogo widziałaś? — Al był zdziwiony. Marla na ogół nic zachowywała się tak dziwnie, ale dziś wydawało się, że ktoś ją zaczarował. Myślami błędziła gdzieś daleko.

— Jakaś kobietę. Schodziła ze schodów w ratuszu. — Marla zadrżała, przypominając sobie oczy tej kobiety.

Podszedł kelner. Zamówili jedną sałatkę cesarską na dwoje, okonia dla niej, a dla niego średnio wysmażony stek z frytkami.

138

I co cię tak zaniepokoiło w tej kobiecie?

— Gdy spojrzałam jej w oczy, przypomniała mi się tamta noc...

— W domu yickic?

Skinęła głową i popiła martini. Włosy mów jej opadły. Mimo że nie widział twarzy Marli, czuł, jak bardzo jest wzburzona.

— Hej, skarbie, przecież to nic mogła być Laurie.

— Rzeczywiście, chyba to nie była ona. Co by robiła w ratuszu, tak blisko komendy policji? Nie, to nie była Laurie. Ta kobieta miała czarne włosy, była szczuplejsza, ubrana niedbale i bez gustu. Ale z jakiegoś powodu musiałam się za nią obejrzeć. I wiesz co? Ona też się obejrzała i popatrzyła na mnie. Pewnie poczuła mój wzrok... Znasz to uczucie, że ktoś cię obserwuje, prawda?

— A jak patrzyła na ciebie?

Marla zebrała myśli.

— Już kiedyś widziałam takie spojrznic. Patrzyła tak, jakby chciała mnie zabić.

Al uznał, że Marla nie zaniepokoiła się bez powodu, ale nie dał nic po sobie poznać.

— Shichaj, skarbie — rzekł, biorąc ją za rękę. — Musisz się wziąć w garść. Wiem, że przeżyłaś okropne chwile i może już wcześniej powinienem był coś zrobić. Teraz wydaje mi się, że trzeba ci zapewnić jakąś pomoc, iść z tobą do psychiatry, coś w tym rodzaju.

— Nie wyobraziłam sobie tego — powiedziała Marla stanowczo, patrząc Alowi w oczy. — Ta kobieta patrzyła na mnie z nienawiścią. Wprost fizycznie czułam jej nienawiść. Nie potrzebuję psychiatry.

— Ale dlaczegoż tak tam kobieta, z którą się po prostu minęłaś, miałaby cię aż tak nienawidzić?

Marla wzruszyła ramionami. Kelner przyniósł im sałatkę. Marla podziękowała, poczekała aż odejdzie i powiedziała:

— To pewnie była jakaś wariatka. Miałam pecha, że drugi raz zobaczyłam taki sam wyraz oczu.

— Kochanie, to już się nigdy nic powtórzy, obiecuję ci.

Uśmiechnęła się do niego drżącymi ustami. Al pomyślał ze smutkiem, że nigdy jej nie widział w tak złym nastroju. Marla była złotą dziewczyną, pewną siebie, rządzącą się jak szara gęś, atakującą, żywiołową śmiałą. Teraz straciła całą energię tylko dlatego, że jakaś ubrana jak nietoperz wariatka krzywo na nią spojrzała.

— No, dobrze. Przeszanę o tym myśleć — oświadczyła Marla z determinacją. — Ale musimy znaleźć Laurie Martin. Martwi mnie, że kręci się gdzieś w pobliżu, szykując następne uderzenie.

— Jedna rzecz jest pewna. Już nigdy nie zaatakuje ani ciebie, ani Vickie.

139

Skoro Steye Mallard został oskarżony o jej zbrodnię, nie może sobie pozwolić na powtórzenie napaści. Marla, nic ci nie grozi. A poza tym — uśmiechnął się — już nigdy nie pozwolę, by ktoś się do ciebie zanadto zbliżył.

— Nawet jakaś inna kobieta? — roześmiała się Marla.

— Zwłaszcza inna kobieta.

Marla dumnie podniosła głowę, a Al podziękował w duchu Bogu. Musiało się dziać bardzo źle, żeby staciła animusz, ale na szczęście chyba znów była sobą.

Zabrali się do jedzenia. Delektowali się: ona okoniem, on stekiem. Ukradła mu połowę frytek, zjedli sałatkę. Gdy byli przy czekoladowym suflecie, podanym w wielkiej francuskiej filiżance do kawy, tak cudownym, że wprost można było umrzeć z zachwytu, Marla wróciła do sprawy.

— Kiedy powiesz Bulworthowi to, co wiesz o Laurie? — spytała.

— Nie zamierzałem się spieszyć. Dlaczego pytasz?

-- Wydaje mi się, że powinien wiedzieć. W końcu to on jest odpowiedzialny za śledztwo.

— Ale ja nie jestem pracownikiem Bulwortha. Mnie zatrudniła Vickie Mallard i jej doradca prawny. Nie mam obowiązku informować policji o tym, czego się dowiedziałem.

Przynajmniej jeszcze nie teraz — dodał.

Marla nie zgadzała się z nim.

-- Ale oni mają większe możliwości i znajdują Laurie szybciej, jeżeli powiemy im, czego się o niej dowiedzieliśmy.

— Marla, zapominasz, że to właśnie policja oskarżyła męża Vickie o usiłowanie morderstwa i zamknęła go w więzieniu. Zastali go nad ciałem Vickie, nóż był obok, a ty nieprzytomna leżałaś na podłodze. Policja wierzy, że zrobił to Styc. A my mamy jedynie teoń, że Laurie Martin żyje i że to ona jest morderczynią. Jak twoim zdaniem mam to policji udowodnić?

— Chyba masz rację — przyznała nicchętnie. Al widział, że w głębi duszy Marla odczuwa strach i chce, by Laurie Martin znalazła się za kratkami i przestała jej się jawić w nocnych koszmarach.

Skarbie, chodźmy już. W domu zaparzę ci kawę — zaproponował, dając znak kelnerowi, żeby przyniósł rachunek. — Potem ułożę cię w łóżku, otulę kołdrą i zaśpięcam twoją ulubioną kołysankę.

To wreszcie przyciągnęło jej uwagę.

— Dziękuję, Giraud — powiedziała sucho. — Lubię ezystakawę, bez kołysanek. A jeśli chodzi o twoje zdolności wokalne, śpiewasz jak zarzynana czarownica.

— A skąd możesz wiedzieć, jak śpiewa zarzynana czarownica? — spytał. A potem bardzo tego żałował.

Do domu wrócili po północy. Wzgórza Hollywood otulało to, co w Kalifornii nazywa się „morski opar”, Steye nazywał to zwyczajnie mgłą. Gdy wjechał coryettą na podwórze, spod kół uskoczył mały, czarny piesek. Marla gwałtownie się odwróciła, by mu się przyjrzeć. Al wiedział, co jej przyszło do głowy.

— Nie ma czerwonej apaszki — stwierdził. — To po prostu jakiś bezdomny piesek albo pies sąsiadów załatwiający swoje sprawy, zanim pójdzie spać w ciepłym i mięciutkim koszyku.

Ale wiedział, że Marla nadal jest pod wpływem szoku i bardzo go to martwiło.

Detektyw Bulworth poinformował Ala zirytowanym głosem, że nie ma czasu na siedzenie z założonymi rękami. Dodał jeszcze:

— Jednak takie orły jak ty i twoja asystentka chyba to robią, bo od tygodni nie daliście nawet jednego cholernego znaku życia. Może teraz masz mi coś do powiedzenia? Czy też zamknąłeś już śledztwo?

— A ty? — spytał Al z uśmiechem. Przed oczami miał tego wielkiego mężczyznę siedzącego przy odrapanym biurku i Pow! Powers, niosącą mu kolejną filiżankę ohydztwa, które nazywała kawą. O ile Alowi było wiaclomo, człowiek może się jednak przyzwyczać do wszystkiego, nawet do okropnej kawy parzonej przez Pow!

— Chcesz powiedzieć, że nie masz dla mnie żadnych informacji? Giraud, nigdy w to nie uwierzę!

— Więc co chcesz wiedzieć? Ze Vickie Mallard nadal jest w śpiączce? Ze zamknęliście Steye'a i że w przeciwieństwie do ciebie Lister pracuje, przygotowując jego obronę? Ze nadal nie znaleźliście ciała Lawie Martin, mimo że szukacie go od tygodni? Bo mam nadzieję, że nie zaprzestaliście poszukiwań. Rzucił tę zatrutą strzałę, doskonale wiedząc, że prowadzone są już z mniejszą intensywnością.

— Nie natrafilimy na żaden ślad i ty o tym wiesz. Skończ z tymi bzdurami i powiedz, co wiesz. Jestem absolutnie pewny, że chowasz coś w rękawie.

Al włożył koniec długopisu do ust udając, że to papieros i wydmuchał wymaginowane kółko dymu. Roześmiał się i powiedział:

— Wiesz co, przyjacielu? Chyba zaczynasz się denerwować.

— Za to ty jesteś za spokojny. Trzymasz się z daleka od nas, a ja wiem, że gdybyś czegoś nie odkrył, nachodziłbyś nas bez przerwy.

— Ależ Bulworth, po co miałbym was nachodzić? Przecież masz swojego człowieka bezpiecznie zamkniętego w więzieniu. Czego więcej mogę od was chcieć?

— Bzdury! — warknął Bulworth. — Na pewno coś masz.

— Detektywie, żyjesz w krainie fantazji. Daj spokój, jesteś moim przyjacielem, więc jak mógłbym coś przed tobą ukrywać? Och, nie. Jedziemy na tym samym wózku, zastanawiając się, kto zabił Jimmy'ego Victora, a także, co się stało z Lawie Martin. Kolego, masz tu kilka nie rozwiązanych spraw. Lepiej wracaj do pracy.

Roześmiał się słysząc, jak Bulworth wzdycha zniecierpliwiony i rzucił słuchawkę na widelki. To da policji do myślenia, choć prawdę mówiąc Bulworth wykazał się inteligencją skoro zrozumiał, że Al coś ukrywa.

— Jeszcze nie, Bulworth, przyjacielu. Jeszcze ci tego nie powiem — oświadczył na głos, zamykając drzwi biura. Potem pojechał corycttądo „Apple Pan” na lunch składający się z ogromnej kanapki z tuńczykiem i frytek. Marla zabiłaby go, gdyby widziała te fytki, ale, do diabła, człowiek jest młody tylko raz w życiu.

Marla ustawiła samochód na szpitalnym parkingu, minęła szarostalową recepcję i wsiadła do windy, by pojechać na trzecie piętro, które stanowiło zupełnie inny świat. Zostawiła za sobą zwykle ludzkie sprawy. Tu panowała cisza. Pielęgniarki w nieskalanie czystych zielonych uniformach krzątały się na korytanach, zaglądały do pokoi, których drzwi pozostawiano otwarte, by nieustannie można było czuwać nad chorymi. A w pokojach pacjenci poddani intensywnej opiece byli przymocowani do monitorów i

kroplówek, respiratorów i kateterów. Ich życie zależało od innych ludzi. yickie Mallard nie leżała już w sali intensywnej opieki, ale nadal była w śpiączce, w którą zapadła prawie cztery tygodnie temu.

Marla przywitała się z pielęgniarkami, które uśmiechały się do niej, gdy je mijała. Teraz już ją znały, bo przychodziła prawie codziennie. Wybierała takie godziny, żeby nie zastać nikogo z rodziny yickie. Nie miała ochoty natknąć się na jej siostrę, a jeszcze mniej na córki. Wiedziały, że ona również padła ofiarą tamtego napadu i że widziała Steye'a pochylonego nad skąpanym w krwi ciałem ich matki. Takie spotkanie byłoby przykre dla obu stron.

Vickie zawsze była drobniutka, ale teraz w szpitalnym łóżku skurczyła się jakby jeszcze bardziej. Była podłączona do monitora, ale nie potrzebowała już respiratora i oddychała samodzielnie. Przez rurkę wpływał do jej żył jakiś żółty płyn, inna rurka dostarczała podstawowe składniki pokarmowe.

Marla podniosła bezwładną rękę Vickie. Była zimna, bardzo zimna, więc instynktownie przykryła ją swoją ciepłą dłonią. To ja mogabym tu leżeć, pomyślała, przypominając sobie tamtą okropną noc. Ja mogłabym być odżywiana przez rurki i utrzymywana sztucznie przy życiu, podczas gdy mój mózg, moja dusza, prawdziwaja... byłyby, kto wie, gdzie?
142

I kto to wie, gdzie teraz jest prawdziwa Vickie Mallard? Czy śni o swoich ślicznych córeczkach? A może martwi się o nie? Czy też ciągle od nowa przeżywa to, co zrobiła jej Laurie Martin? I czy w ogóle wie, że to była Laurie?

Marla usiadła przy łóżku, wzięła yickie za rękę i cicho mówiła jej o rzeczach, o których wiedziała tylko ona i Al Guiaud. Nie chciała, by Vickie umarła wierząc, że to mąż usiłował ją zabić. Powinna znać prawdę.

— Vickie, to nie był Steye. Przysięgam ci, że to nie był on. Ja znam prawdę. Lawie Martin żyje i to on jest morderczynią— szeptała jej do ucha. — yickie, Steye tego nie zrobił, wierz mi. Niedługo przyjdzie do ciebie, obiecuję ci. J wasze życie znów będzie takie jak przedtem. Zaufaj mi, yickie, zaufaj mi i przeżyj...

Nie było żadnej odpowiedzi. yickie nie ucisnęła jej palców na znak, że rozumie, nie zadrgały jej powieki, nawet nie westchnęła.

To Marla wydała westchnienie, układając różowozielone papuzie tulipany w wazonie. Ustawiła je w takim miejscu, by yickie mogła je zobaczyć, kiedy się obudzi. Jeżeli się obudzi.

Pocałowała yickie w pozbawiony śladu kolorów policzek, usłyszała jej oddech i podziękowała Bogu, że kobieta może oddychać samodzielnie. To był już jakiś postęp i córki mniej się bały, nie widząc przy matce tej okropnej maszyny. Vickie wyglądała już jak istota ludzka, nie jak robot. Jej rany się wygoiły, chociaż blizny nadal były widoczne. Jeżeli kiedyś wróci do normalnego świata, jej twarz będzie wymagała kilku operacji plastycznych. Ale to już była Vickie, nie Frankenstein. i to dawało nadzieję.

Wychodząc z sali, Marla ze zdumieniem zobaczyła Bena Listera, który spieszył aseptycznym korytarzem.

— Co tu robisz? — spytała. Życie adwokatów odmierta zegar, a ich czas kosztuje. Szpital z całą pewnością nie był wpisany na listę jego zajęć.

— Steye prosił, żebym przyszedł i mówił do yickie, skoro on sam nie może tego zrobić. Marla pokiwała głową. Oczywiście, że Steye nie może tu przyjść. Nadal siedział za kratkami w Twin Towers. Wróciła z Listerem do pokoju yickie, dotrzymując mu kroku, gdy niemal biegł.

— I co zamierza jej powiedzieć”?

— Ajakcisięwydaje?

— Przeprosić, że chciał ją zabić? — Wiedziała, że tak nie było, ale zależało jej, by się dowiedzieć, co myśli Lister.

— Może i tak — odparł z głębokim westchnieniem, gdy stanęli na progu pokoju yickie. — Ale z uporem twierdzi, że nie jest winny. Nie mam pojęcia, jak to udowodnić.

Maria mogłaby mu to powiedzieć, ale przynajmniej raz trzymała buzię zamkniętą. Stała obok Lisnera. Patrzył na yickie Mallard starannie okrytą kołdrą w białym szpitalnym łóżku. Czuł się bardzo nieswojo.

— yickie, cbm... zaczął. — Moja droga, przychodzę tuz polecenia Swye”a. Rozmawiałem z nim pół godziny temu i prosił, żebym przyszedł do ciebie i powiedział, że cię kocha. — Spojrzał z rozpaczą na Marłę. — To jak mówić do zmarłej — szepnął. — Jestem pewien, że mnie nie słyszy.

— Może jednak słyszy — ponagliła go Marta.

— Ehm, yickie, moja droga- zaczął od nowa. — Steye prosił, by ci powiedzieć, że nie zrobił ci tego. yickie, on jest niewinny. Przysięga, że jest niewinny. I jeszcze kazał ci powiedzieć, że znajdzie tego, kto ci zrobił te okropne rzeczy. Wtedy zażąda od niego zapłaty do ostatniego grosza. Vickie, on chce, żebyś mu uwierzyła. Po prostu uwierzyła. I żebyś wyzdrowiała. Tak bardzo chce, żebyś wyzdrowiała. Chce, żebyś wróciła do świata żywych. A nie półżywych — szepnął do Marli, odchodząc od niepokalanie białego łóżka. Marla jeszcze raz poklepała yickie po rękę.

— Vickie, ufaj mu — szepnęła. - Ufaj Steye”owi, a wszystko będzie dobrze.

Nie miała wielkiej nadziei, by jeszcze kiedyś z Vickie wszystko było dobrze. Mimo to gdzieś w głębi duszy odczuła ulgę, bo może yickie poznała już prawdę.

Rozdział XXXX

Łaurie podobało się jej nowe imię i nazwisko: Maria Joseph. Uznała to za pewnego rodzaju zabawną słowną grę z imionami biblijnymi Marii i Józefa.

Na miejsce zamieszkania wybrała niechlujne przedmieście Oakland, gdzie miał swoją siedzibę uniwersytet Berkeley. Wśród tysięcy studentów nikt nie wypatrzył jakiegś tam Marii Joseph. Było tu zresztą taniej niż w San Francisco. No i miała do wyboru mnóstwo mieszkań. Małe mieszkanie, na które się w końcu zdecydowała, znajdowało się niedaleko uniwersytetu, przy szerokiej, ruchliwej ulicy. Dwa pokoje mieściły się na tyłach budynku, okna wychodziły na mały, zaniedbany ogródek. Był to stary dom, z dekoracjami

w stylu art déco z lat trzydziestych, łazienką wyłożoną białymi kafelkami, popękana umywalką i prysznicem. Jego zasłona aż zeszywniała ze starości, W kuchni był stary piecyk, laminowany kontuar oddzielał ją od bawialni o powierzchni trzy na cztery metry. W bawialni stała równie stara winylowa kanapa i pasujący do niej klubowy fotel, a także stolik do kawy w chromach i szkłe, z poobijanym blatem. W drugim końcu pokoju mieścił się brzydki dębowy stół z dwoma krzesłami, każde od innego kompletu. W sypialni o powierzchni dwunasta metrów kwadratowych znajdowały się dwa bliźniacze łóżka z tanimi, lecz nowymi materacami i toaletką z żółtawego dębu, nad którą wisiało lustro. Właśnie nowe materace sprawiły, że wynajęła to mieszkanie. Większość domów, jakie oglądała, była zapluskwiona. W tym domu mieszkali głównie studenci. Laurie pomyślała, że zgłosiła w szczęśliwym momencie, kiedy stare materace okazały się na tyle zużyte, by właściciel poczuł się zmuszony je wymienić.

Westchnieniem objęła w posiadanie nową siedzibę. Serce przeszywał jej ból na wspomnienie ślicznego, czyściutkiego domu w Laguna Beach. Ktoś będzie musiał zapłacić za to, że znalazła się tutaj, pomyślała mściwie. I ktoś za to zapłaci.

Poszła do najbliższego domu towarowego, kupiła pościel, ręczniki, koce i prześcieradła, a także kilka białych powłoczek. Miała nadzieję, że sypiały- Ma dzięki nim będzie wyglądała trochę bardziej elegancko, ale powłoczki tylko podkreśliły jej ubóstwo. Kupiła jeszcze dwie tanie lampy i kilka najpotrzebniejszych naczyń stołowych oraz sztucce. Do lodówki załadowała butelki tequili i wina, a także parę opakowań mrożonej lasagnii, w których ukryła resztę tego, co jej zostało z pięćdziesięciu tysięcy. W ostatnich tygodniach wydała sporo na motele i utrzymanie.

Nie zamierzała oszczędzać na telewizorze. Bonnie 1{oyt-yictor-Har- mon-Martin nigdy już nie zadowolili się dwunastocalowym, czarno-białym ekranem. Wynajęła w Circuit City trzydziestodwucalowy kolorowy panasonic. Zainstalowano go jeszcze tego samego dnia. Spędziła wieczór na czerwonej winylowej kanapie, słuchając wszystkich dzienników po kolei. Zamierzała się dowiedzieć, czy nastąpił jakiś postęp w śledztwie dotyczącym Steye”a Mallarda i czy wyznaczono datę procesu. Niepokoila się również, czy znaleziono już ciało Jimmy”ego.

Nie było żadnych nowych wieści. Z westchnieniem wypita do końca tequilę i rozejrzała się po ciemnym, pustym mieszkaniu. Czula się bardzo samotna.

Następnego dnia wcześniej rano odwiedziła wszystkie schroniska w Oakland i okolicy, szukając pieska, który zastąpiłby Clyde”a. Musiał być mały, czarny i kudłaty. Musiał wyglądać tak jak pierwszy Clyde. To stawało się już jej obsesją.

Po tygodniu poszukiwań znalazła rocznego psiaka, który jako tako spełniał wymagania. Był sprytny. Przychodził, gdy go wołała, radośnie obwąchiwał jej ręce i entuzjastycznie lizał po twarz% gdy się pochylała, by go pogłaskać. Kupiła mu drogą obrożę i smycz, czerwoną apaszke i hamburgera (zwykłego) u McDonalda. Bonnie i Clyde byli znów razem.

145

Potem zaczęła szukać kościoła z odpowiednią grupką starszych wiernych, dostatecznie bogatych na jej potrzeby. Jak zawsze, gdy szukała stosownej parafii, najpierw starała się zorientować w demografii dzielnicy, a potem szła sprawdzić, czy dany kościół będzie

odpowiedni. Objechała pół Oakland i okolice, zanim wybrała dwa kościoły. Do każdego poszła kilka razy na niedzielne nabożeństwo. Ale za to, gdy już podjęła decyzję, wiedziała, że wybrany kościół spełnia jej wymagania. W pierwszą niedzielę włożyła perukę z kręconych blond włosów, ładną sukienkę w różowe kwiaty, słomkowy kapelusik z szerokim rondem, białe sandały i białą torebkę. Podczas nabożeństwa dyskretnie przyglądała się wiernym, odrzucając mężczyzn, którzy mimo podeszłego wieku wydawali jej się zbyt żywotni.

Po nabożeństwie przedstawiła się wielebnemu Isaiahowi Lightowi jako panna Maria Joseph.

— Mieszkam w tej okolicy od niedawna - powiedziała, uśmiechając się nieśmiało. — Przyjechałam z Florydy. Moja rodzina to wierni baptyści. Teraz chciałabym zostać członkinią pańskiej kongregacji.

Wielebny Light miał tłuste policzki i Siwc włosy. Rozpromienił się, witając nową owieczkę.

— Zawsze się cieszę, gdy ktoś przystępuje do naszego zgromadzenia, a już zwłaszcza taka... — Przez chwilę wielebny szukał odpowiedniego słowa — . . . taka urocza osoba —• dokończył z fasonem.

Raz jeszcze obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem, a on zaproponował:

— Przedstawię panią kilku osobom. Będą zachwycone, mogąc panią poznać i udzielić pomocy, gdyby jej pani potrzebowała. Wiem, że przeprowadzka to ciężki okres, chyba że ma pani tu wielu przyjaciół?

— Nie, nie znam nikogo — odparła żałośnie. — Jestem zupełnie sama. Właśnie dlatego tu przyszłam. Wiem, że kościół to odpowiednie miejsce, by poznać ludzi i zacząć nowe życie.

— To Ethel i Murray Leyitch. - Wielebny zatrzymał przechodzące obok małżeństwo. — Ethel, powitajcie nową członkinię naszej kongregacji. Panna Maria Joseph niedawno przyjechała z Florydy i nie ma nikogo w naszym mieście.

Murray i Ethel byli po siedemdziesiątce, ale trzymali się dobrze. Mieli na sobie stroje klubu golfowego i miło się uśmiechali. Powitali ją i zaproponowali, by przyszła na comiesięczną parafiatną kolację, która odbywa się zawsze w ostami wtorek miesiąca. Dzięki temu panna wszystkich członków zgromadzenia i na pewno szybko nawiąże nowe przyjaźnie.

— No to widzimy się we wtorek — powiedział radośnie wielebny. — A teraz, jeśli pani chce, przedstawię panią jeszcze kilku innym osobom. Na pewno serdecznie panią powitają.

To było takie łatwe.

Poszła we wtorek na kolację. Tym razem ubrała się na czarno, umalowała tylko leciutko usta, włożyła też sznur hodowlanych pereł, prezent od

146

Bossa Harmona, a także pierścionek z węzłem od Johna Maclyera, którego nigdy nie zdejmowała. Stał się integralną częścią jej osoby. Zwinięty wąż, z ogonem w pysku, stanowił według niej symbol jej własnej masłowości i urniejętności unikania niebezpieczeństwa, zdolności do zmiany tożsamości i zachowania tajemnicy.

W tamten wtorek robiła wrażenie nieśmiałej, uśmiechała się tylko i spokojnie czekała, aż zostanie przedstawiona. Dopilnowała tylko, by poznać wszystkich, szczególnie mężczyzn. Jeden czy dwóch mogło się nadać. Poczwała dreszcz podniecenia. Sprawy zaczynały się układać po jej myśli. I tym razem zostanie milionerką.

Pieniądże szybko się rozchodziły. Przez dwa miesiące żyła w motelach, potem zapłaciła gotówką za starą accurę, musiała wpłacić kaucję za mieszkanie i czynsz za dwa miesiące z góry, a także kupić do niego trochę rzeczy. Oprócz tego sprawiła sobie nową garerobę. Musiała poszukać pracy.

Powrót do agencji nieruchomości stanowiłby zbyt wielkie ryzyko. Może następnym razem, ale czy potem będzie musiała pracować? Chyba nie. Przecież będzie bogata.

Chociaż nigdy nie wiadomo. Może zechce stać się jeszcze bogatsza.

Zatrudniła się jako kelnerka w „Mansion Bar Sc Grill” w Oakland. Nienawidziła tego, ale przynajmniej mogła opłacić czynsz i dostawała darmowe posiłki. Zawsze też zabierała stek czy hamburgera dla Clyde’a, który cierpliwie czekał w samochodzie na parkingu, aż skończy się jej zmiana.

W pracy wyglądała całkiem inaczej. Była Marią Josephz krótkimi, czarnymi włosami i ciężkimi okularami. Rzadko się uśmiechała do klientów. Nic musiała, bo itak z przyzwyczajenia zostawiali napiwki. Podawanie im potraw było wystarczająco nieprzyjemne, po co jeszcze silić się na uprzejmości.

Znów zaczynała się czuć bezpiecznie, a sprawy toczyły się po jej myśli. Stary Morgan Dayies, lat osiemdziesiąt pięć, już witał ją podniesieniem ręki i uśmiechem, gdy w niedzielę wchodziła do kościoła.

Morgan był wdowcem. Powiedział jej, że żona, z którą żył pół wieku, umarła dwa lata temu. Brakowało mu jej nieustannie, w każdej minucie każdego dnia.

— Oczywiście, że musi jej panu brakować — przyznała, klepiąc go pocieszająco po rękę.

— Ja do tej pory tęsknię za rodzicami, którzy zginęli w wypadku samochodowym na Florydzie. A przecież stało się to już wiele lat temu.

Morgan przyłożył rękę do ucha i skoncentrował się na ruchu jej warg. Wiedziała, że bardzo wielu starych ludzi źle słyszy, a Morgan nie cierpiał nosić aparatu słuchowego. I dobrze, dzięki temu pójdzie z nim jeszcze łatwiej. Słaby wzrok też się przyda, im słabszy, tym lepiej.

Roześmiała się na tę myśl. Morgan, lekko zdumiony, bo przecież rozmawiali o śmierci jej rodziców, zawtórował jej. Dlaczego się śmiała? Pewnie czegoś nic zrozumiał. Niech to szlag.

147

— Wypadek samochodowy? — spytał.

Skinęła głową i spojrzała na niego ze smutkiem.

— To było okropne. Oczywiście byłam wtedy bardzo młoda, miałam tylko siedemnaście lat. Ich samochód wpadł na barierkę. Przetoczył się i oboje zginęli. Ja... ja musiałam ich zidentyfikować.

Biedne dziecko, biedna mała dziewczynka — powiedział współczująco.

Gdy jej dotknął, miała wrażenie, że kości jego dłoni są drobne jak u ptaszka. Skórę miał suchą, ciepłą i starą. Nagle ogarnęła ją przemożna tęsknota za dotykiem młodego

mężczyzny, w pełni samczych sił, który przygniótłby ją do posłania i kochał się z nią do utraty tchu. Zamiast tego będzie musiała obsłużyć w ten czy inny sposób tego starucha, aż doprowadzi go do yagrowcj ekstazy. Na tę myśl żołądek podszedł jej do gardła, ale zaraz przypomniała sobie o pieniądzach i żołądek wrócił na swoje miejsce. Wymyśliła dobry plan i teraz musi go wcielić w życie.

Rozdział XXXXI

Al Ginud nic z tego nie rozumiał. Spodziewał się, że Laurie-Bonnie wkrótce się gdzieś pojawi, ale gorzko się zawiódł. Nie zostawiła żadnych tropów ani w Los Angeles, ani w swojej dawnej dzielnicy w Lagunie. Bulworth nadal szukał jej ciała i Al zaczynał wątpić w słuszność swoich wniosków. Może się mylił? Może Laurie naprawdę nie żyje? Może jednak Stew ją zabił, a to, że znaleziono zwłoki Jimmy”ego yictora, było czystym przypadkiem?

Bzdura! To nie przypadek! Ssał koniec długopisu, gorąco pragnąc, żeby to był camel bez filtru. Oczywiście, że się nie mylił. Lauric to mądra kobieta i udało jej się zniknąć. Teraz całapewnością mają już nową tożsamość, nową osobowość, nowy wygląd. Tak samo postępowała już wcześniej. Szukanie jej będzie jak szukanie igły w stogu siana. filmczasem śledztwo w sprawie Steye”a postępowało i niedługo spodziewano się ogłoszenia daty procesu. Nie można dopuścić do procesu. Wiedział, że Bulworth nie uwierzy w jego teorię, chociaż zwłoki Jimmy”ego Victora powinny go zmusić do przemyślenia sprawy.

Al nie lubił takich dylematów. Obiecał Vickie Mallard, że wykryje, czyjej mąż jest winny, czy nic. Teraz był już pewny, że nie jest winny, ale nie miał na to żadnych dowodów. I nie będzie ich miał, póki nie znajdzie Laurie Martin.

Jego myśli zatoczyły krąg i wróciły do miejsca startu. Westchnął i zaczął bębnić palcami po biurku. Dobro Vickie Mallard bardzo mu leżało na sercu. Po wpływie impulsu wyszedł z biura, kupił kilka róż u kwiaciarki na Sunset i pojechał do szpitala.

Marla jeździła na łyżworolkach na nadbrzeżnym deptaku w yeniee Beach. Było to o wiele zabawniejsze niż ćwiczenia w sali gimnastycznej, których szczerze nienawidziła.

Podziwiała umięśnionych chłopców na plaży, jednocześnie uprawiając aerobik. Czy można chcieć czegoś więcej?

Dziś ubrana była w czarne spodenki kolarskie z lycry, biały plastikowy daszek przeciwsłoneczny i podkoszulek z napisem „Nie będę się stroić”. Miała jeszcze rękawice i ochraniacze na kolana i łokcie, chociaż nie potrzebowała ich, bo jeździła doskonale i nigdy się nie przewracała. Mogłaby nawet tańczyć. Do pełnego szyku potrzebowała tylko małego, czarnego pieska w czerwonej apaszce. Wielu innych łyżwiarzy miało takie pieski. Czerwona apaszka naprowadziła jej myśli na Bonnie i Clyde”a, czyli na Laurie. Westchnęła.

Kiedy Al wreszcie coś odkryje? Od tygodnia nie wydarzyło się nic nowego, a ten czas musiał się wydawać wiecznością Steye”owi Mallardowi. Nie nadeszły żadne informacje o ukradzionym czy porzuconym winnebago, chociaż Giraud miał dobre kontakty w odpowiednich miejscach i powiadomiono by go, gdyby samochód się znalazł.

Jako jego asystentka, powinna się oddać rozmyślaniom, analizom, badać najrozmaitsze sprawy. Tylko jakie sprawy? Wyobrazili sobie już wszystkie możliwe rozwiązania i do niczego ich to nie doprowadziło.

Sunęła deptakiem, zręcznie wymijała przechodniów, dzieci i psy. Zatraciła się w szumie oceanu, gorącym słońcu i zapachu cukrowej waty. Mijała stoiska, w których można było kupić maleńkie baseballowe czapki dla psów z odpowiednio dobranymi apaszkami — wymarzone dla znudzonego jamnika czy piskliwego yorka. Psy chyba nie były zachwycone takim strojem. To znów skierowało jej myśli na Bonnie i Clydc”a.

Bonnic-Laurie nie mogła wiedzieć, że Al poznał jej przeszłość. A Bulworth z całą pewnością nic o niej nie wiedział —jeszcze nie — chociaż odkrył, że Jimmy Victor prawdopodobnie „zginął” kilka lat temu w pożarze na Florydzie. Już ekshumowano zwłoki z „grobu Jimmy”ego” i przeprowadzono testy DNA i stomatologiczne, aby ustalić, kim jest nieboszczyk. Marla właśnie zastanawiała się, kto to mógł być, gdy nagle ktoś ją głośno zawołał.

— Halo, panienko, proszę pani, proszę zjechać w prawo i zatrzymać się!

Usłyszała, że goni ją ktoś na rowerze. Zatoczyła perfekcyjny łuk.

— Chodzi panu o mnie?

— Jasne, że o panią. — Policjant ustawił swój rower na podpórcie i wyjął bloczek. Był młody, jasnowłosy, opalony i muskularny.

149

Nosił spodenki kolarskie podobne do jej spodenek, opinające idealnie ukształtowane pośladki i białą koszulkę Polo z granatowym napisem POLICJA na plecach. Zrobił marsową minę, chociaż Marla obdarzyła go najbardziej uroczym uśmiechem, na jaki mogła się zdobyć.

Miał lodowatozielone oczy. Marla była pewna, że gdy się uśmiecha, wyglądał jak piękny kalifornijski chłopak o białych zębach. Krótko mówiąc, był tak cudowny, że można by dla niego umrzeć.

— A więc? O co chodzi? spytała tonem konwersacji.

— Zapewne jest pani świadoma tego, że obowiązuje tu ograniczenie prędkości. A pani jechała o wiele za szybko. — Wskazał długopisem znak mówiący: „Maksymalna prędkość dla łyżworolek: 8 km/godz. Mandat za przekroczenie tej prędkości: pięćdziesiąt dolarów”.

— Do czego to doszło — zażartowała Marla, gdy policjant zaczął pracowicie pisać w swoim bloczku. — Przecież nie może mi pan wlepić mandatu za jazdę na łyżworolkach!

— Takie jest prawo, proszę pani. — Był uroczysty jak mistrz ceremonii i ponury jak noc.

— Nie może pan wiedzieć, jak szybkojechałam — parsknęła. — Czy mogłabym przekroczyć osiem kilometrów przy tych tłumach pieszych?

— Właśnie to pani robiła -- wyjaśnił i wręczył jej mandat. — Mam nadzieję, że następnym razem będzie pani przestrzegająca przepisów.

Marla wyrwała mu mandat i przeczytała,
— Poczekam na wezwanie do sądu — powiedziała ze złością.
— Nic radziłbym. Na liczniku mam zapis szybkości, z jaką pani jechała. To były dwadzieścia cztery kilometry na godzinę.
Poprawił srebrzysty kask i już wsiadał na siodełko.
Na przyszłość zalecam ostrożniejszą jazdę, proszę pani.
Marla patrzyła za nim, gdy odjeżdżał. Jego idealnie wyrzeźbione pośladki poruszały się rytmicznie, a białą koszulkę znaczyła smuga potu.
Całkiem, całkiem, pomyślała z westchnieniem.
W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy.
— Halo?— odezwała się, jadąc powoli z powrotem w kierunku Santa Monica, gdzie zostawiła samochód.
— O, to ty, mamó! Nic, nie czekałam na nikogo innego. No dobrze, rzeczywiście, czekam na telefon. Nie, nie od przyjaciela, to w sprawach zawodowych. — Otarła pot z karku małym ręczniczkiem, który wozila ze sobą. — Kogo spotkałaś? — Jęknęła głośno, gdy usłyszała odpowiedź. Mogła się tego spodziewać.
— Mamó, nie obchodzi mnie, jak bardzo on jest odpowiedni. Nie jestem zainteresowana. Itak, nadal spotykam się z tym gburem. Tak się składa, że go lubię. Bardzo go lubię. — Roześmiała się w odpowiedzi na następną uwagę matki. — Nie wiem, po kim odziedziczyłam ten zły gust. I nie,
150
mamó, nie mogę jutro iść na kolację do Iyy. Ani jutro, ani nigdy nie umówię się z tym „odpowiednim kandydatem”. Okay?
-- Nie zniechęcasz się, co? — szepnęła z uśmiechem, wyłączając telefon. Ale ten znowu zadzwonił. Westchnęła, obawiając się, że to znów matka. Dzwonił Al.
— Marla? — spytał.
— Oczywiście. Kto inny mógłby używać mojego telefonu komórkowego?
— Stawiam pięćdziesiąt dolarów nato, że właśnie rozmawiałaś matką.
-- Skąd wiesz?
Bo gdy dzwoniłem parę minut temu, twój numer był zajęty, a po rozmowie z matką zawsze jesteś wściekła. Znów cię zdenerwowała?
Oczywiście, że tak. — Marla westchnęła.
— Może jednak powinnaś przemyśleć jej propozycję i zgodzić się na kolację z odpowiednim kandydatem?
— Dlaczego? Zebym mogła go porównać z Alem Giraudem, słynnym byłym policjantem i znanym prywatnym detektywem? Obawiam się, że nie wypadłbyś najlepiej, dlatego nie chcę ci tego robić.
- I dzięki Bogu — powiedział. — Bo ja też bym tego nie zniósł.
Marla śmiała się.
Al, chcesz powiedzieć, że gdzieś na dnie twojego kamiennego serca skrywa się iskra uczuć?

— Chcesz się założyć? Dziś wzruszyłem się do łez. Marla, słuchaj, zdarzył się cud, niewielki, ale cud. Jestem w szpitalu. Przyszedłem tu przez przypadek, bo nie widziałem yickie od pani dni. Poza tym jest moją pracodawczynią.

Chcesz powiedzieć, że na dodatek masz jeszcze sumienie? roześmiała się Marla, ale zaraz spoważniała. — Co za cud? Och, chyba nie...

— Nie, nie wyszła ze śpiączki. Otworzyła oczy. Zacząłem wołać pielęgniarki, wpadły pędem, neurologi też. Teraz ją badają, sprawdzaj czy coś widzi, czy też był to mimowolny odruch.

Jadę do ciebie. -- Marla już przyspieszała. — Jestem w Venice. Będę w szpitalu za pół godziny, zaczekaj na mnie. Co jej powiedziałaś, gdy otworzyła oczy?

-- Trzymałem ją za rękę. Powiedziałem: „yickie, to Al Giraud. Zaufaj mi. Steye jest niewinny. I ja to udowodnię”.

— I właśnie wtedy otworzyła oczy?

— Tak.

Gdzieś z tyłu usłyszała wołanie policjanta. Pomknęła za róg, potem jakąś alejką potem jeszcze inną, aż wreszcie dotarła do Main, gdzie zostawiła samochód. Policjant, dla którego można umrzeć, nie wlepi jej kolejnego mandatu. Co to, to nie. Znadto jej się spieszy.

Wskoczyła do mercedesa, zdarła z nóg lyżworolki i nie tracąc czasu na wkładanie pantofli, bosą stopą wcisnęła gaz i popędziła do szpitala, przedzierając się przez sobotnie popołudniowe korki. Nie zwracała uwagi na ograniczenia szybkości, nawet gdyby miała zapłacić jeszcze jeden mandat.

Rozdział XXXXII

głowie yickie aż huczało. Nie umiała uporządkować myśli, ato przyprawiało ją o lęk.

Przecież skończyła college, miała logiczny

umysł, zawsze dokładnie wiedziała, co robi. Dlaczego teraz nie może sobie z tym dać rady?

Jej źrenicce nie chciały przesuwac się ani w prawo, ani w lewo, widziała tylko prostokąt białego sufitu. I czasami jakieś dziwne twarze, które się nad nią pochylały. Machali jej ręką przed oczami, ale nawet nie mogła mrugnąć. Nie mogła mrugnąć. Dlaczego?

To miało coś wspólnego ze Steyem. Tyle przynajmniej wiedziała. Steye...

Co oni o nim mówili? Ktoś coś powiedział. To było ważne, na pewno bardzo ważne, ale nie potniała tej informacji oddzielić od chaosu w mózgu. Miała uczucie, jakby spletały się przewody i wszystkie połączenia prowadziły donikąd. Łzy zamglily jej oczy. Czula, jak spływają po policzkach, chłodzą je, smakuja słono w ustach.

-- Boże! — Marla zakryła ręką własne oczy, bo też wzbierały w nich łzy. — Al, ona płacze.

Al!

Ale on już pochylał się nad Vickie, ocierał jej łzy i przemawiał tak łagodnie, że Marla w końcu też się rozpląkała.

yickie, wszystko w porządku, miałaś wypadek. Teraz już wracasz do zdrowia. Uspokój się. I pamiętaj, że Steye cię kocha. Prosił, żebym cito powiedział. Vickie, on cię kocha. „jest niewinny. Więc nie martw się niczym, tylko wracaj do zdrowia.

yickie chciała mu podziękować, że wprowadził porządek w jej chaotyczne myśli, za informacje, za rozmowę. Ale nie mogła. Steye ją kocha. Chwyci się tych słów, będzie je trzymała jakby to był szlachetny kamień, dopóki nie przegoni otaczającej ją mgły. Och, Boże, dziewczynki..

— Twoje córeczki czują się dobrze, przychodzą tu codziennie. Wiedziałaś o tym? — Marla siedziała teraz przy łóżku i głaskała yickie po rękę. — Doktor już do nich dzwonił i zaraz tu będą..

- „W chwili, gdy o tym mówimy” — mruknął Ali Maria się roześmiała. Vickie spodobał się dźwięk śmiechu i sama uśmiechnęła się przez łzy.

— O mój Boże, ona nas słyszy, uśmiecha się — usłyszała głos kobiety, w którym brzmiał triumf. Nadbiegli inni ludzie, patrzyli na nią, badali tętno, ciśnienie krwi, machali jej rękami przed twarzą.

I tym razem udało jej się mrugnąć.

Tak, w takich chwilach należy zwracać się do Boga, pomyślała. Dziękuję Ci, Boże, za to, że żyję, że mogę mrugnąć i uśmiechnąć się, i widzieć, przynajmniej troszeczkę.

I za to, że wreszcie wyszła z czarnej otchłani rozpacz, gdzie prześladowały ją straszne myśli... Teraz nie chciała się przy nich zatrzymywać. Chciała zobaczyć swoje dzieci, swoje dziewczynki, które mają na imię... Och, nie potrafi nawet przypomnieć sobie ich imion. Łzy znów popłynęły, ale tym razem cieszyła się z tego, bo świadczyły, że żyje.

Rozdział XXXXIII

Samochód Marli stał napodwórz, blokując wjazd do garażu. Al uśmiechnął się i zaparkował coryettę obok mercedesa. Wysiadł, z dumą pogłaskał swój wóz, a potem otworzył liontowe drzwi.

W całym domu rozbrzmiewała muzyka. Al wolał big-bandu i jazz z nocnych klubów, Marla słuchała tego, co akurat było najmodniejsze. Ale tym razem nastawiła Bany”ego White”a, który śpiewał głębokim głosem, wydobywającym się prosto z trzewi, zmysłowymi seksownym. Ogień z kominka oświetlał stół z kwiatami, świecami i kryształową zastawą a w srebrnym wiaderku chłodził się szampan.

Marla pojawiła się w drzwiach. Jej sylwetka rysowała się w świetle kuchennej lampy. Miała na sobie króciutką czarną sukienkę, spod której wystawały halki obszyte falbankami, biały organdy nowy fartuszek, siatkowe pończochy i szpilki. Och, i malutki czepeczek, upięty fantazyjnie na złocistych włosach. To była wersja %ncuskiej pokojówki.

— Aeh, monsieur już wrócił! — Podeszła do niego kołysząc biodrami. — Dobry wieczór, m „sieur. Pańska kąpiel jest gotowa.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni. Popchnęła na łóżko, zdjęła mu buty i odrzuciła je przez ramię.

— Ach, takie biedne, zmęczone nogi — użaliła się i zaczęła całować go po palcach. Patrzył na nią w największym zdumieniu.

— Kobieta, która potrafi całować mężczyźnie nogi, gdy tylko zdejmie mu buty, musi go naprawdę kochać — stwierdził.

Ale Marla już rozpięła mu koszulę i klamrę paska. Rzuciła je w ślad za butami z lekceważącym „phi”. Marla zawsze była zazdrosna o tę klamrę ze stojącym dęba mustangiem. Podejrzewała, że to prezent od jakiejś wcześniejszej kochanki.

Poprowadziła go do łazienki. Czarna wanna była wypełniona po brzegi różowymi bąbelkami i pachniało tu jak w nowoorleańskim burdelu. Przynajmniej Al tak powiedział.

— A co ty możesz wiedzieć o nowoorleańskich burdelach? — spytała podejrzliwie, porzucając rolę ttancuskiej pokojówki.

— Panienska wybaczy, mademoiselle, to tylko taka figura retoryczna.

-- Monsieur wejdzie do wanny i zanurzy się, a jego słodka hancuska pokojóweczka przyniesie mu kieliszek zimnego szampana — oświadczyła, wydymając rozkosznie usteczka. Protestował, bo lubił brać prysznic, a nienawidził bąbelków, ale popchnęła go i już siedział w wannie.

— Monsieur ma robić to, co mu się każe — powiedziała stanowczo.

— Pomyliłaś role — zawołał za nią. — Chyba chciałaś być guwernantką!

— Och... a niech to — mruknęła, idąc po szampana.

Wróciła natychmiast, niosąc okrągłą srebrną tackę z jednym tylko kieliszkiem. Ukłękła obok wanny i podała mu go.

Mmm. - Upił tyk. — Niezłe, jak na wino z kartonu.

— Filister — skarciła go, zabierając mu szampana, by go spróbować. — Doskonale — stwierdziła, zamykając w rozmarzeniu oczy. — Mój biedny, zmęczony m „sieur zasługuje na wszystko, co najlepsze. A teraz muszę przygotowaćdiner.

Aż sapnął ze zdziwienia.

— Marla, chyba nie chcesz powiedzieć, że zamierzasz gotować? Obawiam się, że tego już nie zniosę.

— Będziesz musiał — odparła impertynencko. — Napracowałam się i teraz masz to docenić. — Ze śmiechem pobiegła do kuchni.

Leżał w wodzie z bąbelkami, sącył szampana i myślał, jak cudownie Marla wygiąda w tej króciutkiej sukience i siatkowych pończoszkach. Życie wcale nie jest takie złe, oświadczył z uśmiechem.

— M”sieur gotowy? — Pięć minut później Marla była z powrotem. Tym razem niosła wielki ręcznik. Pomogła mu wyjść z wanny. Wytarła go, dbając szczególnie o najbardziej intymne części ciała, wzięła za rękę i zaprowadziła do sypialni.

— Co takiego? Przed kolacją? — spytał, unosząc brew.

Parsknęła bardzo po fiancusku.

- Mais non, monsieur. Francuzi zawsze przysiają pierwszeństwo jedmniu. - I podała mu ciemnoniebieski aksamitny szlafik z atlasowymi wyłogami.

Mruczał coś pod nosem, wkładając ręce w rękawy, a potem ze zdumieniem spojrzął na siebie.

154

— Czuję się jak mężczyzna z reklamy.

— Wyglądasz jak Francuz — poprawiła, całując go.

Al zamknął oczy, by wykorzystać ten pocałunek do granic możliwości. Chciał, żeby nie przerywała, ale Marla była zbyt zaabsorbowana swoją rolą.

- Niech m „sieur idzie ze mną. — Wzięła go za rękę i zaprowadziła do stołu.

— Piękne, cudowne — powiedział, patrząc na białe orchidee, adamaszkowy obms i serwetki, zastawę i wykwinne kryształ. — Skąd to wszystko masz?

- Pożyczyłam od matki.

— Pożyczyłaś? Od matki? Chcesz powiedzieć, że ona ci to pożyczyła?

— Powiedziałam, że zaprosiłam na kolację trzydziestosześcioletniego nieżonatego ortodontę.

Al aż się skręcał ze śmiechu, gdy odsuwała dla niego krzesło.

— Ale coś tu jest nie tak. Nakryłaś stół tylko dla jednej osoby.

— Ależ oczywiście. Francuska pokojówka nigdy niejada przy stole swojego pana. Jest wyłącznie po to, żeby mu usłużyć.

— Doprawdy? — Al pokiwał głową. — Więc powiedz mi coś, mademoiselle. Co dokładnie robią ze sobą francuska pokojówka i jej pan? Wiesz, o co mi chodzi. — Sugestywnie unióśł brwi, a Marla zachichotała i uderzyła go po rękę.

— Och, m „sieur, co za nieprzyzwoite myśli — i odskoczyła, kręcąc zalotnie miniaturową spódniczką, dzięki czemu miał przez chwilę cudowny widok najej śliczny tyłeczek. Zaraz wróciła z taca niosła ją trochę krzywo. Słyszał, jak naczynia stukają o siebie, gdy dreptała na szpilkach. Usłyszał ciche: „cholera”, gdy usiłowała zachować równowagę i poprawić ustawienie półmisków.

— Nie jestem dobra w roli kelnerki poinformowała, z ulgą stawiając tacę na stole.

Al ciekawie przyglądał się potrawom. Kawior w ochłodzonej kryształowej czarce, świeże szparagi z cytrynowym sosem holenderskim, łosoś z wody, pięknie udekorowany plasterkami ogórka i gałkami koperku, sałatka z groszku i zieleniny. Były nawet maleńkie blmy do kawioru.

— Marla, gdzie to wszystko dostałaś? -- spytał, patrząc jej prosto w oczy.

— Cały dzień trudziłam się w kuchni dla mojego m „sieur — odparła, patrząc na niego spod rzęs. — A naprawdę kupiłam to u Gelsona w Palisades — wyznała.

— Skarbie, dołączysz do mnie? Czy też całą noc będziemy się bawić we fiancuską pokojówkę i jej m „sieur?

— Och, chciałam ci zrobić niespodziankę, troszkę się zabawić z moim m kieur.

Obtoczył szparag w kawiorze i podał jej do ust.

— Spróbuj — polecił.

— Filister — mruknęła, a potem wykonała polecenie.

155

Uwielbiam cię, gdy się ze mną droczysz — oświadczył całując ją, gdy miała pełne usta. Zaczął zlizywać kawior z jej warg. — Myślisz, że ktoś już jadł kawior w ten sposób? Komu potrzebne są bimby, jeżeli ma francuską pokojówkę?

Och, a niech to! — zachichotała, zawirowała spódniczką. Nagle znalazła się na jego kolanach i między pocałunkami wkładała mu do ust łyżki kawioru. Nie trzeba było długo czekać, by ze szklankami w rękach znaleźli się na dywaniku przed kominkiem. Z płyty słychać było Isaaca Hayesa, który przechodził sam siebie. Gotowany łosoś i sałatka pozostały zapomniane na stole, a oni się namiętnie całowali.

Jego ręce wśliznęły się pod jej króciutką sukienkę francuskiej pokojówki. Jak się spodziewał, pod halkami nie miała nic.

— Dlaczego musisz mieć pośladki jak nastolatka? — zażartował, głaszcząc miłośnicie. Bo nadal jestem prawie nastolatką— szepnęła, liżąc go ucho. Tapieszczota w całym jego ciele wzbudzała rozkoszne dreszczyki.

— Och tak, dziecinko, tak, tak

Marla jęknęła i ręce Ala wsunęły się między jej uda. Zaczęła się wić, i niemal by przysiągł, że widzi przebiegające między nimi maleńkie błyskawice namiętności. Gdy Marla się kochała, jej repertuar wokalny był jednym wielkim cudem: prośby, ekstatyczne okrzyki, cichutkie skomlenia...

— Zawsze lubiłem, jak kobieta jęczy — powiedział dużo później, gdy już wszystko dobiegło końca i sączyli szampana przy kominku.

— Oui, m „sieur, francuska pokojówka zawsze stara się spełnić życzenia swojego pana — szepnęła zmysłowo.

— Możesz być pewna, że akurat tej pokojówce całkowicie się to udało

— Al roześmiał się.

I rzeczywiście, przez prawie dwie godziny ani razu nie pomyśleli o Bonnie-Laurie.

Rozdział XXXIV

Kupno nowego Clyde'a obudziło wspomnienia Laurie o jej pierwszym piesku. Zwłaszcza koło drugiej nad ranem, gdy wypiła już pół butelki tequili, a wokół panowała głęboka cisza i wspomnienia zżerały umysł.

Pierwszego Clyde'a znalazła jeszcze w dzieciństwie. Był to mały łobuziak, którego napotkała przy szosie. Bezdomny, z łapkami krwawiącymi po długiej drodze, którą musiał przebyć, zanim wzięła go w ramiona i zamieszkał w jej sypialni, na jej łóżku, mimo bardzo głośnych narzekań rodziców dotyczących pcheł, wściekliczny i psów w ogólności.

Jeżeli wyrzucicie Clyde'a, ja też sobie pójdę! — wrzasnęła i coś w jej spojrzeniu zmusiło ich do zgody, by trzymała psa. Clyde był z nią dziesięć lat, aż do swojej śmierci w późnym jak na psa wieku. Któregoś ranka po prostu się nie obudził, a ona wyplakała całe serce, grzebiąc go w niewielkim grobie, który wykopała na tylnym podwórku. Miała nadzieję, że jego szczątki nadal tam spoczywają, bo nikt w okolicy nie przykładał zbytnej wagi do uprawy ogródków.

Clyde II był jej zaufanym powiernikiem. Kupiła go w schronisku w Jacksonville na Florydzie, a Clyde „a IH kupiła w schronisku w Oakland. Okazało się, że Clyde II był idealnym Clydem dla swojej Bonnie. Inteligentny, wesoły, odznaczał się nieprawdopodobną empatią. Nie przypuszczała, że pies jest zdolny do takich uczuć. Na przykład warczał na przechodniów, którzy jej się nie podobali, wyczuwał jej depresję. Przychodził, opierał się o nią ciepłym ciałkiem i lizał po twarzy. Wtedy przestawała się czuć taka samotna. Clyde”owi nigdy nie trzeba było nic mówić. Odbierał na fali, na jakiej ona nadawała. Byli Bonnie i Clydem, idealną parą. Z nowym psem, który teraz siedział u jej nóg, podczas gdy leżała na czerwonej winylowej kanapie oglądając „Milczenie owiec” i popijając czystą tequilę, takiej pary nigdy nie stworzą.

Nie piła już margarit, nie miała głowy do tak wyrafinowanych koktajli.

Podobał jej się palący gardło smak tego mocnego alkoholu, mrowienie w piersi, gdy spływał do żołądka, rozgrzewający efekt, jaki odczuwała.

W przeciwieństwie do innych ludzi, nigdy się nie upijała ani nie popadała w otępienie. Jimmy zawsze mówił, że ma żołądek z żelaza.

Jimmy! Ten łajdak! To przez niego miała te wszystkie kłopoty.

Wypiła kolejny łyk tequili i zaczęła sobie wyobrażać, co mogłaby teraz zrobić Jimmy”emu yictorowi. Były to pomysły podobne do tych, które realizował Hannibal w filmie, który właśnie oglądała. Przypomniała sobie nagle, że już zajęła się Jimmym. Ale teraz znaleźli jego ciało i łajdak może wrócić i znów ją prześladować. A przynajmniej prześladować Laurie Martin.

Była jednak pewna, że po tych wszystkich latach gliny nie zdołają trafić na ślad Bonnie Hoyt-yictor. Gdy stała się Bonnie Harmon, zostawiła całą przeszłość w innym stanie, w całkowicie innym świecie. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że zniknięcie Lamie Martin może mieć coś wspólnego z zamordowaniem Jimmy”ego Victora. O tak, ona, Maria Joseph, jest bezpieczna.

Nic takiego by się nie wydarzyło, gdyby nie Bean Hamion. Dostałaby wszystkie pieniądze Bossa i nie musiałaby pracować jako pośredniczka handlu nieruchomościami. Wtedy Jimmy nie miałby żadnej szansy, by ją znaleźć.

157

Mogła nadal przyjemnie sobie żyć. Miałaby ładny dom, drogie ubranie, pierścionki z brylantami, dobry samochód... i nie musiałaby już klepać starych mężczyzn po rękę ani po żadnej innej części ciała, by uzyskać to, na czym tak jej zależało.

Poniosła klęskę z winy Beau Harmona, jego i tej dziwki Loretty. Beau Harmon zamordował Clyde”a.

Gdy przypomniała sobie martwe ciało porzucone na podjeździe domu w Teksasie, otoczone rojami bzycających much, jej serce przeszył straszliwy ból. Jęknęła, a nowy Clyde zerwał się na nogi i zaczął niespokojnie szczekać.

Kula prosto w serce nie wywołałaby tak ostrego bólu jak to wspomnienie. Nowy Clyde tytko wzmagal tęsknotę za poprzednim. Nowy piesek wyglądał prawie identycznie, ale okazał się głupkowaty. Za mało agresywny, zbyt przyjacielski wobec wszystkich. Na ulicy podbiegał do obcych, obwąchiwał ich i lizał im ręce. Pierwszy Clyde nigdy by tego nie zrobił. Należał do niej, a ona do niego. Taką zawarli niepisaną umowę.

Jimmy Victor zapłacił za to, że jej groził. Teraz przysięgła sobie, że nadeszła kolej na Beau, by cierpieł tak, jak ona cierpi od czasu, gdy straciła Clyde'a.

Zastanawiała się, czy nie pojechać do Teksasu, wycelować w Beau pistolet i zlikwidować go razem z tą jego zabalsamowaną żoną. Wyniosła Loretta nie będzie już wyglądała tak nieskazitelnie, gdy na jej okrytej jedwabną lawendową suknią piersi rozleje się czerwona krew. Może nawet popłynie na białe kanapy i aksamitne białe dywany w jej białym pokoju, który przypominał jakąś cholerną kapliczkę kultu dziewiczości. A może Loretta nadal jest dziewicą? Nie wydaje się, aby jakkolwiek mężczyzna chciał położyć rękę na tych plastikowych piersiach, a tym bardziej kochać się z nią.

Na tę myśl Laurie się roześmiała i otworzyła następną butelkę tequili. Nie potrzebowała wykwinnych trunków, wystarczy jej ten tani alkohol. Był mocny i lubiła to, co wyprawia z jej głową.

Z fascynacją patrzyła, jak Janibal Leeter chodzi wokół dołu, do którego wrzucił przerażoną ofiarę. Czy będzie ją obdzierał żywcem ze skóry? Czy potem wygarbuje skórę i zrobi sobie z niej kamizelkę? Jem, ten facet był rzeczywiście kopnięty...

Clyde przestał szczekać. Iłżył się z łebkiem najej kolanach i patrzył na nią miłością. Poglaskała go bezwiednie, ale jej myśli wróciły do tamtego Clyde'a. Do Beau i Loretty. Przysięgła, że pewnego dnia go pomści. Teraz nadszedł ten czas.

Jest jeszcze dwoje innych ludzi, którymi musi się zająć. Już wpisała ich na swoją listę. Ale Beau ma pierwszeństwo.

Jak to załatwić, zastanawiała się. Tę decyzję chciała podjąć dzisiejszej nocy. Jak zabić Beau i Lorette?

Podrzucić jej do łóżka grzechotnika? Roześmiała się w głos na myśl o Loretcie znajdującej w łóżku węża albo Loretcie znajdującej w łóżku cokolwiek innego niż ona sama. Ależ by ta stara dziwka krzyczała! Loretta poruszała się powoli jak plama oleju na wodzie. Wąż zdążyłby ją ukąsić zanim w ogóle ruszyłaby tyłek.

Z tym pomysłem wiązała się pewna trudność. Nie, dwie trudności. Pierwsza to zdobycie grzechotnika. Druga, jak dostać się do domu Harmonów i podrzucić go do łóżka Loretty? Ze zmarszczonym czołem popijała tequilę i oglądała zakończenie „Milezenia owiee”.

Ucieszyła się, że morderca wydostał się z opresji. Mądrzy ludzie, tacy jak on i jak ona, zawsze dają sobie radę.

Bomba w liście! Ta myśl, ostrajak strzała, przesyłając jej umysł. To idealne rozwiązanie, łatwe i można zachować anonimowość. Ludzie otwierają przesyłki automatycznie i bombaw liście prawie zawsze jest skuteczna. Musi się tylko dowiedzieć, jak sporządzić taką bombę.

Z uśmiechem wyłączyła telewizor, zrzuciła Clyde'a z kolan i poszła do sypialni powoli i ostrożnie, ale bez potykania się. Było to spore osiągnięcie po opróżnieniu pókorej butelki tequili. Po raz kolejny niepokalana biel prześcieradeł uświadomiła Lawie nędzę, która ją otacza, i z oczu popłynęły jej łzy.

Wyrówna rachunki z tymi łajdakami, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

Rozdział XXXXV

Przygotowanie listu z bombą okazało się proste, łatwiejsze niż zdanie egzaminu z przyrody w liceum. Musiała tylko zachować ostrożność, gdy kupowała potrzebne rzeczy: kopertę odpowiednich rozmiarów, mechanizm, detonator i plastik. Koperta musiała przylegać do bomby bardzo dokładnie, bo zwolnienie nacisku detonowało bombę. Ofiara otwierała list, patrząc śmierci prosto w oczy. Ale śmierć itak była czymś zbyt dobrym dla Beau Harmonda.

Sądziła, że nikt nie powiąże bomby w liście z Marią Joseph czy Bonnie Hannon, ale mimo to podjęła wszystkie możliwe środki ostrożności. Kupowała niezbędne elementy daleko od Oakland i każdy w innym sklepie. Aż się spociła, montując je. Użyła chirurgicznych rękawiczek, żeby nie zostawić odcisków palców, a z plastikiem obchodziła się tak delikatnie, jakby to był noworodek. Do takiej roboty trzeba mieć stalowe nerwy, ale Laurie zawsze była dumna ze swojej zimnej krwi. Tyle że do tej pory nikt nigdy jej nie zagrażał. Musi uważać, żeby nie wysadzić się w powietrze. Byłaby to doprawdy ironia losu.

Śmiała się, siadając za porysowanym dębowym stołem. Clyde usiadł na krześle naprzeciwko i obwąchiwał plastik pachnący migdałami, a Laurie mocowała go wokół mechanizmu. Włożyła na miejsce detonator i wszystko umieściła między dwiema sztywnymi tekturkami.

Na grubej brązowej kopercie wypisała nazwisko i adres Beau. Na wszelki wypadek przylepiła naklejkę Neimana Marcusa, żeby przesyłka nie budziła najmniej szych podejrzeń, choć uważała, że to przesada. Beau nie miał powodu spodziewać się listu z bombą.

Ostrożnie włożyła pakiet do koperty, upewniła się, że nie będzie się przesuwac i jest sztywny. Zakleiła kopertę i zabezpieczyła zamknięcie taśmą klejącą.

Pojechała na pocztę do San Francisco, daleko od domu, żeby zważyć pakiet. Urzędnik stwierdził, że jest dość ciężki jak na swoje rozmiary i pobrał stosowaną opłatę.

Wychodząc z poczty, Laurie się uśmiechała. Tak łatwo jest zadać komuś śmierć.

Rozdział XXXXVI

Teskańskie słońce wprost parzyło, ale w domu Harmonów na życzenie Loretty było przeraźliwie zimno. Beau z wieloletniego doświadczenia wiedział, że Loretta zawsze dostaje to, czego chce. Ale jeśli myśli, że on da się dla jej przyjemności zamrozić, bardzo się myli.

Wspiał się po schodach przykrytych lawendowym dywanem i minął apartamenty żony — poemat w lawendowych, brzoskwiniowych i jabłkowo-zielonych najlepszych angielskich perkalach.

— Czy nigdy nie przyszło ci do głowy że mieszkamy w Teksasie? — spytał Beau, gdy po raz pierwszy to zobaczył.

— Nie martw się. Nie musisz go ze nutą dzielić. Twój pokój jest na parterze — odparła z naciskiem Loretta.

I rzeczywiście, przeznaczyła dla niego apartament po lewej stronie holu, z łazienką i salonikiem.

Urządził go po męsku, zgodnie z tym, jak sam siebie widział, nie tak, jak chciałaby go widzieć Loretta. Łśniące ściany w głębokiej czerwieni; ciężkie łoże w stylu króla Jakuba, rzeźbione w dębie, z baldachimem na czterech słupkach; reszta mebli polakiemwana na czarno i barek ukryty w chińskiej szafie. Wielki zdalnie sterowany telewizor stał w wytwornej szafce umieszczonej w nogach łóżka. Gdyby Loretta mu pozwoliła, chętnie wyłożyłby sufit lustrami, ale uznała to za wulgarne. Loretta nie lubiła się pieprzyć. I to właśnie stanowiło główny problem w ich wspólnym życiu.

Była zimna jak jej dom. Beau wyobrażał sobie, że Loretta ma jakiś wewnętrzny system klimatyzacji, dzięki któremu jest prawie całkowicie zamrożona. Nietknięta i niedotykalna. Och, oczywiście, że ją „dotykał”, ale nie sprawiło mu to wiele radości ani nie przyniosło ulgi jego zmysłom. Tego rodzaju doznań musiał szukać poza domem, u kobiet takich jak Bonnie.

Bonnie zanim wyszła z jego ojca, była łakomym kąskiem. Kiedyś, siedząc nad drugim kieliszkiem koniaku w restauracji, w której pracowała, myślał nawet o tym, by mieć ją dla siebie. Kręciła króciutką spódniczką, pokazując uda i zgrabne nogi. Na pewno wiedziała, że się jej przygląda. Ale ta mała dziwka zagięła parol na jego ojca.

Poszedł do swojej garderoby trzy razy większej niż sypialnia Bonnie — wzięł czerwony kaszmirowy sweter, wrócił do salonu, przycisnął guzik otwierający szafkę z alkoholami i patrzył na lśniące butelki i kryształowe szklanki. Wyciągnął famous grouse i napił się prosto z butelki. Od razu poczuł się lepiej. W tym domu nawet niedźwiedź polarny zamarłby na śmierć. Loretta celowo tak to urządziła, żeby zbytnio jej się nie naprzykrzał. — Bogate kobiety przysparzają wielkich kłopotów — ostrzegł go Boss, gdy powiedział mu, że zamierza się ożenić z Loretą Larson. --Nie pozwoli ci rządzić sobą i nie będziesz miał nic do powiedzenia w domu. Ale Beau nigdy nie miał nic do powiedzenia. Boss o to zadbał. Zawsze trzymał go krótko, jeśli chodzi o finanse, zawsze sprawiał, że Beau czuł się gorszy. Musiał być ojcu wdzięczny za każdego centa, jaki dostawał, mimo że ciężko pracował w ich salonie samochodowym, a przez ostatnie lata właściwie sam prowadził interes. Ale jeśli chodzi o Loretę, Boss miał rację. Małżeństwo z Loretą oznaczało małżeństwo z jej petrodolarami, a ona skapiła mu ich równie zdecydowanie, jak była hojna dla siebie samej. Wydała majątek na dom, kupowała sobie mnóstwo strojów i biżuterii, zatrudniła kamerdynera, a w stajniach trzymała kosztowne konie. Tak jak wszystko, co dotyczyło Loretty, również konie były tylko na pokaz. Mimo to dzięki jej adwokatom udało się uratować większość pieniędzy ojca przed Bonnie Harmon. Te dwieście tysięcy warte były tego, żeby się jej pozbyć. Beau nareszcie zdobył trochę niezależności, ale nie na tyle, żeby porzucić Loretę i zamieszkać w Dallas ze swoją dziewiętnastoletnią blondyneczką., którą poznał w jakimś striptizowym klubie. Twierdziła, że go koeha, a gdy byli razem, co zdarzało się wtedy, gdy zdołał oszukać Loretę, że

wyjeżdża „w interesach”, zachowywała się tak, jakby to była prawda Beau stał przy oknie, popijał koniak z butelki i patrzył na rasowe konie Loreny, pasące się na pięknej łące przy stajniach, na zadbane ogrody Loreny i jej stawy, w których błyskały czerwonej pomarańczowe grzbiety japońskich karp. I na jej ogrodników męczących się w upale. I na jej angielskiego kamerdynera, który właśnie schodził z filntowych schodów, by wziąć pocztę od listonosza. Zaraz położy listy na srebrnej tacy na stoliku w holu. Tak dzieje się w arystokratycznych angielskich domach, jak wyjaśniła mu Loretta. Beau domyślał się, że to, co było dość dobre dla brytyjskiej arystokracji, z konieczności wystarczało również Lorecie. Pamiętał, że w ich domu w Falcon City mama i ojciec czytali listy przy kuchennym stole.

Listonosz podał kamerdynerowi również jakiś pakiecik, który ten włożył sobie pod pachę. Najprawdopodobniej Loretta znów coś kupiła w TV- shopie, domyślił się Beau. Nigdy by się tego po niej nie spodziewał, ale wszystkie bożonarodzeniowe zakupy załatwiała w ten sposób. Nie wymaga to wysiłku i oszczędza się przy tym sporo pieniędzy, wyjaśniła. Loretta była nie tylko zimna, ale i skąpa. Beau nie cierpiał jej i wiedział, że podobne uczucia wobec niej żywi wiele osób z ich otoczenia.

Mimo to nadal chodzili razem na sobotnie proszone kolacje, niedzielne lunche, parady wozów z sianem, odbywające się po sianokosach, które Lorena, odgrywając panią na włościach, organizowała co roku. Na tę okazję wkładała różową chłopkę, lityzjer artystycznie układał jej włosy „na ludowo” i przykrywał koronkowym czepeczkiem. Nikt nie ośmielał się odrzucić zaproszenia Lorety Larson Harmon. Przybywano tłumnie na jej wieczory kolęd, celebrowane przy ogromnej choince, ozdobionej gigantycznymi złotymi kokardami i złożonymi różami z jedwabiu, ale na okapie kominka nie wieszano pończoch z prezentami; Loretta nie miała cierpliwości do dzieci. Mawiała, że narobiłyby bałaganu w jej pięknym domu. Po wieczorze kolęd rozchodzili się do swoich osobnych apartamentów. Beau zaspokajał potrzebę rodzinnych świąt butelką famous grouse, a Loretta zapewne balsamowała się kremem na noc i okrywała najdroższym jedwabnym całunem, jaki można było dostać u Neimana. Tyle że nazywała go peniuarem.

Właśnie wracała do domu. Jej lawendowy rangeroyer pędził wzdłuż podjazdu, rozrzucając na boki żwir, drogi i kosztowny w utrzymaniu. Uważała, że rangeroyer pasuje do wizerunku uprawiającej sporty angielskiej arystokratki. Czy przyzwoita angielska dama jeździłaby lawendowym samochodem, no, może oprócz Fergie?

Słyszając, jak Pearson otwiera drzwi i wita miłady swoim zwyczajowym:

„Dobry wieczór, madame, main nadzieję, że dzień upłynął pani przyjemnie”, Beau pozwolił sobie na jeszcze jeden haust koniaku.

— Tak, Pearson, dziękuję — odpowiedziała Loretta. — Jestem wykończona. Przynieś mi, proszę, herbatę do pokoju. I gazety, oczywiście oprawione. — Nie znosiła pogniecionych gazet ani śladów farby drukarskiej na palcach.

162

— Oczywiście, madame. Earl gray, jak przypuszczam, madame?

— Słusznie przypuszczasz — rzuciła, wchodząc po schodach.

Beau stał za drzwiami swojego pokoju i nasłuchiwał, dopóki Loretta nie zamknęła drzwi. Wtedy znów zaczął oddychać swobodnie.

Więc madame jest wykończona po lunchu z innymi damami. To doskonale, bo Beau zaplanował sobie też odrobinę pracowitych zajęć jutro w Dallas. Tak, krótka wizyta w Dallas to jest to. Wypił jeszcze trochę koniaku i wystukał numer swojej blondynki, żeby się z nią umówić.

Usłyszał kroki na schodach. To na pewno Pearson niesie madame tacę z podwieczorkiem i gazety. Rozległo się delikatne pukanie do drzwi, Loretta wpuściła kamerdynera. Po chwili wyszedł z apartamentu.

— Och, Pearson! — zawołała z tą nosową wymową którą Boss zawsze nazywał prowincjonalnym teksaskim akcentem. — Czy poczta już przyszła?

Potwierdził, a ona kazała mu przynieść listy.

Beau poczta nie interesowała. Znalazłby tam tylko mnóstwo rachunków, a Loretta itak się nimi zajmie. Skoro tylko ona wydawała pieniądze, powinna płacić za swoje zachcianki. Gdyby zapłatał się tam jakiś rachunek dotyczący jego blondynki, chyba kazałaby go zabić. Tak jak wszyscy mężczyźni, którzy mają coś do ukrycia, Beau potrafił trzymać buzię na kłódkę, a blondynka stosowała się do jego poleceń w tym względzie. Nie krył się z nią za zamkniętymi drzwiami gabinetu w biurze. Umieścił ją w ładnym, dyskretnym mieszkanku, dawał pensję, a w zamian dostarczała mu zwykłych radości, jakich pragnie każdy dorosły człowiek. Czy można go za to potępić?

Beau westchnął i opadł na miękkie poduszki czerwonej kanapy, które otuliły go ze wszystkich stron. Popijał, patrząc ponuro w okno. Nie mógł się doczekać wyjazdu do Dallas. Poleciał wcześniej rano, zanim Loretta się obudzi.

Zaczynał zapadać w drzemkę, gdy w domu rozległ się głośny huk. Z krzykiem zerwał się z kanapy.

Jem, co się stało?! wrzeszczał, biegnąc do drzwi.

Z miejsca, w którym do niedawna znajdowały się wysokie dwuskrzydłowe drzwi do apartamentu Loreny, wydobywał się dym. Pearson głośno wbiegał po schodach, na jego zwykle obojętnej twarzy malowało się przerażenie.

Potrzebna była aż tak cholerna eksplozja, żeby odmrozić mu twarz, pomyślał Beau, omijając ciężkie, wyrwane z zawiasów drzwi. Za nimi zobaczył zrujnowany pokój.

Loretta leżała na fotelu obitym brzoskwińowym materiałem w kwiaty, dookoła walały się szczątki serwisu do herbatu. Jedno ramię, zwieszało się pod dziwnym kątem jak u zesutej lalki. Na podłogę kapłała krew. Ramię nie było zakończone dłonią.

Beau odwrócił się i zwymiotował do chińskiej wazy stojącej na stoliku. Pearson zadzwonił na policję.

Rozdział XXXXVII

Ali Marlajedli kolację w „Tra Di Noi”, sympatycznej włoskiej knajpce w Malibu. Siedzieli w zacisznym kąciku, gdzie według Marli mogli całować się bez zwracania na siebie uwagi i gdzie Al, powodowany instynktem byłego policjanta, czuł się bezpieczniej, mając za plecami ścianę. Wcale nie oczekiwał, że coś się wydarzy, ale taki już był. Znajdowali się

przecież w praworządym Malibu, gdzie —jak mówiono —policjanci rozgrzewali się, wystawiając mandaty drogowe i pilnując paparazzich, którzy oblegali miejscowe gwiazdy kina.

Lokal wyglądał jak typowa knajpka w Toskanii; obsługa była miła, a jedzenie dobre. Marla zamówiła ulubione spaghetti po bolońsku i teraz zręcznie nawijała makaron na widelec, a Al zabrał się do wielkiej porcji cielęciny.

— Musisz tego spróbować — powiedział z uznaniem. Odciał kęs i podał jej na widelcu do ust. Marla wyglądała seksownie. Miała na sobie cieniutki biały top i obcisłe džinsy, a jasne włosy z ciemniejszymi pasemkami otaczały jej twarz aureolą loków. Ostatnio zmieniła fryzurę. Na bluzce miała napis „Nicmośna”. Al wiedział coś o tym i uśmiechnął się rozbawiony.

— Wiesz co? Pięknie dziś wyglądasz — powiedział, zmiatając z talerza ostatni kawałek cielęciny.

— Mm. — Miała pełne usta, ale pochyliła się nad stołem i pocałowała go. — Ty też — wymruczała. — Zauważyłeś we mnie coś nowego?

Obejrzał ją dokładnie.

— Nowe uczesanie? Podoba mi się.

— Tak, i bardzo ci dziękuję, że je spostrzegłeś. i za komplement, chociaż musiałam cito uświadomić. Ale coś innego.

— Wobec tego poddaję się.

— Nie zauważyłeś, że dziś jestem ubrana dokładnie jak ty, w podkoszulek i džinsy. Czyli strój prywatnego detektywa?

— Po pierwsze, nie noszę żadnych rzeczy w paski po spaghetti i ze słowem „Niežnośny” na piersi, po drugie, moje džinsy nie są tak obcisłe jak twoje.

Pogładziła się po szczupłych biodrach.

— Chciałbyś, co? — mruknęła. —Do tej pory myślałam, że prywatni detektywi noszą błyszczące garnitury, krawaty w wielkie wzory i kapelusze z szerokim rondem, nasadzone trochę na ukos.

— Skarbie, musiałbym się urodzić jakieś czterdzieści lat wcześniej, żeby tak się ubierać

— wyjaśnił Al z uśmiechem. — Pomyliłaś mnie z Frankiem.

— Jakim Frankiem?

164

Westchnął, wyjmując z kieszeni telefon, by odtworzyć pocztę głosową. Czasami zapominał, że Marla jest taka młoda.

— Marla, był tylko jeden Frank.

Gdy wysłuchiwał litanii informacji, zamówiła na deser tiramisu z dwoma widelczykami. Na twarzy Ala odbiło się zdumienie. Ze zmarszczonym czołem spojrzał na zegarek.

— Coś podobnego — powiedział. — Dzwonił do mnie Beau Harmon. Jakaś godzinę temu. Miał dziwny głos.

— Dziwny? — Spojrzała na niego, a potem popatrzyła na kremowe tiramisu, zabójcze dla linii, ale takie smaczne.

— Tak... chyba siębał.

— Po co Beau Harmon miałby się z tobą kontaktować? Odniosłam wrażenie, że bardzo się cieszył, gdy pozbył się ciebie, a także Bonnie.

— To prawda. Jego żona też była zadowolona. I dlatego cała ta sprawa staje się jeszcze dziwniejsza. Chyba że Bonnie znów uniosła do ataku swoją małą, diabelską główkę.

— W Teksasie? — Marla poczuła podniecenie. — Przy takiej różnicy czasu w San Antonio minęła już chyba północ. Dlaczego miałby dzwonić tak późno?

— Coś się stało. Marla, kończ szybko swoje tiramisu. — Dał znak kelnerowi, że prosi o rachunek. — Muszę wracać do biura.

Wsiedli do mercedesa, Marla prowadziła, jeżeli można to było nazwać prowadzeniem. Sączyła z papierowego kubka kawę, którą kupiła sobie po drodze, a wolną ręką wystukiwała jednocześnie numer na telefonie.

— Marla — upomniał ją Al, gdy pędzili nadbrzeżną autostradą. — Nie trzymasz rąk na kierownicy.

Marla wysłuchiwała wiadomości i piła kawę, kierując teraz tylko kilkoma palcami lewej ręki.

— Oczywiście, że tak. Giraud, nie-mów, że się denerwujesz.

— Jasne, że się denerwuję. Marla, prowadzisz samochód, musisz się skoncentrować tylko na tym. A tobie się wydaje, że możesz robić trzy rzeczy naraz.

— Dałbyś wiarę, że mogłabym robić nawet cztery rzeczy? — spytała, ściskając wymownie jego udo.

— Mimo to wołałbym, żebyś w tej chwili zajęła się wyłącznie prowadzeniem samochodu. Rzuciła mu triumfalne spojrzenie, ostro zakręciła w Sunset i z nogą na gazie pomknęła na wzgórze.

— Tchórz — syknęła. Tym razem się z nią zgodził.

Na zakrętach Palisades musiała trochę przyhamować. Minęli Bel Air, Beyerly Hills i dotarli na Sunset Strip. Wreszcie znaleźli się na parkingu na tyłach biura Ala. Marla gwałtownie zahamowała.

165

— Jaki miałam czas? — spytała bez tchu, przeglądając się we wstecznym lusterku i nakładając na usta świeżą warstwę błyszczycy.

— Wspaniały. -- Al już zdążył wyskoczyć z samochodu.

— Zaczekaj na mnie! — Pobiegnęła za nimi wzięła go pod rękę. Jej długie nogi bez trudu dotrzymywały mu kroku. — Kłopot polega na tym, że bardziej cię interesuje Beau Harmon niż ja. — Westchnęła. — Bo inaczej nie szedłbyś do biura w piątek o północy.

— Jestem prywatnym detektywem i dostałem pilny telefon. Marla, musisz się do tego przyzwyczaić — powiedział, otwierając kluczem drzwi.

— Och, bzdury — mruknęła, chwytając gruby list, który zostawiono przed drzwiami. Położyła go na biurku, sama przysiadła na krawędzi i zaczęła machać nogą. W tym czasie Al dzwonił do Beau.

— Harmon? Beau sam odebrał telefon i Al przez sekundę zastanawiał się, gdzie jest kamerdyner. Był pewien, że Loretta każe mu pracować na okrągło. — Tu Giraud. Prosiłeś, żebym jak najszybciej zadzwonił. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

— Chyba już nigdy nie zdołam zasnąć — powiedział Beau tak głośno, że nawet Marla to usłyszała.

— No dobrze, chłopie, uspokój się. Słyszę cię bardzo dobrze, nie musisz krzyczeć. Powiedz, co się stało.

Ai chodził w tę i z powrotem z telefonem wciśniętym w ucho.

Nie mogąc usłyszeć tego, co mówi Beau, Marla obejrzała przesyłkę. Była na niej nalepka Neimana Marcusa. Mm, kto to wysłał Alowi takie prezenty? Cudowne małżeństwo z San Antonio, Loretta i Beau? Z tego, co wiedziała, nie są znani jako ludzie chętnie obdarowujący innych. Więc kto? Czyżby Al miał jakąś cichą wielbicielek? A może wcale nie jest taka cicha. Marla obejrzała starannie kopertę. Nie było adresu nadawcy, a imię i nazwisko Ala oraz jego adres zostały wypisane drukowanymi, dużymi literami. Jeszcze raz zważyła przesyłkę w rękę. Zaczynała być zazdrosna. Koperta, jak na swoje rozmiary, była ciężka. A Marla wiedziała z całą pewnością, że Al nigdy nie robi zakupów w sklepach sieci Neimana Marcusa. I tak dobrze, że chodził przynajmniej do Gap.

— Co to za kobieta przysłała ci prezenty od Neimana? — spytała na głos, zdzierając taśmę klejącą.

Al słuchał uważnie tego, co mówił Beau.

— Co to było? — spytał oszołomiony. Potem: - Marla!!! — Krzycząc rozpaczliwie, rzucił się w jej kierunku. — Jezus, Maria! — wrzasnął jeszcze. Aż otworzyła usta ze zdziwienia, gdy złapał ją i rzucił przez pokój częściowo otwartą kopertę i cisnął Marłę na podłogę, przykrywając własnym ciałem.

Wtedy Marla zaczęła krzyczeć mu w ucho, ale niezbyt ją słyszał, bo nagle rozległ się głośny huk, szyby z łoskotem wyleciały z ram, pokój napełnił się ciężkim, ciemnym dymem i pyłem, a z podłogi uniosły się pomarańczowoczerwone języki ognia.

— Co to jest? Co się tu dzieje? — łkała Marla, drżąc na całym ciele. Al postawił ją na nogi, szybko sprawdził, czy nie jest ranna, a potem poprowadził wśród płonących szczątków mebli. Gdy wyszli na schody, z oddali już dobiegał dźwięk syren.

— Zaraz cito wyjaśnię — powiedział ponuro Al. — Bonnie Harinon, ostatnio znanajako Laurie Martin, żyje i właśnie wróciła do pracy.

Rozdział XXXXVIII

Detektyw Lionel Bulworth z wydziału zabójstw siedział, a właściwie na pół zwiślał z o wiele za małego jak najego rozmiary stołka w harze hotelu „Sea Breeze Inn” w Pensacoli na Florydzie. Otaczały go palmy w donicach i lduz ceramicznych gęsi lejących gdzieś w dal na turkusowych ścianach. Pow! Powers siedziała naprzeciwko niego, i to jaka Pow! Włożyła cywilne ciuchy, to znaczy czarny kostium i białą bluzkę, a zamiast krawatu zawiązała wokół szyi czerwoną apaszkę. Stroju dopełniały skórzane wypolerowane do połysku buty do konnej jazdy.

Jak jakiś cholerny miejski kowboj, pomyślał Bulworth ze zdumieniem. Ale Powers, mimo że też nie ważyła mało, jakoś potrafiła się usadowić. Przedtem przeszła przez wszystkie

biurokratyczne korowody, gdy on telefonował. Teraz porównywali swoje notatki nad szczęśliwie zimnym piwem, odpoczywając przy oknie wychodzącym na szklisty, niezmierny ocean. A może to była Zatoka Meksykańska? Na Florydzie człowiek nigdy nie mógł być tego pewny.

— Mam kopie świadectwa ślubu Jimmy”ego i aktu zgonu, wydany przez lekarza, który badał ciało po pożarze. Mam też kopie wycinków z gazet, dotyczących wypadku, i zdjęcia jego żony Bonnie. — Z miłym uśmiechem Powers podała szefowi plik papierów. Bulworth szybko je przerzucił, przyjrzał się dokładnie tylko zdjęciu Bonnie.

— Nikt, kogo byśmy znali — stwierdził obojętnie. — A na dodatek mówią „, że dzielnie ratowała męża z płonącej przyczepy.

— Tyle że to nie był Jimmy. Powers postawiła kropkę nad i.

— „lkk. Pytałem w tutejszej komendzie, czy w owym czasie zgłaszano czyjeś zaginięcie.

— I? — Łyknęła spory haust piwa i wzięła garść precli.

— Kilka dni po pożarze przyczepy zgłoszono zaginięcie niejakiego Gila Faeringa. Biały mężczyzna, czterdzieści lat, o sylwetce podobnej do Jimmy”ego Victora. Mieszkał w podmiejskim osiedlu i od czasu do czasu łapał pracę na budowach. To znaczy, gdy nie pił i nie uganiał się za kobietami. Byli z Jimmym dobrymi kumplami. Okazuje się, że nasz Jimmy to całkiem fajny chłopak. Z tego, co słyszałem, każda żona z radością by się go pozbyła.

— Więc myślisz pan, że go zabiła? — Powers uniosła brew i wrzuciła sobie do ust następnego precla.

— Jasne. Kłopot polega na tym, że nie wiadomo, gdzie wyjechała. Zabrała się stąd i nikt jej już więcej nie widział.

— Nie pojmuję tego wszystkiego. Bonnie podpala przyczepę i zabija męża, ale potem okazuje się, że to nie był jej mąż, a po dziesięciu latach znajdujemy martwego męża w kalifornijskim kanionie. Czy coś przeoczyliśmy?

— Powers, ujęłaś to bardzo zwięźle — westchnął Bulworth. — O Bonnie Hoyt-yietor wiemy tylko to, że żyje i najprawdopodobniej zabiła Jimmy”ego w kanionie. Nie rozumiem tylko, co to ma wspólnego z Laurie Martin.

— Ciekawe, co się z nią stało — powiedziała Powers, strzepując okruszyny z czarnego żakietu. Potem zamówiła następną butelkę piwa.

Właśnie delectowała się pierwszym łykiem, gdy zadzwonił telefon Bulwortha. Podniósł słuchawkę do ucha i na jego twarzy rozlał się wyraz niebotycznego zdumienia.

— Mam nadzieję, że nie wpuszczasz mnie w maliny — powiedział twardym tonem. - No dobrze, dobrze, wierzę ci. Do diabła, człowieku, przecież słucham. Okay, okay, Giraud. Zaczynaj od początku.

Dał znak Powers, że potrzebuje kartki i pióra, a potem słuchał uważnie. Od czasu do czasu wtrącał jakieś pytanie, wypiebiał kartki notatnika swoim szerokim, płynnym pismem, za które zgarniał nagrody w szkole podstawowej tyle już lat temu.

— Jadę do was — powiedział w końcu. - - Jesteś pewien, że nic wam się nie stało? To świetnie. Swoją drogą co za łajdak z ciebie, że do tej pory o niczym mnie nie informowałeś. To nie moja sprawa, tak? Nie wyskakuj mi tutaj z obowiązkiem ochrony klienta. To była sprawa dla policji i doskonale o tym wiesz. Już moglibyśmy ją mieć... Nie,

nie winię cię za śmierć Loretty Harmon. Przyznaję, że jeżeli w ogóle ktoś potrafiłby znaleźć Laurie Martin, to tylko ty. Dobrze, tam się spotkamy.

Powers, słuchając tego wszystkiego, z niecierpliwości aż podskakiwała na stołku.

— O co chodzi? — spytała tak głośno, że ludzie zaczęli się im przypatrywać. Bulworth poczuł, że na twarz wypływają mu ciemne rumieńce. Do diabła! Nigdy nie wyrósł z tej plagi swojego dzieciństwa. Po uśmiechu Powers zorientował się, że wie, iż wprawiła go w zakłopotanie.

— Mówię za głośno, szefie? Przepraszam, to z powodu rozsadzającej mnie energii powiedziała tak samo głośno i w ich stronę obróciło się jeszcze więcej głów.

Bulworth wstał, wypił resztę piwa jednym długim haustem i rozkazał;

— Powers, idź się spakować. Jedziemy na lotnisko.

— Myślałam, że prowadzimy tu śledztwo... Gdzie jedziemy?

— Do Teksasu. — Już wybiegał z baru, a gdyby ktoś miał wątpliwości co do rodzaju jego pracy, od razu by się ich pozbył. Coś w jego postawie mówiło, że jest idealnym policjantem.

— Do Teksasu?

— Tak. W miejsce, gdzie uszyli twoje cholerne buty. Poczujesz się tam jak w domu.

Rozdział XXXIX

Giraud, Bulworth i Pow! Powers jedli kolację z Beau Harmonem w „Frankie”s Steak House” w Faleon City. Był to ten sam lokal, w którym Bon- nie -jak to określił Beau - złowił jego ojca i zrobiła z niego kompletnego głupca.

Przyglądając się stadku kelnerek w średnim wieku, ubranych w czarne sukienki jak w czasach Jimmy”ego Deana, Al nie dziwił się, że słodka rudowłosa Bonnie tak łatwo „złowiła” starego Bossa.

Mieli już za sobą zwyczajowe kondolencje z powodu śmierci żony Beau, a teraz omawiali jutrzejszy pogrzeb. Bulworth uważał, że mordercę zawsze ciągnie na grób ofiary, bo w jakiś pokręcony sposób pragnie zobaczyć efekt swojej działalności. Miejscowa komenda wysłała tam detektywów w cywilu. Będą obserwować, czy nie zjawiał się ktoś obcy, a cała ceremonia zostanie sfilmowana. Potem sprawdzi się każdą twarz.

— Ponieważ Loretta pochodzi z rodziny Larsonów, tych Larsonów od nafty, na pewno o nich słyszeliście — powiedział Beau, zjadając ze smakiem, co według Ala było dziwne u świeżego wdowca — przyjdzie mnóstwo ludzi.

Bulworth skinął głową³ posyłając Alowi spojrzenie z ukosa.

— Oczywiście, wszyscy słyszeliśmy o Larson Oil — przytaknął.

Al wiedział, co znaczyło to spojrzenie. Trzeba się dowiedzieć, czy Beau dziedziczy jakąś część naftowego imperium. I czy wobec tego przyłożył rękę do śmierci żony.

— To będzie wielki teksaski pogrzeb — dodał Beau między dwoma ogromnymi kęsami steku. — Przyjdą wszyscy, którzy się tu liczą.

Al znów złapał spojrzenie Hulwortha i skinął głową. Beau nie był dość inteligentny, by poradzić sobie z dwiema bombami w listach, zabić żonę, usiłować zabić Marłę i rzucić winę na Bonnie. Uważał też, że biedny chłop ciężko sobie zapracował na wszystko, co mu skapnie z majątku Loretty.

— Beau, wiesz już, co będziesz teraz robił? — spytał, delektując się smażonymi krążkami cebuli, chyba najlepszymi, jakie kiedykolwiek jadł.

— Och, gdy wszystko już się trochę uspokoi, zamierzam sprzedać dom. Może wyjadę z San Antonio. Chcę to zostawić za sobą jeżeli rozumiecie, co mam na myśli. Spróbuję pomieszkać w Dallas. To przyjemne miasto, aja potrzebuję trochę rozrywek, żeby pozbyć się złych wspomnień, jeżeli rozumiecie, co mam na myśli.

Al rozumiał go bardzo dobrze. Sam miał po Loretcie paskudne wspomnienia.

— Opowiedz nam o Bonnie Harmon — powiedziała nagle Powers. — Musiała być całkiem niezła, skoro złowiła twojego tatę.

— Jasne, że była niezła. I ładna, jeżeli rozumiecie, co mam na myśli.

Wszyscy troje skinęli głowami. Rozumieli, co Beau miał na myśli, i wcale nie musiał o to pytać po każdym zdaniu.

— Wysoka, szczupła, ale miała wspaniałe... Beau spojrzał na Powers i naszkicował w powietrzu kształty.

— Cycki — podpowiedziała mu, a Bulworth omal nie zakrztusił się ftytkami posypanymi papryką.

— Jeszcze jeden coors dla mojego przyjaciela — zawołał Al do przechodzącej kelnerki. Ze złością pomyślał, że tylko tracą czas. Całe to przesłuchanie Beau Harmona itak do niczego nie doprowadzi.

— Tak — potaknął Beau, uśmiechając się lubieżnie. — I lubiła je pokazywać. Wszyscy się w nie wgapiali. Do restauracji przychodziło wielu mężczyzn młodszych i przystojniejszych od mojego ojca, ale Bonnie zdawała sobie sprawę, że tata ma pieniądze. Od pierwszego spojrzenia na nią wiedziałem, że tylko na tym jej zależy.

— A ty sam nie uderzałeś do Bonnie? — spytał Al obojętnie.

— Och, no wiecie odparł Beau, uśmiechając się ostrożnie. A potem odpowiedział, pusząc się jak indor, o ile można tego dokonać na siedząco: — Rzuciła na mnie okiem, jeżeli rozumiecie, co mam na myśli.

Chciała cię zaciągnąć do łóżka — wyjaśniła Powers, biorąc kilka fl-ytek z talerza Bulwortha. Swoje już zjadła. Zdumienie Bulwortha wywołał jej komentarz, a nie kradzież ftytek.

- O, Bonnie umiała to robić. Tak, proszę państwa. Była świetną kobitką. I mój ojciec stracił dla niej głowę. Co za przeklęty stary głupiec. Potem umarł i zostawił jej prawie wszystko, co miał. Ale trafiła kosa na kamień.

Beau zaczął opowiadać ze szczegółami, jak to adwokaci Loreny załatwili Bonnie i niemal wygnali ją z miasta. Oczywiście z dwustoma tysiącami w gotówce.

170

Powers aż zagwizdała.

— To mnóstwo pieniędzy.

— Gdyby wykonano testament ojca, dostałaby o wiele więcej. Chyba dlatego przysłała bombę. Tyle że na pewno miała być przeznaczona dla mnie.
Beau włożył do ust następny wielki kawałek steku i w zamyślony zaczął przeżuwać.
— Był jeszcze jeden powód — dodał, gdy już połknął. — Zabiłem jej psa.
— Zabiłeś Clyde'a? — Al zaczął wszystko rozumieć.
— Przejechałem tego małego drania na podjeździe. Nigdy nie zapomnę jak Bonnie wpadła do domu. Chciała mnie ukatrupić na miejscu. ?rzysięgam na Boga, że nigdy nie widziałem takiego pokazu. To było samo zło. Wtedy zrozumiałem, że miałem rację, podejrzewając ją o zamordowanie ojca. Teraz chce zabić również mnie. Z zemsty za Clyde'a.
— Oko za oko — powiedziała Powers uroczyście, zbierając frytki z talerza Bulwortha. Widząc to, poddał się i przesunął talerz w jej stronę.
W kieszeni Ala zadzwonił telefon. Przeprosił i wyszedł do holu. Ratunku, porwano mnie! Jestem uwięziona w moim dawnym domu, grożą mi wizytą nieżonatego ortodonta w odpowiednim dla mnie wieku. — Oczywiście to była Marla, którą zostawił w szpitalu, żeby mogła przyjść do siebie.
— Mama mówi, że jeżeli tylko wspomnę o spotkaniu z tobą, osobiście cię zabije. Próbowałam jej wytłumaczyć, że morderstwo nie rozwiąże tego problemu, ale nie zwraca na mnie uwagi. Powiedz, Giraud, co mam robić?
— Spacyfikować ją — odparł Al. — A jajej wysłę tuzin róż.
— Trzy niziny. I niech będą różowe. Ona lubi różowe róże.
— Dobrze, wysłę trzy tuziny — zgodził się z westchnieniem.
— Musisz jednak przyznać, że po randce z tobą dość często ląduję w szpitalu.
— To prawda, ale tak wygląda miłość. Musisz przyjmować zarówno jej słodycz, jak i gorycz.
— Nie uważasz, że już najwyższy czas, bym dostała swoją dawkę słodyczy? — spytała żałośnie. — Jestem już stałą pacjentką izby przyjęć. Al, kiedy to się skończy?
-- Gdy tylko rozplączemy tę sprawę, skarbie. Obiecuję. Nie możesz powiedzieć, że cię nie ostrzegałem. Ten zawód jest jak hazard.
— flk --- powiedziała. — Tylko że ja lubię mężczyzn, którzy uprawiają hazard.
— Powiedz „mężczyznę”. a ja postaram się być w domu jutro wieczorem. Wylecę zaraz po pogrzebie.
— Hura! Spróbuję urwać się mamie i ortodoncice. Spotkamy się u mnie?
— Będę tam, skarbie, z różami, tym razem dla ciebie.

171

— Giraud, kocham cię — powiedziała tęsknym głosem.
— Ja też cię kocham, dziecinko — odparł z uśmiechem i wyłączył telefon.
Beau nie mylił się co do pogrzebu. Alowi wydawało się, że co najmniej połowa Teksasu żegna Lorette: gubernator stanu i mnóstwo grubych ryb, a także około setki pań, ubranych w swoje najlepsze czarne suknie, wielkie kapelusze i drogie szpilki. Zapadały się po kostki w miękkiej trawie. To zmuszało je do dziwnego zataczania się wokół grobu, dzięki czemu wyglądały jak stado pijanych krów. Stawił się też chyba cały departament policji z San Antonio, z komendantem na czele.

Beau wyglądał godnie, gdy w czarnym markowym garniturze i białym stetsonie przyjmował kondolencje. Zamiast krewnych, których już nie miał, otaczali go prawnicy Loretty.

Trumna była z hebanu, ozdobiona mnóstwem złocień, które Loretta tak kochała. Beau musiał też dopilnować, by wewnątrz wyłożono jej ulubionym brzoskwiniowo-lawendowym perkalem.

— Tego właśnie by sobie życzyła — powtarzał z pokorą ludziom defilującym przed trumną. Ponieważ Loretta nie miała już dłoni, jej ręce schowano pod jedwabnym przykryciem. Artysta z domu pogrzebowego pociągnął jej usta różową szminką, na powieki nałożył lawendowe cienie, i wyglądała prawie po ludzku.

Al uśmiechnął się do kamery, gdy przeszłajęgo kolej, by przejść przed trumną. Potem szybko wycofał się razem z Bulworthem i Powers.

Wracali do Los Angeles, by kontynuować poszukiwania Bonnie alias Laurie Martin.

Rozdział XXXXX

Al, myślisz, że ona znowu spróbuje?

Marla odpoczywała na kanapie, z nogami na poduszce i głową na kolanach Ala. Była bez makijażu. Miała na sobie swój ukochany stary szla- kok i kapcie z pyszczkami królika.

Jasne włosy zaczesła do tyłu i przytrzymała elastyczną opaską. Według Ala wyglądała na piętnaście lat. I była wystraszona jak prawdziwa piętnastolatka.

— Nie, nie ośmieli się—powiedział z udawaną pewnością. —Nie teraz, kiedy wie, że jej szukamy, a policja prowadzi śledztwo. Nie może sobie pozwolić, żeby ściągać na siebie uwagę. Musi się ukryć.

Uspokoił Marłę, ale sam był zmartwiony. Laurie Martin kręciła się za blisko ich domu, za blisko kobiety, którą kochał. Gdyby Marli coś się stało... nawet nie mógł dokończyć tej myśli. Tak niewiele brakowało...

— Skarbie, wiesz co? — powiedział po długiej chwili milczenia. -- Czy nigdy nie pomyślałaś, że twoja mama może mieć rację? Nie powinnaś być asystentką prywatnego detektywa. Musisz coś zrobić ze swoim życiem. Jesteś mądra, wykształcona, masz doskonałą pracę...

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

— Chcesz powiedzieć, że byłabym idealną żoną dla „odpowiedniego kandydata”?

— Niekoniecznie musi to być ortodonta — powiedział, jak mu się wydawało rozsądnie i zaraz zawył, bo Marla rąbnęła go pięścią w brzuch.

— Jezu, Marla, myślałem, że jesteś rekonwalescentką. Masz cios jak mistrz bokserski.

— Pieprz się, Giraud — rzuciła zimno. — I nie zawracaj mi głowy żadnym „odpowiednim kandydatem”, rozumiano? I pamiętaj, że nie porzucam towarzyszy walki. Nie boję się Lawie Martin. A teraz powiedz, jaki będzie nasz następny krok.

Przynajmniej raz Al nie wiedział, co robić.

— Potrzebujemy odrobiny szczęścia -- rozmarzył się. — Tylko takiej maleńkiej odrobinki. Mam nadzieję, że będziemy je mieli, zanim ona narobi kolejnych szkód.

Marla gwałtownie usiadła, stawiając obute w królicze pantofle stopy na podłodze.

-- Wiesz co? Natychmiast jadę do yickie. — Jej oczy rozszerzyły się w nagłej panice. — Muszę się przekonać, że nic jej się nie stało.

— Zadzwoń do szpitala i spytam dyżurną pielęgniarkę — zaproponował.

— Nic nie rozumiesz. Muszę ją zobaczyć na własne oczy. Mam jakieś przeczucie...

— Marla, jest już późno — oponował, patrząc na zegarek. — Odwiedziny na dziś są skończone. Poza tym nie czujesz się dobrze i nie powinnaś wychodzić z domu.

— Do diabła, Giraud! — Zrzuciła kaptur z nóg tak energicznie, że uszy królików zafalowały na wietrze jak uszy słonika Dumbo. — Nie rozumiesz. Widzę jej twarz z szeroko otwartymi, ale nie widzącymi oczami, i łzami płynącymi po policzkach. Och, Al, czuję, że ona mnie potrzebuje... z jakiegoś powodu... właśnie teraz.

Al poddał się.

— Zadzwoń do szpitala i spytam, czy nas wpuszczą — powiedział, a Marla go pocałowała i popędziła do sypialni, by coś na siebie narzucić.

— Na pewno nas wpuszczą — zawołała przez ramię. — Potrafisz dokonywać cudów.

173

Al pragnął, żeby Marla miała rację.

Do szpitala jechali w niezwykłym jak na nich milczeniu. Marla, skulona na obitym skórą fotelu corycetty, napięta jak sprężyna, błędziła gdzieś myślami. Pachniała rozkosznie perhimami Hennes 24 Faubourg, które Al kupił jej podczas romantycznego pobytu w Paryżu rok temu. A może w poprzednim roku? Miał teraz wrażenie, że minęło już co najmniej dziesięć lat. Marla odezwała się dopiero, gdy wjeżdżali na szpitalny parking.

— Od dawna nie wiem, co się dzieje ze Steye"em.

— Wypuścili go z więzienia. Bulworth nie mógł go tam dłużej trzymać. Nie zostało to podane do wiadomości publicznej. Trzeba poczekać, aż złapiemy Laurie Martin. Steye został umieszczony w bezpiecznym miejscu i ma ochronę. Boją się, że jeżeli Laurie dowie się o zwolnieniu Steye"a, może go zaatakować.

— Chcesz powiedzieć: zabić? — spytała Marla niepewnie.

— Tak. Teraz, gdy znaleziono ciało Jimmy"ego Victora, nie może pozwolić, by Steye kręcił się poblizu i opowiadał, co o niej wie. Po tym, jak jej zamachy bombowe się nie powiodły i odnaleziono Jimmy"ego, nasza Laurie chyba zaczyna tracić zimną krew.

— Trudno zgadnąć, co zamierza — dodała Marla, gdy wysiadali z samochodu.

Vickie była bardzo samotna, porzucona łóżku, w którym spędziła już tyle czasu. Nigdy przedtem tego nie doświadczyła. Wydawało jej się, że nikogo nie obchodzi jej los. Ale teraz było tu coś innego, coś nowego... Czowała coś... o tak, wiedziała, co to jest. To był zapach gardenii w lecie, tak mocny, że tłumiał szpitalne wonie, które już zdążyła znienawidzić.

Powietrze było ciężkie od perhim. Przypominało tojej wakacje z czasów dzieciństwa, zapach letniego wiatru i trawy, i zmięzchu, wypełnionego wonią jaśminów, nikocjan i róż. To było cudowne..., przypominało jej, że jest kobietą... że wciąż żyje... że gdzieś, w głębi umysłu, na pewno jest żywa.

Z zaciśniętymi powiekami kręciła głową na poduszce, usiłując przypomnieć sobie tamte letnie wakacje na Wschodnim Wybrzeżu, z wujkami i ciotkami, i kuzynami. Jak wszyscy razem się bawili, biegali po plaży aż do wyczerpania sił, krzyczeli, mocowali się... Och, Boże, moje dzieci, moje małe córeczki, kto je zabierze na wakacje, gdy mnie już z nimi nie ma... Ale przecież jeszcze tu jest, jeszcze żyje, skoro czuje zapach perfum... Chłodna ręka przykryłajęj dłoń, delikatna, międkca. Ręka kobiety. Kobieta coś do niej mówiła, opowiadała o czymś... yickie zaciekle walczyła, żeby pozbyć się oszołomienia, usłyszeć tę kobietę, zrozumieć jej słowa. To nie była któraś z pielęgniarek czy jeszcze jedna lekarka. Ta kobieta coś dla niej znaczyła, chociaż nie miała pojęcia, kto to jest.

174

— Vickie, kochanie. — Marla pochyliła się i szeptała jej cicho do ucha. Dlatego właśnie Vickie mogła tak wyraźnie poczuć zapach perfum. - To ja, Marla. Pamiętasz mnie? Byłam z tobą tamtej nocy i wiem, przez co musiałś przejść.

Vickic, musiałam dziś do ciebie przyjść. Myślałam, że może mnie potrzebujesz. Jeszcze raz chcę cię zapewnić, że Steye jest niewinny. Vickie, Steye jest wolny, bo oni wiedzą, kto jest mordercą. Jeszcze jej nic złapali, ale złapią. Och, yickie, złapią ją obiecuję ci. A gdy to się stanie, Steye przyjdzie i będzie siedział przy tobie. Będzie ci mówił to wszystko, co ja ci teraz mówię. Powie ci więcej: będzie ci mówił o tym, jak cię kocha, ciebie i wasze córeczki. Wiem, że tak jest.

Al oparł się o ścianę, ręce założył na piersi itak stał, słuchając i patrząc. Nie rozumiał, dlaczego Marla musiała tu przyjechać, ale zdał się na jej kobiecą intuicję. Poza tym zrobiłby dla yickie wszystko, co było w jego mocy. Miał wobec niej pewne zobowiązanie. Vickie zaczęła kręcić głową z boku na bok i Marla ze strachem odskoczyła.

— Już dobrze, yickie — mówiła, rzucając niespokojne spojrzenie na monitory śledzące iskrę życia, każde uderzenie serca, bicie pulsu, wahania ciśnienia krwi. Smutne jest takie życie, którego muszą pilnować maszyny.

Usiadła, długo trzymała yickie za rękę, potem z westchnieniem spojrzała na Ala.

— Chyba nie powinnam tu przychodzić — powiedziała z żalem. — Ale miałam przecucie, coś mi mówiło... że yickie pragnie mojej obecności... nie potrafię tego wytłumaczyć.

— Nie musisz. — Al wziął ją za rękę i postawił na nogi. — Chodź, skarbie, zrobiło się późno. Powiedz Vickie dobranoc. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

Marla westchnęła, patrząc na tę żalospną bladą twarz, tak przezroczytą jakby nie było w niej kropli krwi.

— Dobranoc, yickie. — Delikatnie pogłaskała jej czoło.

A gdy to robiła, oczy chorej się otworzyły. Tym razem Marla mogłaby przysiąc, że patrzyły prosto w jej oczy.

Vickie, kochanie — szepnęła, chwytaj ąją za zimną rękę. — Jeżeli mnie słyszysz, jeżeli rozumiesz, co do ciebie mówię, uściśnij mi palce. Uściśnij moją rękę, skarbie, proszę... Oczy Vickie, pozbawione wszelkiego wyrazu, patrzyły na nią przez długą chwilę, a potem nastąpił uścisk ręki, leciutki jak pociągnięcie pędzlem, raczej słabe dotknięcie niż uścisk. Ale Marli to wystarczyło. Miała rację, ufając swojemu instynktowi. Przełamała tę niewidzialną barierę, która odgradzała Vickie od świata żywych.

Gdy Al biegł po lekarzy, łyzy Marli kapwały jak groch na rękę yickie.
— Teraz już wszystko będzie dobrze -- obiecywała. — Wszystko będzie dobrze.

Rozdział XXXXXI

Steye Mallard przemierzał w nieskończoność obcy pokój w jakimś motelu w San Fernando valley, gdzieś między hałaśliwą szosą 101 i Ventura Bouleyard, na którym ruch nigdy nie ustawał. Zastanawiał się, jak długo będzie musiał tu zostać.

Mieszkał w tym „bezpiecznym domu” dopiero od tygodnia, a wydawało mu się, że upłynął co najmniej rok. Ściany pokoju były brunatne, meble zniszczone i tylko kolorowa kapa na łóżku miała, jak się domyślał, nadawać pokojowi wrażenie przytulności. Jednak sprawiała, że wszystko wydawało się jeszcze bardziej brunatne.

Jego „opiekun”, detektyw w cywilnym ubraniu o nazwisku Chayez, leżał na łóżku w sąsiednim pokoju i oglądał telewizję. Drzwi łączące oba pokoje drzwi były jak zawsze otwarte, a drzwi wychodzące na korytarz zostały starannie zaryglowane. Tylko Chayez albo inny dyżurny „opiekun” --- zmieniali się co osiem godzin — miał klucze.

Ktoś zapukał do drzwi. Chayez zerwał się na równe nogi, wyciaając jednocześnie płynnym ruchem glocka z kabury. Chayez był Meksykaninem, miał twarz i posturę boksera. Wyrzał przez wizjer, sprawdzając, czy to rzeczywiście dostawca z pizzą. Zamówił jedzenie kwadrans wcześniej.

— Co tam masz, bracie? — spytał przez drzwi.

— Jedną pepperoni z cebulą jedną z podwójnym serem, papryką i kiełbaskami. Chayez gestem nakazał Steye”owi, żeby wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi. Włożył pistolet z powrotem do kabury pod marynarką i dopiero wtedy ostrożnie otworzył dostawcy.

— Długo to trwało — mruknął chłopak. — Myślał pan, że co przyniosłem? Bombę zegarową?

— Proszę, chłopcze. — Chayez podał mu odliczoną sumę pieniędzy i napiwek. — Następnym razem nie gadaj tyle. Mógłbyś mieć kłopoty.

- - Niech mnie pan nie straszy! Gdy Chayez ryglował drzwi, chłopak ciągle jeszcze coś mruczał.

— Kolego, chodź i delektuj się! — zawołał Chayez. — Jedz, póki ciepłe. Steye”a mało obchodziło, czy pizza jest ciepła, czy już wystygła. Nie chciał nawet piwa, którym poczęstował go Chayez, który na służbie pił tylko dietetyczną colę.

— Zona każe mi liczyć kalorie - wyjaśnił Chayez, wkładając do ust kawałek pizzy z kiełbaskami, obłożony ziarnem kukurydzy i papryką. — Dlatego piję dietetyczną colę zamiast zwykłej.

176

- Jeśli tak, powinieneś również zrezygnować z pizzy — poradził mu Steye z westchnieniem. Każdy wieczór był taki sam. Chayez przychodził o szóstej. O siódmej

dostarczano pizzę. Zawsze z podwójnym serem, papryką i kielbaskami, które Chayez pochłaniał jak wygłodniały lew. Tamtyna zaczynała doprowadzać Steye'a do szaleństwa. Nie mógł już nawet oglądać telewizji, nie potrafił skoncentrować uwagi na taśmach wideo, które dostarczano mu dla zabicia nudy. Nie czytał już nawet gazet ani czasopism. Jedyne, czego pragnął, to zobaczyć Vickie. Powiedzieć jej prawdę. Wrócić do normalnego życia. Nic go nie obchodziła Laurie Martin ani to, że może go zabić. Chciał mieć z powrotem swoją żonę i dzieci. Chciał mieszkać we własnym domu, w nocy leżeć obok yickie, tak jak było od- tylu już lat.

Ale Vickie nadal była w szpitalu. Córeczki mieszkały u jej siostry, i chociaż Lister informował go, co u nich słychać, nie wiedziały nawet, że wypuszczono go z więzienia i że ich tatuś nie popełnił tych okropnych zbrodni, o jakie go posądzono. Jego dom był zabezpieczony przez policję, otoczony żółtymi taśmami i nadal stanowił miejsce śledztwa.

Zadzwoił telefon. Chayez odłożył kawałek pizzy i podniósł słuchawkę.

— Halo? Tak, sir. Wszystko w porządku. Steye czuje się dobrze, je pizzę jak grzeczny chłopiec. — Rzucił Steye'owi uśmiech, który nie został odwzajemniony. -- Tak, panie detektywie Bulworth. Czekam na pana. Za dziesięć minut? Doskonale. Tylko niech pan nie zapomni hasła. Zapomniał pan? — Chayez roześmiał się. — Dziś obowiązują słowa: de ta Hoya. Do zobaczenia.

— Czego Bulworth chciał? — Steye odszedł od okna, skąd obserwował ruch na zakorkowanym Ventura Boulcyard. Nie sięgnął po pizzę czekającą na niego na stole, lecz opadł na krzesło przed telewizorem. „Widział kolory, słyszał dźwięki, ale nie rozumiał, co pokazują.

— Chce się z tobą zobaczyć. Przyjedzie z nim jeszcze jeden facet, prywatny detektyw Al Giraud. Będą tu za dziesięć minut.

Steye zastanawiał się obojętnie, co z nim zrobią? Znow go wsadzą do więzienia? Czy też, chociaż to raczej próżna nadzieja, wreszcie puszcza go wolno? Siedział w milczeniu, póki nie usłyszeli pukania do drzwi.

— Kto tam?! — zawołał Chayez i znow spojrzał przez wizjer.

— Chayez, tu detektyw Bulworth. Otwórz.

— Sir, proszę podać hasło.

— Nie wygłupiaj się. Przecież mnie widzisz.

— Nie mogę otworzyć drzwi, póki nie usłyszę hasła. Takie mam rozkazy — powiedział Chayez i uśmiechnął się jak szakał. Bulworth zaczął walić w drzwi pięściami.

Chayez otworzył, i Bulworth wpadł do pokoju. Za nim szedł Giraud.

Podchodząc do Steye'a, obdarzył Chayeza szerokim uśmiechem.

Zauważył, że poprzednim razem, w rozmównicy więzienia, Giraud nie podał mu ręki. Teraz zrobił to bez wahania.

— Czy to znaczy, że otrzymałem rozgrzeszenie? spytał oschłym tonem, gdy Bulworth również podał mu rękę.

— Nie tylko to, Steye. Mamy dla ciebie nowe wiadomości. — Bulworth patrzył wyczekująco na Alę.

— Steye, chodzi o Vickie. Zaczęła reagować na dotyk i na słowa. Wrn- ca do zdrowia, chłopie, a lekarze mówią, że jej stan szybko się poprawia.

Steye opadł na krzesło i ukrył twarz w rękach.

— Dzięki Bogu. Och, dzięki Bogu — szepnął, a przez palce popłynęły mu łzy.

— Słuchaj, Steye — mówił dalej Al. — Przyszliśmy po ciebie, bo lekarze uważają, że byłoby dobrze, gdybyś ją odwiedził. Chca, żebyś trochę z nią porozmawiał Nieo tym, co się wydarzyło, leczo waszym wspólnym życiu, O wspomnieniach, dzieciach i takich rzeczach

— Kiedy mam do niej pójść? — Steye już stał i chwycił marynarkę.

— Teraz, kolego - uśmiechnął się Al. — Marla ją uprzedziła, że zaraz u niej będziesz.

— Ale potem tu wrócisz dodał Bulworth. — Już itak sporo ryzykujemy, nie możemy sobie pozwolić na więcej.

— Tylko pozwólcie mi jązobaczyć — powiedział pokornie Steye. --O nic więcej nie proszę.

Rozdział XXXXXII

Posterunicowy Guido Minelli z San Francisco patrolował w swoim rtdiowozie ulic Portem Heights, gdy niedaleko usłyszał coś, co mogło być strzałami z broni palnej. Przycisnął pedał gazu i pędząc zygzakiem między pojazdami, po minucie znalazł się na miejscu. Wąską uliczką podjechał na tyły jakiegoś magazynu.

W ciemJ1oś nie mógł się zorientować, ilu ich jest i kto trzyma p1- stolet. Ostrożnie podjechali pod budynek. Luther Winesap, jego partnp wyciągnął swój półautomat.

— Z prawej strony drzwi magazynu są otwarte — powiedział z napięciem Winesap. Minelli zatrzymał samochód i też wyciągnął broń.

— Nie widzę ciał — szepnął.

— Pewnie sąw środku.

Minelli usłyszał syreny. Obliczył, że wozy znajdują się jeszcze jakieś pięć przecznic stąd, ale dobrze było wiedzieć, że nadchodzi pomoc i że przyjadą również sanitariusze, żeby zając się rannymi albo martwymi. Gestem wskazał, by Winesap szedł za nim i ruszył wzdłuż ściany, łowiąc każdy, nawet najcichszy dźwięk. I wtedy to usłyszał.

— Chyba ktoś jęczy — szepnął Winesap.

— Idziemy — zdecydował Minelli. Zajrzał ostrożnie przez otwarte drzwi. W magazynie było ciemno, nie paliło się żadne światło. Mmdli poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Znów to usłyszał. Jęk, tym razem głośniejszy.

— Ratunku! — krzyknął jakiś mężczyzna. — Pomóżcie mi. Jestem ranny... umieram.

— Jak na mnierającego ma zbyt rażny głos — zauważył Winesap.

— Policja! — krzyknął Minelli. — Wychodź z rękami na głowie! Już! Wychodź!

— Jestem ranny, nie mogę wstać i wyjść. Bolał mnie nogi, aten mały łajdak, który mi to zrobił, już dawno uciekł i zostawił mnie tu na pewną śmierć...

Mmdli westchnął. Z doświadczenia wiedział, że nikomu nie wolno ufać. Omiótł magazyn latarką. Zobaczył ogromne winnebago i mężczyznę leżącego na pleeach obok samochodu. Nawet stąd widział mętny połysk krwi rozlanej na cemencie.

— Oslaniaj mnie — powiedział do Winesapa, który przykucnął w drzwiach. Wziął pistolet w obie ręce i przygotował się na wszystko, co mogło się zdarzyć.

Syreny słyhać było coraz bliżej, chyba tylko o dwie przecznice. Gdyby potrzebowali pomocy, będą mogli na nią liczyć. Nagle z cienia wyprysnął jakiś ezłówek i popędził do drzwi. Winesap wymierzył w niego i krzyknął, żeby stanął albo będzie strzelał. Dzieciak zatrzymał się i podniósł ręce.

Mmdli nie odrywał wzroku od winnebago i rannego mężczyzny. Mógłby się założyć, że w samochodzie kryło się jeszcze kilku przestępców, a przyczyną strzelaniny były narkotyki. Najczęstszym motywem zbrodni są narkotyki, pieniądze albo kobiety.

Winesap przewrócił chłopaka na podłogę, z rękami wyciągniętymi nad głowę. Magazyn został nagle oświetlony reflektorami kilku radiowozów.

— Wy, tam — Minelli wskazał pistoletem drzwi samochodu. — Ręce na głowy i wychodźcie. Daję wam pół minuty. Zaczynam liczyć.

Doszedł do dziesięciu, gdy drzwiczki się otworzyły i z winnebago wysiadł jeszcze jeden chłopak. Ręce trzymał w górze, a oczy miał wytrzeszczone ze strachu.

179

— To jeden z nich — powiedział ranny. -- Ale ten, co do mnie strzelał, już uciekł. Właśnie jego szukasz, chłopie, tego chotemego mordercy.

— A ty pewnie jesteś kryształowo czysty, co? Mmdli podniósł z podłogi kilka foliowych pakietów. Kokaina. Uśmiechnął się ponuro do rannego. — Człowieku, na tych paczuszkach jest twoja krew — powiedział spokojnie. — A to znaczy, że należą do ciebie.

— Jakie paczuszki? Nie widziałem tu żadnych paczuszek.

-- Zaniknij się — poradził mu Mmdli bez cienia emocji.

Obaj młodzi podejrzani byli już zakuci w kajdanki i siedzieli w radiowozach. Sanitariusze zajmowali się rannym. Pytali, co się stało, gdzie ma ranę i czy tylko jedną, tamowali krwawienie, badali puls i mierzyli ciśnienie krwi.

— Co z nim? — spytał Winesap. Podeszedł bliżej, ciągle z bronią gotową do strzału.

— Jak mówią w filmach, to tylko powierzchowna rana uśmiechnął się młody sanitariusz.

— Jak się nazywasz? — spytał Minelli rannego, gdy kładziono go na noszach.

— Michael Jackson. — Mężczyzna popatrzył Minellemu ponuro w oczy.

— Nie wygłupiaj się.

- Człowieku, to prawda. Ciągle mam kłopoty ze swoim nazwiskiem. Jeśli nie wierzysz, spytaj moją mamę.

— Twoja mama bardzo się ucieszy, gdy się dowie, że znów siedzisz. To twój samochód?

— Nie. Te dzieciaki ukryły go w magazynie i mieszkały w nim. Strasznie tam śmierdzi. A ty, zamiast pytać mnie o te paczuszki, lepiej dowiedz się od tych małych gnojzków, czym się tu zajmowały i dlaczego go ukradły.

-- Jak opatrzą cię w szpitalu, zadamy ci o wieje więcej pytań — powiedział Minelli. — I nie martw się, chłopie, nie umrzesz. Przynajmniej nie tym razem.

Obaj chłopcy — jeden miał piętnaście lat, a drugi szesnaście — zostali oskarżeni w sądzie dla nieletnich o posiadanie niedozwolonych substancji. Trzeciego złapano kilka domów dalej, gdy się ukrywał w mieszkaniu swojej babci. Oskarżono go o posiadanie narkotyków, nielegalne posiadanie broni palnej i napad z bronią w ręku. Strzelił do dealera narkotyków podczas sprzeczki o zapłatę. Miał osiemnaście lat i posiedzi sobie dość długo.

No więc, skąd mieliście tego winnebago? — pytał chłopców śledczy.

-- Człowieku, stał na ulicy. Drzwiczki były otwarte, w stacyjce zostawiono kluczyki. Ktoś po prostu go porzucił, jeśli rozumiesz, co mam na

180

myśli. Stał tam po to, żeby go zabrać. Nie mieliśmy pieniędzy na benzynę, więc tylko wprowadziliśmy go do magazynu i mieszkaliśmyw nimjak w domu, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Detektyw rozumiał. Sprawdzenie numeru rejestracyjnego winnebago w komputerze zabrało tylko chwilę.

Dzięki dawnemu kumplowi M dowiedział się o tym, że winnebago Jimmy”ego yictora zostało odnalezione w San Francisco w tym samym czasie. Kiedy Bulworth zadzwonił do niego, już pędził coryetta na północ.

— Nareszcie jakiś ślad— cieszył się Bulworth. Wjego głosie brzmiała ulga. Giraud, muszę ci powiedzieć, że czułem się tak, jakbym stał przed wysokim murem. Ta kobieta zorganizowała swoje zniknięcie w sposób, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem. Teraz przynajmniej wiemy, że mieszka gdzieś w rejonie San Francisco.

— Nie jestem tego pewny — powiedział Al w zamyśleniu. Wiedział, że Lawie Martinjest zbyt przebiegła, by porzucić samochód W pobliżu swojego domu. Takie postępowanie nazywało się „robieniem bałaganu przed własnymi drzwiami”, Lawie nie zachowałaby się aż tak głupio. — Mogła zostawić tam samochód, a potem wyjechać na przykład do Ohio. Tak mogło być, obaj o tym wiedzieli, ale przynajmniej się przekonali, że ich domysły są słuszne. Laurie zabiła Jimmy”ego w domu na sprzedaż, potem wywozła ciało do kanionu i wróciła stamtąd winnebago. Laurie była morderczynią, nie ofiarą. Teraz tylko trzeba ją znaleźć.

Ranny mężczyzna, Michael Jackson, wracał do zdrowia. W winnebago śmierdziało amfetaminą, skwaśniałym piwem, spleśniałą pizzą i trzema chłopcami, z których każdy na swój sposób nie przestrzegał zasad higieny osobistej. Przyglądając się, jak ekipa z wydziału zabójstw departamentu policji w San Francisco wykonuje swojąrobotę, Al z trudem opanował mdłości. Sprawdzali każdy strzęp papieru, każdy śmieć, każdą sztukę brudnego ubrania, każdy włos na dywaniku i tapicerce i zbierali odciski palców — a było ich wiele, bo Jimmy yictor chyba nigdy nie czyścił wnętrza.

Nie wyglądało na to, by ekipa znalazła coś ważnego. Al pożegnał się z Bulworthem i skierował w bardziej cywilizowane miejsce, do „Houlahana”, ciemnego, przytulnego barku, gdzie podawano idealnie oziębionego guinnessa z pianą na dziesięć centymetrów, pyszną irlandzką wołowinę z kapustą a także szwedzkie klopsiki. Matt Floulahan tłumaczył obecność tego szwedzkiego specjału w menu tym, że w początkach

osiemnastego wieku do Irlandii wyemigrowało sporo Skandynawów. Giraud traktował to jako typową irlandzką gadaninę. Mimo to klopsiki były wspaniałe.

181

— MatĘ masz książkę telefoniczną? — spytał swojego starego kumpla.

— Książkę telefoniczną? To znaczy, że ty, as wśród prywatnych detektywów, pracujesz w taki sposób? Al, założyłbym się, że zgarniasz majątek. Wszystko, co musisz zrobić, to wyszukać jakiegoś nieszczęsnego drania w książce telefonicznej, zdać raport klientowi i już na twoje szwajcarskie konto spływa kolejne sto tysięcy

Houlahan, pleciesz bzdury. Zazdrościsz mi, że sam nie pomyślałeś o takiej pracy, zamiast stać dzień i noc za barem.

— Masz rację, chłopie. Ale bar jest przeznaczeniem Irlandczyka. Tak zostało zapisane na tablicach, które dostał Mojżesz. Zapisano tam również, że nie będziesz poządał żony swojego sąsiada ani stu tysięcy, jakie zaabia detektyw.

Giraud, kartkując książkę telefoniczną w poszukiwaniu kościołów, ciągle jeszcze się uśmiechał. Ich spis ciągnął się bez końca i po jakimś czasie jego uśmiech zgasł, a czoło pokryły zmarszczki. Wyglądało nato, że w okręgu San Fracisco jest więcej kościołów niż domów.

Skończył guinnessa, pomachał Houlahanowi ręką na pożegnanie, na ulicy skinął na taksówkę i pojechał do „Hoiiday Inn”.

Do tej pory Laurie zawsze trzymała się kościoła swojego dzieciństwa. Kandydatów na mężów, którzy szybko uczynią ją wdową, szukała wyłącznie u baptystów. Al poszedł do swojego pokoju i zaczął wydzwaniać do wszystkich parafii, jakie znalazł w książce telefonicznej. Dzwonił do Sausalito, Mili Valley, Oakland, Napy, Sonorny, Mendocino, Monterey i Carmelu. W żadnej nic znano kobiety, która odpowiadałaby rysopisowi Lamie Martin albo Bonnic Hoyt-yictor-Harmon.

Znużony, zaczął od początku, dzwoniąc do wszystkich parafii, niezależnie od tego, do jakiego kościoła należały. Rezultat był taki sam. Albo Laurie zniknęła z tego świata na dobre, albo się przyczaiła, czekając, aż opadnie kurz po zamieszaniu, jakiego narobiła. Al stawiał na to drugie.

Zaczął się zastanawiać, jak sobie radzi z pieniędzmi. Od czasu zniknięcia nie nie wzięła ze swojego konta, na którym miała dwanaście tysięcy, nie pojechała też do domu po ubrania. Musiała znaleźć jakąś pracę. Aby ją zatrudniono, musiała okazać fałszywe dokumenty tożsamości. Na pewno zmieniła również wygląd.

Westchnął i znów sięgnął po telefon. Zamierzał zadzwonić do Marli. Powie jej, że poszukiwania Laurie potrwają jeszcze jakiś czas, ale tym razem się nie wymknie. On na to nie pozwoli. Nie może zostawić Steye”a Mallarda z wiszącym mu nad głową oskarżeniem o morderstwo.

Rozdział XXXXXIII

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Mada była niedaleko, bo w tym tygodniu dawała w Berkeley kilka gościnnych wykładów z prawa karnego. Z dreszczem rozkoszy przyjęła zaproszenie Wielkiego Giraud do uczestniczenia w rajdzie po kościołach.

— Tak powinien działać prywatny detektyw— oświadczyła entuzjastycznie. Przemysłała sprawę ubioru. W końcu wybrała beżowy kostiumiki tego samego kolon lakierowane pantofelki na niskich obcasach, które kupiła na tę okazję. — Rachunek przedstawię ci później — oświadczyła Alowi z miłym uśmiechem. — Tę pozycję znajdziesz w rubryce „Przebrania”.

— Przecież ja się ubieram normalnie, więc po co tobie jakieś przebrania? -- zdziwił się całkiem szczerze Al.

— To kobiecy przywilej — odparła sprytnie — Założyłabym się, że Lauric używa specjalnych strojów, prawda? Ja powinnam postąpić tak samo. Dzięki temu, jeżeli przypadkiem na siebie wpadniemy, nie rozpoznamy się nawzajem.

— I co przez to osiągniesz?

— Tak czy owak, Giraud, co my robimy w tym „Holiday Inn”? — przezornie zmieniła temat. — Zaprosiłeś mnie do San Francisco na intymny, romantyczny weekend, a także do pomocy w poszukiwaniach, i myślisz, że poczuję się romantycznie w tym hotelowym wnętrzu?

— Postaram się spełnić twoje oczekiwania — zapewnił ją z uśmiechem.

— Jak? — Jej zielonoszare oczy rozjarzyły się z ciekawości. Zarzuciła mu rękę na szyję i ustami badała puls. Poczowała, że zdecydowanie przyspiesza.

— Chcesz, żebym cito od razu pokazał?

— Och tak, pokaż.

Muskała językiem jego ucho. Ręce Ala osunęły się na jej jędrne pośladki. Mocno je przytrzymał i przyciągnął jeszcze bliżej, choć wydawało się to niemożliwe.

— Mm, nie wsunąłbyś między nas nawet ostrza noża — westchnęła, czując, jak Al staje się coraz twardszy.

— Madame, proszę wybaczyć, że przypominam o tym, ale mamy robotę do wykonania

— mruczał, namiętnie ją całując.

— Tak, wiem — szepnęła z żalem, nadal przywierając do jego ust.

— Strój do kościoła — przypomniał. — Pamiętasz? Chodzi o Laurie Martin. Nie zapominaj, że jesteś asystentką prywatnego detektywa.

Z głębokim westchnieniem oderwała się od niego.

— Poganiacz niewolników — mruknęła, prześlizgując się językiem po jego opuchniętych od pocałunków ustach. — Czym zamierzasz mnie zaskoczyć?

183

Noc W Post Hill Ranch? •— zasugerował. — Może w domu na klifie, z oknami na całą ścianę, skąd moglibyśmy obserwować migracje wielorybów, leżąc w wielkim, miękkim łóżu?

— Po długiej, wspólnej kąpieli wjapońskiej wannie —podjęła —z pachnącymi świeczkami i widokiem księżyca, przesuwał się nad oceanem i rzucającym ciepły blask na nasze dojrzałe ciała?

— Twoje dojrzałe ciało — sprostował, znów ją całując.

— Moje dojrzałe ciało I twoje lekko zużyte — wniosła poprawkę, nadal rozkoszując się swoimi marzeniami. — A po długim, bardzo długim masażu w naszym przytulnym pokoju z Mozartem na CD i genialnym masażystą usuwającym swoimi magicznymi palcami całodzienne zmęczenie z naszych ciał...

— Genialną masażystką — wtrącił Al.

— Nie przerywaj mi, gdy marzę. I dostosuj się. Masażystą jest mężczyzna. Lubię mocny masaż.

— A ja lubię, gdy masuje mnie kobieta.

Zignorowała ten wtręt.

— Nieśpiesznie zjemy sobie kolację w tej oryginalnej restauracji wiszącej nad klifem.

Zamówimy same afrodyzjaki...

— Cudownie — skomentował Al

— A potem na chwilę usiądziemy sobie na brzegu nieskończonego oceanu, udając, że nasze życie nigdy się nie skończy...

— Na samej krawędzi klifh — zgodził się Al.

— Tak. I może uda nam się być tam sam na sam, bez innych ludzi. Jeśli nam się uda, pokażę ci najcudowniejsze rzeczy, jakie mogę ci zrobić...

— A może wolałabyś domek na drzewie, wysoko wśród gałęzi, albo siedzibę motyli?

— Nie przerywaj mi — poprosiła jeszcze raz. — Chciałabym mieszkać w chatce na klifie, z widokiem na ocean i kwiatami rozkwitającymi na strzesze w nocy, gdy my śpimy...

Już myślałem, że nigdy nie dojdziemy do tego wielkiego, miękkiego łóża. Obawiam się, że po tych wszystkich masażach i jedzeniu będziemy tak wyczerpani, że od razu zaśniemy.

— Nie bądź tego taki pewny — ostrzegła i znów go pocałowała. -- Z przyjemnością przyjmuję twoją propozycję.

Poprawiła usta i włosy, obciągnęła spódniczkę i wzięła torebkę.

— Nie czekaj na mnie — rzuciła, idąc do drzwi. — Mam robotę do wykonania.

— Skarbie?

Odwróciła się na pięcie i spojrzała na Alę.

— Mogłaś włożyć mundurek francuskiej pokojówki. Każdy wielebny pomyślałby, że jesteś grzesznicą, która przyszła wyznać swoje winy.

184

— Zrobię to następnym razem! zawołała i zakręciła spódniczką, ale efekt nie był taki sam, jak wtedy, gdy kręciła króciutką spódniczką francuskiej pokojówki.

Po zatłoczonych jezdniach San Francisco prowadziła coryettę bardzo statecznie — Al chyba by ją zamordował, gdyby dopuściła do choćby naj - mniejszego zadrapania lakieru. Jednocześnie przeglądała listę kościołów, którą jej dał, i dane demograficzne parafii. Na liście figurowały jedynie kościoły w bogatych dzielnicach. Al powiedział, że sprawdzi uboższe parafie.

Wszystkie miejsca, do których miała pojechać, znajdowały się w Oakland i na jego przedmieściach. Kościoły wyróżniały się perfekcyjną architekturą: białe stiuki w stylu śródziemnomorskim, białe gonty, zadbane zielone trawniki, ogrodzenia z żelaznych sztachet albo też spokojne budynki z cegły. Były tam dzwonnice i wieżyczki, wiktoriańskie

budowie przypominające pierniki, angielski gotyk, ale w żadnym z nich Marla nie spotkała nikogo, kto rozpoznałby z jej opisu Laurie Martin.

O piątej po południu, gdy ludzie wracali już po pracy do domu i jezdnie się zakorkowały, postanowiła zakończyć poszukiwania. Jej beżowa garsonka była pognieciona, miała oczka w pończochach, buty piekły ją jak diabli. Zrzuciła je gwałtownym mchem. Wpadły gdzieś w kąć samochodu. Klnąc podniosła ręce z kierownicy, kilku kierowców posłało jej zdziwione spojrzenia. Była brudna, spocona i głodna, gdy wjeżdżała na parking ostatniego kościoła z listy. No, może nie ostatniego, zostały jeszcze cztery, ale nie miała siły do nich pojechać.

Zatrzymała się przed skromną drewnianą budowlą z małą kopułką i dzwonnica. Parafia należała do kościoła episkopalnego.

Wielebny Samuel Witty, tłuściutki brzuchaty mężczyzna z mnisią tonsurą otoczoną wiankiem srebrzystych włosów powitał ją gorąco, mimo że była boso. Spytał, czym może jej służyć.

— Moje dziecko, wygląda pani tak, jakby potrzebowała pomocy — powiedział ze zmartwionym. — Co się stało, że chodzi pani bez pończoch i butów? Nasz Pan nie życzyłby sobie tego.

— Dziękuję, wielebny — odparła Marla łagodnie. Ale potrzebuję informacji, a nie butów. Buty mam gdzieś tam, w samochodzie.

Wielebny trochę się zdziwił, że kobieta prowadząca tę drogą coryettę chodzi bez butów, ale o nic więcej nie pytał. Pozwolił jej mówić.

Marla recytowała swoją kwestię, bo to samo powtarzała dziś już kilkanaście razy. Pokazała wielebnemu Wittyemu zdjęcie olśniewającej Lawie w roli kalifornijskiej blondynki i agentki handlu nieruchomościami, a także fotografię Laurie skromnej i uczęszczającej do kościoła, otrzymaną od Johna Maclyera. Zaden poprzedni pastor nie rozpoznał jej ze zdjęć i tu było tak samo.

185

— Moja droga, przykro mi, że nie mogłem pani pomóc — powiedział wielebny, marszcząc czoło, gdy szła boso do samochodu. — Naprawdę powinna pani włożyć buty — dodał. — W San Francisco od dawna nie ma już dzieci kwiatów.

— Jakie to smutne — skomentowała Marla, wsiadając do samochodu. Zapaliła i już odjeżdżała, gdy nagle, nie wiadomo skąd, wyskoczyło małe niebieskie autko i skierowało się na parking.

— Głupia dziwka — mruknęła Marla, przyglądając się kobiecie w aucie. Nagle kobieta zmieniła zamiar. Ryzykownie zawróciła, wjechała na jezdnię, wymuszając pierwszeństwo, i popędziła, zostawiając za sobą ryk klaksonów i przekleństwa kierowców, którzy ledwo uniknęli zderzenia.

Marla nacisnęła z całej siły na hamulce i popatrzyła za niebieskim autem. Przez tylną szybę spostrzegła małego czarnego pieska. Ten piesek nosił czerwoną apaszkę. Serce podeszło jej do gardła. Z trudem łapała oddech, tak była podniecona. Gdy wycotwała się z parkingu, ręce jej drżały i niemal wpadła na samochód jakiejś kobiety, która dopiero co uniknęła kolizji z niebieskim autkiem.

— Przepraszam — pomachała rękę, prosząc o wybaczenie, gdy kobieta nadepnęła na hamulce i opadła na fotel z twarzą ukrytą w dłoniach. — Przepraszam! — krzyknęła jeszcze raz. Wyskoczyła z samochodu i na bosaka popędziła do gabinetu wielbego Witty” ego.

— Wielbny, przepraszam, że zawracam panu głowę — wydyszała — ale czy któraś z członkiń pańskiego zgromadzenia jeździ niebieskim samochodem i ma małego czarnego pieska?

Czekała niecierpliwie, gdy pastor zbierał myśli. Niemal widziała, jak pod tonsurą obracają mu się w mózgu kółka.

— No tak — powiedział w końcu pastor. — Chyba szuka pani Marii Joseph. — Uśmiechnął się. — Jeszcze nie widziałem kobiety, która by tak kochała psy. Znalazła tego kundelka w schronisku i teraz wszędzie go ze sobą wozi.

— Ma pan jej adres? — pytała Marla. Miała ochotę skakać z radości. — Gdzie ona mieszka?

— Niestety, nawet gdybym wiedział, nie mógłbym przekazywać nikomu tak osobistych informacji. Ale itak nie wiem, gdzie ta pani mieszka - dodał, przyglądając się ze zdumieniem Marli, która wydała głębokie, głośne westchnienie.

— A wie pan przynajmniej, gdzie pracuje?

Nie jestem pewny, czy dobrze robię — odparł, bo nagle ogarnęła go podejrzliwość — ale jest kelnerką. Nie wiem, gdzie. Jeżeli zechce mi pani zostawić swoje nazwisko i numer telefonu, gdy tylko ją zobaczę, przekażę wiadomość.

— Wielbny - rzuciła Mjtrla przez ramię, bo już biegła do coryetty. — Proszę mi wierzyć: nigdy pan już nie zobaczy Marii Joseph.

— Więc Maria Joseph znów jest kelnerką, gdzieś tutaj, w tym mieście dziesięciu tysięcy restauracji — powiedział z sarkazmem Al, gdy Marla złożyła mu sprawozdanie ze swoich poczynañ. --Napewno nigdy już nie pokaże się w tamtym kościele, bo wie, że jesteśmy na jej tropie. Marla, dlaczego nie zanotowałaś marki i numeru rejestracyjnego jej samochodu? Co z ciebie za detektyw?

Marla z całej siły rąbnęła go pięścią w brzuch.

— Zamknij się, ty łajdaku! Właśnie coś mi przyszło do głowy. Tamtej nocy, gdy pojechałam do yickie, przed jej domem stał niebieski samochód. Pamiętam go, bo na ulicy parkowały tylko dwa auta. To był stary model accury, w kolorze bladoniebieskim — dodała uroczyście. — Założyłabym się, że należał do Laurie.

Al już wystukiwał numer policji na swoim telefonie.

- Marla, odwołaj rezerwaew Post Hill Ranch - poprosił. - Mamy robotę.

— Och... szlag by to trafił — parsknęła ze złością. — Szkoda, że ci o tym powiedziałam.

Rozdział XXXXXIV

Wieczorem ulice były zakorkowane i Laurie gotowała się z niecierpliwości za kierownicą niebieskiej accury. Nie zdążyła się jeszcze uspokoić po spotkaniu z Marlą

Cwitowitz. Gdy zobaczyła tę czerwoną coryettę, przeżyła prawdziwy wstrząs. Nie była to marka samochodu, jakim starzy członkowie kongregacji przyjeżdżają do swojego kościoła. Powinna była od razu się domyślić, że w pobliżu krąży Giraud, zanim jeszcze spostrzegła, kto prowadzi.

Bębniąc palcami po kierownicy w oczekiwaniu na zmianę światła zastanawiała się, czy Marla zdążyła ją zobaczyć. Dlaczego tak jest, że gdy raz trafi się na czerwone światło, przez całą drogą ma się „czerwoną falę”? Zdenerwowana obejrzała się na Clyde” a, kulącego się z tyłu.

— W porządku, skarbie? zawołała. Pies w odpowiedzi zaczął tłuc ogonem w poduszki tylnego siedzenia.

— Dzięki Bogu, że przynajmniej ty się dobrze czujesz, boja na pewno nie. — Jej wściekłe spojrzenie napotkało wzrok mężczyzny w stojącym obok samochodzie.

Wzdrygnął się i szybko odwrócił głowę. Gdy tylko światło się zmieniło, przycisnął pedał gazu i wyrwał tak, jakby znajdował się na torze w Lc Mans.

Jedź powoli, upomniała się. Przecież nie chcesz, by zatrzymała cię policja. .. nie teraz, moja mała. Uspokój się i pomyśl o tym, co musisz zrobić.

Niepowodzenie z bombami nadal bolało. Pragnęła zabić Ala Giraud. Marla byłaby jedynie premia, ale w jakiś sposób obojgu udało się uratować.

Zmarszczyła czoło, koncentrując się na prowadzeniu. Cholerny Bani też się wymknął. Na dodatek nie tylko uwolniła go od Loretty, lecz umożliwiła mu odziedziczenie jej pieniędzy. Zrobiła Beau ogromną przysługę, zamiast go zabić. Owszem, cieszyła się, że Loretta nie żyje, ale jej głównym celem był Beau.

Rzuciła okiem na Clyde”a. Zwinięty w kłębek, z nosem przykrytem ogonem, smacznie spał. Będzie musiała znów spróbować z Beau. Najpierw dowie się, gdzie teraz mieszka, a potem załatwi go raz na zawsze. Nie będzie sobie żył spokojnie. O nie, stary Clyde zostanie poniszczony.

Jednak teraz ma pilniejszą sprawę na głowie. Marla nie znalazła się w kościele przez przypadek. Stało się tak dlatego, że Giraud trafił na jej ślad. A jeżeli Marla Cwitowitz jest tutaj, wmieście, Giraud też nie może być daleko. Na pewno zatrzymali się w jakimś eleganckim hotelu. Nie trzeba być geniuszem, by ich znaleźć.

Zanim się tym zajmie, musi się pozbyć accury. Pojechała do sprzedawcy używanych samochodów i zamieniła swoje niebieskie auto na czarnego forda pikapa. Transakcja zajęła dużo cennego czasu, ale było to konieczne, bo nie mogła mieć pewności, czy Marla jej nie rozpoznała.

Potem skierowała się do „domu”, jeśli w ogóle można to nazwać domem. Gdy podjeżdżała, nędzny budynek wydał jej się jeszcze nędzniejszy. Na wspomnienie pięknej willi w Lagunie poczuła w trzewiach ostry ból. Musiała to wszystko opuścić przez Jimmy”ego Victora. Taka sytuacja już się nie powtórzy. Tym razem dopadnie Girauda i Cwitowitz. Potem znów będzie wolna.

Gdy parkowała pikapa, w jej oczach rozbłysła iskierka nadziei. Wsiadła i przez chwilę pozwoliła Clyde”owi zajmować się własnymi sprawami. Potem zawołała go i weszła do ciemnego, brudnego budynku, w którym cuchnęło pleśnią i zgniłymi dywanami, niekonserwowaną kanalizacją i zbyt wieloma biednymi studentami, którzy żywili się

potrawami na wynos i piwem. Gdy wspinała się po cementowych schodach, nie przykrytych najskromniejszym choćby chodnikiem, żołądek jej się skręcał. Weszła do siebie, usiłując nie widzieć ubóstwa mieszkania.

Całe życie walczyła o polepszenie bytu. Wszystko co robiła — oprócz epizodu ze szkolną koleżanką Jennifer yanderhoyen — robiła po to, by zaspokoić swoje ambicje. Chciała mieć piękny dom, drogie ubranie, biżuterię. Pragnęła zostać milionerką. I co w tym złego? Każdy tego chce. To normalne amerykańskie marzenie.

Nalała Clyde'owi wodę do miski, otworzyła puszkę zjedzeniem izmieszała z suchymi chrupkami. Stała i patrzyła, jak je. Machał powoli ogonem z boku na bok. Clyde zawsze pamiętało dobrych manierach i dziękował jej za kolację.

Usiadła na kanapie i wzięła książkę telefoniczną, by znaleźć numery naj lepszych hoteli w San Francisco.

188

Potem zaczęła do nich wydzwaniać, prosząc o połączenie z panem Alan Gimud. W każdym hotelu informowano ją, że nikt taki tu się nie zatrzymał. Zaczęła od początku, tym razem wymieniając nazwisko Cwitowit W „Ritzu” powiedziano jej, że nie mieszka tam żadna — Cwitowitz, to samo usłyszała w „Mandarin Oriental” i w „Fairmont”, i w „St. Francis”, i w „Mark”, a także w „Stanhope”, a potem we wszystkich ekskluzywnych pensjonatach, bo przyszło jej do głowy że Marla może bardziej lubić.

Wtuliła się w twardą kanapę, wspominając z tęsknotą swoje białe dywany, miękkie różowe foteliki w ślicznej, dziewczęcej sypialni, jakiej nie miała w dzieciństwie, z turkusową narzutą na białym łóżku pod baldachimem i złożonym wezglowiem.

Musi ich znaleźć. Jeżeli to się nie uda, nigdy już nic będzie miała takiego domu.

Znow wzięła telefon i zaczęła od początku. „Hilton”, „Hyatt”, „Ramada”, „Holiday kin...”

— Proszę z panem Giraud.

— Chwileczkę — powiedział telefonista, a po chwili w pokoju rozległ się dzwonek telefonu.

Uśmiechając się, przerwała połączenie. Z odzyskaną pewnością siebie weszła do sypialni, włożyła nie zwracający uwagi czarny kostium i wzięła torebkę.

— Pa, Clyde! — zawołała od drzwi. — Niedługo wrócę. Idź spać i nie czekaj na mnie.

Gdy przechodziła przez hol w „Holiday inn”, nie wątpiła, że jej nowy image jest idealny.

Wyglądała zupełnie inaczej z czarnymi włosami i okularami w grubych, czarnych oprawkach. Nawet szła inaczej; jak starsza kobieta, trwoźnie przyciskająca do siebie torebkę. Zmieniła wszystko oprócz pierścionka z wężem, którego nigdy nie zdejmowała.

Rozejrzała się po zatłoczonym holu, potem usiadła niedaleko wejścia, rozłożyła gazetę i zasłoniła nią twarz. Niczym się nie różniła od innych kobiet, które umówiły się tu z przyjaciółmi.

Rozdział XXXXXV

Giraud rozmawiał przez telefon z Bulworthem. Przekazał mu, że Marla widziała niebieską accurę, a w niej Clyde'a w czerwonej apaszcze na szyi, i że przypomniała sobie, że taki samochód stał niedaleko domu Mallardów w noc napaści.

Ktokolwiek prowadził, a założyłbym się o wszystko, że to była Laurie, na pewno rozpoznał Marlę i coryettę. Według Marli, kierowca wykonał najostrzejszy skręt, jaki można sobie wyobrazić, i przy okazji niemal zepchnął z drogi moją coryettę. Skoro Laurie już wie, że jesteśmy na tropie jej samochodu, postara się go jak najszybciej pozbyć. Na pewno go sprzeda, bo nie ma zbyt wiele pieniędzy.

— Moi chłopcy sprawdzą wszystkie punkty sprzedaży używanych pojazdów w Bay Area — obiecał Bulworth. — Ale jest jeszcze jedna rzecz.

— Tak? — Al patrzył w okno nie widzącym wzrokiem. Czekał na Marlę, która poszła — jak to określiła — na rajd po sklepach. Powiedziała, że potrzebuje paru rzeczy na noc w Post Hill Ranch. O ile było mu wiadomo, rezerwacja została odwołana, przynajmniej do chwili, gdy wyśledzą Laurie i znów będzie mógł się skoncentrować. Oczywiście na Marli.

— Al, nie szukajcie sami tej kobiety, dobrze? — prosił Bulworth. — Tym razem współpracuj z nami. Chcę wiedzieć ę wszystkim, co odkryjesz. Mogę na to liczyć?

— Jasne, kolego. Al się uśmiechnął. Oczywiście, że nie będzie się dzielił z policją informacjami, przynajmniej nie od razu. Miał umowę z Wc-kiem i zamierzał się z tego wywiązać.

Gdy Marla wróciła, był pod prysznicem. Przytaszczyła dwie porządnie wyładowane torby z markowych sklepów.

— Skarbie, co tam masz? — spytał. Okręcił się ręcznikiem i wyszedł z łazienki, by dać jej powitalnego całusa.

— Och, skromna wyprawa, jeżeli można to tak nazwać — wyjaśniła, uśmiechając się radośnie.

Popatrzył z powątpiewaniem na torby.

— Czyżbyś wychodziła za męża?

— Nigdy nie wiadomo — odparła wyniośle. — Jeszcze nie oświadczyłam się ortodoncie, ale wiem, że mama będzie go dla mnie trzymała tak długo, jak to będzie konieczne.

Roześmiał się i wziął ją w ramiona. Marla się nie sprzeciwiała, mimo że był mokry i hople wody znaczyły jej jasnozielony kaszmirowy sweterek, tak delikatny, jakby zrobiono go z pajęczych nici.

— Może poszlibyśmy do baru? — zaproponowała. — Mam dla ciebie propozycję, która może cię zainteresować.

— Doskonale. Aja ci przekażę, co mówił Bulworth.

Ubrał się, zanim Marla zdążyła poprawić usta i fryzurę. Lekko kręcone włosy opadały jej do ramion. Tak była uczesana, gdy ją poznał na przyjęciu w Hollywood. Podobało mu się, Przechodząc przez hol, nawet nie spojrzeli w stronę Laurie Martin. Nie zauważyli, że wstała i idzie za nimi w pewnej odległości, ukryta w tłumie. Zadne z nich nie zwróciło uwagi na ciemnowłosą kobietę w średnim wieku, która szybko ich wyminęła, usiadła trochę dalej przy stoliku i zamówiła tequilę, apotem zniknęła za płachtą „San Francisco Chronicle”.

— O Bulworcie powiesz mi później — mówiła Marla, pijąc swoje martini z wódką. — Chcę, żebyśmy teraz zajęli się tylko sobą. — Słyszac jego „ale...” podniosła ostrzegawczo rękę, — I nie życzę sobie żadnych „ale”. Jesteśmy tu ty i ja i na razie zapominamy o robocie. Dziś zamierzam być zwykłą Marlą Cwitowitz, a ty będziesz facetem, którego poderwałam na przyjęciu.

-- Jak pamiętam, twierdziłaś, że musisz się przespać z szefem, żeby dostać pracę.

— Bzdura. I tak poszłabym z tobą do łóżka — pocieszyła go. — W każdym razie zarezerwowałam na dzisiejszą noc pokój w Post Hill Ranch. I pojedziemy tam...

— I sprawisz, że moje marzenia staną się rzeczywistością.

Ich spojrzenia się spotkały.

— Przynajmniej dziś — szepnęła słodko.

— Skarbie, kończ drinka. — Al uśmiechał się do szarzielonych oczu. Zawsze czuł dreszcz, gdy patrzyła na niego w ten sposób. — Już nie mogę się doczekać.

— Ja też nie — szepnęła jeszcze słodziej. — Już nas wymeldowałam i poprosiłam boya, żeby zniósł na dół wszystkie bagaże. Możemy od razujechać.

Laurie jednym haustem dopiła tequilę, chwyciła torebkę, szybko przeszła obok zakochanej pary W drodze do drzwi zapłaciła barmanowi. Po chwili siedziała w swoim czarnym fordzie pikapie i kierowała się, w stronę Caimelu i Big Sur. Zatrzymała się na przydrożnym parkingu i czekała. Nagle roześmiała się na głos. Tym razem podali piłkę prosto w jej ręce. Zamierzała to wykorzystać.

Gdy zobaczyła czerwoną coryettę Girauda, było już zupełnie ciemno, a na ziemię opadła mgła. Szybko opuściła parking i ruszyła za nimi, przepuszczając przed sobą kilka samochodów. Było już późno, niedługo droga opustoszeje i będzie ich miała tylko dla siebie.

Post Hill Ranch wybudowano na skale niedaleko Big Sur. Droga biegła zakosami przy samej krawędzi klifu, niekiedy przepaść opadała na sto i więcej metrów. W dzień, przy dobrej pogodzie, jazda nie była specjalnie trudna, ale po ciemku i we mgle Al postanowił zwolnić i ostrożnie brał zakręty.

Laurie też prowadziła ostrożnie i trzymała się dość daleko od nich.

Al na zmianę omiatał spojrzeniem drogę przed sobą i patrzył we wsteczne lusterko. Raz czy dwa spostrzegł z tyłu czarnego pikapa i ucieszył się, że tamten kierowca też jest rozsądny i jedzie powoli. Dziś wieczorem lepiej było nie ryzykować.

Marla obejrzała się na torby z zakupami, leżące na tylnej kanapce, a gdy pomyślała o ich zawartości, uśmiechnęła się zadowolona.

— To uśmiech kota z Cheshire — skomentował Al. --- Masz jakiś sekret, o którym nic nie wiem?

Przekonasz się. Jej zielone oczy rozjarzyły się psotnie. — Mogę ci tylko powiedzieć, że się nie rozczarujesz.

Al zmarszczył brwi. We wstecznym lusterku zobaczył, że czarny pikap ich dogania.

— Jedzie za szybko — rzucił zaniepokojony.

Dopędził ich na ostrym zakręcie, przejechał żółtą linię i otarł się o bok coryetty.

Al krzyknął i wcisnął pedał gazu, starając się wyminąć pikapa i uciec. Wrzaski przerażonej Marli cięły mglistą ciemność nocy.

Laurie się roześmiała. Była w swoim żywiole. Uderzyła w tył coryetty od lewej strony i zdjęła nogę z pedału. Coryetta się okręciła i drżąc jak liść osiki, stanęła przodem do niej. Znow przycisnęła pedał gazu i wyjąc jak duch zapowiadający śmierć, z zapalonymi retkktorami, ruszyła na wroga.

Coryetta jeszcze raz się okręciła wokół własnej osi. Laurie widziała, jak Giraud rozpaczliwie kręci kierownicą. Ze śmiechem cofnęła się, znow uderzyła w bok samochodu, spychając go coraz bliżej przepaści. Coryetta zachwiała się, pochyliła i ześliznęła.

Zaczęli spadać.

Laurie zaczęła, aż usłyszy łomot zgniatanej blachy, potem trzema ryzykownymi nawrotami zawróciła i rzucając przez ramię triumfalne spojrzenie, ruszyła z powrotem do miasta.

Zerwała ostatnią więź między terażniejszością a przeszłością.

Rozdział XXXXXVI

Coryetta odbiła się od ziemi raz, drugi, trzeci. Pośród huku pękającego szkła i gnącej się blachy, wylądowała dachem do góry na skalnej półce.

Marli wydawało się, że pękaje kręgosłup. Z krzykiem osłoniła rękami twarz przed sypiącym się szkłem, chociaż nie wiedziała, po co. Przecież itak zaraz nadejdzie śmierć.

— Nic ci się nie stało? — W nagłej ciszy głos Ata zabrzmiał dziwnie nienaturalnie.

— Nic? — Marla patrzyła przerażonymi oczami przez wybitą szybę na fale uderzające brzeg bardzo daleko w dole. — Och, Boże! Jak możesz mówić „nic”? Jakimś cudem zatrzymałam się w połowie przepaści, mam rozbite pośladki i krwawie! — Wyciągnęła ręce, żeby to udowodnić. — A tyjesteś wariatem, skoro nie wyposażyleś tego starego gruchota w poduszki powietrzne. Mamy szczęście, że jeszcze żyjemy.

— Tak, szczęście nam dopisało — powiedział sucho Al. — Masz pomysł, jak się stąd wydostać?

Popatrzyła w dół.

Nagle straciła całą zwykłą energię. Jeden nieprzemyślany ruch i skończy na dnie przepaści.

Znieruchomiła i ledwo ośmielała się oddychać.

— To musiała być Laurie — szepnęła) zupełnie jakby od głośnych słów samochód mógł prześliznąć się nad krawędzią półki i spaść. — Ta dziwka chciała nas zabić.

Giraud pomyślał, że dziwce może się to udać, ale wołał tego nie mówić. Czuł się zresztą tak, jakby kręgosłup zbił mu się w jeden punkt.

Coryctta wisała niebezpiecznie na krawędzi skały, kołysząc się łagodnie w podmuchach ostrego wiatru. Wiedział, że w każdej chwili może spaść.

Rozejrzał się. Znajdowali się dziesięć metrów poniżej krawędzi przepaści. Wysoka sosna tuliła się do skalnej ściany. Pewnie przeżyła tu dziesiątki sztormów. I teraz była jego jedyna nadzieja.

— Posłuchaj, Marla — powiedział spokojnie, jakby rozmawiali w jej salonie. Spróbuj przesunąć się w moją stronę. Powoli, teraz! — Bał się, że każdy ruch może zakłócić niepewną równowagę samochodu. Wstrzymał oddech, gdy Marla przysuwała się do niego. Coryetta się zatrzęsała. — Powoli — powtórzył. — Marla, powoli...

Ostrożnie przerzuciła nogi nad kolumną kierowniczą i centymetr po centymetrze zbliżała się do Ała. W końcu znalazła się obok niego, w fotelu kierowcy. Czuł, jak wali jej serce. Na chwilę przytulił Marłę.

— Kochana, posłuchaj uważnie — mówił dalej, wskazując widok za przednią szybą., której nie było. — Widzisz tę sosnę? Tylko dzięki niej jeszcze się nie ześlizgnęliśmy na samo dno. Jeżeli dostatecznie się wychylę, chyba zdołam się jej złapać. Ale boję się, że od moich ruchów samochód się rozkołysze i straci resztę stabilności.

— Nic rób tego — błagała w panice. — Nic zostawiaj mnie tutaj. Samochód spadnie, wiem, że spadnie. — Patrzyła na niego wytrzeszczonymi oczami, a zęby szczękały jej tak, że ledwo mówiła. Samochód się kołysał. Nie panując nad sobą, przywarła do Ała.

— Skarbie, to jedyna nadzieja, że się stąd wydostaniemy — powiedział cicho. — Auto nie wytrzyma zbyt długo. Kiedy się wychylę, chwyc mnie bardzo mocno za ramię obiema rękami. No, Marla, teraz, dziecinko. Złapię to drzewo i wyciągnę cię stąd.

Złapała go za rękę z siłą targanej namiętnościami kochanki. Zaczął się przesuwac do wybitej szyby. Wyciągnął rękę w kierunku drzewa. Boże, było dalej, niż mu się wydawało. Samochód mszał się pod nim. Słyszał, jak blacha trze o kamienie, kręgosłup rozciągał mu się w nieskończoność. Wreszcie przerzucił ciężar ciała i wychylił się do przodu. Jego ręce dotknęły gałęzi. Złapał je z całej siły lewą ręką, a prawą ciągnął Marłę. Krzyknął, żeby skakała.

Odwrócił się i zobaczył, że samochód zaczyna się ześlizgiwać. Poczł okropny ból w prawym ramieniu. Marla skoczyła, złapał ją w powietrzu, a potem razem opadu na ziemię.

Coryetta spadała z piekielnym hałasem na sam dół przepaści, a oni leżeli na ziemi, trzymając się za ręce i patrzyli w zamglone niebo.

Nastala cisza. Marla przytuliła się do Ała. Prawe ramię bolało go straszliwie.

— Już dobrze, skarbie, już dobrze — szepnął, kiedy się rozplakała. --Nie słyszemy śpiewu aniołów, a to znaczy, że żyjemy.

Marla stłumiła łkania widząc, że Al wyciąga z kieszeni telefon i wystukuje 911.

— Czy nigdy nie pomyślałeś, że moja mama może mieć rację?

Rozdział XXXXXVII

Jęk strażackich syren był najpiękniejszym dźwiękiem, jaki Marla słyszała w życiu. A widok odważnych, choć bezpiecznie powiązanych linami mężczyzn schodzących w dół przepaści, był prawdziwym cudem. Puściła Ała, przytuliła się do piersi strażaka i głośno płakała w jego ramionach. Wśród szlochów przepraszała, że straciła panowanie nad sobą. Mężczyzna mówił jej, żeby się nie przejmowała. Szeptał, że powinna sobie

pozwoić na chwilę dobrego płaczu. Przysięgał, że sam by to zrobił w takich okolicznościach.

Po chwili potłuczona Marla siedziała na noszach w karetce. Al był obok. Jego wyrwane ze stawu ramię zostało owinięte bandażami i prowizorycznie unieruchomione. Krew ciekła mu z dziesiątków skaleczeń, a kręgosłup bolał tak, jakby został poddany średniowiecznym torturom. Zadzwoił do Bulwortha, opowiedział mu o wszystkich i poprosił, by zakazał lokalnej policji informować, że przeżyli.

— Chcesz, żeby Laurie była pewna, że zginęliście — domyślił się Bulworth. Al wyczuł, że przyjaciel się uśmiecha.

— Tak. Dzięki temu poczuje się wolna, zacznie się zachowywać normalnie, może nawet wróci do dawnych zwyczajów.

— Wtedy ją przyskrzynimy — ucieszył się Bulworth. Niestety, muszę ci powiedzieć, że sprawdzamy wszystkie komisy z używanymi samochodami i na razie nic nie mamy.

— Ale znajdziecie — zapewnił go ułhcie Al.

— No dobrze, pewnie coś znajdziemy. Al, powiedz mi, bez żartów, czy ty i twoja prawnicza orlica czujecie się naprawdę dobrze?

Al spojrzał na Marłę, która nadal szlochała.

— Tak, nic nam się nie stało. Chociaż przypuszczam, że moja dziewczyna rozważa teraz małżeństwo z ortodontą. On przynajmniej wracałby do domu regularnie o wpół do szóstej.

— Chłopie, wcale bym się jej nie dziwił, gdyby się na to zdecydowała. — Bulworth, wyłączając telefon, śmiał się radośnie.

Laurie uczciła okazję drogą butetką tequili patron. Alkohol smakował jej jeszcze bardziej, gdy oglądała wiadomości o dwudziestej trzeciej.

Piła prosto z butelki. Zepchnęła Clyde'a z kolan i z przyjemnością słuchała spikera, który z poważnym wyrazem twarzy opowiadał o wypadku, w pobliżu Big Sur.

Mieli tam nawet kamerę, skierowaną w dół przepaści, na rozbitą coryettę i na strażaków w żółtych strojach ochronnych i kaskach, krzających się przy pojeździe.

„O ile nam wiadomo, w samochodzie było dwoje ludzi” — mówił spiker. Laurie z uśmiechem przywołała Clyde'a. Wzięła go na ręce i przytuliła, a potem zaniósła do brzydkiej kuchenki. Nadal uśmiechając się, włożyła mu do miski wieczornego hamburgera, którego połknął błyskawicznie. Potem ułożyła go sobie na kolanach i wyszczotkowała. Gdy jego sierść już lśniła i przysnęła, zaczęła go łagodnie kołysać.

— Moje małżeństwo, znów jesteśmy razem, ja i ty. Bonnie i Clyde. Niedługo ruszymy w drogę — szeptała z triumfem.

Rozdział XXXXXVIII

Steve Mallard siedział przy łóżku żony. Trzymał ją za rękę i spokojnie opowiadał o córeczkach, i o tym, jak bardzo je kocha. Wspominał wydarzenia z czasów, gdy były jeszcze malutkie, ich śmiech i przygody. Na przykład dzień, gdy dwuletnia Melie wpadła

do basenu, zaczęła krzyczeć, a on wyciągnął ją za kark jak szczemaka. Opowiadał, jak on i yickie gniewali się na dziewczynkę, gdy była niegrzeczna. Przedostała się jakoś na tylne podwórko, a oni jej szukali. Potem razem płakali z radości, że ich ukochane maleństwo jest żywe i zdrowe i że w końcu nic takiego się nie stało.

Mówił jak Tay”or została gwiazdą szkolnej drużyny piłki nożnej i jak dobrze się uczyła.

— Ta nasza córeczka to prawdziwy mały geniusz — stwierdził, uśmiechając się do przywołanych wspomnień. — Ciekawe, po kim to ma?

Rozprawiał o wspólnych wakacjach i świętach religijnych, a od czasu do czasu pochylał się i delikatnie całował Vickie w usta, mówiąc:

— yickie, kocham cię. Proszę, wróć do mnie. yickie, potrzebuję cię. Wszyscy cię potrzebujemy. Nasze życie bez ciebie nie byłoby już takie samo. Jajestem niewinny, yickie. Już wiedzą, kto to zrobił, i znówjczestem wolny.

Prawie wolny, dodał w myśli, bo nadal trzymano go w hotelach. Dla bezpieczeństwa przeprowadzał się co tydzień, czasami nawet co dwa dni. Nie mógł decydować o sobie, otaczał go jeden wielki chaos. Już nawet się nad tym nie zastanawiał, starał się to jakoś wytrzymać. Czekał, ciągle tylko czekał na telefon, który sprawi, że wreszcie naprawdę będzie wolny.

Dobrze, że pozwolono mu na codzienne wizyty u żony, a właściwie na nocne wizyty, gdy w szpitalu było mało ludzi, a wychodzenie z hotelu nie stanowiło wielkiego ryzyka. Nadal był więźniem, choć nie ciążyło już na nim oskarżenie. Gdyby mu pozwolono, wyniósłby się stąd i zaczął normalnie żyć. Wtedy niech Laurie Martin zrobi sobie z nim, co tylko chce. Już go to nic obchodziło.

Nie mógł snuć planów na przyszłość, za to jedno wiedział na pewno. Nic wróci do dawnej pracy. Zostanie tutaj, w San Francisco valley, we własnym domu, z rodziną przyjaciółmi.

Jeżeli oczywiście jeszcze mająkichś przyjaciół. Nad tym też musi się zastanowić.

Kto by pomyślał, że życie może się tak skomplikować? Chciał tylko mieć ładny dom z widokiem na ocean. Teraz już wiedział, że sam budynek i widok z okien nie mają żadnego znaczenia. Dom jest tam, gdzie mieszka rodzina.

Vickie niezmordowanie tarła głową o poduszkę. Położył rękę najej czole, lcciotko głaskał powieki, czuł, jak drżapod palcami.

Schylił się i mówił jej do ucha:

-- Vickic, obudź się, obudź się, proszę, wróć do nas. Czekamy na ciebie. Nigdy cię nie opuszczę, zawsze będziemy razem.

yickie przestała kręcić głową po poduszce, ale nie otwierała oczu.

Chcę się obudzić, mówiła sobie. Tak bardzo chcę się obudzić i nie mogę. Och, Steye, nie mogę. Pomóż mi, proszę, pomóż mi...

196

Steye zobaczył łzy płynące jej po policzkach i delikatnieje wytarł. Znów płakała. Płakała dość często i lekarze twierdzili, że to dobrze. Widocznie coś wjej duszy reaguje na jakies bodźce. Teraz, gdy trzymał ją za rękę, uścisnęła mu palce bardzo leciutko. Mimo codziennej fizykoterapii jej mięśnie zanikały.

W odpowiedzi również uścisnął jej rękę i powiedział:

— yickie, rozumiem cię. Wiem, że próbujesz do nas wrócić. Po prostu próbuj dalej. Niedługo ci się uda. Kochanie, staraj się. Jesteś nam potrzebna. Ja cię potrzebuję, Mellie i Taylor cię potrzebują. Czekają na ciebie. Kochana moja, chcemy cię już zabrać do domu.

Dom, pomyślała yickie. Magiczne słowo. Pobudziło wspomnienia o ich pierwszym małym mieszkanku w Studio City. Byli tam jeszcze tylko we dwoje i w jakiś sposób ciągle łądowali w łóżku. Nie mogli się sobą nasycić. Gdy urodziła się Taylor, przeprowadzili się do niewielkiego domku z ogromnym podwórzem w Tarzanie, bo już myśleli o szkole. Jakże się denerwowali wychowywaniem tej małej istotki. Potem urodziła się Mellie i kilka lat później jej ojciec pomógł im wpłacić pierwszą ratę na budowę nowego domu. Sami o wszystkim decydowali, począwszy od kolon dachówek, a skończywszy na kształcie okien i wzorze berberyjskich dywanów. Pierwszy wieczór we własnym domu uczcili szampanem. Przyszli krewni i przyjaciele, przynieśli prezenty: rośliny, ceramiczne naczynia, kosze owoców. Wszyscy świetnie się bawili, a dziewczynki wprost szalały. Nieprzytomne z podniecenia biegały po całym domu, pokazywały gościom swoje pokoje. „To mój pokój”, mówiły z dumą, bo do tej pory mieszkały razem.

Dom. Magiczne miejsce, w którym człowiek czuje się bezpieczny, miejsce, w którym zawsze jest coś do zrobienia: gotowanie, sprzątanie, pilnowanie, by dzieci nic spóźniły się do szkoły. Wysła się je na przystanek szkolnego autobusu z drugim śniadaniem w torebce, a po południu czeka na ich powrót. Dom. Spokojne wieczory ze Steyem, oglądanie filmów na wideo, gdy dziewczynki śpią, albo przyjmowanie przyjaciół, czy też wypadki do restauracji i zostawianie córek z opiekunką której się ufa, ale mimo to trudno się nie denerwować. „Zachowujesz się jak kwoka — śmiał się Steye. — Przez parę godzin doskonale sobie poradzą bez ciebie — mówił. — chodźmy już, nam też należy się trochę zabawy.

I wychodzili, ale ona zawsze czuła leciutki niepokój, nawet podczas najlepszej kolacji albo na ciekawym przedstawieniu. Nie potrafiła nie martwić się o dzieci. Dom. Z jej córeczkami i jej mężem. Tam właśnie chciała być.

Otworzenie oczu wymagało ogromnego wysiłku, jak przy podnoszeniu wielotonowego ciężaru. W końcu jakoś sobie poradziła.

Steye wstrzymał oddech, nie wierząc w to, co widzi.

— Vickie! — Wziął jej zimną drobną dłoń w swoje ręce. — yickie, jestem tutaj, dziecinko.

Spójrz na mnie. Jestem tu z tobą. Teraz już wszystko będzie dobrze, obiecuję ci.

Ciemne oczy yickie wydawały się ogromne w bladej, szczupłej, wychudzonej twarzy.

Powiedziała tylko jedno słowo: „dom”. Wyszepiała je tak cicho, że brzmiało raczej jak westchnienie niż mowa.

Ale jemu to wystarczyło.

Rozdział XXXXXIX

Al musiał nosić rękę na temblaku. Staw barkowy nie zagoi się szybko, może nawet będzie potrzebna operacja. Ale teraz nie miał na to czasu. Najpierw złapie Lawie Martin. Z ponurym uśmiechem przypominał sobie, jak się czuł, gdy jego ukochana coryetta leciała w przepaść, a jego najdroższa Marla krzyczała, że umiera.

Al sądził, że Laurie chciałaby najszybciej pozbyć się niebieskiej accury. Musiała wstąpić do pierwszego sprzedawcy, jaki się nawinął, i wymieniła swój samochód na czarnego forda pikapa. Czyli pierwszym bokiem będzie odszukanie tego sprzedawcy.

Al był na przedmieściach Oakland, w okolicach parafii wielebnego Witty”ego. Jechał do ogromnego samochodowego komisju. Parkingi dealerów ciągnęły się tam całymi kilometrami, a na każdym kolorowe chorągiewki i baloniki wabiły klientów. Wielkie tablice obiecywały, że ceny są niskie, a samochód można kupić lub wynająć.

Al, mimo że szukał salonów z używanymi samochodami, zwolnił przy sklepie lirmowym Chevroleta, bo kątem oka złowił lśnienie nowiutkiej coryetty. Na sam jej widok do ust napłynęła mu ślanka. Powodowany impulsem, zatrzymał się i zaczął przyglądać temu cudownemu okazowi.

— Elegancki wóz, prawda? -- Przyjaźnie nastawiony sprzedawca znalazł się przy nim błyskawicznie.

— Owszem. Właśnie straciłem swój — powiedział żałośnie Al.

To okropne. — Sprzedawca uśmiechnął się szeroko. Strata Ala oznaczałajego zysk. - Kradzież?

— Nie. Wypadek.

Sprzedawca zagwizdał współczująco.

— To tak jakby się straciło członka rodziny. Sam miałem taki przez dziesięć lat. Nie mogłem się z nim rozstać. Zawsze mówię, że gdy już raz prowadziło się eoryettę, nawet się nie spojrzy na żaden inny. — Wyciągnął rękę. — Jestem Monty Portenski.

— Al Giraud. — Nie zdejmował wzroku z samochodu.

— Z którego roku był twój?

Al przejechał ręką po lśniącym czerwonym lakierze tak delikatnie, jakby głaskał dziecko.

— Z siedemdziesiątego — odparł z westchnieniem.

Sprzedawca znów zagwizdał, tym razem z podziwem.

— To były prawdziwe piękności. Tutaj takiego nie znajdziesz, ale nowe modele są jeszcze lepsze. Chciałbyś się przejechać? Sam byś wyczuł, jaką ma moc, jak reaguje na każdy twój ruch, nie mówiąc o wygodzie. „To najbardziej komfortowy samochód, jaki kiedykolwiek stworzono” twierdzi producent i mogę cię zapewnić, że nie kłamie. — Prowadząc monolog, sprzedawca wskazywał wspaniałą wóz z silnikiem 5,7 litra LSI y8, o mocy 345 koni mechanicznych z ogrzewaną tylną szybą, stojący trochę dalej, w dziale modeli z otwieranymi dachami.

Ala opuściła całą silną wolę. Chciał tylko popatrzeć, a okazało się, że siedzi w fotelu kierowcy nowiutkiej, czerwonej coryetty, wyjeżdża z parkingu, mija sklep Toyoty, potem Nissana, Hondy, Forda...

Nagle, ku zdumieniu sprzedawcy, wjechał na parking Forda i zatrzymał się przed szklanymi drzwiami kantoru.

— Al! — zawołał Monty Portenski. — Co robisz? To jazda próbna, a nie porównawcza.

Al już wysiadł i biegł w róg parkingu, gdzie stała niebieska acura. Wydawała się tu nie na miejscu, jak wdowa na balu debutantek.

Z kanton wyszło kilku sprzedawców, zdziwionych, że nowa eoryetta na próbnej jeździe wjechała na ich parking. Portenski bezsilnie wyrzucił ręce w powietrze.

— Facet musi mieć nie po kolei — stwierdził, obserwując Ala, który obchodził dookoła niebieskiego gruchota. Nie trwało to długo, zaraz wrócił.

Chłopcy, czy któryś z was kupował niedawno tę accurę od kobiety? Pomachał niecierpliwie do Portenskigo i rzucił: — Zaraz do ciebie wracam.

Sprzedawcy ze sklepu od Forda popatrzyli po sobie.

— To musiała być wymiana na inny samochód, aleja nico tym nie wiem

— odezwał się jeden z nich.

— Ja też nie— dodał inny.

Al pobiegł do oszklonego kantorku. Na szczęście tego popołudnia nie było klientów i szef, Henry Jellicoe, miał czas.

199

— Czym mogę służyć? — spytał wstając i podając Alowi rękę, by przekonać go, że jest uczciwy i prostolinijny.

Al wyjął z portfela wizytówkę i podał ją szefowi.

— Współpracuję z departamentem policji z San Francisco — wyjaśnił, prawie nie mijając się z prawdą. — Wie pan, kto i kiedy oddał tu tę starą accurę?

Jellicoe podszedł do okna i rzucił okiem na parking wypełniony nowymi, błyszczącymi samochodami.

— Stoi tu od trzech dni — mruknął. — Jeden z naszych młodych sprzedawców wziął na wymianę, ale teraz go tu nie ma. Jego żona właśnie urodziła. Powinien przestawić tego gruchota na tył parkingu, ale nie zdążył przed wyjazdem do szpitala. W każdym razie tylko on coś o niej wie. Dlaczego to pana interesuje?

— Chodzi o morderstwo — wyjaśnił zwięźle Al i zobaczył, jak Jellicoe pochmurnieje. — Słyszałem tylko, że policja z San Diego i z San Francisco szukała tego samochodu we wszystkich salonach samochodowych w okolicy. Więc jak to się stało, że nie przyszli do pana? A może jednak tu byli?

Jellicoe wzruszył ramionami.

— Nie przypominam sobie, by jakiś gliniarz pytało ten wóz.

— No, dobrze. Chciałbym zobaczyć dokumentację accury. — Al niecierpliwie bębnił palcami po biurku.

— Jak już panu mówiłem, sprzedawca jest nieobecny. A ja nic o tym wszystkim nie wiem.

— Jellicoe, niech pan nie opowiada głupstw. Nie zamierza pan chyba utrudniać śledztwa. Muszą tu być jakieś dokumenty.

Szef ciężko westchnął, popatrzył na zirytowanego sprzedawcę coryetty, który stał przy drzwiach i słuchał rozmowy.

— Oczywiście, że będziemy współpracować z policją., to nasz obywatelski obowiązek. Powiedziałem tylko, że osobiście nic nie wiem o tej sprawie. Jednak ma pan rację, muszą tu być jakieś dokumenty.

Wyszli z biura i razem z Alcm poszli do innego, mniejszego. Na biurku stała tabliczka z napisem „Mohammad Abid”. Jellicoe zaczął przeglądać rachunki piętrzące się w koszyku.

— Proszę — powiedział w końcu, pokazując kilka spiętych papierków. — Accura 1988, zarejestrowana na nazwisko Marii Joseph. Oddała ją na poczet pierwszej raty za używanego czarnego fordą pikapa z roku 1995. Jones wycenił go na dwadzieścia dwa tysiące, o wiele za dużo jak na takiego grata, jeśli chce pan znać moje zdanie.

— Tak, oczywiście. — Al z trudem się opanował. Podszedł swoją zdobycz już tak blisko.

— Prosiła o kredyt?

Jellicoe jeszcze raz spojrział w dokumenty.— Zapłaciła gotówką. Nie podała domowego adresu, powiedziała, że właśnie się przeprowadza. Ale zostawiła adres pracy i telefon. Jones musiał zadzwonić, upewnić się, czy rzeczywiście tam pracuje, i uzyskać referencje. Zatrudniona jest w „Mansion Bar Grill” w Oakland.

Rozdział XXXXXX

Mansjon Bar Grill” był staroświeckim lokalem. Przez dziesiątki lat od otwarcia czerwone skórzane siedzenia w łóżach zdążyły się pozapadać od ciężaru klientów. Wchodząc, Marla i Al poczuli zapach whisky i piwa, ale także rozkoszny aromat pieczonych na drzewnym węglu steków.

Usiedli w jednej z łóż i rozejrzeli się. Żadna z obecnych tu kobiet w najmniejszym stopniu nie przypominała Laurie Martin.

Młoda kelnerka z rozjaśnionymi na platynowo włosami opadającymi jej na twarz jak u surferem z hollywoodzkich filmów, podeszła i spytała, co zamawiają. Marla jak zwykle wzięła martini na wódce, a Al poprosiło piwo.

— Nie jestem głodna — stwierdziła Marla, studiując menu.

— Na wypadek, gdybyś o tym zapomniała uprzedził ją Al — nie przyszłaś tupo to, by jeść.

— Och. No dobrze. Wobec tego... poproszę sałatkę.

— Marla!

Lekko wzruszyła ramionami.

- No, już, dobrze. Zrozumiałam aluzję.

— To nie była aluzja, lecz polecenie.

— Tak jest, proszę pana. — Zasalutowała i spojrzała na kelnerkę, która wracała z zamówionymi drinkami.

— Czy chcą państwo jeszcze coś zamówić? — spytała, trzymając długopis nad notatnikiem.

— Tak. Dwa hamburgery z dodatkami, średnio wysmażone, bez flytek — powiedział rażno Al.

Marla spiorunowała go wzrokiem.

— Przecież mówiłeś... — Przerwała, widząc jego ostrzegawcze spojrzenie i oparła się wygodniej o przepierzenie.

— Zmienia pani zamówienie? — spytała kelnerka.

— Nie, proszę podać to, co powiedział ten pan — odparła, pozując na męczennicę.

— Do licha, Marla, itak tego nie będziesz jadła. — Al był zdenerwowany, cały czas przepatrywał lokal. Żadna z kelnerek zupełnie nie przypominała

201

F

Laurie. Zastanawiał się, czy nie przyszli tu za późno. Może Lawie zdążył już uciec. W prawym ramieniu przy każdym mchu czuł ostry ból. Przyprawiało go to o szaleństwo, bo przypominało, że Laurie Martin omal ich nie zabiła.

Marla w milczeniu sączyła martini. Widział, że jest obrażona, ale to nie był odpowiedni czas na dąsy. Nie usiłował jej ułagodzić, tylko bacznie przyglądał się ludziom. Minęła już szósta, bar się zapełniał. Al doszedł do wniosku, że lokal cieszy się uznaniem klientów. Prawie wszyscy wyglądali na stołowników, kelnerki witały ich przyjacielskim „jak się masz” i „co słyhać”. Pojawił się też dodatkowy personel.

Oczy Ala zwęziły się, gdy jego spojrzenie padło na wysoką brunetkę, która sprzątała ze stołu w drugim końcu wąskiego pomieszczenia. Jedyne oświetlenie lokalu stanowiły lampki z czerwonymi abażurami stojące na stolikach, dlatego nie widział jej dokładnie. Coś w energicznym sposobie chodzenia kelnerki przeczyło ogólnemu wrażeniu, że kobieta jest w średnim wieku i nie dba o siebie. Miała spódniczkę za kolana, toporne buty na niskim obcasie, grube, czarne pończochy. Jej biała bluzka była starannie wyprasowana, ale wyglądała na zbyt obszerną. Nosiła też okulary w grubych, czarnych oprawkach, a czarne włosy miała obcięte bardzo krótko z tyłu, prawie po męsku, a na oczy spadała jej poszarpana grzywka. Była za szczupła do tych ciężkich butów, które ciągnęły ją do ziemi.

Marla odwróciła się i powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. Zobaczyła kobietę, na którą niemal wpadła na schodach ratusza. Tę z szalonymi oczami. Tę, w której wyczuła zło...

— To ona — powiedziała głosem piskliwym z podniecenia i zdenerwowania. - Przysięgam na Boga, że to ona.

Kobieta skończyła wycierać stolik. Teraz szła w ich kierunku, niosąc wyładowaną tacę. Już prawie ich minęła. I wtedy Marla zauważyła pierścionek z wężem otaczający jej trzeci palec.

— Och, Laurie... — powiedziała cicho, przyjacielskim tonem.

Taca wysliznęła się z rąk kelnerki, brudne naczynia potłukły się, a kostki schabu i nie dojedzone frytki rozsypały się po podłodze, znacząc ją plamami keczupu.

Laurie stanęła jak wryta. Przez chwilę jej gorejące spojrzenie wbiło się w oczy Marli.

Nagle gwałtownie się odwróciła i pobiegła do kuchni, torując sobie drogę wśród ludzi i stolików.

Al już był na nogach i pędził za nią, rozgniatając resztki rozsypanych naczyń i jedzenia.

Marla pobiegła w drugą stronę, do frontowych drzwi. Na pięty następowała jej kelnerka o platynowych włosach wołając, że nie zapłaciła rachunku.

Na dworze Marla pobiegła za róg budynku, ślizgając się na mokrym od deszczu chodniku. Gnała do kuchennego wyjścia.

202

Znalazła się tam na czas, by zobaczyć, jak Lawie, przyciskając do siebie jedną ręką torbę, a w drugiej trzymając kluczyki samochodowe, biegnie do czarnego forda pikapa, zaparkowanego na tyłach lokalu.

— Laurie! — W deszczu na wietrze głos Marli brzmiał cicho, ale Laurie usłyszała.

Zastygła w miejscu i uniosła głowę jak tropione zwierzę, węszące zapach myśliwego.

Al był już w połowie drogi przez parking, w prawej ręce trzymał swojego ulubionego Smith and Wesson 38. Ale z powodu zranionego ramienia, nie miał pojęcia, czy posłuży się nim wystarczająco szybko.

— Laurie, zatrzymaj się! — zawołał. Jednocześnie przykucnął i wycelował.

Laurie obejrzała się. Oczy jej się zwęziły, gdy zobaczyła oboje i wycelowany w siebie pistolet.

Potem Marla byłaby gotowa przysiąc, że widziała, jak oczy Laurie stały się czerwone jak rozżarzone węgielki. Miała wrażenie, że patrzy na nią sam szatan. Po krzyżu przebiegły jej dreszcze.

Po chwili Lawie spuściła głowę i skuliła się. Jakby straciła wolę walki. Wzruszyła ramionami i stała przygarbiona z opuszczoną głową, istny obraz klęski.

Al ruszył do niej.

A przecież powinien być ostrożniejszy, on, były policjant...

— Giraud, uważaj! — krzyknęła Marla.

Zauważyła błysk srebra, potem usłyszała strzał. Al jęknął, wypuścił pistolet, a z prawego, chorego ramienia popłynęła krew. Rzucił się na ziemię i potoczył pod osłonę zaparkowanych samochodów.

Lawie wskoczyła do swojego pikapa. Marla słyszała, jak zapala silnik. Szybko podbiegła, chwyciła pistolet Ala, wycelowała i strzeliła.

Wlna opona eksplodowała z hukiem gromu. Lawie akurat przyspieszała i pikap obrócił się wokół własnej osi.

Marla stała nieruchomo i oglądała scenę, która się przed nią rozgrywała jak na zwolnionym filmie. Widziała wściekłą twarz Laurie, słyszała jej przekleństwa. Potem pikap uderzył w ścianę i dwa razy przeokoziłkował.

W naglej ciszy rozległ się ciągły dźwięk klaksonu. Koła obracały się coraz wolniej, a ciało Lawie obsunęło się na wgniatane drzwiczki. Z rozbitego samochodu dobiegło szczekanie pieska.

— Zbrodnia i kara — szepnęła Marla, zaszokowana efektami tego, co zrobiła.

- Mam nadzieję, że nie wywinie się tak łatwo. — Al z twarzą wykrzywioną od bólu podnosił się na nogi. — Chcę ją mieć żywą. Chcę, żeby stanęła przed sądem przysięgłych. Chcę, żeby znalazła się w miejscu, Skąd już nigdy nie będzie mogła nikomu wyrządzić krzywdy. — Ale mówiąc to wiedział, że jest za późno.

— Czy tak nie jest lepiej? — Oczy Marli lśniły od łez. Podchodząc do Ala, drżała na całym ciele.

Po chwili otoczył ich tłum: klienci restauracji, właściciel, kelnerki. Gdzieś z daleka dobiegał jęk syren i przybliżał się coraz bardziej.

— Myślę o Steyie i yickie, o tym, co ta nieszczęsna rodzina musiała znieść powodu przecierpieć — szepnęła Marta.

-- Takim krzywdom nic można zadośćuczynić, chociaż nie wątpię, że brukowce będą się zabijały o wywiady z nimi. — Al zdrową ręką łagodnie głaskał Marłę po mokrych włosach.

— Doskonale mogliby żyć bez tego — mruknęła Marla.

— I tak będzie. Podejmą swoje życie od momentu, w którym zostało przerwane. Dzieci wrócą do szkoły, a Steye Mallard zostanie okrzyknięty bohaterem.

— A yickie? — Marla myślała o tej miłej młodej kobiecie, której umysł długie tygodnie krył się w czarnej otchłani. — Czy zdoła wrócić do siebie?

Al patrzył na policjantów, którzy wysypywali się z radiowozów z bronią gotową do strzału, i myślał o grze we wszystko albo nic, do której zmuszono Mallardów. Na szczęście w końcu wygrali.

— Popatrz na to w ten sposób: to będzie dla nich nowy początek— odparł. Uśmiechnął się swoim dawnym sardonycznym, krzywym uśmiechem, od którego Marla zawsze czuła słabość w kolanach. — Skarbie, lepiej podnieś ręce nad głowę. Mamy towarzystwo.

Rozdział XXXXXXI

Al przyjechał nową czerwoną coryettą na szklaną górę, jak Marla nazywała swój dom. Pomachał portierowi, który w pierwszej chwili potraktował go jak obcego, ale potem rozpoznał, mimo że Al miał na sobie koszulę od Armaniego. Gestem skierował go na podziemny parking.

Marla opłacała dwa miejsca. Al minął jej srebrzystego mercedesa, stojącego na pierwszym stanowisku, i już chciał wjechać na drugie, gdy nagle, głośno przeklinając, wcisnął z całej siły hamulec. Mało brakowało, a rozgniółby na miazgę stojący tu rower. Było to czerwone ducati monster, чудо o nieokiełznanej mocy, lśniąca nowiutkim lakierem i wypolerowanymi chromami.

Mrucząc coś pod nosem, Al wycofał się i zaparkował w miejscu przeznaczonym dla gości. Spodziewał się, że Marla będzie w domu sama. Miała to być ich prywatna uroczystość, podczas której zamierzali uczcić nie tylko to, że wreszcie wytropili Laane, lecz również to, że udało im się przeżyć polowanie. Marla zapowiedziała, że dziś będą się cieszyli tym, że żyją.

Skoro tak, kto przyjechał do niej tym nowiutkim ducatem? Z całą pewnością nie mogła to być jej matka, ale może gościła trzydziestosześcioletniego ortodonta? Czyżby odpowiedni kandydat wreszcie ją odwiedził, i to zjawiając się pod jej domem na najszybszym rowerze świata? Ten facet może się okazać prawdziwym rywalem, nawet jeżeli grzebie ludziom w zębach.

Al przejrzał się w lustrze windy, która cicho wiozła go na najwyższe piętro. Kupiona przez Marłę koszula od Armianiego była ciemnoniebieska i pasowała do koloru jego oczu. Niespokojnie oceniał swój wygląd, ciągle myśląc o rywalu. Dziś zostawił temblak w domu, bo przecież romantyczny facet nie może mieć unieruchomionego ramienia. W imię miłości był skłonny trochę pocierpieć. Miał na sobie leyisy prosto z pralni. Zauważył z obrzydzeniem, że zaprasowano je w kant, więc spacerował w nich dobre dziesięć minut, zanim udało mu się zlikwidować obrzydliwe proste linie. Miał również mokasyny z brązowego zamszu. Odkrył, że są wygodniejsze niż jego stare niki. I to wszystko, pomijając ulubione bokserki Rnny Jockeys. Nie włożył ani marynarki, ani skarpetek, ani krawata. Posunął się tak daleko, jak mógł, żeby zrobić przyjemność swojej dziewczynie. Drzwi mieszkania Marli były otwarte. W kominku palił się ogień, z wieży śpiewał głębokim głosem Bany White, wszędzie stały kwiaty i płonące świece. Mały okrągły stolik, przykryty adamaszkowym obrusem, wprost lśnił od kryształów i srebra, a w wiaderku chłodził się szampan... Tym razem Marla naprawdę się postarała. Al widział w tym zapowiedź cudownej nocy.

— Skarbie, już jestem! — zawołał. Ramię bolało go jak diabli. Nadal nie mógł nim poruszać tak swobodnie, jakby sobie życzył przy tak romantycznej okazji. Ale itak cieszył się, że kula przeleciała na wylot, nie powodując większych szkód. „Czysta rana” — mówili lekarze, a on dziękował za to Bogu. Mogło być o wiele gorzej.

Porzucił te rozważania i zaczął się zastanawiać, gdzie jest ortodonta, który przyjechał na ducatum. Spiorunował wzrokiem zamknięte drzwi sypialni Marli. Jem, przecież chyba nie może być w środku?

W tym momencie Marla stanęła na progu swojego pokoju.

— Kochanie, jak to dobrze, że już jesteś. Rozgość się — powiedziała, uśmiechając się słodko. Drzwi znów się za nią zamknęły.

Al zaczął bębnić palcami po oparciu kanapy. No nie, Marla w żadnym wypadku nie może tam być z innym facetem. To niepodobne do niej. Nie zrobiłaby tego wiedząc, że on ma przyjść. A może jednak?

Zebrał się w sobie, otworzył szampana, nalał kieliszek i pociągnął długi łyk. W wieży wibrował bas Barry’ego, który śpiewał o cukiereczkach i o tym, że przytula swoją dziewczynę i prosi, by to zrobiła... seksowne słowa pochodzące z winylowej płyty...

205

— Zaraz do ciebie przyjdę! — zawołała Marla od progu sypialni. — Jeszcze tylko minutka. Och, ukochany, nalej też mnie.

„Ukochany”? Tak powiedziała. Co za odmiana po „kochanie”! Czy na to zasługuje? Nie jest mężczyzną, którego kobieta mogłaby tak nazywać. Wystarczyłoby „skarbie” albo może to, co śpiewa Bany: „cukiereczku”. O tak, zawsze tsaktował swoje kobiety dobrze... swoją kobietę — poprawił się w myślach.

— No? — Marla pozowała w drzwiach. Stała, trzymając jedną nogę przed drugą, kolano miała lekko ugięte. Była to tradycyjna poza Miss Ameryki. Tyle że nie wyglądała jak jakakolwiek Miss Ameryki, którą Giraud kiedykolwiek widział. Wyglądała jak pozbawiona niektórych atrybutów panna młoda.

Miała na sobie atlasowy skaj.y stanik bez ramiączek. W rowku między piersiami, które wydawały się bardziej aksamitne niż okrywający je materiał i o wiele bardziej seksowne — spoczał sznur pereł. Jeszcze więcej pereł ozdabiało jej złote włosy i welon z haflowanego tiulu, opadający za nią jak tren. Jej oczy pociemniały z podniecenia. Jaśniały zielenią szmaragdu w świetle świec, a usta uśmiechały się do niego z taką cudowną obietnicą!

Tak wyglądała górna połowa ciała Marli.

Oczy Ala przebiegły po smukłej sylwetce, zatrzymały się na delikatnych koronkach, pasie do podwiązek, szczerze ukazującym kremowe uda między koronkowymi pończochami okrywającymi jej długie nogi aż do białych szpilek... Och, i miała bukiet kwiatów pachnących jak gardenie.

Tak wyglądała dolna połowa ciała Marli.

— Skarbie, chyba zapomniałaś włożyć spódniczkę — powiedział z uśmiechem, który wykrzywił mu kącik ust. Gdy jednocześnie podniósł lewą brew, serce Marli zaczęło walić jak młotem.

— Właśnie kupiłam to sobie w San Francisco — wyjaśniła. — Wyciągnę- lito ubranie z twojej coryetty. Chciałam wyglądać jak panna młoda — stała w wystudiowanej pozie i uśmiechała się. — Nie byłam pewna, czy się zorientujesz.

— Och, Marla, oczywiście, że się zoorientowałem. — Stali naprzeciwko siebie i patrzyli w oczy. Al domyślał się, że właśnie tak to sobie zaplanowała.

— Masz na sobie koszulę, którą ci kupiłem — powiedziała. — Wiedziałam, że będzie pasowała do twoich niebieskich oczu.

— A tobie pasuje bieli perły. Wyglądasz jak prawdziwa dama.

— To tylko jedna z moich zalet uściśliła.

Przypomniał sobie, że ortodonta wciąż może się czaić w sypialni Marli.

— Skąd się wziął na twoim parkingu czerwony ducati? — spytał, siłąc się na obojętny ton.

-- Giraud, wszystkie ducati są czerwone.

- Jasne. Ale czyj jest ten, który tam stoi?

Obdarzyła go triumfalnym uśmiechem.

— Pomyślałam, że jako prywatny detektyw muszę mieć własny pojazd. Coś bardziej popularnego niż mercedes — dodała. — Rozumiesz, o co mi chodzi?

Al ze śmiechem podszedł do Marli i wziął ją w ramiona.

— Skarbie, rozumiem, co chcesz powiedzieć. — I zaczął ją całować tak, jakby jutro miał nastąpić koniec świata.

— Giraud, możesz mi coś powiedzieć? — spytała, gdy leżeli na kanapie. Welon Marli przekrzywił się, a zapach zgniecionych gardenii niemal ich dusił. Gdzieś w tle Barry wyśpiewywał piosenki o miłości. — Powiedz mi, co by było, gdybym cię poprosiła, żebyś się ze mną ożenił? Wiesz, że mam dość dziwne cechy, ale zgodziłbyś się na to?

Al spojrzał jej w oczy i uniósł kącik ust w krzywym uśmieszku.

— Marla — powiedział. — Zgadzam się na wszystkie twoje najdziwniejsze cechy, bo je kocham.

I zarazem to udowodnił.

KONIEC.